

**SVEVA CASATI MODIGNANI**

# **KOBIETA HONORU**

**DONNA D'ONORE**



***Karolowi, ukochanemu bratu i wspaniałemu przyjacielowi oraz  
Severinie, która odkryła radość pisania.***

***«Wszystko o mnie może być powiedziane, ale nic udowodnione»***

ELŻBIETA TUDOR

***Dzisiaj***

# 1

Mark Fawcett, goniący za sensacjami, dziennikarz z „New York Times”, zawahał się między gwizdkiem czajnika a dzwonkiem telefonu. Na krótko zwyciężyła ciekawość dla połączenia z zagranicą, musiał jednak przerwać gwizd pary, jeśli w sposób rozsądny chciał porozumieć się ze swym rozmówcą po drugiej stronie. Uniknął katastrofy, łapiąc równowagę na pozostawionej poprzedniego wieczoru szmacie, udało mu się zgasić gaz i dopadł do telefonu, zapominając o twarzy pokrytej pianą tak białą i puszystą jak śnieg wirujący za oknem. Nie wiadomo, dlaczego nawet tak proste zajęcia jak golenie się, przygotowanie kawy, odebranie telefonu stały się cholernie skomplikowane od czasu, gdy opuściła go Carolyn.

- Jestem! - wrzasnął do słuchawki i zaraz zaczął przeklinać, gdyż piana zakleiała słuchawkę uniemożliwiając mu słyszalność. Kiedy połączenie powróciło, usłyszał metaliczny głos, odbity przez satelitę, który kończył krótką przemowę wykrzyknikiem - „Dynamit!”

- Kimkolwiek jesteś, przedstaw się i zacznij od początku - krzyknął.

- Co ci się stało? - zapytał się zdziwiony rozmówca.

- To długa historia - odparł Mark, rozpoznając wreszcie głos Gianniego Ricci, głównego redaktora „Giornale di Sicilia”, który dzwonił z Palermo. Byli w tym samym wieku - czterdzieści cztery lata - i kiedy Ricci przebywał w Nowym Jorku, mieszkali razem na Bleecker Street i marzyli o sławie.

- Jeśli obudziłem cię, to przepraszam - powiedział - ale mam dla ciebie wiadomość, która jest dynamitem.

- To znaczy, że dobrze zrozumiałem ostatnie słowo.

- Potwierdzone, Mark. To bez pudła ona. Czyż to nie bomba?

Mark Fawcett przez chwilę miał wrażenie, że serce przestało mu bić, później krew zaczęła krążyć jeszcze szybciej.

Zawsze mu się to przydarzało, gdy uważał, że trafił na sensacyjny *scoop*.

- Ucałowałbym cię, Gianni. Prosto w usta - przesadzał pozwalając sobie na oczyszczający śmiech.

- Kocham cię, ale nie aż do tego stopnia - zażartował włoski kolega.

- Więc opowiedz mi dokładnie całą historię od A do Z - błagał go zamieniając się w słuch.

Ogarnęło go niepohamowane podniecenie, prawie dziecinne, podczas gdy słowa odległego przyjaciela budziły w nim obrazy precyzyjne i niezwykle sugestywne. Mark widział ściany klasztoru, sklepienia z freskami i pulchne barokowe statuetki świętych i męczenników, łuki klasztoru w zieleni, podtrzymywane przez spiralne kolumny w stylu mauretańskim, cembrowinę studni rzeźbioną w kamieniu, czyste, słoneczne niebo. A potem ją, w czarnym zakonnym stroju, który zamiast gasić, podkreślał jej urodę, piękne włosy zebrane pod śnieżnobiałym czepek, twarz uwięzioną przez nakrochmalony pasek.

- Przyjeżdżasz? - zapytał Gianni.

- Możesz na mnie liczyć. Zawiadomię cię, którym lotem przylecę do Palermo. Nie muszę cię prosić o zachowanie tajemnicy.

- Po takim starym mafioso jak ja możesz spodziewać się tylko całkowitego milczenia, omertà - zażartował Gianni i odłożył słuchawkę.

Mark dojechał do gazety metrem. Jadąc samochodem ryzykował ugrzęźnięcie w korku. Śnieg, który wciąż padał, utrudniał i tak skomplikowaną jazdę charakterystyczną dla początku weekendu.

Czuł się jak ogar, który złapał trop zwierzyny. Tego ranka, po raz pierwszy, od kiedy Carolyn opuściła go, nie pomyślał o niej. Ani o dzieciach.

Wtargnął z impetem do biura Burta Ritmana, szefa.

- Nigdy nie zgadniesz - zaatakował.

- Bardzo prawdopodobne, jeśli nie zadasz mi konkretnego pytania - zareplikował.

Burt, przedsiębiorczy, żywy i błyskotliwy sześćdziesięciolatek, z młodzieńczą swobodą prezentował swój wygląd zapaśnika. Czterdzieści lat swego życia strawił w czynnym dziennikarstwie. Zaczynał jako korektor próbnych odbitek, gdy w redakcjach wdychało się ołów, a teraz sięgał szczytów w zawodzie. Znał każdy sekret gazety.

- Nie ma sensu, żebyś się wysilał. Nigdy byś nie zgadł - powtórzył Mark z dziecinną emfazą.

- Reagan i Gorbaczow uciekli razem do Szwajcarii i poprosili o azyl polityczny - odpowiedział główny redaktor żartem, za którym kryło się rosnące niezadowolenie. Z tymi wszystkimi problemami, które musiał dziś rozwiązać, brakowało mu tylko zgadywanek. Mark był dobrym dziennikarzem, zawsze zaangażowanym na co najmniej trzech lub czterech frontach. Bałaganiarz o umyśle jasnym i racjonalnym, który doskonale radził sobie w swych zawiłych labiryntach. Burt szanował go i cenił, ale to nie był odpowiedni dzień na zagadki.

- Znalazłem ją - sprecyzował, odkrywając element pozwalający na identyfikację tajemniczej osoby.

- Więc kobieta - powiedział wolno Burt ulegając ciekawości. - Kobieta, której szukamy, ktoś ważny - dodał przyśpieszając.

- Ona? - wykrzyknął po chwili refleksji.

- Ona - potwierdził Mark.

- Gdzie jest? - zapytał podekscytowany.

- W Villarosa - odpowiedział Mark wyciągnąwszy z kieszeni marynarki mapę Sycylii i po rozłożeniu jej na biurku szefa wskazywał teraz na niej czarny punkcik. Byli podnieceni jak chłopcy przed swoim pierwszym sprawdzianem.

Mieli dziennikarstwo we krwi, a potrafili jeszcze emocjonować się informacją.

- Co to za cholerne miejsce? - zapytał Burt, odczytując z pomocą szkła powiększającego nazwę miejscowości, wpisaną bardzo drobnym drukiem.

- Mikroskopijna wioska. Wewnątrz wyspy. Między górami - próbował wyjaśnić Mark.

- A co ona tam robi?

- Jest siostrą zakonną.

- Nie mów! - wykrzyknął Burt, przeczesując ręką swe rzadkie włosy. Potrząsnął głową przygryzając dolną wargę.

- Każe nazywać się siostrą Anną.

- Mark, jesteś pewien? - zapytał z lekkim niepokojem.

- Źródło jest pewne. A poza tym to tylko potwierdzenie.

Przypomniał sobie lipcowy ranek sprzed sześciu miesięcy. Jechał z Katanii do Palermo przez Ennę.

Była Carolyn. I były dzieci. Ostatnie wspólne wakacje, próba zlepiania małżeństwa, nieodwołalnie rozbitego. Na wysokości Calascibetta natknęli się na zepsuty samochód. Stary fiat z zakonnica przy kierownicy i dwoma zdeorientowanymi siostrzyczkami

pochylonymi nad otwartą maską.

Przyglądały się uważnie temu nieznanemu im światu, modląc się gorąco do Pana o pomoc. Mark wysiadł z samochodu, aby pomóc zakonnicom, ale po szybkim rzucie oka zorientował się, że nie wystarczą dobre chęci i jego skromne umiejętności, aby uruchomić auto.

- Potrzebna jest pomoc drogowa. Lub hol - poradził Mark, przywołując na pomoc wszystkie znane mu włoskie słowa. - Jeśli chcecie, mogę jedną z was zabrać swoim wozem. To wszystko - zaproponował pomagając sobie rękami z braku odpowiednich słów.

- Nie, dziękuję - wtrąciła się grzecznie, ale stanowczo siostra siedząca za kierownicą.

- Musimy być razem. Może pan nam pomóc w inny sposób. - Telefonując. Jesteśmy sześć kilometrów od najbliższej miejscowości. Proszę zadzwonić pod ten numer i poinformować o naszej sytuacji - poprosiła podając kartkę z zapisanym zielonym atramentem numerem telefonu.

Zdumiała go połyskująca zieleń atramentu i złota szarość jej oczu. W bezlitosnym słońcu przyglądał się speszony jednemu i drugiemu. Siostra mówiła po włosku, ale z dziwnym akcentem, może amerykańskim, który coś lub kogoś mu przypominał.

Szukał odpowiedzi na kłębiące się pytania, zastanawiał się nad tą twarzą ukrytą w cieniu auta, twarzą bladą, prawie przezroczystą, już nie młodą, ale jeszcze nie starą, o ascetycznej urodzie rozświetlonej wspaniałymi, szarymi oczami.

- Bardzo pana proszę - ponagliła go. - Czekanie w tym słońcu nie należy do przyjemności. - Jej głos był miły, ale stanowczy. Słodki i wzbudzający posłuch.

- Proszę na mnie liczyć, siostró - zapewnił.

Carolyn, dzieci i on wsiedli do auta i dwadzieścia minut później mógł zatelefonować do klasztoru Santa Caterina i przekazać prośbę o pomoc.

Mark przez wiele dni próbował przypomnieć sobie, z czym lub z kim kojarzył mu się ten słodki, a zarazem świadczący o przeżyciach, wyraz twarzy spotkanej przypadkowo siostry.

Wreszcie próbował przekonać sam siebie, że dręczy się niepotrzebnie, że było to tylko wrażenie wywołane słońcem i upałem. Coś z halucynacji, z mirażu.

Wakacje trwały jeszcze dziesięć dni i zakończyły się w towarzystwie Gianniego Ricci i jego żony. Powrócił do Nowego Jorku. We wrześniu Carolyn odkryła obiekt jego ostatniej zdrady małżeńskiej, wdzięczną blondynkę bez zahamowań, i zostawiła go. W październiku wróciła po resztę swoich rzeczy. W listopadzie on też się przeprowadził i



porządkując rzeczy odnalazł w kieszeni dżinsów zniszczoną kartkę z numerem telefonu zapisanym połyskliwym, zielonym atramentem. Zgniół ją i wyrzucił do kosza. Potem zajął się szufladą ze starymi notatkami dotyczącymi różnych odległych spraw: historie łapówek, intryg politycznych, ludzi z marginesu, powiązań mafii z władzą.

Kosz był prawie pełen, a szuflada w połowie pusta, kiedy natknął się na bilecik z zapisanym numerem telefonu. Natychmiast, powiązał dwa fakty - ten sam zielony atrament. Gorączkowo grzebał wśród papierów, aby odszukać wyrzuconą niedawno kartkę. Porównał uważnie kartkę i bilecik. Była to wizytówka o eleganckich, wypukłych literach Nancy Carr. To Nancy mu ją dała wiele lat temu. Jak mógł o tym zapomnieć!

Przypomniało mu się wszystko. Zeszłe lato, Sycylia. Tą siostrą była Nancy Carr, kobieta wpływowa, bohaterka wielu plotek, która pięć lat wcześniej zniknęła nagle i w tajemniczy sposób z amerykańskiej sceny politycznej.

Wtedy zwrócił się do przyjaciela, Gianniiego Ricci, z prośbą o potwierdzenie i teraz uzyskał je.

Burt pojrzał mu prosto w oczy.

- Jesteś naprawdę pewny? - powtórzył.

- Przysięgam na moje życie. Karierę. Moje jaja. Moją matkę. Siostra Anna to Nancy Carr. Lub, jeśli wolisz, Nancy Pertinace, pięćdziesiąt lat, deputowana z ramienia partii demokratycznej z Queens do Kongresu - był podniecony i szczęśliwy. - To kobieta, która miała zostać syndykiem tego miasta.

- Jeśli jesteś tego tak pewny, to co tu robisz? - zagrmiał Burt. - Dlaczego nie jesteś w drodze na tę przeklętą wyspę mafiosi? I pamiętaj - ponaglił go - chcę mieć naprawdę sensacyjny serwis. Chcę wszystko o niej wiedzieć. Jak mogła zniknąć z dnia na dzień nie zostawiając żadnych śladów. I przede wszystkim - jak i dlaczego ona, kobieta bogata, fascynująca, piękna, wpływowa, przeniosła się z Manhattanu do klasztoru Santa Caterina. Być może doznała olśnienia w drodze do Palermo, ale prawdopodobnie kryje się za tym jakaś tajemnica, którą warto zbadać.

W Villarosa Mark Fawcett czekał na przyjęcie cztery dni. Rankiem piątego dnia, kiedy przygotowywał się już na dłuższe oczekiwanie, pozwolono mu przekroczyć próg rozmównicy w części surowo przestrzeganej klauzury. Jego przewodniczka, uśmiechnięta serdecznie siostra pełna łagodnych krągłości, jak kłębuszek wełny, wyszła mu naprzeciw z głębi eleganckiego korytarza, krytego portykami i okrążającego podwórze, ożywione rozkwieconymi grządkami wokół rzeźbionej, kamiennej studni.

Styczniowe powietrze było ciepłe i łagodne jak wiosenny dzień w Nowym Jorku. Był zafascynowany słodyczą emanującą z siostry oraz drobnymi czerwonymi i żółtymi kwiatami w delikatnej zieleni trawy, kwiatami, których nazwę chciałby poznać.

Zakonnica lekkim przechyleniem głowy poprosiła go, aby poszedł za nią. Mark miał wrażenie, że odbywa podróż w przeszłość. Wśród tych antycznych murów oddychało się wiarą, a w miarę wchodzenia w głąb tego pięknego i sugestywnego miejsca gasły powoli echa frenetycznego życia tego świata.

Siostrzyczka, okrągłutka i pulchna doprowadziła go do ciężkich, rzeźbionych orzechowych drzwi. Zanim je minął, przeczytał na murze napis gotykiem: „*Foresteria* - Rozmównica”. Przekroczył próg i znalazł się w dużej kwadratowej sali wśród ścian o olśniewającej bieli i pociemniałych przez wieki belkach na suficie. Zadrżał od tego antycznego i podniosłego jak w katedrze chłodu, nieznacznie tylko ocieplonego przez ogień buzujący w dużym kominku z szarego kamienia, przed którym ustawione były dwa surowe krzesła.

Przewodniczka wskazała mu jedno z nich, uśmiechnęła się i bez słowa wyszła.

Mark pozostał sam w niezmaconej ciszy o różowej barwie błysków ognia i zawładnęło nim nieokreślone uczucie błogości i lekkiego niepokoju. Niepewność związana ze spotkaniem nie ulotniła się całkowicie, była jedynie silnie przytłumiona podniosłym spokojem tego wspaniałego miejsca.

Surowa przeorysza, z którą rozmawiał po przybyciu, nigdy nie broniła mu spotkania z siostrą Anną, ale i nie dawała przyzwolenia.

Mark właśnie miał usiąść, gdy wydało mu się, że słyszy za plecami lekki szelest przypominający uderzenia skrzydeł motyla.

Odwrócił się i ujrzał ją przed sobą. Otworzył usta, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Nieruchoma, piękna postać w stroju zakonnicy patrzyła na niego wielkimi, przenikliwymi, szarymi ze złotymi punkcikami oczyma.

- Pani Carr - udało mu się wreszcie wyjąkać.

- Sostro Anno - poprawiła go. Jej głos, słodki i zdecydowany, wywołał u niego dreszcze.

Zakonnica usiadła przed kominkiem i gestem ręki zaprosiła go, aby się rozgościł. Ze swobodą założyła nogę na nogę szeleszcząc sukniami.

Mark wyczuwał pod tym surowym strojem sylwetkę smukłą i harmonijną, którą podziwiał wiele lat temu, dokładnie dziesięć, kiedy wspaniała czterdziestolatka była na fali sukcesu. Wtedy wielu mężczyzn, ważnych i nie, łącznie z nim samym, uczyniłoby

wszystko, aby znaleźć się w jej łóżku, które było dostępne tylko dla jednego szczęśliwcy, banalnego męża. I teraz, po tak długim czasie, Mark odczuwał to samo przyciąganie. Krew napłynęła mu do twarzy, pulsowała mu skroń, ogarniało go pożądanie wywołane jej obecnością, tymi oczami o kolorze rozsypanego złota, lekkim szelestem sukni, delikatnym zapachem lawendy i kobiety. Zaciął się, próbując parę razy podjąć dialog. Siostra obdarzyła go uśmiechem zrozumienia. Jej sposób bycia, patrzenia, uśmiechania się nie kojarzył się z zakonnicą. Mimo stroju, miejsca i upływu lat, wciąż zwyciężała w niej kobieta silna, odważna i fascynująca, którą znał świat.

- Czego pan ode mnie chce, panie Fawcett? - zapytała przejmując inicjatywę.

- Nie domyśla się pani? - zapytał w odpowiedzi.

- Oczekiwałam czegoś oryginalniejszego i szlachetniejszego od zwykłego grubiańskiego wtrącania się w moje prywatne życie, w życie osoby, która wybrała medytację, modlitwę i ciszę. Pan chce głośnej historii, *scoopu* - zareplikowała, niespodziewanie czerwieniąc się, a złość rozbłysła w jej oczach, czyniąc ją jeszcze piękniejszą.

- Tak - przyznał Mark. - Usprawiedliwianie się nie miałoby sensu - powiedział odzyskując niezbędny dystans. - Pani wie doskonale, jakie mogłyby być moje cele. Wystarczy, że będzie pani wiedzieć, że nie jestem misjonarzem, jestem świadkiem. Wykonuję swój zawód, pani Carr - dodał zmieniając ton.

- Jest pan zobowiązany miejscem i osobą zakonnicy, która jest przed panem - szybko zareagowała.

- Jedynym moim obowiązkiem jest służenie moim czytelnikom, którzy mają prawo wiedzieć. To oni zadecydują, czy moje informacje należy zapamiętać, czy zapomnieć.

- Zawód - cynizm, taki mógłby być tytuł - zareplikowała chłodno.

- Jeśli to sprawia pani przyjemność, może pani przylepiać różne etykiety.

Gwałtowna sprzeczka stłumiła pożądanie mężczyzny, a podkreśliła wdzięk siostry zachowującej się z wyniosłą godnością królowej.

- Osobiście uważam za właściwe zrzucenie maski - zakończył Mark.

- Czy chce pan powiedzieć, że strój, który noszę, ukrywa moje prawdziwe intencje? - zapytała udając zdziwienie.

- Twierdzę, że nie ma takich strojów, które mogłyby ukryć pani wspaniałe przymioty. Jest pani zdolnym adwokatem, pani Carr, Zręcznym i ambitnym politykiem.

- Jestem tylko skromną zakonnicą - nalegała, ale nie potrafiła przybrać wyglądu pokornej służebnicy bożej.

- Mam już w ręku elementy potrzebne do ułożenia tej historii - dorzucił niecierpliwie.  
- Wyrosła pani w klanie Franka Latelli, szefa Cosa Nostra, jednego z najpotężniejszych ludzi tej zbrodniczej organizacji.

- Nikomu nie udało się przedstawić mu zarzutów, najmniejszego dowodu.

- To przemawia za jego inteligencją, ale nie umniejsza okrucieństwa jego zbrodni. Pani sama mogłaby być w mafii.

- Słowa, tylko słowa - podsumowała, bawiąc się świecącymi paciorkami różańca błyszczącego wśród fałd jej stroju.

- Z których zbuduję sensacyjny reportaż - dokończył niewzruszony - z panią lub bez pani. Ofiarowuję pani możliwość opowiedzenia swojej wersji faktów. I gwarantuję całkowitą obiektywność.

- Dobrowolnie usunęłam się ze świata, gdyż odczuwam niewyobrażalną potrzebę spokoju. To nie oznacza, że uległam mistycznemu kryzysowi - zwierzyła się, ścisząc głos do konfidencjonalnego szeptu. - W roli zakonnicy czuję się bardzo dobrze, nawet jeśli strój, który noszę, nie rozproszył dręczących mnie wątpliwości. Powiem panu w zaufaniu, że gdybym mogła wybierać, to pragnęłabym właśnie wiary. I tu, wewnątrz, można policzyć na palcach jednej ręki osoby, które wierzą głęboko, szczerze i bezwarunkowo. Wiara, panie Fawcett, to dar dla wybranych, najwyższe dobro, które wyzwala nas z każdej zależności. Jak pan widzi, to nie takie proste osiąść wiare. Jednak wśród tych murów znalazłam spokój.

- Pani Carr, proszę o wybaczenie, że tak panią nazywam; nie sądzę, żeby pani była całkowicie szczerą - nie spuszczał z niej oczu. - W tej przezroczystej dłoni, która dręczy paciorki różańca - oskarżył ją - widzę broń, która być może wystrzeliła. I może jeszcze wystrzeli.

- Dobrze pan powiedział - może. Ponieważ wszystko o mnie może być powiedziane, ale nie udowodnione - zacytowała siostra półgłosem, wytrzymując spojrzenie mężczyzny.

- Elżbieta Tudor, królowa Anglii - dokończył cytat Mark.

- Dobrze - pochwaliła go.

- W takim razie pamięta pani, że Elżbieta I powiedziała również: „Wiem, że ciało mam delikatnej kobiety, ale serce i hart ducha godne króla” - drażnił się z nią i kontynuował. - Pani Carr, co zrobiła pani ze swoim sercem i hartem?

- Jeśli jest pan rzeczywiście taki, jak fama głosi, to dowie się pan. Długo się wahałam, nim pana przyjął. Teraz zdecydowałam - będę mówiła.

Mark próbował opanować emocje. Czuł, że jest blisko wielkiej tajemnicy.

- Powie mi pani prawdę? - zapytał.

- Moją prawdę. Będzie pan mógł ją opublikować, jeśli pan zechce, nawet jeśli nikt panu nie uwierzy. A teraz niech pan idzie, panie Fawcett. Jestem zmęczona.

Dziennikarz podniósł się niezdecydowany przed tą pełną dostojności postacią, która nie wzbudzała już jego pożądania, ale odwrotnie, szacunek. Naprawdę odniósł wrażenie, że znajduje się przed królową. Wielką królową.

- Kiedy będę mógł wrócić?

- Niech pan przyjdzie jutro - odpowiedziała. - Opowiem panu moją prawdę.

Mark wziął w swoją rękę dłoń, którą mu podała i uczynił rzecz, której nie umiał sobie wytłumaczyć. Podniósł powoli do ust tę przezroczystą dłoń, która pachniała delikatnie jaśminem, i pocałował ją. Wyrwała mu ją gwałtownie, jakby w tym geście była zapowiedź grzechu.

- Niech pan idzie, panie Fawcett - powtórzyła ostrym tonem.

Mark na powrót oddychał ciepłym styczniowym powietrzem Sycylii. Spojrzał w niebo i westchnął. Czuł przyjemny zawrót głowy, tak jak w dzieciństwie po zejściu z karuzeli. Ale tym razem był głęboko wzruszony, jak przy pierwszym pocałunku, przy pierwszych miłosnych pieszczotach. Oczy i serce wypełniało mu to wspaniałe, tajemnicze, fascynujące stworzenie. Kobieta, którą przed chwilą opuścił.

***1983***

***Wczoraj***

## 1

Nancy podpisała ostatni list, zamknęła teczkę z pocztą i podała ją Mary, czekającej przed biurkiem z jasnego orzecha, na którym rozsiewało złoty pyłek wiosenne słońce, wpadające do wnętrza przez kryształowe okno.

Podniosła wzrok w stronę światła, niezmiennie oczarowana poezją pionowych kresek wieżowców Manhattanu, które od niepamiętnych czasów czuwały nad nią uspokajającą mocą gigantycznych bóstw opiekuńczych.

- Coś jeszcze? - zapytała, spoglądając ukradkiem na mały budzik z malachitu stojący w kącie biurka między zdjęciami w srebrnych ramkach i wazonikami Lalique'a. Była druga po południu, nie jadła jeszcze obiadu i była umówiona o czwartej na lotnisku Kennedy. Musiała pojechać jeszcze do domu, sprawić sobie gorącą kąpiel, zjeść coś i dojechać do Queens, aby uściskać José Vicente. Bliskość tego spotkania budziła emocje, wspomnienia.

- Nic więcej, Nancy - zawahała się Mary, przyciskając teczkę do piersi obydwoma rękoma, jakby to było dziecko. Między dwoma kobietami istniała zażyłość. Mary zawsze mówiła jej po imieniu, chociaż to Nancy była właścicielką znanej kancelarii adwokackiej. To ona praktycznie narzuciła jej to na początku współpracy i pochlebiało to Mary. Pracowała w tej kancelarii od czterech lat, gdy jako osiemnastolatka skończyła z bardzo dobrymi wynikami szkołę dla sekretarek Lexington w Middlesex County. Do Nowego Jorku przyjechała w poszukiwaniu sukcesu i od razu pierwsze zanurzenie ząbków w to soczyste jabłko było właściwe. Mogła trafić na robaka albo na zepsuty owoc, miała jednak szczęście. Ledwie wysiadła z pociągu na Grand Central Station, odpowiedziała na ofertę pracy zamieszczoną w „New York Times”. Dzień później została przyjęta przez Nancy i weszła w krąg wybranych i dobrze opłacanych współpracowników kancelarii adwokackiej Carr & Pertinace. Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Wystarczyło kilka słów, aby się zrozumiały.

Mary była dorodną, zdrową, silną dziewczyną o wąskiej talii, krągłych biodrach i dużych piersiach. Inteligencja biła z jej błyszczących niebieskich oczu, przejrzystych i ogromnych jak jej serce, które pozostało otwarte i proste mimo bolesnych doświadczeń dzieciństwa.

Włosy koloru miodu, dzięki którym wyglądała na młodszą i naiwną, wiły się uroczo we wszystkie strony.

Nancy Carr podniosła się z fotela z wysokim oparciem z czarnej, miękkiej skóry. Była piękną, czterdziestopięcioletnią kobietą, której urok miał tę szczególną właściwość, że rósł powoli, ale niepowstrzymanie. Była wysoka, szczupła, elegancka o bladej twarzy i szarych myślących oczach, które wyrażały stanowczość nawet wtedy, gdy się uśmiechała. Podejrzenie, że osiągnęła dojrzałość biologiczną, wykluwało się z jej spojrzenia, zasnutego niekiedy mgiełką znużenia. Kaskada czarnych włosów z błyskami miedzi podkreślała tylko piękno twarzy bez skazy.

Zdaniem Mary, które wielu podzielało, Nancy była najzdolniejszą kobietą w mieście.

Kiedy Mary rozpoczęła pracę w kancelarii adwokackiej Carr & Pertinace, Nancy od niedawna była deputowaną z ramienia partii demokratycznej Queens. Teraz mówiło się, że postawiła sobie nowy ambitny cel - fotel syndyka w swoim mieście.

- Jest coś jeszcze? - zapytała podejrzliwie widząc wahanie sekretarki. Podniosła się i obesza biurko, poprawiając drobnymi ruchami leżący bez zarzutu ciemnogrnatowy kostium Chanel, ożywiony wesołą żółcią bluzki.

- Nie chciałabym przysparzać ci nowych kłopotów - usprawiedliwiła się Mary.

- Właśnie mi je stwarzasz swoją małomównością - oskarżyła ją ostrym tonem.

- Zgoda - skapitulowała sekretarka. - W poczekalni czeka dziewczyna, która chciałaby z tobą porozmawiać.

- To wszystko? Umów mnie z nią - uśmiechnęła się uspokojona i chwyciła torebkę z granatowej nappy oraz plik dokumentów do przejrzania w domu.

- Czeka od rana. Mówi, że nie odejdzie, zanim z tobą nie porozmawia.

- Będzie musiała zrezygnować - zniecierpliwiła się Nancy, przygotowując się do opuszczenia biura. - W każdym razie zanim ją odeślesz, zapisz nazwisko, adres i numer telefonu.

- Nazywa się Connie Corallo. Nic ci nie mówi to nazwisko? Ona twierdzi, że powinno ci coś przypominać - odkryła karty Mary. Miała zdolność wyjaśniania rzeczy stopniowo, jak gracz w pokera.

- Corallo - powtórzyła Nancy, a jej szare oczy wypełniły się światłem. Było coś



znanego w tym nazwisku, jakaś nuta czułości, melancholii i smak przeszłości szczęśliwej i tragicznej, wspomnienie innego życia.

Spojrzała na zegarek na biurku i zdecydowała, że powinna poświęcić parę minut tej dziewczynie.

- Wpuść ją - poddała się. Usiadła ponownie za biurkiem wzdychając z rezygnacją.

Connie Corallo była brunetką o twarzy zbitego psa. Wyglądała na dwadzieścia lat. Miała przestraszone, duże czarne oczy i wygląd zagubionego małego psiaka. Widząc Nancy uspokoiła się i przestała rozglądać się wokół, tak jakby spodziewała się ataku w każdej chwili. Miała podbite oko, spuchnięty nos i dużą krwawą wybroczynę na lewym policzku. Na głowie miała czerwony wełniany beret, który w innych okolicznościach dodawałby jej łobuzerskiego uroku.

Nancy podniosła się troskliwa i macierzyńska, wyszła jej naprzeciw i posadziła w foteliku stojącym w kącie, pod oknem, przez które widać było wieżowce Manhattanu.

Usiadła naprzeciw niej.

- Jak on się nazywa? - zapytała miękko, patrząc jej prosto w oczy.

Tyle ich już widziała. Nancy Carr była punktem odniesienia dla skrzywdzonych kobiet. Domyśliła się rodzaju kłopotów Connie, zanim ta zaczęła mówić. Connie westchnęła głęboko z ulgą, czuła się tak, jakby dobiła do bezpiecznego brzegu po długiej walce z rekinami.

- Nazywa się Beam - odpowiedziała. Mówiła cicho, słowa ulatywały jej z ust niczym westchnienie. - Arthur Beam z Beam & Cooper Inc. - dodała. Wyglądała na wyczerpaną, ale wreszcie pewną, że sprawiedliwości stanie się zadość.

- Dlaczego przyszedł do mnie? - zapytała stanowczo.

Beam & Cooper Inc. była słynną firmą zajmującą się sprzedażą wysyłkową. Gigant w swoim sektorze, siła mogąca przesuwac góry.

- Moim dziadkiem był Antonio Corallo - wyszeptala Connie, a drzące kąciki ust zdradzały jej emocje.

- Antonio Corallo - powtórzyła jak echo Nancy błędząc wzrokiem. To imię kojarzyło jej się z pokreconą i trochę zgarbioną postacią mężczyzny nie pierwszej młodości, który pracował w klubie sportowym José Vicente w Brooklynie, gdy była małą dziewczynką.

Antonio Corallo był mężczyzną skromnym, ale nieprawdopodobnie upartym i sprawiedliwym. Sprzątał ubikacje, prysznice, czyścił przyrządy gimnastyczne, mył podłogi, utrzymywał porządek na ringu i zajmował się młodymi bywalcami klubu. Gdy zachodziła potrzeba, potrafił pobudzić mięśnie i odpowiednio klepnąć w plecy

przegrywającego. Antonio Corallo kojarzył się Nancy z anyżkowymi cukierkami, które uwielbiała.

Od tamtej pory minęło wiele lat, ale w jej wspomnieniach Antonio Corallo pozostał postacią legendarną.

- W czym problem, Connie? - zapytała życzliwym głosem.

Dziewczyna zaczęła wyjaśniać powody, które ją tu sprowadziły. Mówiła jakby do siebie, oczy utkwione w skrzyżowanych rękach, jakby musiała dodawać sobie odwagi.

- Dziadek zawsze powtarzał: „Jeśli znajdziesz się w opałach, nie zwracaj się do policji, oni dla nas, biednych *wops*, niewiele zrobią, znaczymy mniej niż ślad muchy na brudnej szybie. Jeśli szukasz sprawiedliwości, idź do Nancy.” Tak mi mówił dziadek. Mówił również, że Nancy to kobieta honoru. A ja, która w szkole nauczyłam się być dumna z tego, że jestem Amerykanką, doznałam na własnej skórze podwójnej zniewagi: gwałtu i pogwałcenia prawa.

- Czasy się zmieniły - zauważyła Nancy, która nie chciała podejmować decyzji, zanim nie pozna dokładnie faktów. - Jesteś naprawdę obywatelką amerykańską i prawo zadośćuczyni twej krzywdzie.

- Jestem obywatelką amerykańską - odpowiedziała Connie - ale naprawdę znaczę mniej niż ten ślad muchy na brudnej szybie, jeśli w grę wchodzi Mr Beam. On naciska odpowiednie sprężyny, od niego zależy, z której strony wieje wiatr.

- Pośpiesz się i opowiedz wszystko - zachęciła ją Nancy wzdychając z żalem. Będzie musiała zrezygnować z kąpieli, w końcu kłopoty dziewczyny były ważniejsze.

- To potwór o twarzy aniołka - kontynuowała Connie - wpływowy mężczyzna o perwersyjnej inteligencji. Wybiera najślabsze ogniwo łańcucha i łamie je. Zwraca uwagę na najbardziej bezbronne dziewczyny i - jeśli podobają mu się - zastawia sidła. Niewiele zgadza się, gdyż jest zdeprawowany. Ale jesteś już w pułapce. A on bije, bo chce, żeby cię bolało. Później gwałci.

- Z tobą też tak było? - Nancy spochmurniała. - Ta pobita twarz to jego sprawka? - przywołała w pamięci twarz uśmiechniętego Arthura Beama w serii reklamówek telewizyjnych firmy Beam & Cooper Inc. Twarz serdeczna, wzbudzająca zaufanie, sympatię, szacunek. Obraz Amerykanina, któremu powierzyłabyś swoje pieniądze, dzieci.

- Nie tylko to - odpowiedziała Connie, zdejmując wełniany beret i pokazując duży plaster na czubku głowy, gdzie włosy zostały wycięte. Czerwień środka dezynfekującego otaczała opatrunek. - Na pogotowiu zszyli mnie. Osiem szwów - sprecyzowała zakładając

beret i składając ręce na kolanach.

- Nie zaskarżyłaś go? - zapytała się Nancy.

Connie spojrzała na nią smutna i zrezygnowana.

- Jeśli nie chcesz być ponownie zgwałcona, musisz mieć chociaż minimalny dowód. Pani wie to lepiej ode mnie. Dlatego mówiłam o podwójnym gwałcie. Jak tylko wymówiłam nazwisko Beam, od razu usztywnili się. Wycofałam się. Powiedziałam sobie, że jest jeszcze ktoś, kto wyrówna krzywdy. I pomyślałam o pani.

- Jak się usprawiedliwiłaś?

- Upadkiem ze schodów - powiedziała dziewczyna wzruszając ramionami.

Nancy uśmiechnęła się gorzko, nie z powodu tego, co zdarzyło się Connie, ale z powodu pretekstu wybranego przez dziewczynę. Do szpitali w Brooklynie i Bronxie częściej, niż się to sądzi, trafiają typy z przedziurawionym żołądkiem tłumacząc, że zranili się spadając ze schodów, wierni staremu prawu mafii - obowiązkowi milczenia - omertà.

- Spadłaś ze schodów - skomentowała Nancy - a tymczasem on cię zgwałcił.

- W sposób nikczemny i nienaturalny - wyznała czerwieniąc się, a oczy napełniły jej się łzami.

- Dzień później administracja wypłaciła mi tygodniową pensję. Byłam zwolniona.

- Długo z nim byłaś?

- Miesiąc.

- Były inne przypadki, podobne do twojego?

- Próbuje ze wszystkimi. Najbardziej naiwne wpadają w pułapkę. Bez dowodu twoje racje liczą się mniej niż zero. Nikt cię nie słucha.

Nancy czuła przerażenie, nienawiść i wstyd za ten gwałt na dziewczynie. Wiedziała, że jeśli człowiek nie umie w jakiś sposób pomścić zniewagi, może popaść we frustrację i zniszczyć własne życie. Connie Corallo była młoda i uczciwa. Musiała jej pomóc w odzyskaniu własnej godności. Choć tyle mogła zrobić dla pamięci Antonio Corallo.

- Wrócisz do pracy. I sprawiedliwości stanie się zadość - obiecała.

I Connie wierzyła, ponieważ dziadek jej to mówił, że Nancy zawsze dotrzymuje obietnicy.

- A Mr Beam? - zapytała przerażona na samą myśl, że go ponownie zobaczy.

- Nie będzie ci dokuczał - zapewniła ją Nancy podnosząc się i żegnając ją mocnym uściskiem dłoni.

- Dziękuję. Będę na panią głosować, kiedy będzie pani kandydować na syndyka -

uważała, że powinna to powiedzieć, nie znając innego sposobu okazania swojej wdzięczności.

Nancy i tym razem zdziwiła się szybkości, z jaką rozchodzą się nieoficjalne wiadomości. Jej kandydatura na syndyka Nowego Jorku była tylko hipotezą wysuniętą przez jej partię, może jej skrywaną ambicją, mile widzianą możliwością, pomysłem jej zwolenników. Niczym więcej. Natomiast mówiło się o tym, jak o rzeczy postanowionej.

Kiedy dziewczyna odeszła, Nancy zapisała informację na kartce i wsunęła ją do kieszeni. Zabrała torebkę, teczkę z dokumentami i wyszła.

- Uprzedź Guido, żeby czekał z samochodem - rozkazała Mary przechodząc przez biuro i zegnając ją z daleka ruchem ręki.

Przeszła kawałek korytarzem, gdzie wykładzina z grubej wełny koloru śmietany wygłuszała jej kroki, i uchyliła drzwi dużego biura umeblowanego surowo i oświetlonego tak, aby jak najlepiej wyeksponować wiszącego na jednej ze ścian cennego Picassa z okresu błękitnego.

- Spieszę się. Odprowadzisz mnie do windy, Sal? - zapytała mężczyzny siedzącego za olbrzymim biurkiem zarzuconym różnymi dokumentami.

Podniósł na nią duże ciemne oczy, uśmiechnął się, wstał i podszedł do niej.

- Za żadne skarby świata nie straciłbym takiej okazji - zażartował. Sal miał czterdzieści trzy lata. Był o dwa lata młodszy od Nancy.

Miał ciemną karnację. Duże czarne wąsy równoważyły widoczną łysinę otoczoną gęstymi ciemnymi włosami. Mięśnisty nos i wyraźnie zarysowane usta dodawały agresywności żywemu spojrzeniu. Posiadał elegancję i swobodę menedżera oraz prowincjonalny, uprzejmy sposób bycia. Był troszkę niższy od Nancy i jedynie uśmiech zdradzał ich pokrewieństwo.

Nancy wzięła go pod rękę. Rozmowa poza biurem była jedynym sposobem na zneutralizowanie ewentualnych niedyskretnych podsłuchów.

Nancy miała wielu wrogów, którzy uczyniliby wszystko, aby poznać jej sekrety. Nie mogła wykluczyć istnienia podsłuchu. Aby wyeliminować taką niebezpieczną ewentualność, Nancy kazała okresowo sprawdzać biuro i dom.

Oczywiście być może przesadzała w ostrożności, ale nauczyła się w dzieciństwie, że lepiej zapobiegać kłopotom, niż być zmuszonym później je rozwiązywać. Problem, który chciała przedyskutować z Salem, wymagał szczególnej ostrożności. Wyszła z Salem z gabinetu i znalazła się w holu na czterdziestym pierwszym piętrze budynku, w którym znajdowała się ich kancelaria adwokacka. Wyciągnęła z kieszeni kostiumu karteczkę z

zapiskami i podała ją bratu.

- Pamiętasz Antonia Corallo? - zapytała półgłosem, podczas gdy różni ludzie wjeżdżali i zjeżdżali czterema windami.

- Nie żyje - powiedział Sal - od kilku lat. Byłem na pogrzebie.

Nancy potwierdziła.

- Jego wnuczka, Connie, została skrzywdzona przez tego Beama. Przypominasz sobie tego typa, który pokazuje się w telewizyjnych reklamówkach odnoszących wielki sukces? - pokazała palcem zapisane na kartce nazwisko i prywatny adres gwałciciela. - Dużą krzywdę, bardzo poważną. Connie to dobra dziewczyna. Pochodzi z porządnej rodziny. Wiesz o tym - powiedziała.

Opowiedziała w skrócie całą historię, podczas gdy Sal uważnie słuchając starał się zapamiętać każdy szczegół.

- Jestem pewna, że dziewczyna nie skłamała. W każdym razie musimy sprawdzić - podsumowała.

- Chcesz oskarżyć Beama? - zapytał Sal marszcząc czoło. Już sobie wyobrażał szum, jaki wywołałby ten przypadek.

- Chcę, aby sprawiedliwości stało się zadość - zawyrokowała. - Chodzi o prawdziwą sprawiedliwość - taką, jakiej pragnąłby jej dziadek - sprecyzowała z siłą. - Chcę, aby Arthur Beam nigdy więcej nie mógł nikogo obrazić.

Sal doskonale zrozumiał. Nacisnął na przycisk windy i kiedy ten zaczął się świecić, sygnalizując jadącą windę, uniósł twarz i ucałował Nancy w obydwie policzki. Był to bardzo włoski sposób okazywania uczuć, zwyczaj, który zachowali z dzieciństwa.

- Ucałuj ode mnie José Vicente - polecił, robiąc aluzję do spotkania siostry. - Mocno go uściskaj - dodał mrugnawszy porozumiewawczo.

Nancy przesłała mu całusa wchodząc do windy, która z czterdziestego pierwszego piętra zwozła ją na parter wieżowca wznoszącego się w pobliżu Liberty Place, w dzielnicy biznesu.

Guido, kierowca, otworzył drzwiczki mercedesa 500 SEL o przyciemnionych szybach. Limuzyna połknęła Nancy i ruszyła z lekkim szelestem wzdłuż West Street w kierunku Chelsea. Problem Connie Corallo, jeśli o nią chodzi, był rozwiązany. Jej problem natomiast miał nigdy nie znaleźć rozwiązania. Tę udrękę nosiła w sobie od dzieciństwa, jak przekleństwo.

Zamknęła oczy i pomyślała o bliskim spotkaniu z José Vicente. Nie widzieli się od co najmniej dziesięciu lat. I wtedy, tak jak teraz, spotkali się potajemnie. Ponieważ pani

Nancy Carr nie powinna pokazywać się u boku José Vicente Dominici.

## 2

- Wspaniała jak zwykle! - wykrzyknął José Vicente. Szedł w jej kierunku w nieprzemakalnym płaszczu, którego poły łopotały jak skrzydła nietoperza. Miał śmieszny i niezręczny chód, stopy stawiał na boki, szedł cały pochylony do przodu. Wydawało się, że zaraz upadnie. Był olbrzymi, wypełniał sobą cały pokój. Nancy utonęła w jego ramionach. Mężczyzna odsunął ją od siebie, aby podziwiać.

- Jesteś wspaniała! - wymruczał z podziwem. Potem zasmucił się. - A ja? Jak wyglądam? Zmieniłem się? - zapytał z lękiem.

- Ciągle taki sam - skłamała ignorując głębokie zmarszczki na czole, worki pod oczami, siwe włosy.

- Cudowna kłamczucha - skarcił ją żartobliwie, biorąc jej twarz w swe duże dłonie.

- Gdyby nie te zmarszczki i trochę siwizny we włosach, wyglądałbyś na trzydzieści lat - odpowiedziała gładząc go po czole i mierzwiąc bujną czuprynę.

- To już sześćdziesiąt pięć lat - zwierzył się melancholijnie. - Nie pamiętasz, księżniczko? - ścisnął ręce Nancy i patrzył na nią śmiejącymi się oczyma. Radość bycia przy niej przyprawiała go o bicie serca.

- Wszystko pamiętam - przyznała szelmowsko. Rzeczywiście pamiętała wszystko, co wiązało się z tym poczciwym olbrzymem, który strzegł jej jak ojciec, a posiadał z czułością i niedowierzaniem.

- Więc pamiętasz, że ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, moje włosy były czarne.

- Również moje. Ten wspaniały miedziany brąz to dzieło mojego fryzjera - zwierzyła się Nancy.

- I nie miałem tych wszystkich zmarszczek - kontynuował.

- Sprawiają, że masz nieodparty urok - odparowała.

- Za dużo mówisz, księżniczko - skarcił ją.

Usiedli na kanapie w saloniku, który towarzystwo lotnicze oddało im do dyspozycji.

Samolot z Los Angeles miał dwie godziny postoju przed odlotem do Rzymu. Rzadko mieli tyle czasu dla siebie.

- Naprawdę - stwierdziła z przekonaniem. - Jesteś w dobrej formie.

- Dostyc kłamstw - upomniał ją. - Opowiadaj o sobie.

Była w nim czułość i delikatność, o które nie podejrzewano by tego mężczyzny o twarzy doświadczonych trudami afrykańskiego bożka. Nancy pogłaskała palcem jego zmiądzony nos.

- Ja też się starzeję, José - stwierdziła. - Ale nie skarzę się.

Rozmowa o ich wyglądzie fizycznym miała w tym momencie oddalić ból bliskiego rozstania.

Nancy, gdyby tylko mogła, ofiarowałaby mu się jeszcze raz, aby czuć w sobie jego słodką męskość.

José, gdyby się odważył, jeszcze raz by ją posiadał, tak bardzo jej pragnął.

Weszła hostessa, popychając przed sobą wózek ze srebrnym dzbankiem kawy, kanapkami, ciasteczkami i owocami. Uśmiechnęła się, przysunęła wózek do kanapy, pożegnała uprzejmie i wyszła umożliwiając im swobodną rozmowę.

- Czego się napijesz? - zaprosił ją wskazując na te wszystkie dobra.

- Kawy - czarnej, gorzkiej i gorącej. - Jestem na diecie. A ty?

- Szklankę wody. Problemy z sercem - powiedział.

- Co ci dolega? - zaniepokoiła się Nancy.

- Wygląda na to, że ta stara pompa zmęczyła się - uśmiechnął się i lekko uderzył ręką w lewą stronę klatki piersiowej. - Nic poważnego - zapewnił.

- Dlaczego teraz odchodzisz? - zapytała.

- Tutaj przeszkadzałbym ci. Mamy przecież dom i ziemię na Sycylii. Nie pamiętasz? Nikt się tym nigdy nie zajmował. Wieś dobrze mi zrobi na serce.

- Masz już swoje ranczo w Kalifornii - zaproponowała. - Dlaczego odchodzisz, José? Chcę znać całą prawdę.

- Prawdę i tylko prawdę. Przysięgam - wyrecytował rytualną formułkę. - Rzecz polega na tym, że postanowiłaś zrobić duży krok naprzód. Przeciwnicy będą grzebać bezlitośnie w twojej przeszłości. Prasa i *network* rozszaleją się. Pewne jak w banku, że nie daliby mi spokoju. Te polityczne i dziennikarskie potyczki to nie moja sprawa. To twoja. Eks - mąż o burzliwej, nie zawsze jasnej przeszłości, w szafie przyszłego syndyka Nowego Jorku - to zły interes.

- Byliśmy małżeństwem dwadzieścia sześć lat temu. Dla nikogo nie jest to tajemnicą.



Odkrywaliby rzeczy znane, wyważaliby otwarte drzwi.

- Byłoby lepiej, gdybyś tego nie zrobiła, księżniczko. A ja powinienem był mieć dość zdrowego rozsądku, żeby do tego nie dopuścić - zrzędził José.

Nancy wypila łyk ciepłej kawy.

- Zrobiłabym to także dzisiaj - stwierdziła z przekonaniem.

- Twój mąż nie byłby z tobą zgodny w tej sprawie - zadrwił.

- On wie, że byłeś cudownym ojcem dla mojego syna i cennym towarzyszem życia dla mnie. Drogi, uroczy, śmieszny, niezręczny, kochany José - jej głos zdradzał wzruszenie, gdy przytulała się do niego.

- Jesteś naprawdę wspaniałą kobietą - zagrmiał. - Wierzę, że nikt bardziej niż ty nie zasłużył na fotel syndyka tego miasta.

- Będę potrzebowała masy głosów - zaniepokoiła się.

- Będziesz je miała. Mamy wiele powiązań, jest wielu przyjaciół. Nie opuszczą cię.

- To będzie ostra walka - stwierdziła Nancy pozwalając, aby kołysał ją jak dziecko. - Jeszcze się nie zaczęła, a już grzmią armaty. A ja się boję, José.

- Wszystko będzie dobrze. Nie bój się - pocieszał. Znał siłę i determinację Nancy. - Pamiętaj tylko, żeby zawsze mówić prawdę - polecił jej. - Prawdę. Nigdy nie zapominaj o tym.

- Będę pamiętała - obiecała opierając czoło o jego ramię.

W chwilę później pożegnali się i kiedy Nancy zobaczyła go, jak znika za automatycznymi drzwiami, poczuła się strasznie osamotniona.

### 3

To Pete, najmłodszy syn, zapowiedział powrót ojca. Pierwsze cienie wieczora kładły się już na ładnych domkach dzielnicy willowej, niebieskie jeszcze niebo przeciął odważnie duży samolot. Pete rozpoznał dźwięk silnika forda w momencie, gdy samochód wyjechał zza rogu i skręcił powoli w drogę prowadzącą do domu.

- Tata jedzie - obwieściło podekscytowane dziecko, wbiegając do salonu.

Buck, duży owczarek alzacki, zaczął radośnie skomleć, ale zanim wybuchnął głośnym szczekaniem, Muriel rozkazała:

- Uspokójcie psa, albo niespodzianka się nie uda.

Pete rzucił się na Bucka i ujeżdżając go jak kowboj na rodeo, zmusił do milczenia. Dziecko i pies znalazły się na dywanie z nogami i łapami w górze. Muriel przymknęła drzwi pokoju, zgasła światło i rozkazała dzieciom cicho siedzieć.

- Nie chcę słyszeć nawet muchy - nakazała.

Nawet świszczanie chorej na rozedmę płucną babci i sapanie psa ucichły. Zapanowała absolutna cisza. Silnik forda zgasł, trzasnęły drzwiczki i na ścieżce rozbrzmiały przytłumione trawą męskie kroki.

Klamka poruszyła się cicho, drzwi się otworzyły i natychmiast w holu rozległ się głos Arthura.

- Muriel, Pete, Guendalina, Harrison, Buck. Hej, jest tam kto!

Muriel, sympatyczna trzydziestopięciolatka o łagodnych oczach i włosach koloru zboża, obciągnęła na biodrach obcisłą sukienkę sprzed roku, która w ostatnich miesiącach stała się zdecydowanie za ciasna.

A niech to diabli, utyla! Po tej uroczystości zacznie się odchudzać.

Guendalina trzymała już rękę na wyłączniku światła.

- Guendy, bądź gotowa. Pozwól tacie otworzyć drzwi i wtedy zapal światło - szepnęła Muriel.

Eksplozja światła rozświetliła ozdoby świąteczne, zaśniło srebro, zatriumfowały kolorowe potrawy piętrzące się na tacach ułożonych na białym obrusie obszytym złotą nitką, a dzieci, żona i kochana matka zaintonowały „Happy birthday”; rozrzewniło to mężczyznę.

Arthurowi Beam udało się powstrzymać łzy, ale nic nie mógł poradzić na to, że podejrzenie błyszczały mu oczy. Ale czemuż miałby się wstydzić wzruszenia? Rodzina to wspaniała rzecz! Uścisnął Muriel, a dzieci otoczyły go hałaśliwą gromadką.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin - złożyła mu życzenia, podziwiając tego pięknego i fascynującego męża, ojca jej dzieci, mężczyznę, który nigdy jej nie skrzywdził i który zawsze, nawet w sytuacjach najbardziej intymnych, szanował ją.

Arthur uściskał również starą matkę siedzącą w fotelu; pochylił się ku niej, aby mogła go pocałować.

- Niech Bóg cię błogosławi, chłopcze - wyszeptła. - Dziś kończysz czterdzieści lat, ale dla mnie zawsze będziesz moim dzieckiem.

- Moja młoda, czarująca mama - schlebiał jej przytulając do siebie. Rzadko było mu dane przeżywać tak intensywnie szczęście. Arthur wzruszył się prezentami od dzieci, pogratulował Muriel wyboru złotych spinek, podziwiał wrażliwość matki, która przygotowała dla niego wspaniałą poduszkę. Zjadł ze smakiem kolację, odrywany często do telefonu. To krewni z Oregonu i Nebraski składali mu życzenia. Beamowie byli rozrzućeni po całych Stanach, a Arthur reprezentował interesy wielu z nich. Kierował mądrze i odważnie Beam & Cooper Inc. jako ich prokurent. Podczas ostatnich dwóch lat zwiększył znacznie obroty, uzyskując akceptację akcjonariuszy i ich nieograniczone zaufanie. Parę miesięcy temu mógł sobie pozwolić na zakup działki w Connecticut, gdzie rozpoczął budowę willi. Miał zamiar w ciągu roku opuścić Queens i przenieść się do nowej rezydencji, bardziej odpowiadającej jego nowej pozycji poważnego biznesmena.

Dzieci były już w łózkach, kiedy Arthur wyszedł z Buckem na wieczorny spacer. Pies, poczuwszy wolność, jak zwykle zaczął spacer od szalonego biegu tam i z powrotem po alejce, aby wreszcie wyruszyć na inspekcję, która oddaliła go od pana.

Na horyzoncie, od strony lotniska mrugały światła lądujących i startujących samolotów. Mężczyzna, nareszcie sam, oddał się miłym rozmyślaniom - przyjazd do domu, rodzinne ciepło, radość zabawy. Nad wszystkim ciążyło jednak męczące wspomnienie dziewczyny, Włoszki z pochodzenia. Nazywała się Cory czy Connie? Nie pamiętał dokładnie. Natomiast nie mógł zapomnieć, że ta idiotka rozłościła go. Tego samego popołudnia, parę godzin wcześniej z Susan, szampańską blondynką niedawno

przyjętą do biura, wszystko było takie proste. Naturalnie ona również, jak i inne, oburzyła się, gdy zamknął na klucz drzwi biura działu sprzedaży, kiedy już wszyscy poszli do domu. Wystarczyło jednak dać jej cztery razy po buzi, aby się uspokoiła.

Później już nie protestowała. Odwrotnie, mógłby przysiąc, że pod koniec podobało jej się. Wszystkie były takie same kurwy, udawały, że tego nie lubią, a tak naprawdę świetnie się bawiły. Tylko ta Cory czy Connie, czy jak jej tam do diabła na imię, nie poddała się i czuł na sobie jej spojrzenie pełne nienawiści, pałające żądzą zemsty. Wstrętna wiedźma! Kto wie, z iloma mężczyznami się zadawała, a z nim odgrywała komedię dziewicy.

Od tej pory powinien być ostrożniejszy w wyborze dziewczyn. Był poważnym człowiekiem interesów i musiał dbać o reputację. Wystarczy małe potknięcie, aby uchyliły się drzwi do jego sekretnego życia. I wtedy lata pracy poszłyby na marne. Zadrżał ze strachu przed tą ewentualnością. Szybko jednak odrzucił te przykre myśli, przywołując obrazy niedawnej uroczystości, i błogo wdychał ostre powietrze wiosennego wieczoru. Był szczęśliwym człowiekiem. Dostrzegł samochód, który w ciemnościach podjechał do chodnika, gdy było już za późno na ucieczkę. Dwaj silni mężczyźni wciągnęli go do auta. Ich ręce były twarde jak stal, a gdy chciał zagwizdać na Bucka, by przyszedł mu z pomocą, jakaś ręka zatkała mu usta, tak że nie mógł wydobyć żadnego dźwięku.

- Uspokój się, przyjacielu - nakazał mu głos pełen sarkazmu. - Będziemy szybcy i zasadniczy. Czysta robótka, taka że przejdzie ci ochota na gwałcenie dziewcząt. A propos, Connie przesyła ci pozdrowienia.

Arthur próbował uwolnić się, ale nie udało mu się przesunąć nawet o milimetr. Podczas gdy jeden trzymał go mocno, ręce drugiego dobrały się do zamka błyskawicznego jego spodni. Chryste, czego od niego chcieli? Co mu się do diabła przytrafiło? Poczul jądra w kleszczach silnego uchwytu, błyskawica bólu rozdarła mu wnętrzności, rozsadziła czaszkę.

Kiedy odzyskał przytomność, Buck dyszał mu w twarz. Leżał na chodniku, gołym brzuchem dotykał kamienia, szarpany bólem nie do zniesienia.

W tym momencie ujrzał przestraszoną twarz Connie Corallo, brunetki włoskiego pochodzenia, która patrzyła na niego oczami przepelnionymi nienawiścią i żądzą zemsty.

## 4

Nancy przypięła na ramieniu rubinową broszę, drapując suknię z czarnej krepy i łagodząc dzięki jej blaskowi bladość twarzy. Oceniała rezultat w lustrze i wyglądała na usatysfakcjonowaną wizerunkiem uśmiechniętej kobiety, której nikt by nie dał czterdziestu pięciu lat. Biologia i data urodzenia pozostawały w widocznej sprzeczności. Wygląd zewnętrzny przekazywał osobowość zwyczajną, energię, godny pozazdroszczenia stan zdrowia Nancy. W życiu szła naprzód rozpychając się łokciami, otwierając nieznane wielu innym przejścia, by wymknąć się z zastawianych sidła.

Poznała dobro i zło, ból i radość. Niespotykany instynkt, który prowadził ją w życiu od okresu dzieciństwa i młodości, często chronił ją przed niebezpieczeństwem. Tajemnica tych odległych czasów była znana tylko José Vicente Dominici. Jej aktualny mąż i syn Sean niewiele wiedzieli o jej przeszłości. Tak, wizerunek odbity przez lustro był naprawdę przyjemny. Krótka suknia, w kształcie tuniki, podkreślała sylwetkę zwinną, o miękko zarysowanych liniach, czarne pończochy i czerwone zamszowe pantofelki ozdabiała parę wspaniałych nóg. Jej szare oczy były spokojne i pogodne. Nancy była gotowa na przyjęcie najślawniejszej aktualnie wysłanniczki „New York Magazine”, aby udzielić jej wywiadu, który przeczyta cała Ameryka, a prasa na całym świecie dokona przedruku.

Wyjęła pudełeczko z kasy pancерnej, otworzyła i rozbłysnął czysty, aksamitny rubin wraz z perłą o księżycowym blasku, dzieło Bulgariego, pierścionek na mały palec, który podkreślał piękno jej dłoni.

Zamknęła kasę pancerną i po naciśnięciu przycisku wysunęła się lakierowana drewniana ścianka imitująca przedłużenie szafy. Banalna skrytka, którą nawet złodziej amator odkryłby bez trudu. Ale systemy bezpieczeństwa w domu były o wiele skuteczniejsze: poczynając od strażników, którzy zmieniali się co cztery godziny i z dwupiętrowego domu państwa Carr czynili fortecę nie do zdobycia.

Nancy zeszła do salonu, w którym Taylor czytał „USA Today”. Mężczyzna podniósł się i z uśmiechem zachwyty wyszedł jej na spotkanie.

- Jesteś doskonała - to odpowiednie określenie - powiedział biorąc jej dłoń i unosząc do ust.

- Komplement profesora - zakpiła.

- Wolałabyś tyradę w stylu Cyrano de Bergerac?

- Nie, wolę cię takim, jakim jesteś - racjonalnym i konkretnym.

- Z drugiej strony twoja doskonałość wynika ze szczęśliwego połączenia piękna, wdzięku i uroku.

Nancy uśmiechnęła się do tego pięknego pięćdziesięciolatka z wdziękiem bardzo europejskim, swojego męża, i była wdzięczna losowi, że pozwolił jej go spotkać.

Taylor poza tym, że był przystojnym mężczyzną, był też cenionym specjalistą w zakresie ekonomii międzynarodowej na Yale University. Ale przede wszystkim była to konkretna, niezastąpiona i stała obecność kochanka, którego zainteresowanie nią nigdy podczas dwudziestu lat małżeństwa nie osłabło.

- Ty też jesteś nadzwyczajny - powiedziała całując go czule.

- Koniec ceremoniału - odpowiedział zmieszany komplementem. Taylor objął ją delikatnie, aby nie zniszczyć pracy Nancy, tego umiejętnego wyważenia wszystkich elementów.

Wkrótce miała przyjść Nathalie Goodman, aby przeprowadzić z nią wywiad, i musiała być doskonała.

- Zdenerwowana? - zapytał podając jej bourbona.

Nancy wzięła kieliszek. Uważała, że bourbon w trudnych momentach jest wspaniałym lekarstwem na osłabienie napięcia.

- Nie zdenerwowana. Czujna - odpowiedziała. - Jak przed egzaminem.

- Boisz się pułapek?

- Boję się nieprzewidzianego.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - próbował ją przekonać.

- Pesymizm jest moją najlepszą bronią. Lepiej podchodzić do problemów tak, jakby były nie do rozwiązania.

Nancy była przyzwyczajona do spotkań z dziennikarzami. Kiedy została wybrana liderem demokratów w Queens, miała wiele do czynienia z miejscowymi dziennikarzami, którzy nawet jeśli byli po jej stronie, atakowali ją ostro, próbując zapędzić w kozi róg. Ale z Goodman było inaczej i nie tylko dlatego, że „New York

Magazine” był liczącym się dziennikiem, ale ponieważ dziennikarka była osobą perfidną. Bardziej nienawidziła sukcesów innych kobiet, niż kochała własne liczne osiągnięcia. Zniszczyła niejedną reputację, a zainteresowane ciągle jeszcze zbierały resztki skorup w próżnym wysiłku zlepiania ich. Prawdopodobnie będzie chciała i ją uządlić. Przewidywać najgorsze i doceniać przeciwnika - to była jej filozofia życiowa. Tych parę osób, które szanowała w swoim życiu, nauczyło ją, że przeciwnicy zawsze są nas godni.

- Mam obowiązek być czujną, bardzo czujną - powtórzyła cicho Nancy.

Zleciła zebranie dokładnych danych o życiu Nathalie Goodman. Przystudiowała dossier i teraz wiedziała o dziennikarce wszystko, od grupy krwi po burzliwe historie homoseksualne. Nathalie miała trzydzieści dwa lata, pospolitą twarz i ciężką sylwetkę. Zżerała ją ambicja i zawiść. Dziecko z nieprawego łoża, z małej miejscowości w Ohio. Jako szesnastolatka przybyła do Nowego Jorku, gdzie pracowała jako kelnerka w trzeciorzędnych lokalach. Żyła i spała z przypadkowymi mężczyznami. W ciągu kilku lat zwróciła się dwukrotnie do ginekologa przychylnego aborcji. Miała co najmniej trzy historie z żonatymi mężczyznami, a żona jednego z nich mocno ją poturbowała. Żona była bogata, a mężczyzna wpływowy i Nathalie w zamian za odpowiednią sumkę zrezygnowała ze złożenia skargi, która wywołałaby skandal. Miała dwadzieścia lat, gdy redaktor naczelny jednego z pism specjalizujących się w architekturze wnętrz i w ogrodach zadurzył się w niej i zatrudnił ją jako sekretarkę. A później skok. Była sprytna, przekonująca i miała dziennikarstwo we krwi. Czula informacje, wiedziała gdzie je znaleźć, miała nosa i niewątpliwy talent narratorski.

Robiła wszystko, aby osiągnąć szczyt, często niszczyła prawdę, bo zwyciężyć miała jej wersja wydarzeń, poświęcała przyjaźnie i uczucia. I teraz, kiedy była numerem jeden potrzebowała *scoopów*, szlagierów, sensacji, aby umocnić się na swym tronie.

Nancy wiedziała o niej wszystko, znała wstydlive historie, które Nathalie ukrywała pod płaszczykiem drobnomieszczańskiego stylu życia i błyszczącą patyną snobizmu. I Nancy pozostawiłaby je tam, o ile dziennikarka respektowałaby reguły gry.

Nie było powodu, aby mówić o tym Taylorowi, który żył nieświadomy ciemnych machinacji władzy. Poza tym jedna prawda pociągnęłaby za sobą następne, wywołując gwałtowną reakcję łańcuchową.

- Wyjeżdżam do Bostonu - zakomunikował biorąc ją w ramiona.

- Sądziłeś, że zapomniałam? - spróbowała go zadziwić.

- Z tymi wszystkimi nękającymi cię problemami byłabyś usprawiedliwiona - przykro mu było ją opuszczać. Pocałował ją czule.

- Guido czeka, żeby zawieźć cię na lotnisko. Wracaj szybko.

Carrowie mieli prywatny odrzutowiec, ale Taylor, gdy musiał podróżować, wolał samoloty rejsowe.

Wyglądała przez okno salonu, gdy wsiadał do samochodu. Pomachał jej.

Nancy wróciła do gabinetu - małego, intymnego pokoju, o ścianach zastawionych książkami: starymi kodeksami, współczesnymi tomami kodeksu cywilnego i karnego, rozprawami, książkami historycznymi i albumami. Dziewiętnastowieczne biurko z różanego drzewa z blatem ze skóry i fotelik pokryty czerwonym pluszem stały przy oknie, przez które zaglądało wspaniałe drzewo brzoskwiniowe miniaturowego ogródka. Umebłowanie uzupełniały dwa przytulne fotele z puchowymi, miękkimi poduszkami i stolik do herbaty. Nancy sprawdziła swój magnetofon. W tym gabinecie przyjmie dziennikarkę, a ponieważ wiedziała, że ta posłuży się magnetofonem, postanowiła nagrać również dla siebie rozmowę, aby mieć kopię wywiadu. Kiedy sekretarz, Lou Mitchell, zapowiedział przybycie miss Goodman, Nancy wyszła jej na spotkanie obdarowując ją najpiękniejszym swym uśmiechem. Dziennikarka była ubrana z wyszukaną niedbałością: sprane dzinsy firmowane przez włoskiego stylistę, jedwabna bluza i sportowa, kaszmirowa marynarka.

Nie była piękna, ale miała styl i pewien sex appeal. Była rozsądna, szybka, na granicy arogancji i nie robiła nic, aby zdobyć sympatię.

Nancy czuła, że ta oschła kobieta ciężko zapracowała na sukces, który jej się należał.

Poprosiła służącą o kawę i wskazała gościowi miejsce.

- Po raz pierwszy otwiera pani drzwi swojego domu przed dziennikarzem - zaczęła Nathalie Goodman. Powiedziała domu, ale myślała o królestwie. Przygotowała swój mały magnetofon na nagranie odpowiedzi.

- To pytanie czy stwierdzenie? - zareplikowała Nancy.

- Fakt powszechnie znany, tak jak znana jest pani powściągliwość dotycząca życia prywatnego. - Usta ułożyły się w grymas mający udawać uśmiech. - Dlaczego właśnie mnie spotkał ten zaszczyt, pani Carr?

Nancy wyczuła lekki sarkazm w słowach i tonie dziennikarki, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi.

- Zawsze jest pierwszy raz - odpowiedziała banalnie.

Dziennikarka zapaliła papierosa i Nancy, która wiele lat temu zrezygnowała z tego niebezpiecznego nałogu, odebrała to jako wyzwanie.



- Ale to spotkało właśnie mnie - zauważyła.

- Nie przypadkiem. To spotkanie jest pewną próbą ognia, jeśli uda mi się z panią, to uda mi się ze wszystkimi - ustawiła ją na właściwym miejscu, mówiąc prawdę według wskazówek José Vicente.

Usta Nathalie rozciągnęły się w ironicznym uśmiechu.

- Mam to uważać za komplement? Czy też potwierdzenie krążących pogłosek, że będzie pani kandydować na syndyka tego miasta?

- Do pani dotarły te same głosy, które doszły i do mnie. Demokraci wystawili moją kandydaturę do przyszłorocznej kampanii wyborczej. Nie ma co ukrywać, że myślę o fotelu syndyka - odpowiedziała spokojnie.

- Czy ma już pani program dla City Hall? - uderzyła Goodman.

- Miałabym, gdybym była pewna kandydatury. Obecnie City Hall, tak dla mnie jak i dla pani, to tylko plotki. Mimo to mogę pani powiedzieć, że w odróżnieniu od zagorzałych eks - konserwatystów, reprezentowałabym swoją partię podkreślając dominującą rolę konkretności występującą w mojej aktualnej polityce.

Weszła służąca, podała kawę. Nathalie podziękowała z uśmiechem za filiżankę podaną jej przez Nancy. Napiała się, smakując łyk kawy i spojrzała złośliwie na panią domu.

- John Lindsey mówi o pani „przeznaczona do wielkich celów”. To duży komplement - podpuszczała.

- W polityce nie mówi się komplementów, tylko wyraża przypuszczenia - odpowiedziała oschle - lub opowiada się za sojuszami. Teraz w każdym razie jest za wcześnie na przewidywania.

Początkowa szermierka słowna nie wróżyła nic dobrego.

- Pani początki są odległe.

- W jakim sensie? Czasowym, społecznym, politycznym czy geograficznym?

- Pochodzi pani z Castellammare del Golfo, jeśli dobrze zapamiętałam nazwę małego miasta lub raczej dużej wioski na słynnej wyspie Sycylii, gdzie geografia, polityka i problemy społeczne wzajemnie się przenikają. Pani tam się urodziła, prawda?

- Tak. I jestem dumna z mojego pochodzenia etniczno - kulturowego.

- Pani ojciec był portierem w Plaza?

- Praca męcząca, źle opłacana, ale godna szacunku.

- A pani babka nie umiała ani czytać, ani pisać?

- Ale za to ja posiadam dwa dyplomy - zareplikowała uśmiechając się i dokończyła: -

Jeden za babcię.

- Chciałam powiedzieć, że Sycylia, a zwłaszcza Castellammare del Golfo, są miejscem szczególnym. Tam jest źródło władzy mafijnej - nalegała gasząc niedopałek papierosa w kryształowej popielniczce.

- Pochodzę ze świata zamkniętego, ze społeczeństwa twardego i barbarzyńskiego, gdzie prawo dyktuje silniejszy. A moralność - to ząb za ząb. Jeśli bardzo chcemy, to w odpowiednich proporcjach zdarza się to i u nas.

Wydawało się, że dziennikarka nie zrozumiała ukrytej groźby.

- Pani Carr - podjęła. - Lub może powinnam nazywać panią pani Dominici, nazwiskiem pierwszego męża. Lub Pertinace, bo to pani nazwisko rodowe.

Nancy uśmiechnęła się.

- Jak pani widzi, ma pani tylko problem z wyborem.

- Wychowała się pani w domu Franka Latelli - nalegała oskarżycielskim tonem - bossa Cosa Nostra. Pani pierwszy mąż José Vicente Dominici był gangsterem, który jako przykrywkę dla działalności miał klub sportowy. Są tacy, którzy wskazują na panią, pani Carr, jako członka komisji mafii, takiego zarządu kierującego ludźmi i sprawami Cosa Nostra. Jak pani widzi, droga do City Hall biegnie przez te brudy. Jest pani naprawdę pewna, że nikt tego nie zauważy?

Chciała sensacji, wojny. Chciała jej głowy.

- Pani do tej pory udało się ukryć swoje brudne sprawy - zaatakowała Nancy. - A przecież ma ich pani pełno.

Dziennikarka zaczerwieniła się gwałtownie. Przyznała w ten sposób, że strzał był celny i pozwoliła sobie na banalną i oczywistą replikę.

- Pani mi grozi? - zapytała.

- Odpowiadam po prostu na pani pytania, moja droga.

Wszystko zaczynało iść w odpowiednim kierunku. Nancy przewidziała wszystkie ruchy Nathalie.

- A teraz powie mi pani, że mafia nie istnieje - próbowała zareagować.

- Nie mam zamiaru negować istnienia mafii. Wyrosłam, jak wszyscy wiedzą, w rodzinie Lattela i byłabym głupia, gdybym to negowała, ale to nie zbrodnia. Zbrodnią jest co innego. Szerząca się korupcja w naszym mieście, zyski idące do kieszeni radnych i skorumpowanych policjantów. Zbrodnią są narkotyki i *racket* prostytucji. Nie jest zbrodnią wyruszyć z wyspy na Morzu Śródziemnym i stać się kimś w kraju tak dużym, jak ten.

Do tej pory prowadziła grę, ale instynkt ostrzegł ją przed pochopnym głosem zwycięstwa. Prasa wyciągnęła już jej przypuszczalne powiązania z mafią, tak jak w przypadku innych znanych osobistości ze świata polityki i estrady. Tak było w czasie kampanii o fotel w Queens. Nancy nigdy nie popełniła tej nieostrożności negocjowania faktów oczywistych, znanych z jej przeszłości. Ale nikt nie mógł udowodnić powiązań i współudziału.

Dziennikarka odstawiła filiżankę na porcelanowy spodeczek. Pozostała pochyłona lekko do przodu i podniosła tylko oczy na panią domu. Było coś niebezpiecznego w tym spojrzeniu.

- A zabójstwo to nie zbrodnia? - zapytała słodkim głosem. - Mówi się, że zabiła pani mężczyznę - wyjaśniła otwarcie - swojego kochanka. Zdarzyło się to, gdy miała pani osiemnaście lat. On był irlandzkim killerem, który pracował dla Franka Latelli. Nazywał się Sean McLeary. Wtedy była pani Nancy Pertinace. Pamięta pani, adwokacie Carr? Ta śmierć, dzięki świadkom, została zakwalifikowana jako wypadek drogowy. Co pani powie na tę historię?

Twarz Nancy pokrywała nieprzenikniona maska.

- Proszę, aby pani kontynuowała - ton był chłodny, absolutnie pozbawiony emocji.

- Mój informator uważa, że pani syn Sean jest synem mężczyzny, którego pani zabiła. José Vicente Dominici, którego pani poślubiła po śmierci kochanka, dał mu tylko nazwisko. Sean Dominici - tak się nazywa pani syn, prawda? Potwierdza pani? Czy dementuje? - Nathalie Goodman miała triumfującą minę. Nancy była nieprzenikniona.

- Więc, czekając aż się pani zdecyduje, co odpowiedzieć, mogę kontynuować rewelacje mojego informatora. Uważa on, że zabiła pani kochanka matki. Nazywał się Tony Croce i był kuzynem, który przybył tutaj wcześniej. Była pani dzieckiem, dopiero co widziała pani gwałtowną śmierć ojca. Wygląda na to, że gwałtowne zejścia są przeznaczeniem rodziny Pertinace. Po sprawie Toniego Croce pani wraz z rodziną wróciła na Sycylię. I tam zamordowano pani matkę. Pani Carr, potwierdza pani czy dementuje? - mówiła spokojnie, dokładnie wymawiając słowo po słowie.

Głos, który formułował te straszne zarzuty, dochodził z bardzo daleka, wzbudzając w Nancy chaos i rozpacz, ale jej twarz pozostawała nieprzenikniona. Miała wrażenie, że pokój kręci się wokół niej tworząc wciągający ją wir. Duchy przeszłości, wywołane przez dziennikarkę, były zafascynowane tym wirem. Usłyszała strzał i zobaczyła roztrzaskującą się niczym dynia głowę Toniego Croce. I krzyk matki, który poraził jej bębunki. Czuła na swych wargach ciepło ust Seana i smak jego krwi. Słyszała swój głos, gdy szeptała

płacząc: „Sean, mój kochany, nie zostawiaj mnie. Potrzebuję ciebie.” Z duszy Nancy wyrwał się rozdzierający krzyk, którego Nathalie Goodman nie usłyszała.

- Więc pani Carr, potwierdza pani? Czy dementuje? - głos dziennikarki był bezlitosny.

Nie zdradzając najmniejszego wzruszenia, Nancy podniosła się z fotela, wyprostowała. Dominowała nad dziennikarką, która poczuła się nieswojo.

- Nasze spotkanie na tym się kończy - powiedziała swoim ładnym głosem, skandując słowa.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, że mogłabym napisać o pani szkalujący kawałek? - zbierała pośpiesznie swoje rzeczy.

- Wolno pani pisać, co się pani podoba - zareplikowała Nancy. - Mam nadzieję, że względu na panią, że wie pani, co mówi.

Wszedł sekretarz wezwany przez ukryty dzwonek.

- Pani wychodzi - powiedziała Nancy. - Odprowadź panią do drzwi.

Nathalie Goodman wsadziła mały magnetofon do torebki i wyszła za mężczyznę. Oczekiwała dementi. To pożegnanie spowodowało, że nie wiedziała, co o tym myśleć.

Nancy patrzyła na wychodzącą nie widząc jej, ponieważ dla niej już nie istniała. I tylko Nathalie wierzyła, że jeszcze żyje.

## 5

Kiedy zadzwonił telefon, cienie zmierzchu wtargnęły już do gabinetu. Nancy spostrzegła w niepewnym świetle, że porwała na kawałki swoją batystową chusteczkę. To był termometr jej wewnętrznego niepokoju i sposób na rozładowanie napięcia.

- Pan na linii - zaanonsował Lou, sekretarz, kiedy Nancy podniosła słuchawkę.

- Połącz mnie - westchnęła. Była napięta, niespokojna. Ledwo słyszalne pyknięcie poprzedziło wyraźny, pewny głos Taylora.

- Jak poszło z wywiadem? - zapytał.

Nancy przez chwilę była zdetonowana.

- Cudownie - odpowiedziała.

- Wiedźma nie była aż tak straszna - powiedział uspokojony Taylor.

- Rozkoszne stworzenie - kłamała. Nie było powodu, żeby wciągać go w jej skomplikowane sprawy osobiste. Nigdy tego nie robiła.

- Jesteś fantastyczną czarodziejką - powiedział tym swoim uwodzicielskim tonem, który był zarezerwowany tylko dla niej.

- Co robisz dziś wieczorem? - zapytał.

Nancy wyobraziła go sobie siedzącego w skórzanym fotelu w starej bibliotece w domu Carrów z kieliszkiem ulubionej brandy w ręku.

- Jeszcze nie wiem. Może zobaczę się z Salem i jego żoną na kolacji. Mam korespondencję do załatwienia. Przed zaśnięciem zadzwonię do ciebie - obiecała.

Skończyła rozmowę z Taylorem i przywołała sekretarza.

- Lou - powiedziała - niech pan odbiera telefony, wychodzę.

Wewnętrznymi schodami łączącymi gabinet z sypialnią weszła do swojego apartamentu.

Poszła do garderoby i zmieniła strój. Cholernie się śpieszyła. Włożyła komplet do joggingu, spinkami zebrała na karku włosy i wsadziła na głowę wehniały beret. Założyła

duże, ciemne okulary i przejrzała się szybko w lustrze. Była nie do rozpoznania.

Nancy wyszła, złapała autobus i dojechała do dzielnicy Little Italy. Na Mulberry Street wsunęła się do pizzerii *Da Saverio*. Zamówiła calzone i piwo. Czekać, aż będzie obsłużona, zadzwoniła, później zajęła miejsce za stołem.

Spotkanie z Nathalie Goodman było najbardziej wstrząsającym wydarzeniem od czasów tragicznej śmierci Seana. Kto mógł przekazać jej informacje, które w końcu były wszystkie do sprawdzenia? Ale nie tyle to pytanie ją gnębiło, co bolesny i gorzki problem, który ścisnął jej serce. Trudno jej było panować nad sobą, ale teraz, kiedy była pewna, że przeszłaby do kontrataku, poczuła ulgę.

Dlatego zadzwoniła do Juniora Latelli, prosząc go o spotkanie. Junior miał długie ręce i klucze do różnych drzwi. Mógł dotrzeć wszędzie.

Masywna postać zasłoniła jej wnętrze pizzerii. Przed jej stolikiem stał wysoki, elegancki mężczyzna w dobrze skrojonej dwurzędowce, o miłym uśmiechu kontrastującym ze zdecydowanym spojrzeniem.

- Cześć - pozdrowił ją odrywając od własnych myśli.

Twarz Nancy rozpoznała się, wyciągnęła na powitanie rękę, którą szybko pocałował, zanim usiadł obok niej.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Teraz, kiedy cię widzę, bardzo dobrze. A ty?

- Pod psem - odpowiedziała kładąc dłoń na jego rękę i ściskając tak, jakby próbowała poprzez ten kontakt znaleźć lekarstwo na swe lęki.

- Powiedz wszystko, co możesz mi powiedzieć - poprosił ją przyjaciel z lekką ironią.

Nancy uśmiechnęła się. Kiedy słyszała jego głos miała wrażenie, że słyszy Franka Latellę, dziadka, po którym chłopak poza nazwiskiem odziedziczył niewyobrażalną fortunę. Ale dla Nancy pozostał Juniorem, chociaż wielki dziadek zmarł już dawno. Junior miał czterdzieści lat. Był właścicielem hoteli, terenów, restauracji, sklepów spożywczych. W niektórych mieli udziały Nancy i jej brat Sal. Ale podczas gdy obydwójce Pertinace poświęcili się adwokaturze i polityce, Junior po uzyskaniu dyplomu zajął się powiększaniem majątku rodzinnego poprzez inwestycje, akcje, budownictwo, transport.

Frank Latella Junior był jedną z najbardziej wpływowych osób w Nowym Jorku. Był tak potężny, że mógł sobie pozwolić na samodzielne sfinansowanie kampanii Nancy o fotel w City Hall. Nancy streściła mu ze szczegółami spotkanie z Nathalie Goodman.

- Atak republikanów? - zapytał bardziej siebie niż jej.

Atak, nie wyłączając brutalnych ciosów, należał do reguł gry.

- Sądzę, że nie - odpowiedziała Nancy.

- Ja też jestem o tym przekonany - obydwójce wiedzieli, że przeciwnicy polityczni, gdyby chcieli ją zaatakować, przedstawiliby zarzuty poparte dowodami. Było jasne natomiast, że Goodman strzelała w ciemno, mając nie sprawdzone informacje. Drugim powodem, dla którego wykluczali atak tego typu, to zwyczaj, że kandydat partii przeciwnej był atakowany w środku kampanii wyborczej. A przecież nie zaczął się jeszcze sondaż przedwyborczy.

- Ktoś chce mi podciąć skrzydła jeszcze przed startem - stwierdziła.

Junior potwierdził.

- Obawiam się, że masz rację. Ale dlaczego?

Niepokoił się o kobietę, którą kochał jak siostrę i szanował jak matkę, nawet jeśli Nancy była niewiele od niego starsza.

- Mam podejrzenia - powiedziała Nancy podnosząc na mężczyznę swoje szare oczy. - Ale nigdy ci nie powiem, jeśli nie dojdiesz do tego sam. Pomyśl o osobie, jedynej, która mogłaby chcieć mojej głowy.

- Nie muszę się głęboko zastanawiać - zauważył Junior. - To mój ojciec.

Nearco Latella, syn Franka, zawsze nienawidził Nancy, którą ojciec szanował bardziej niż jego i której całkowicie ufał.

- Ale Nearco zbyt długo mieszka na Sycylii, aby być choć minimalnie zainteresowany tym, co się dzieje w Ameryce - usprawiedliwiła go Nancy.

- To prawda - przyznał Junior. - Rzadko go odwiedzałem i odnosiłem wrażenie, że nawet mnie nie pamięta.

- Twój ojciec ma wiele wad - rozumowała Nancy - ale nie umie aż tak kłamać.

- Wsadziłabyś rękę do ognia?

- Nie, ale teraz, kiedy zastanawiam się, uważam, że można go wykreślić z tej intrygi.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - zakończył Junior.

- Dlatego cię szukałam - uśmiechnęła się do niego.

Mężczyzna nie wiedział, czy zarzuty Goodman miały podstawy, gdyż on, tak jak wszyscy, nie znał wielu aspektów życia Nancy. Tylko jego dziadek i José Vicente Dominici znali wszystkie jej sekrety. Dziadek nie żył. A José milczał jak grób.

- Znajdę sposób, żeby zmusić ją do mówienia - obiecał, robiąc aluzję do dziennikarki. - Chcę wiedzieć, skąd ma te informacje.

- Dobrze - powiedziała Nancy podnosząc się.

Wyszli osobno, a właśnie podane calzone stygło na talerzu. Nancy była teraz

spokojniejsza, gdy Junior osobiście zajął się sprawą.

Nancy była jeszcze w garderobie, skoncentrowana na miłej i relaksującej czynności malowania się, kiedy jej syn Sean pojawił się, całując ją w ramię. Była ubrana w czerwoną, bardzo obcisłą suknię od Diora, o prostej linii z głębokim, okrągłym dekoltem. Nie musiała jeszcze uciekać się do kosztownej biżuterii, gdyż jej szyja była doskonała.

- Jesteś wspaniała, mamó - powiedział chłopak, siadając na stolku za jej plecami.

Nancy poczuła ukłucie w sercu. Za każdym razem, gdy widziała obraz syna odbity w lustrze, było tak, jakby widziała jego ojca, największą, najbardziej porywającą i tragiczną miłość swojego życia. Jej syn, Sean Dominici, był taki sam, jak Sean McLeary, mężczyzna, który zajmował wiele miejsca w jej życiu. Jej syn miał dwadzieścia siedem lat, tyle ile Sean, kiedy ona będąc jeszcze dzieckiem zobaczyła go po raz pierwszy. Przeszłość przywiała jej niezatarte wspomnienia. Odłożyła pędzelek od różu i westchnęła głęboko.

- Jesteś dobry dla swojej starej matki - podziękowała uśmiechając się.

- Wśród dziewcząt, które znam, nie ma ani jednej równie atrakcyjnej jak ty.

- Piękny i kłamacz, mój chłopiec - zażartowała.

Zadzwoił telefon, chwyciła za słuchawkę zaniepokojona.

- Junior Latella - zaanonsował sekretarz.

- Przełącz - rozkazała.

Nie upłynęła jeszcze godzina od ich spotkania. Możliwe, żeby rozwiązał już zagadkę? Zapaliło się dla niej czerwone światełko ostrzegające przed niebezpieczeństwem.

- Słucham cię, Junior - powiedziała słabym głosem.

- Paczka jest naruszona. Zawartość rozerwana - poinformował przyjaciel umówionym zdaniem. - Ktoś naruszył plomby i zniszczył zawartość, żebyśmy nie mogli jej zobaczyć.

Nancy skojarzyła ostatnie fakty według ich kolejności i poczuła się zdezorientowana. Co się działo w jej życiu? Kto chciał jej głowy w momencie, gdy wydawało się, że wszystko idzie dobrze? Wiadomość od Juniora była jednoznaczna. Osoba, która skontaktowała się z dziennikarką, aby ją przepytac, znalazła trupa. Ktoś ją zamordował, aby zamknac jej usta, aby nie mogła wyjawic nazwiska informatora.



***Dzisiaj***

# 1

Mark słuchał powolnych uderzeń dzwonów i myślał o przejrzystym, chłodnym zimowym niebie. Przypomnił sobie inne dni, inne nieba, inne dzwony i poczuł, że ogarnia go niepokojąca, niewytłumaczalna radość życia.

Dźwięczne tony dzwonu podkreśliły ostatnie słowa siostry Anny. Była piękna, melancholijna, godna pożądania jak wspaniałe jesienne dni pełne kolorów i zapachów. Pogodna, zrelaksowana, jakby opowiadała bajkę zasłuchanym i oczarowanym dzieciom, a nie przerażające epizody, tak często pojawiające się w jej życiorysie.

Dziennikarz spojrział na magnetofon. Taśma kręciła się, próbując uwięzić tę zaczarowaną ciszę, zawieszoną na niewidzialnych nitkach w snopie rażącego światła wpadającego przez biforium i oświetlającego klasztorną rozmównicę.

W kominku buzował wesoły ogień, a płomienie przybierały dziwne, niepokojące kształty. Na niskim stolczku z ciemnego orzecha, o delikatnym rzeźbionym rysunku wzbogaconym masą perłową, stał talerz z migdałowymi ciasteczkami, pękaty kieliszek ze złoconym brzegiem, butelka marsali i filiżanka kawy.

- Kto zabił Nathalie Goodman? - pytanie Marka zakłóciło tę ciszę.

Zakonnica podniosła na niego duże szare oczy, przez które przebiegł cień przerażenia.

- Nie wie pan? - odpowiedziała z ironią.

- Powinienem wiedzieć? - zapytał.

- Oczywiście - potwierdziła. - Ponieważ ta zbrodnia odbiła się szerokim echem. Wiadomość była na pierwszych stronach przez wiele dni.

- Zbrodnia popełniona przez nieznaną sprawców - uściślił Mark.

W obecności tej fascynującej kobiety przebranej za siostrę zakonną pojawił się jego kompleks niższości. Czuł się tak jakby miał brudne paznokcie albo podarte spodnie.

- Winny nigdy nie został odnaleziony i sprawa została odłożona do archiwum - dokończył.

- A jednak zabójca Nathalie Goodman ma imię - wyznała zakonnica.

- A pani je zna - przyznał Mark próbując ją zaskoczyć.

Siostra Anna nie zareagowała. Wzięła filiżankę, podniosła do ust i piła wolno małymi łykami, z widoczną przyjemnością.

- Spróbował pan ciasteczek naszych siostr? - zmieniła temat. - Powinien pan. Niech ich pan nie rozczaruje.

Mark zgodził się, wziął je całe do ust, zachowując się jak mały, łakomy chłopiec. Wolno gryzł, nalewając sobie marszałę. Wypił łyk.

- Pani wie, kto zabił Nathalie Goodman - oskarżył.

- Oczywiście, że wiem - potwierdziła z widoczną obojętnością, jakby myślała o czymś innym. - Poznanie tej prawdy było bardzo bolesne. I innych... - głos jej przeszedł w szept i zamarł.

Mark zaniepokoił się, czy jego mały magnetofon zdołał zarejestrować słowa kobiety. Chciałby sprawdzić to od razu, ale nie miał odwagi ani jej przerywać, ani nawet się poruszyć. To jeszcze raz ona, świadomy reżyser ich spotkania, przerwała akcję.

- Jestem bardzo zmęczona, panie Fawcett - powiedziała jak za pierwszym razem. - Nasza dzisiejsza rozmowa kończy się w tym momencie.

Podnieśli się prawie jednocześnie. Mark znalazł się bardzo blisko niej i wydawało mu się, że czuje niepowtarzalny zapach perfum Chanel. Oczywiście było to tylko wrażenie, ale ten zapach zmieszał go na równi z myślą, że pod surowym zakonnym strojem nosi jedwabną bieliznę.

- Nie odpowiedziała mi pani, pani Carr - odważył się powiedzieć.

Widział drobne zmarszczki wokół oczu, które wcale jej nie postarzały. Budziła pożądanie, tak jak dziesięć lat temu, kiedy ją poznał, gdy nie było jeszcze widać tych oznak upływającego czasu.

- Niech pan nie będzie niecierpliwy - skarciła go z pewną nutą frywolności w głosie i w uśmiechu. Miała wdzięk i umiała go dozować. W ten sam sposób dawkowała swoje rewelacje.

- Kiedy mogę wrócić? - pospiesznie zapytał. Był ciekaw dalszego ciągu historii, przerywanej w decydującym momencie. Opisane do tej pory fakty nie prowadziły do żadnej konkluzji. Historia była otwarta, a on wiedział tyle, co przedtem.

- Poinformuję pana - powiedziała podając mu dłoń.

W powietrzu unosił się lekki zapach, który go niepokoił.

W hotelu portier wręczył mu kartkę z nazwiskami osób, które dzwoniły do niego z Nowego Jorku.

Jedną z nich był Burt Ritman, drugą adwokat Carolyn. Nic ważnego. Doskonale wiedział, czego od niego chcą. Burt przypominał o wywiadzie i upominał się o informacje, Walter domagał się przekazu dla Carolyn i dzieci, które będąc w gościnie u dobrze sytuowanego dziadka nie miały materialnych kłopotów i mogły poczekać na jego powrót.

- Tak wstrząsająca? - zaskoczył go głos za plecami, gdy kierował się w stronę baru.

Mark odwrócił się gwałtownie. To był Gianni Ricci, wspaniały Sycylijczyk o blond włosach i niebieskich oczach, wysoki, elegancki, który przyglądając mu się z rozbawieniem wyciągał do niego w pokojowym geście kieliszek bourbona z lodem.

- Wypchaj się - zaśmiał się Mark, chwytając kieliszek z wdzięcznością. Pociągnął duży łyk.

Usiedli na wygodnej kanapie pod dużym oknem wychodzącym na jezioro Pergusa. Nie było turystów. Świeże powietrze, ciepłe słońce, woda lekko pofalowana, nieskażona przyroda - to wszystko stwarzało, że czuli się zawieszani między snem a rzeczywistością.

Gianni zapalił papierosa i podsunął paczkę przyjacielowi, który zasłonił się prawą ręką, jakby zobaczył diabła.

- Szczęśliwy. Udało ci się rzucić - powiedział wciągając dym z lubością.

- Nie udało mi się natomiast rzucić tego - odpowiedział pokazując na kieliszek bourbona.

- Gdyby tak się stało, byłbyś doskonały, czyli śmiertelnie nudny - pocieszył go. - Raczej - co mi powiesz? Znikasz. Nic mi nie mówisz. Gdybym sam nie przyjechał, to nie chciałoby ci się nawet dać znaku życia.

- Problem polega na tym, że nie mam nic do powiedzenia - usprawiedliwił się sprawdzając obecność małego magnetofonu w kieszeni granatowej kurtki. Wolałby zostać teraz sam, przesłuchać opowiadanie Nancy, próbować zrozumieć znaczenie tego niekompletnego zeznania. Był dezorientowany, oszołomiony.

- Byłoby prościej i wiarygodniej, gdybyś przyznał, że nie masz ochoty na rozmowę - dociął mu Ricci.

Mark zachnął się. Był wściekły z wielu powodów. Minął tydzień, a nie był w stanie napisać kawałka, ale najbardziej gryzło go to, że nie umiał podejść do tej historii z dystansem i bezstronnością dziennikarza, gdyż w tej postaci w zakonnych szatach widział wciąż fascynującą, tajemniczą kobietę, która drażniła jego zmysły.

- Zgoda - uciał krótko. - Nie chce mi się o tym mówić. I co teraz?  
- Jedziemy do Castellammare del Golfo.  
- Nie obraziłeś się? - zaniepokoił się Amerykanin.  
- Szczerść obraża tylko idiotów - wygłosił ludową mądrość.  
- Dziękuję. Jesteś cennym przyjacielem. Ale dlaczego mielibyśmy jechać właśnie do Castellammare del Golfo?

- Ponieważ mieszka tam pierwszy mąż twojej fascynującej zakonnicy - wyjaśnił Gianni.

Mark wzruszył ramionami. Wiedział już od Nancy, że José Vicente Dominici mieszka na Sycylii, ale wiedział również, że eks - zastępca Franca Latelli milczał jak grób. Gdyby dowiedział się, że przyjechał z Nowego Jorku, aby przeprowadzić wywiad z Nancy, prawdopodobnie interweniowałby, aby uniemożliwić ich kontakt.

Amerykanin przedstawił swoje wątpliwości przyjacielowi.

- Nie sądziłem, że jesteś tak naiwny, Mark. Naprawdę myślisz, że José nie wie o twojej obecności? Możesz się założyć o swoje jaja, że on wie, ile razy kichniesz. Sądzisz, że dlaczego kazała ci czekać cztery dni, zanim cię przyjęła? Ponieważ skonsultowała się z nim. A ty dowiesz się tylko tego, co oni we dwoje postanowią ci powiedzieć.

- Więc widują się - powiedział Mark łyknąwszy bourbona.  
- Czasami. On jedzie do klasztoru albo ona do willi w Castellammare.  
- Bardzo niezależna jak na siostrę zakonną z klauzury - zauważył Mark.  
- Nancy nie wybrała klauzury. A poza tym te paczki dolarów wpłacane do kasy klasztoru pozwalają jej na wiele. Zauważ, nigdy nie jest sama, gdy podróżuje. A do Castellammare jeździ pod pretekstem załatwiania swoich interesów.

Gianni Ricci to była niewyczerpana kopalnia informacji, plotek, ale i inteligentnych obserwacji.

Zjedli razem obiad, a później zapuścili się w okolice willi José. Mieli szczęście zobaczyć starego Dominici wracającego z przechadzki po polach w towarzystwie dwóch olbrzymich mastyfów.

- Gdybym był reżyserem, to zaangażowałbym go do filmu - zauważył z entuzjazmem Mark na jego widok.

- Pół Hiszpan, pół Sycylijczyk, być może z domieszką krwi arabskiej. Postać naprawdę niespotykana - przyznał Ricci.

- Sądzisz, że można go zaczepić? - zapytał.

- W dniu i momencie, który uzna za właściwy, sam podejmie inicjatywę. Doskonale

wie kim jesteś. Gdzie jesteś. I czego chcesz.

Mark przyglądał się olbrzymowi znikającemu wewnątrz willi i wydało mu się, że zauważył uśmiech na twarzy tego afrykańskiego bożka.

Amerykanin pożegnał się z kolegą, z ulgą wrócił do hotelu i z radością zamknął za sobą drzwi pokoju.

Pokój był czysty, anonimowy, jak wszystkie pokoje w przeciętnych hotelach. Rehabilitował go duży stół oświetlony funkcjonalną lampą.

Mark włączył magnetofon, aby przesłuchać opowiadanie Nancy, i zaczął rozkładać na stole przywieziony z Nowego Jorku materiał związany z wywiadem - mnóstwo wycinków i fotografii.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nie było zdjęć ani José Vicente Dominici, ani Seana McLearn, irlandzkiego kochanka Nancy. Nawet w związku ze śmiercią nie opublikowano ani jednego zdjęcia. Był strasznie ciekawy, jak wyglądał mężczyzna, którego Nancy kochała tak intensywnie i namiętnie. Było natomiast wiele zdjęć Nancy u boku Taylora Carra, który był dużo młodszy od José Vicente Dominici, miał arystokratyczne rysy, a jednak miał też wiele wspólnego z pierwszym mężem Nancy, był męski i zdecydowany.

Mark zatrzymał się dłużej przy dwóch fotografiach Nancy opublikowanych w „Cosmopolitan”. Na jednej była w wieczorowej sukni, na drugiej w kostiumie kąpielowym. To była ta kobieta, którą poznał i pożądał. Patrzył na zdjęcia, słuchał z taśmy jej spokojnego i melodyjnego głosu i marzył, że ją posiada.

Wyłączył magnetofon ze złością i włożył do szuflady.

Zebrał wycinki, zdjęcia i schował do teczki. Potem wyciągnął się na łóżku. Był wściekły na siebie. Z tej historii nic dobrego nie wyniknie, bo to inni prowadzili tę grę. Czuł, że został w nią głęboko wciągnięty, a nie było żadnej rozsądnej przesłanki, która usprawiedliwiałaby jego emocjonalny stosunek. Ulegał bezsensownemu pociągowi, jaki wywierała na niego ta kobieta. Gdyby był prawdziwym zawodowcem, to spakowałby się i wrócił do Nowego Jorku, pozwalając komuś innemu kontynuować robotę. Telefon wyrwał go z zamyślenia.

- Do pana - powiadomił go anonimowy głos z centralki.

Mark zamienił się w słuch. Natychmiast rozpoznał głos Nancy, słodki, tajemniczy, zachwycający.

- Niech pan przyjdzie do klasztoru, panie Fawcett. Wieczne godziny sprzyjają wspomnieniom.

# ***Przeszłość***

# 1

Stara kobieta, drobna, niska, dumnie wyprostowana, w prostej czarnej sukni do kostek, spoglądała wokół siebie czarnymi, żywymi oczami szukając dla nich oparcia. Nie było nic znajomego w tym luksusowym otoczeniu, w błyszczących twarzach, podnieconych spojrzeniach, wrzawie towarzyszącej zabawie.

Wszyscy wyglądali na szczęśliwych, uszczęśliwionych na siłę, jakby miał to być rewanż za trudy codziennego życia.

Było coś sztucznego w tym ogólnym rozradowaniu.

Starą kobietę o nieprzeniknionej twarzy, miękkich, siwych włosach zebranych w koczek na karku, trawiła tęsknota. Usta jej zastygły w ledwie dostrzegalnym uśmiechu, dobrym na każdą okazję - rozgrzeszenia i kary, nagany i pochwały. Jednej rzeczy była pewna Anna Pertinace. Ten nowy, chaotyczny świat, kolorowy i nieznany, został stworzony nie dla takich ludzi jak ona.

Anna i Salvatore, wnuczęta, dla których została zorganizowana ta uroczystość, należeli już do tego tajemniczego świata, na którego zbadanie ona nie miała ochoty, siły ani możliwości. Pozwalała się nieść prądowi w tym zdradliwym morzu, ryzykując utonięciem.

- Annina, jaki piękny prezent sprawił ci twój ojciec chrzestny - pochwaliła babcia. - Mogę zobaczyć? - zapytała wyciągając silną, kościstą rękę, sękatą niczym gałąź oliwna, po złoty medalik, zawieszony na łańcuszku, który błyszczał na białym tiulu sukienki do pierwszej komunii. Delikatnie, pobożnie pogładziła rysunek Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

- Mamo, bardzo proszę, nie nazywajcie jej Anniną - rzuciła surowo Addolorata. Synowa mówiła urażonym tonem.

- Moja córka nazywa się Nancy - sprecyzowała kobieta. - Żyjemy w Nowym Jorku od dziesięciu lat, a wy nie nauczyliście się ani jednego amerykańskiego słowa.



Starsza pani podniosła nieprzeniknione spojrzenie na tę piękną, zarumienioną synową o ognistych oczach. Addolorata nosiła smutne, antyczne imię, kontrastujące z jej bujną młodością i pragnieniem palenia za sobą mostów, zacieraniem śladów biedy i wyrzeczeń. Wokół niej natomiast celebrowało się przeszłość z nostalgią charakterystyczną dla osób pragnących dodać godności własnym korzeniom, których znaczenie rośnie w miarę oddalenia się od nich. Przeszłość w gruncie rzeczy to jedyna stała rzecz w życiu, na której można budować mity pomagające żyć.

- Spróbuję zapamiętać - odpowiedziała niewzruszona staruszka, która godziła się z żelazną wolą synowej, której niebezpieczną urodę dostrzegą, ale miała jej jednak za złe brak pokory. Addolorata nie ukrywała swej urody, nie przepraszała za nią. To tej kobiecie jej syn zaprzedał swą duszę i zgodził się na przenosiny do Nowego Świata, w którym ona, jego matka, nie umiała się odnaleźć. W Castellammare del Golfo, gdzie się urodziła i żyła przez pięćdziesiąt lat, morze było po drugiej stronie kamienistej ścieżki biegnącej przez gaj oliwny, było łagodne, uspokajające, pełne zapachów i błękitu. Nie miało tej dzikiej agresywności oceanu, zapamiętanej z męczących dni podróży morskiej, oceanu, który trzymał w pułapce to cmentarne, niegościnne miasto i był gotowy zimnymi podmuchami wiatru zmienić łagodną wiosnę w surową zimę.

Anna Pertinace po raz ostatni widziała ocean schodząc ze statku w Ellis Island dziesięć lat temu. W Brooklynie, gdzie mieszkała, był tylko cement, domy o żelaznych schodach, olbrzymie zbiorniki na dachach, ruchliwe ulice, słowa i czyny niezrozumiałe dla niej. Nie rozpoznawała nawet swoich rodaków osiadłych tu od dawna, którzy mówili mieszanką językową tak różną od ich miękkiego, bogatego w modulacje i odcienie dialektu, w którym jeden dźwięk, sylaba, wyrażały nieskończoną ilość uczuć. Nancy, pierwsza wnuczka, którą wciąż nazywała Anniną, urodziła się na Sycylii i nosiła jej imię, słuszne imię, prawdziwe, chrześcijańskie. Nancy było według niej imieniem dobrym dla aktorki, pachniało grzechem. Również imię chłopca, który urodził się dwa lata później w Ameryce, Salvatore, zostało przekręcone na Sal.

- Ja też dostałem piękny prezent - wtrącił się Sal, stając między babką i matką, bardzo uważając na swoje białe komunijne ubranko. Po raz pierwszy Sal miał na sobie długie spodnie, marynarkę i krawat. Trzymał wysoko, nieruchomo, zgiętą w łokciu lewą rękę, aby wszyscy mogli podziwiać nowy złoty zegarek na skórzanym pasku.

- Dobrze dla bogaczy - skomentowała babka z surowością i lekką naganą.

Toasty, rozmowy, plotki krzyżowały się w powietrzu gęstym od słów. Wpadające przez okno światło zmieniało natężenie i kolor pod wpływem drgań powietrza.

- Nigdy nie jesteście zadowoleni, mamó - podjęła nieprzyjaźnie synowa.

- Złoty zegarek dla małego dziecka - odparła - jaki to ma sens?

Tony Croce zorganizował z wielką pompą uroczystość pierwszej komunii chrześniaków i nikt się temu nie dziwił, ponieważ Tony Croce był bogaty, był kawalerem i z wielu jeszcze innych powodów. Ale Anna Pertinace nigdy nie żywiła specjalnej sympatii dla tego kuzyna synowej.

Rodzina Pertinace, przyjaciele, znajomi zostali zaproszeni przez Toniego do jego restauracji na Manhattanie, do pizzerii *Castellammare* na Czterdziestej Drugiej ulicy, zamkniętej tego dnia dla klientów, aby ugościć wesołą kompanię. Kucharz przygotował spaghetti z sardynkami, bakłażany z pulpetami, kulki ryżowe smażone na pachnącej oliwie z sycylijskich oliwek.

Cukiernik wyczarował smakowite rurki z serem i piętrowy tort migdałowy ustawiony na oddzielnym, małym stoliku tak, aby każdy mógł podziwiać wspaniałą dekorację. Dwie cukrowe figurki przedstawiały Nancy i Sala w białych komunijnych strojach.

- Tort młodej pary - skomentowała dama o policzkach zaczerwienionych od dobrego jedzenia i trunków.

Kobiety obnosiły nowe suknie kupione na tę okazję u *Macy's* lub u *Lord & Taylor*, popisując się według możliwości bądź biżuterią niedawno zakupioną, bądź też skromnymi naszyjnikami z koralami przywiezionymi z odległej wyspy.

Wszystkie z wyjątkiem Anny Pertinace paradowały w obowiązkowych kapelusikach, trochę oryginalnych, trochę śmiesznych. Mężczyźni byli w marynarkach i pod krawatem. Przyjęcie miało smak odległej ziemi, która zmusiła ich do emigracji. Najstarsi podlewali winem tęsknotę, która niebezpiecznie błyszczała w ich oczach. Gitara, akordeon, mocne sycylijskie wino zwiększały wzruszenie wywołane starymi piosenkami. Nancy zostawiła połowę porcji bakłażanów na talerzu. To pikantne i smaczne danie szybko ją zmęczyło i zamiast zjeść do końca, tak jak wymagała tego matka, poszła na drugi koniec stołu, aby porozmawiać z ojcem.

Stara Anna obserwowała syna Calogero i wnuczkę połączonych wzruszającym porozumieniem wykluczającym obecność innych. Calogero Pertinace miał czterdzieści trzy lata, był przystojnym, wysokim, smukłym mężczyzną o uśmiechniętej, proporcjonalnej twarzy, ciemnych, gęstych włosach, łagodnych i dobrych oczach, ciepłym, prawie kobiecym spojrzeniu. Miał uprzejmy sposób bycia, powolną i uroczystą gestykulację.

Nancy bardzo przypominała ojca. Już teraz można było w niej dojrzeć załazek

wspaniałej kobiety. W wielkich, szarych oczach tliła się niepowstrzymana żądza życia. Grecki nos dodawał uroku, usta szerokie i miękkie współgrały z doskonałym owalem twarzy. Włosy miała czarne, gęste i błyszczące jak jedwab, zamyślony wyraz twarzy osoby dojrzałej, kontrastujący z jej dzieciną sylwetką.

- Podoba ci się przyjęcie? - uśmiechnął się Calgero podnosząc do ust rączkę córki, aby złożyć na niej pocałunek.

- Bardzo, tato - odpowiedziała wygładzając załomki tiulowej sukienki, która upodobała ją do małej panny młodej.

Ta suknia bardzo jej się podobała. Bardziej od prezentów, jakie otrzymała tego dnia: kompasu w czarnym pudełeczku wyściełanym aksamitem, mszału ze złożonymi brzegami, oprawionego w białą skórę, elektrycznego żelazka, książki „Serce”, która tak wzruszała jej ojca i której nigdy nie przeczyta, ponieważ poza amerykańskim znała tylko sycylijski.

- To idź, dokończ swoje danie - zachęcił ją ojciec.

- Tato, dlaczego nie zaśpiewasz dla mnie? - prosiła tym błagającym spojrzeniem, któremu Calgero nie potrafił się oprzeć. Nancy kochała ciepły, smutny głos ojca, kiedy śpiewał pieśni tej ziemi, którą znała tylko z opowiadań rodziców.

- Tobie nikt nie może odmówić - zgodził się. Był człowiekiem uprzejmym, z rezerwą, Calgero Pertinace, i tylko w swoim domu czuł się swobodnie. Kiedy wieczorem przy kolacji spoglądał na żonę i dzieci siedzące przy stole, czuł się w pełni szczęśliwy. Obecna sytuacja stanowiła dla niego maksimum aspiracji. Niewiele było rzeczy pewnych w jego życiu. Jedną był jednak pewien: że Nancy będzie kimś, wspaniałą kobietą.

- Pewnego dnia będziesz miała świat u swoich stóp - często powtarzał to dziewczynce.

Nancy powróciła na swoje miejsce i trąciła łokciem brata.

- Teraz będzie śpiewał tata - zapowiedziała. Była pewna, że wszyscy będą słuchali go chętnie i oklaskiwali z entuzjazmem. Chciała, aby ci ludzie zapamiętali jej ojca, także dlatego, że od przybycia do restauracji uwaga skupiała się na niej i jej bracie, a przede wszystkim na „wujku” Tonim, ich ojcu chrzestnym.

Nancy lubiła Toniego Croce. Był rozrzutny w prezentach dla niej i Sala. To był jego sposób wyrażania uczuć, bez wylewności i miłych słów. Wszystko, co robił, miało w sobie coś z popisywania się. Wspaniałe prezenty podkreślały bogactwo, z którego był dumny, zyskiwały mu sympatię wszystkich, również matki Nancy, która na jego widok czerwieniła się, co czyniło ją jeszcze piękniejszą.

Calgero, akompaniując sobie na gitarze, zaintonował piosenkę o przejmującej

historii miłosnej ryby - włócznika. W lokalu ucichły rozmowy, zapadła absolutna cisza. Wszystkie spojrzenia były skierowane na niego. Goście przestali jeść, dzieci przerwały zabawę. Starsi zamarli z widelcem zawieszonym w powietrzu, ze wzruszeniem w oczach, niektórzy pozwolili płynąć łzom. Jutro nikt nie będzie o tym pamiętał, zajęty pracą i obowiązkami dnia powszedniego, ale teraz było przyjęcie, było mocne sycylijskie wino wzmagające tęsknotę, były szarpiące serce akordy gitary, dobrze ustawiony głos Calogero Pertinace. Zniknęła Czterdziesta Druga ulica, a na jej miejsce pojawił się obraz kamienistego zaułku, pobielających od słońca domów, sylwetek kobiet w biednych czarnych strojach, poruszających się powoli i dostojnie. Wreszcie pieśń się skończyła i wybuch oklasków roztrzaskał delikatny kryształ, w którym odbijały się wspomnienia.

- Nadszedł moment pożegnania miłego towarzystwa - ogłosił Calogero. - Czeka na mnie praca - podniósł się, odkładając ostrożnie gitarę.

- Również dzisiaj, w dniu tak uroczystym dla twoich dzieci? - upomniała go matka.

- Praca to praca - odpowiedział z łagodną stanowczością.

Nancy podeszła do niego i podziękowała mu mocnym uściskiem.

- Nie podano jeszcze tortu - próbowała sprzeciwić się dziewczynka.

- Są rzeczy, których nie można przesunąć, moja wspaniała kobietko - wyjaśnił. - Należy być punktualnym, nie mogę się spóźnić. Ty to rozumiesz, prawda?

Nancy rozumiała, słyszała, że ojciec mógłby zostać zwolniony z takiego powodu. Westchnąwszy uwolniła się od troski. Była bardzo dumna z pracy ojca i wiedziała, że wielu mu zazdrości.

Widziała go w czasie wykonywania obowiązków przed wejściem do Hotelu Plaza, najbardziej znanym hotelem w mieście. Wysoki, w eleganckim mundurze, bardziej przypominał generała niż portiera. Dla Calogero ten mundur miał w sobie coś ze stroju karnawałowego, ale wykonywał powierzone mu zadanie z godnością i sprawnie, a to dzięki wspaniałej sylwetce i przyzwyczajeniu do okazywania szacunku. Sycylijskie „niech Bóg błogosławi” recytowane przy każdej okazji i „całuję rączki” w odpowiedzi na przyjazne spojrzenie lub arogancki grymas, przygotowały go do tych ukłonów, które należały do jego dobrze opłacanych obowiązków. Przed Plaza pracował w porcie. Uciążliwa praca, bardzo dobrze płatna, którą uzyskał dzięki Toniemu Croce, znającemu odpowiednie klamki i umięjącemu odpowiednio je naciskać. Niefortunny wypadek, na skutek którego doznał złamania prawej nogi w dwóch miejscach, uczynił go niezdolnym do ciężkich prac.

Jeszcze raz zadziałał obrotny kuzyn żony i znalazł mu to miejsce w Plaza, które

wymagało dobrej prezencji i dobrych manier.

Kiedy Nancy widziała ojca ubranego jak generał przy wejściu do tego luksusowego hotelu z Central Parkiem w tle, wydawało jej się, że to bohaterski wojownik trzyma straż przed fortecą nie do zdobycia. W jej oczach stojący przed Plaza, ubrany w mundur z galonami Calogero był wszechmocny niczym Bóg.

- Czy mogę przynieść ci kawałek tortu do hotelu? - spytała, gdy żegnał się z przyjaciółmi.

- Pod warunkiem, że Sal ci będzie towarzyszył i że nikt się nie spostrzeże - zezwolił.

- Och, dziękuję, tato! - Nancy zarzuciła mu ręce na szyję.

Musiała upłynąć jeszcze godzina, zanim przyjęcie dobiegło końca i małe ręce Nancy i Sala chwyciły za nóż, by ukroić pierwszy kawałek tortu.

Addolorata spojrzała na talerz, na którym leżał nie ruszony jeszcze kawałek tortu, i zaczerwieniła się. Siedzący naprzeciw niej Tony wyjął nogę z buta, na siłę wsadził między jej uda, próbując dużym palcem dostać się do jej majtek. Mężczyzna kontynuował rozmowę, jakby nic niezwykłego się nie działo, natomiast w niej wstyd walczył ze zmieszaniem. Była pewna, że wcześniej czy później ktoś odkryje te haniebne manewry, a wtedy wszystko może się zdarzyć. Calogero był mężem spokojnym i ufnym, ale właśnie dlatego Addolorata bała się go. Potulni mogą stać się straszni w swym gniewie, gdy poczują się znieważeni.

Miała wrażenie, że współbiednicy przeszywają ją spojrzeniami i wydawało jej się, że wszyscy wiedzą o jej wstydzie i pragnieniu i widzą je.

Podniosła się gwałtownie, odsuwając krzesło do tyłu. Krew w niej się burzyła, a w głowie czuła zamęt.

- Idę się odświeżyć - wyszeptała do teściowej.

- Widzę, że jesteś zmieszana - powiedziała Anna tonem nagany.

- To gorąco - usprawiedliwiła się.

- I wino - wtrącił się Tony w jej obronie.

- I któż wie, co jeszcze - strzeliła w ciemno staruszka.

- Czy zechcielibyście pójść ze mną, mamó? - poprosiła.

- Ja się czuję świetnie - odpowiedziała ze zwykłym spokojem.

Addolorata i Tony wymienili spojrzenie pełne wstydu i pożądania. On stawał się coraz bardziej nieostrożny, ona zmuszona była uciekać się do tysiąca niebezpiecznych wybiegów, aby powstrzymać jego natarczywość i własną słabość.

Kiedy Anna podjęła żywą rozmowę w dialekcie ze swoim sąsiadem przy stole, starszym panem, Addolorata skierowała się do toalety. Szła w butach na wysokich obcasach, kołysząc biodrami. Walczyło w niej pragnienie oddania się mężczyźnie, którego zawsze pożądała, z potrzebą respektowania małżeńskiej umowy z Calogero, ojcem jej dzieci. Była to sytuacja nieprzyjemna i przykra, która ciągnęła się już od pewnego czasu.

Na razie Addolorata była jedyną osobą, która wiedziała, że to przyjęcie, prezenty, praca męża to były jedynie podarunki dla niej. Tony Croce nie mógł bez niej żyć. Nabrała zimnej wody w ręce i zanurzyła w niej rozognioną twarz, odczuwając chwilową ulgę. Czasami pragnęła, aby mąż odkrył prawdę. Musiałaby ponieść konsekwencje, nawet poważne, ale uwolniłaby się od poczucia winy, która coraz bardziej jej ciążyła. Wyszła z toalety na korytarz przesiąknięty kuchennymi zapachami. Addolorata lubiła dobrze zjeść, ale nienawidziła woni sosów i zup, charakterystycznej dla biednych domostw i restauracyjnych kuchni. Mieszkała w najgorszej części Brooklynu i był to i tak duży krok naprzód w porównaniu z rozwalającym się domem w Castellammare, w którym mieszkała do dwudziestego roku życia.

Czyjaś ręka chwyciła ją mocno i wciągnęła do pokoiku będącego czymś pośrednim między magazynem a biurem.

- Nie mogłem zamienić z tobą nawet słowa - wychrypiął Tony w jej włosy, tuląc ją do siebie.

- Zrobiłeś coś innego - odpowiedziała Addolorata, przypominając przyczynę jej nagłego odejścia od stołu.

Tony zamknął kopniakiem drzwi, na których widniała tabliczka „privé” i wsunął jej rękę za dekolt. Addolorata poczuła nabrzmiały członek mężczyzny na swoim brzuchu i nie mogła powstrzymać dreszczu rozkoszy.

- Tony, sprowadzisz na nas kłopoty - ostrzegła go drżącym głosem.

On tymczasem, nie zważając na jej słabe protesty, wy dobył jej pierś i łakomie całował nabrzmiały sutek, szukając ręką jej najbardziej intymnych miejsc.

Od jak dawna trwała ta gra, która ich ogłupiała i nie zaspokajała? Po raz pierwszy mógł ją osiąść wśród oliwek w Castellammare del Golfo pod osłoną murku dzielącego ich ziemię. Ona miała osiemnaście lat, on dwadzieścia. Krążyli wokół siebie pożerając się oczami od czasów, gdy ona skończyła trzynaście lat, a on piętnaście. Było lato. Antonio Croce wspinał się od strony plaży. Addolorata w te ciepłe popołudniowe godziny wracała z domu Mancuso, ludzi bogatych i szanowanych, dla których prała i prasowała.

Podobał jej się ten kuzyn o śmiejących się oczach, beztróskim uśmiechu, lśniących włosach, skórze pociemniałej od słońca, szczupły i silny jak byk. Podobał jej się i pragnęła go pomimo łączącego ich pokrewieństwa, przesądów, gotowa naruszyć normy społeczne. Wtedy nie czuła się winna i była gotowa ofiarować mu swoją wspaniałą, gorącą młodość. Położyli się na trawie. Wdychała w ekstazie zapach soli morskiej na jego piersi i podziwiała jego członek - wzwiedziony, nabrzmiały, błyszczący; pieściła go delikatnie, zawierał esencję życia, której pragnęła dla siebie. Pośpiesznie podciągnęła wąską spódnicę i walczyła z majtkami, kiedy kuzyn powstrzymał ją.

- Poprzestańmy na tym, Addolorata - powiedział pochylając się nad nią i muskając pieścotliwie jej nadąsane usta.

- Dlaczego? - zbuntowała się. Zbierało jej się na płacz z upokorzenia.

- Ponieważ kocham cię - podsumował - i muszę cię szanować.

- Ale ja nie chcę być szanowana - prowokowała. - Wiesz dobrze, że mój ojciec nigdy nie odda mnie tobie, jeśli nie postawimy go przed faktem dokonanym.

- A ja nie chcę cię tak. Chcę cię zaprowadzić do ołtarza. Jestem nierobem, to prawda, ale mam swoje zasady. Nie mógłbym cię poślubić, gdybym teraz cię wziął - był posłuszny logice, którą Addolorata znała bardzo dobrze.

- To nasza historia na tym się kończy - spuściła głowę, współczując mu z powodu jego naiwności.

Sześć miesięcy później Addolorata została żoną Calogero Pertinace, dobrego chłopaka narzuconego jej przez rodziców. W dniu jej ślubu Tony Croce wsiadał na statek, który miał go zawieźć do Stanów Zjednoczonych. Był to rok 1936. Później wydarzyło się wiele rzeczy. Tony przebił się, jego zasady moralnie zmieniły się. Sprowadził ją wraz z rodziną do Ameryki. I wreszcie, po tylu latach, w tym obskurnym pokoiku, na stojąco, drżąc jak sztubak przeżywający swoją pierwszą przygodę seksualną, posiadał Addoloratę, która mu się poddawała, biorąc go w siebie tak, jakby byli jeszcze na tej trawie wśród drzew oliwnych, jakby miała osiemnaście lat, a on był jej pierwszym mężczyzną. Teraz Addolorata miała trzydzieści dwa lata, była poślubiona innemu i właśnie tego dnia jej dzieci przystąpiły do pierwszej komunii.

- Bóg nas za to pokarze - wyszeptwała, kiedy Tony wyszedł z niej, a rozkosz i pożądanie jeszcze ich nie opuściły.

- Nie mów głupstw, Addolorata - upomniął ją z brutalną czułością, obejmując ją tak, jakby obejmował cały świat. - Tym razem ja porozmawiam z tym durniem, twoim mężem. Będzie musiał to przemyśleć i ustąpić. Ponieważ zdecydowałem się wziąć to, co

do mnie należy. Już ja to załatwię. Musi ustąpić.



## 2

Wiatr znad oceanu poderwał do góry biały welon Nancy i rozwiął ciemną czuprynę Sala. Rodzeństwo doszło do Fifth Avenue przechodząc przez Times Square. Szli szybkim krokiem, pyszni jak paw w swoich świątecznych ubrankach. Nancy niosła paczuszkę z kawałkiem tortu dla ojca. Dzieci były dumne i zdawały sobie sprawę, że zwracają powszechną uwagę, choć w tej części miasta ludzie byli przyzwyczajeni do niezwykłych zjawisk i niczemu się nie dziwili. Przejechał patrol konnej policji, zwierzęta pobrudziły asfalt. Sal szturchnął siostrę.

- Tutaj przydałaby się babcia - uśmiechnął się złośliwie.

- Z fartucha zrobiłaby worek i poszłaby zbierać ten „skarb” - odpowiedziała Nancy myśląc o wielkich donicach z bazylią i geranium, ustawionych na schodach przeciwpożarowych kamienicy w Brooklynie. Staruszka nawoziła je, kiedy trafiała się okazja, odchodami tych nielicznych koni, które jeszcze czasami przejeżdżały przez ich dzielnicę.

Niedzielny dzień w sercu Manhattanu, gdzie na wystawach wyłożone było wszystko, co najlepsze w świecie, był pełen spokojnej powagi. Nancy dokonała przeglądu wystaw *Saksa* i skręcała się z zawiści, myśląc o wychodzących z modnego domu towarowego dziewczynkach obwieszonych paczkami i paczuszkami.

- To dla bogatych Amerykanów - powiedział Sal zachęcając ją do ruszenia się z miejsca.

Dopiero niedawno zniknęły z twarzy chłopca ślady zaciętej walki z bandą zbuntowanych rówieśników z Sheepshead Bay, którzy sztydził z niego nazywając go *little wop*.

Dzieci wiedziały, że żyją w kraju zamieszkałym w większości przez imigrantów z całego świata. Ale Amerykę odkrył przypadkowo włoski żeglarz. I dlatego właśnie Nancy uważała się za trochę bardziej amerykańską od innych. W przeciwieństwie do brata

Nancy kochała Nowy Jork, jego bijące serce Manhattan i amerykański sen, którego była częścią. Dziewczynka podzieliła się z bratem tymi błyskotliwymi myślami.

- Jesteś naprawdę wspaniałą kobietą, jak mówi tata - wybuchnął z podziwem Sal, który w jej słowach dostrzegł możliwość spełnienia własnych marzeń.

Jego siostra była przekonująca, pewna siebie, zdecydowana, zdobyła szacunek i poważanie mieszkańców ich kamienicy, którzy podziwiali ją za naturalną powściągliwość i precyzję rozumowania. W przeciwieństwie do brata kontrolowała swoje emocje i nigdy nie poddawała się. Analizowała doznania i uczyła go myśleć.

Calogero Pertinace stał po drugiej stronie ulicy, dokładnie na wprost nich, w uroczystym mundurze ze złotymi galonami. Nancy i Sal mieli naprawdę ważnego ojca, wydawało się, że bez niego tak wielki hotel jak Plaza nie mógłby funkcjonować.

Spojrzeni na siebie i uśmiechnęli się zadowoleni, zafascynowani spokojem i sprawnością, z jaką przyjmował klientów.

Nancy mocno ścisnęła rękę brata.

- Idę ja czy ty? - zapytała onieśmielona miejscem i nieznanymi osobami.

- Razem - zdecydował Sal. - Albo razem, albo wcale.

Calogero jeszcze ich nie zauważył, przejęty swoją pracą. W tym momencie podjechała bezszelestnie do krawężnika limuzyna i zatrzymała się przed wejściem do hotelu. Calogero zszedł z paru stopni schodów, które jego dzieciom wydawały się olbrzymie jak w katedrze, i pośpiesznie zbliżył się do samochodu, zanim uczynił to szofer, który musiał obejść auto dookoła.

Zdjął z szacunkiem czapkę i otworzył tylne drzwiczki. Z auta wynurzyła się masywna i elegancka postać mężczyzny w średnim wieku, o uprzejmej, uśmiechniętej twarzy. Był w szarym garniturze i miękkim kapeluszu. „Z pewnością to ważna osobistość” - skostatowały dzieci. Spojrzał wokół siebie nie zmieniając wyrazu twarzy, z tym samym uśmiechem przeznaczonym wcześniej dla Calogero, który przyjmował go z należyтым szacunkiem. Podmuch wiatru rozwał włosy portiera, który uporządkował je wsadzając czapkę na głowę. Wyglądał na ważniejszą osobistość niż jego majętny klient. Nancy i Sal wymienili porozumiewawcze uśmiechy pełne dumy. Przedstawienie, które rozgrywało się na ich oczach było o wiele ciekawsze niż film i Nancy nic nie chciała z niego uronić. Może dlatego nie uznała za godną uwagi taksówkę, która ukazała się w jej polu widzenia, zbliżając się szybko do limuzyny. Była to banalna, niewinna, żółta nowojorska taksówka, która podkreśliła jeszcze bardziej wytworność reprezentacyjnego samochodu.

Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund na oczach Nancy i Sala, świadków tragedii, która miała zmienić bieg ich życia.

Szybkie strzały oddane przez okno taksówki, mężczyzna o masywnej i eleganckiej sylwetce chwytający z rozpaczliwą siłą Calogero Pertinace, zasłaniający się nim jak tarczą. Zanotowali w pamięci zdziwioną, zdezorientowaną twarz ojca, zaskoczonego nieprzewidzianym zdarzeniem, przez przypadek wypchniętego przed broń, która miała inny cel. Widzieli, jak łapał powietrze, jakby chciał przekreślić nieodwołalny wyrok śmierci, zanim osunął się na chodnik. Upadł razem z mężczyzną z limuzyny, a na nich zwałił się szofer podziurawiony jak sito. Nancy zaczynała rozumieć, zgmiotła ciasto zaciskając kurczowo palce, a na jej usta wypłynęła modlitwa: „Ave Maria gratia plena..” Modliła się i rejestrowała w pamięci to straszne wydarzenie. Widziała taksówkę, która nabierała szybkości mijając ją. Odnotowała w pamięci twarz mordercy w oknie taksówki. Młody mężczyzna o intensywnie niebieskich oczach. Piękny i okrutny niczym szalejący pożar. Nancy wzdrygnęła się. Tej twarzy nigdy nie zapomni.

Taksówka przejechała przez skrzyżowanie skręcając w Pięćdziesiątą Ósmą ulicę. Sal martwym wzrokiem patrzył na leżące na chodniku ciało. Nancy oderwała się od niego, wrywając gniewnie rękę, i pobiegła do ojca. Oślupiali przechodnie otoczyli trupy. Nancy poczuła zapach krwi i prochu. Ktoś przesunął ciało szofera, aby potężny mężczyzna, który parę chwil wcześniej wysiadał uśmiechnięty z limuzyny, mógł się podnieść, cudem nietknięty. Krew na jego płaszczu była krwią Calogero Pertinace, leżącego nieruchomo na ziemi. Dziewczynka uklękła obok niego. Na mundurze, w miejscu gdzie błyszczały ozdobne guziki, rozszerzała się ciemna plama. Nancy słyszała krzyk kobiety, która wpadła w histerię, błagania mężczyzny o lekarza i karetkę. Pochyliła się nad ojcem, odpychając stanowczo tych, którzy chcieli ją od niego oderwać.

- Tato - zawołała cicho. - Drogi tato.

Mężczyzna otworzył oczy, rozpoznał ją i uśmiechnął się.

- Widzisz, że przyszedłam? - kontynuowała, mimo, że miała ściśnięte gardło.

Ruchem powiek przytaknął jej.

- Przyniosłam ci tort, tato. Obiecałam ci - głos jej nabrzmiął płaczem.

Calogero zebrał wszystkie siły i odezwał się do niej urywanym głosem.

- Taka wspaniała kobieta, jak ty, zawsze dotrzymuje obietnic.

Kawałek tortu nie miał żadnego kształtu, rozpaćkał się w małej rączce dziewczynki.

- Jedzie już lekarz - poinformowała mając nadzieję, że doda mu tym odwagi.

- Wszystko okay - wyszeptał mężczyzna nim głowa opadła mu na ramię córki. Cienka

strużka krwi wypłynęła z ust i zabarwiła biały welon Nancy. Życie Calogero Pertinace zgasło przez przypadek lub przez ironię losu na tym chodniku przed hotelem Plaza. Długi welon podniesiony przez wiatr zakrył twarz mężczyzny i dziecka. Oczy Nancy wypełniły się łzami.

- Pomszczę cię, tato - wyszeptała Nancy straszną obietnicę do ucha mężczyzny, który nie mógł już jej usłyszeć.

Przypomniała sobie młodą i piękną twarz mężczyzny, który zabił jej ojca.

- Pomszczę cię, tato - powtórzyła.

Skamieniałą z bólu ożywił płomień zemsty, który od tego momentu miał nadać sens jej życiu. Nie wiedziała jak, gdzie ani kiedy, ale była pewna, że zabije mordercę ojca. Do tego dnia obraz killera będzie ją prześladował.

### 3

Sean McLeary oparł czoło o kolbę broni, z ust wyrwało mu się przekleństwo.

- Chybiony - powiedział. - Chybiłem.

Myśl, że nie udało mu się, wstrząsnęła nim. Ten skurwysyn Frank Latella wyczuł niebezpieczeństwo i rzucił się na ziemię, zasłaniając się niczym tarczą ciałem portiera. Upadł, ale Sean był pewien, że chybił, że trafił mężczyznę w mundurze i kierowcę tego przeklętego skurwysyna. Źle się stało, ponieważ w jego zawodzie nie było miejsca na pomyłki. Jeden trup więcej lub mniej nie zmieniał postaci rzeczy, ale błąd tego typu był nie do przyjęcia dla takiego perfekcjonisty jak on. Chybił celu, za którego trafienie mu zapłacono. Ten łajdak z niespodziewaną zręcznością, biorąc pod uwagę jego masę, uratował się, a dwa nic nie znaczące pionki zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Sean był skrupulatnym i pedantycznym zawodowcem. To tak, jakby zafalszował grając na fortepianie wtedy, kiedy był jeszcze wirtuozem, jeszcze przed Koreą i ranami, które zniekształciły mu dłoń i przerwały dobrze zapowiadającą się karierę solisty jazzowego.

- Zatrzymaj się! - rozkazał mężczyźnie, który prowadził. - Zatrzymaj się i cofnij!

Aby dotrzymać umowy, był gotów ryzykować życiem. Nie była to ani nienawiść, ani oburzenie, jedynie gwałtowna potrzeba dokończenia roboty, za którą mu zapłacono. Osobiście nic nie miał do Franka Latelli. Przeklinał go, ale w gruncie rzeczy złorzeczył sobie.

- Najadłeś się szaleju?! - zaprotestował kierowca, nie zamierzając wykonać polecenia.

Przez chwilę Sean widział niewinny obrazek dwojga dzieci w białych ubrankach od pierwszej komunii. Chłopca i dziewczynkę, nieruchomych jak postacie z szopki, stojących na chodniku przed Plaza. Przyśnili mu się, byli postaciami z bajki, z jego dzieciństwa, czy też należeli do realnego świata?

Młody człowiek odebrał ich jak jasny promień w otaczających go ciemnościach. Dziewczynka miała nieprzeniknioną twarz sfinksa, ale w jej przerażonych oczach dojrzał

niewyraźne przesłanie.

- Zatrzymaj się, głupcze - powtórzył do towarzysza otrząsając się z myśli.

- Głupi tak, ale nie wariat - powiedział kierowca. - Sądysz, że jesteś jeszcze w Korei? To Nowy Jork. Za dwie minuty będzie tu pełno glin.

Samochód włączył się do ruchu i płynął z prądem. Natężenie światła zmieniało się w zależności od przepływających chmur. Radosny obraz dzieci w białych ubrankach zniknął pod wpływem wspomnień z koreańskiej dżungli. To tam stał się płatnym mordercą, nauczył się zabijać. Umiał przeciąć nić życia karabinem maszynowym, pistoletem, nożem, sznurem czy też gołymi rękami. Dwa razy został odznaczony za tę szczególną umiejętność. Był punktualny i zdecydowany jak sama śmierć. Ale racja była po stronie siedzącego za kierownicą Alana, który razem z nim był na trzydziestym ósmym równoleżniku na dwa lata przed wkroczeniem Chińczyków do Korei Północnej.

Kiedy zabijał w wiosce w Unsan, na północ od rzeki Chong - chon, około dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od Yalu, obwieszali go medalami. Tutaj posłaliby go na krzesło elektryczne. Pozostała mu mania perfekcjonisty, duma profesjonalisty.

Sean rozpoznał zaułek z tyłu jednej z tysiąca chińskich restauracji w Nowym Jorku. Wysiadł z taksówki razem z Alanem, zabierając płócienny worek z bronią. Rozeszli się. Sean wyszedł z zaułka i zszedł po brudnych stopniach metra. Był bardzo niezadowolony z siebie i z przebiegu wydarzeń.

Nancy rozejrzała się. Wszystko było lodowate i wilgotne w dużej sali kostnicy. Zapach środka dezynfekującego nie był w stanie zabić tej słodkiej i lepkiej woni śmierci. Nie przerażało jej to ponure miejsce, bardziej uderzyła ją obojętność pracowników. Ciało ojca znajdowało się na stole pośrodku pokoju. Matka i babka z rozpaczą wpatrywały się w męża i syna litościwie przykrytego prześcieradłem po samą szyję. Twarz zachowała w obliczu nieuchronnej śmierci spokój i powagę, prawie uśmiech. Zimne światło spłaszcało wszystko, podkreślając grozę sceny. Addolorata przytuliła czule dużą papierową torbę zawierającą rzeczy zmarłego męża. Nancy i Sal stali oparci o ścianę przy drzwiach. Dziewczynka ściągnęła welon poplamiony pociemniałą już krwią ojca.

- Wychodzimy? - zaproponował półgłosem Sal. Źle się czuł w tym miejscu śmierci.

Rodzeństwo wymknęło się i usiadło w korytarzu na żelaznej, pomalowanej na biało ławce.

- Dlaczego powiedziałaś policjantom, że nie widziałaś zabójcy naszego ojca? - zapytał

podejrzliwie Sal.

- Ponieważ to dotyczy nas. To sprawa naszej rodziny - zawyrokowała. - Zresztą ty powiedziałaś to samo.

- Postąpiłem tak, jak ty - wyznał, wyrażając tym swoje poparcie, które było również zgodą na podporządkowanie się. Później zawahał się. - Co my możemy zrobić? Jesteśmy tylko dziećmi.

Wzięła go za rękę i mocno uścisnęła.

- Mamy dużo czasu. Dorośniemy i będziemy silni. Pewnego dnia odnajdę zabójcę naszego ojca. Nie ma takiego miejsca, w którym mógłby się ukryć przede mną. I tego dnia zabiję go.

Sala przebiegły dreszcze i zimny pot pokrył mu czoło i dłonie. Zrobiło mu się niedobrze, zakręciło mu się nagle w głowie. Korytarz i osoby, które nim szły, zawirowały wokół niego, a żołądkiem szarpnął ból.

- Źle się czuję - powiedział zakrywając usta dłonią.

Nancy spojrzała bezradnie na korytarz szukając pomocy, ale Sal już zdążył pobrudzić podłogę. Zrzedząc nadszedł posługacz i posypał wszystko trocinami.

Nancy raptownie otworzyła na oścież drzwi pokoju, w którym leżał ojciec.

Addolorata i babka odwróciły się gwałtownie do niej.

Dziewczynka spoglądała na nie zapominając, dlaczego ich szukała. Były to dwa identyczne uosobienia bólu. Jedna opłakiwała męża, którego zdradziła na zapleczu pizzerii, druga syna, który był wszystkim, co posiadała w życiu.

Nancy musiała pokonać ból rozprzestrzeniający się między sercem a mózgiem jak złośliwa gorączka, musiała zwalczyć głębokie cierpienie, ale na pocieszenie pozostawała jej zemsta, którą obmyślała z pasją, ze wszystkimi szczegółami.

- Sal źle się czuje - poinformowała wreszcie.

Chłopiec był już w drzwiach, blady, ogłuszony, wycierał sobie usta chusteczką, wstydząc się swojej słabości.

- Ci *wops* nawet dzieci tu przyprawdzą - stwierdził z pogardą posługiwacz, który wcześniej uprzętnął korytarz.

- Idziemy do domu - zdecydowała babka, biorąc dzieci za ręce.

W wagonie metra, która wiozło ich szybko do domu, Addolorata i Anna Pertinace usiadły blisko siebie. Addolorata trzymała w swoich dłoniach zniszczone ręce staruszki.

- Mielście rację, mamó - przyznała.

- Rację - wymamrotała staruszka czyniąc nieokreślony gest.

- Nigdy nie powinniśmy byli opuszczać naszej wyspy.

Obie kobiety, które nigdy się nie lubiły, połączone bólem znalazły nić porozumienia.

- Nawet liść nie spadnie, jeśli Bóg tego nie chce - wyrecytowała staruszka. - To było przeznaczenie - dodała z fatalizmem pozbawionym uległości.

- Nie powinniście byli żenić go ze mną - stwierdziła z żalem Addolorata.

- Wszystko wydawało się takie słuszne - odpowiedziała Anna wpatrując się w przestrzeń przed sobą. - Również i twoim rodzicom wydawało się to dobre - mówiła dalej cicho, ale głosem jasnym i stanowczym. - Los chciał, żeby się z tobą ożenił. I to wszystko, co wydarzyło się później, było przeznaczeniem - podsumowała staruszka wspominając odległe czasy i szalejącego z miłości jedynaka.

Addolorata też chciałaby wierzyć w nieuchronność przeznaczenia, ale tymczasem sama musiała dźwigać ciężar winy za zdradę, popełnioną w momencie śmierci męża.



## 4

Sean McLeary wyszedł z metra na skrzyżowaniu Pearl Street z Fulton w Brooklynie. Później krążył bez celu po dzielnicy, tak jak robił to w dzieciństwie, gdy przeskrobał coś i został ukarany przez ojca. Wtedy zazwyczaj, po zastanowieniu, dochodził do przyczyny swej pomyłki, teraz natomiast nie umiał znaleźć wytłumaczenia swojego błędu.

Zabijanie nie budziło w nim wyrzutów sumienia, pomyłka wytrącała go z równowagi. Czuł się tak samo, jak wtedy, gdy usiadł do fortepianu i zdał sobie sprawę, że lewa ręka zraniona w Korei nie pozwoli mu nigdy więcej grać tak, jak przed wypadkiem. Odprysk granatu zmienił jedną z niewielu pewnych rzeczy w jego życiu w niemożliwą. Teraz odczuwał tę rękę, pozornie normalną, jak obcą, irytującą narośl, która jednak nie była odpowiedzialna za błąd popełniony przed Plaza.

Torbę z bronią zostawił w skrytce w przechowalni bagażu na Grand Central Station, i teraz ważył w dłoni mały kluczyk, jakby on mógł mu pomóc zrozumieć.

- Szczęśliwy, kto cię widzi, Irlandczyku - pozdrowiła go poirytowana Ruda.

Ruda była dziewczyną łatwo wpadającą w oko, trochę wulgarną, ale zdecydowanie wartą grzechu. Usta umalowane w serduszko, płomienne włosy, wąska suknia opinająca krągłości jej ciała, trzepotanie rzęsami, prowokujący sposób bycia zdradzały wzory wzięte prosto z Hollywood.

- Do mnie mówisz? - zapytał obojętnie Sean.

- Spóźniłeś się godzinę - przypomniała mu z sarkazmem.

Młodzieniec szczerze się roześmiał.

- Właśnie ciebie mi brakowało, żeby wszystko znalazło się na swoim miejscu - powiedział.

- Nie widzę, co cię tak śmieszy w godzinnym spóźnieniu - odpowiedziała zirytowana.

Irlandczyk przypomniał sobie, że dzień wcześniej zaprosił ją na film z Tyronem Powerem i Ritą Hayworth, i nie zdając sobie z tego sprawy, z godzinnym opóźnieniem

trafił na miejsce spotkania.

- Zupełnie zapomniałem - wyznał.

- Żartujesz? To po co przyszedłeś?

- To długa historia - zażartował. Podobała mu się ta mizdrząca się dziewczyna, która w łóżku zachowywała się z naturalnością letniej burzy, a ze swojego słownika wykreśliła słowo „małżeństwo”.

- Jesteś skurwysynem, Irlandczyku - zaatakowała. Nie mogła mu pozwolić na bycie górą, nawet jeśli był to piękny chłopak i w niedzielę grał na organach w kościele ojca Christophera. Zawsze miał kieszenie pełne pieniędzy, ten Irlandczyk, pod którego śmiejącym się i łakomym spojrzeniem kobiety topniały.

- Zastanawiam się, czy nie zrobiłabym lepiej, posyłając cię do diabła - rzuciła wyzwanie Ruda, opierając rękę na biodrze i podnosząc prawą brew jak Rita Hayworth, jej ulubiona gwiazda.

- Trafiony - powiedział Sean.

- Co to znaczy? - zaniepokoiła się.

- Że nic z tego - sprecyzował spokojnie.

- Źle wychowany i drań - pluła obelgami.

Słowa mężczyzny skrzyżowały się z jej obelgami, które Sean przyjmował jak błogosławieństwo, ponieważ dostarczały mu pretekstu do odejścia.

- Weź sobie zimny prysznic - poradził zostawiając ją na lodzie i nie dając czasu na replikę. Był przekonany, że wystarczy jego jedno kiwnięcie palcem, aby znów ją mieć.

Gazety pełne były wiadomości, ale Seana interesowały tylko te, które odnosiły się do masakry przed Plaza, z której cudem uszedł z życiem Frank Latella, boss ważnej rodziny mafijnej z Nowego Jorku. Ofiarami byli: Eddy Coster, jego szofer i portier słynnego hotelu, niejaki Calogero Pertinace, Włoch z pochodzenia. Sean wyrzucił gazetę do kosza na śmieci. Nie musiał czekać na następne odcinki, aby dowiedzieć się, jak się skończy jego historia. Jeśli nie podejmie odpowiedniej decyzji, dla niego skończy się źle.

Za wysłanie paczki, tak w żargonie nazywano wykonanie wyroku śmierci, dostał jako zaliczkę połowę należności. Drugą połowę dostałby po zakończeniu roboty. Ale teraz trudno było naprawić błąd, zakładając nawet, że klient chciałby dać mu jeszcze jedną szansę. Najprościej byłoby zwrócić zaliczkę. Chyba, że w tym momencie klient uznałby go za element zagrażający organizacji. Za późno na wycofanie się. Szedł drogą, z której nie było odwrotu i której kresu nie znał. Co więcej, to nie była droga, to była ścieżka

zdrowia, z tysiącami pułapek, ale nie miał wyboru.

Kierunek wyznaczył błąd i nikt nie był w stanie tego zmienić.

Sean wszedł do klubu Dominici. Był to duży lokal, śmierdzący potem, brudem, pełen kurzu i karaluchów. Irlandczykowi dawał jednak poczucie bezpieczeństwa, jak rodzina. Było to miejsce, od którego trzymałby się z daleka, gdyby wiedział, że należy do José Vicente, prawej ręki Franka Latelli, człowieka, którego miał zabić. Ale Sean wrócił niedawno z Korei, był samotnie polującym wilkiem, nic nie wiedział o mafijnych powiązaniach. Był killerem, wykonywał swój zawód i na razie nic więcej go nie obchodziło. W tym klubie utrzymywał mięśnie w formie, odreagowywał stres, uspokajał się.

Było prawie pusto i Antonio Corallo, zajmujący się sprzątaniem, zaufany człowiek José Vicente Dominici, kręcił się po szatni jak pokutująca dusza, przeklinając nieporządek, brud, karaluchy. Stary, rozciągnięty podkoszulek w nieokreślonym kolorze, pamiętający lepsze czasy, zwisał na długim, kościstym ciele.

Ciosy przeciwników i paradontoza poczyniły spustoszenia w jego uzębieniu. Krzaczaste, gęste brwi opadały na małe, świdrujące, ciemne oczy. Rozkwaszony nos świadczył o jego zdolnościach boksera odpornego na ciosy.

Antonio Corallo odpowiedział skinięciem głowy na pozdrowienie Seana McLeary.

- Nie wysilasz się zbytnio - Irlandczyk, przyzwyczajony do jego życzliwości, poczuł się urażony.

- No - odpowiedział sucho.

- Zmarł ktoś czy co? - zażartował Sean przebijając się.

- Codziennie ktoś umiera - odpowiedział Antonio.

W rękę trzymał ostatnie wydanie gazety, która na pierwszej stronie informowała o krwawych wydarzeniach przed Plaza.

- Ktoś, kogo znasz? - zapytał udając obojętność.

- Eddy Coster - to ktoś, kogo znam. Przychodził tu trenować, tak jak ty. I Franka Latellę znam. Jednak jemu się udało. Portiera, biednego *wopa* tak jak ja, nie znałem. Ale i tak jest mi przykro - powiedział pokazując zdjęcia w gazecie.

Antonio Corallo mówił przeciągając słowa. Niedawno skończył czterdzieści lat, ale wyglądał staro. Chyba nigdy nie był młody. Miał groźny, a jednocześnie zrezygnowany wygląd.

W najlepszym momencie swojej kariery zakochał się w pewnej tancerce. Ożenił się z

nią, marząc o sławie, ale w trakcie jednego z ważnych spotkań leworęczny bokser serią strasznych ciosów wybił mu z głowy mrzonki o karierze. Była to forma łagodnej perswazji. Jego Lili, po wydaniu na świat zdrowego chłopczyka, zniknęła z jego życia, zabierając skromne oszczędności, ale zostawiając syna i w sumie dobre wspomnienia po sobie. Żył ze swoim Johnem, który rósł wśród bandy rówieśników z dzielnicy, powierzony opiece płodnej rodaczki. Było to jednak życie pod znakiem tymczasowości aż do chwili, gdy José Vicente Dominici zaprosił go na swoją śmierzącą, ale solidną łódź, na której zresztą czuł się bardzo dobrze.

- Przykro mi z powodu twoich przyjaciół - powiedział Sean. Zaczął śledzić karalucha mknącego po białej ścianie obok szafek.

- Co z tobą, Irlandczyku? Nie trenujesz dzisiaj? - zapytał Antonio.

Sean czuł się oszołomiony.

Do diabła, jak mógł przewidzieć, że między jego bronią a wyznaczonym celem znajdują się dwie niewinne osoby? Nagle poczuł się zmęczony i pusty.

- Do zobaczenia - powiedział. - Dzisiaj odpoczywam.

Skierował się do drzwi.

- Do zobaczenia - pożegnał go Corallo.

Sean przypomniał sobie zieloną łąkę i pogodne, majowe niebo. Tamten ranek należał do nielicznych szczęśliwych momentów w jego życiu. Chciałby wrócić do tamtego świata, aby wszystko rozpocząć od nowa. Wróciły w pamięci słowa ojca - „Musisz być ostrożny w życiu. Nie popełniaj błędów, których nie można naprawić. Mógłby nadejść dzień, kiedy twoje dobre chęci rozpoczęcia życia od nowa, utrudnią ci tylko przyjęcie ostatecznego wyroku.”

Kiedy otworzył drzwi swojego małego mieszkania, matka podała mu słuchawkę telefonu wiszącego w przedpokoju.

- Jakiś mężczyzna pyta się o ciebie - ściszyła głos, aby rozmówca z drugiej strony nie usłyszał.

- To ja - powiedział Sean i nie dodał już do tego ani słowa. Słuchał przez kilka sekund i odwiesił słuchawkę.

- Kto to był? - zapytała uśmiechając się matka. Maureen McLeary była pogodna i wyrozumiała. Świata nie widziała poza tym swoim jedynakiem, którego wychowała w silnej wierze katolickiej. Jej wrażliwe dziecko należało do świata pełnego tajemnic, potrafiło wzruszyć się muzyką, rozczulić się nad dolą kotka, stawało po stronie słabszych

i pomagało potrzebującym.

- Moje dziecko - mówiła o nim rozmawiając ze znajomymi, chociaż Sean miał dwadzieścia sześć lat i był na wojnie. Był dobrym synem i Madonna miała go w swojej opiece. Grał na organach w kościele w każdą niedzielę i dawał jej dość pieniędzy, aby żyło im się dobrze i aby mogła dziękować Panu za jego nieskończoną dobroć.

- Kto to był? - powtórzyła cierpliwie widząc, że syn kieruje się do swojego pokoju nie odpowiedziawszy, jakby nie usłyszał jej pytania. Zatrzymał się, powoli odwrócił do niej, obdarzając ją wspaniałym uśmiechem.

- Taki jeden, który potrzebuje przysługi.

- Jakiej przysługi? - naciskała, wykazując swoją dobrą wolę.

- Nic, co byś mogła zrobić - rozczarował ją Sean, wzbudzając jej sprzeciw. - Chodzi o zabicie człowieka - zmroził ją. - Dla pieniędzy.

Maureen McLeary spojrzała na niego wstrząśnięta. Po chwili uspokoiła się.

- Ciągle żartuje ten mój chłopiec - upomniała go pieszczotliwie.

## 5

Księżyc rozświetlał pogodną noc, wiatr przepędził ciemne chmury i nieprzyjemny, burzliwy, prawie zimowy dzień zamienił się w spokojną, wiosenną noc. Nancy zrobiło się duszno. Otworzyła okno i przebrała się. Teraz miała na sobie plisowaną spódnicę i czerwony sweterek zrobiony przez babcię.

- Gdzie twoja sukienka od pierwszej komunii? - zapytała Addolorata.

- Schowałam - odpowiedziała Nancy.

- Upiorę. Będzie jak nowa.

Dziewczynka energicznie pokręciła głową.

- Nikt nie spierze tej krwi.

- Welon też tak ma zostać? - zapytała matka, wyjmując go z torby przyniesionej z kostnicy i zawierającej rzeczy Calogero.

- Welon też - potwierdziła Nancy, wyjmując go jej delikatnie z rąk. Trzymała go nabożnie w palcach. W taki sam sposób dziś rano w kościele ojciec Richard trzymał w ręku hostię. - Zostanie taki na zawsze, mamy obowiązek pamiętać - mówiła poważnie, z pełną świadomością, odkładając welon do szuflady szafy.

Kobieta przesunęła rękę po twarzy, jakby chciała odgonić ból i łzy i przestraszona utkwiała spojrzenie w nieruchomych oczach córki.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Annina? - zaniepokoiła się, przechodząc z amerykańskiego na sycylijski.

- Że w tym welonie jest ostatnie tchnienie taty - sprecyzowała Nancy. - Umarł w moich ramionach - wyjaśniła dumnie - a welon przykrywał mu twarz.

Addolorata łkając przytuliła mocno córkę. Chciałaby z nią porozmawiać, zwierzyć się, ale jej zdrada nie zasługiwała na przebaczenie ani na odkupienie. Oddała się innemu i znalazła w tym przyjemność, gdy jej mąż umierał. Nawet spowiednik nie udzieliłby jej rozgrzeszenia.

- Może nie kochałam go tak, jak na to zasługiwał - tą półprawdą podkreślała swój żal.

Nancy patrzyła na nią, bo stała naprzeciwko, bo były tylko we dwie w tym biednym pokoju, ale nie słyszała matki.

Mieszkanie było pełne ludzi, zwłaszcza kobiet, które rozmawiały o zmarłym i odmawiały różaniec. Nancy i Sal schronili się w pokoju rodziców. Udało im się załatwić gazetę i teraz chciwie czytali informacje o masakrze przez Plaza. Ich nazwisko zostało przekreślone na Perteinache, były pewne niedokładności dotyczące pochodzenia ojca, ale był klucz pozwalający zrozumieć, jak to nazywali dziennikarze, dynamikę faktów.

Nancy z uporem, do którego tylko ona była zdolna, czytała wielokrotnie tekst artykułu, aż do chwili, gdy była w stanie odtworzyć fakty w ich wersji oficjalnej, podanej do wiadomości publicznej.

Świat przestępczy Nowego Jorku od wielu miesięcy miał się na baczności ze względu na komisję śledczą, która badała wszystkie fakty związane z mafią.

W domu Pertinace nigdy nie mówiło się o mafii, a jeśli przypadkiem ktoś wkraczał na ten teren, Calogero od razu ucinał rozmowę.

- Zajmijmy się lepiej własnymi sprawami - napominał.

Wujek Tony natomiast reagował gwałtownie.

- Mafia to wymysł, chcę oczernić szanowane powszechnie osoby.

Artykuł i rodzinne powiązania dzieci nie pozwoliły im w pełni poznać fenomenu mafii, ale gazety ustaliły, że Calogero Pertinace został zabity przez pomyłkę zamiast Franka Latelli, uważanego za głowę potężnej rodziny z Brooklynu.

Było również jego zdjęcie, zrobione kilka dni wcześniej w auli Gmachu Sądu w czasie, gdy zeznawał przed przewodniczącym komisji śledczej.

- To właśnie on - podskoczyła Nancy, rozpoznając na fotografii mężczyznę, którego widziała wysiadającego z limuzyny.

- To dokładnie on - potwierdził Sal. - Czy wydaje ci się możliwe - dodał - żeby nasz ojciec zmarł przez głupią pomyłkę?

- Nie głupią - poprawiła go. - Tragiczną pomyłkę.

- Dlaczego chcieli zabić tego człowieka? - zapytał ją chłopiec, tak jakby ona знаła prawdę.

- Może zemsta. Walka o władzę, tak piszą gazety. Ogólnie, to są rzeczy, których nie rozumiem. Nie wiem, co to jest *racket*, ani w jaki sposób może dać komuś władzę. Nie wiem nawet, co to jest rodzina. W tym znaczeniu, jakiego używają dziennikarze.

- Tutaj - powiedziała pokazując palcem gęsto zapisane linijki tekstu - twierdzą, że Nowy Jork jest podzielony między pięć rodzin, które zarządzają ciemnymi interesami tego miasta przy współudziale możnych i szanowanych ludzi. Frank Latella jest właścicielem dużego kawałka tego tortu - wyjaśniła cierpliwie Salowi.

- Nienawidzę tego Latelli - powiedział chłopiec wybuchając płaczem.

Nancy udała, że szuka czegoś wśród książek, chciała ukryć łzy i rozpaczliwą tęsknotę za ojcem.



## 6

Frank Latella znęcał się, jak zawsze kiedy był niespokojny, nad złotym łańcuszkiem swojego kieszonkowego zegarka, podzwaniając zawieszonymi na nim talizmanami - małym rogiem z czerwonego koralu, oraz krzyżykiem. Zastanawiał się, któremu z nich zawdzięczał fakt, że kule go nie dosięgły. Doszedł do wniosku, że życie zawdzięczał jedynie zwierzęcemu wyczuciu niebezpieczeństwa i intrygi, które ostrzegło go przed pułapką. Dlatego jeszcze żył. Podczas ostatniego potajemnego spotkania szefów Cosa Nostra powierzono mu jednogłośnie delikatne zadanie zneutralizowania ważnego capofamiglia - szefa rodziny - Alberta Chinnici, zwanego Diamond Al. Frank zgodził się na to niechętnie, było mu przykro, ponieważ chodziło o wyeliminowanie wartościowego szefa, który był jego ojcem chrzestnym. W obecnej sytuacji w grę wchodziła usprawiedliwiona samoobrona. Albert Chinnici przedstawiał poważne zagrożenie dla całej organizacji. Syfilis, który zaatakował jego mózg, spowodował, że mówił niedorzeczności podczas składania zeznań przed komisją antymafijną. Wszyscy zresztą obawiali się kłopotów, których mógłby przysporzyć, gdyby komisja wezwała go ponownie. Frank miał pięćdziesiąt lat i na tyle wyglądał. Silny, masywny, przypominał bardziej robotnika niż człowieka interesów, za jakiego się uważał. Ubrania, szyte na miarę w Londynie u *Fortnum* na Jermyn Street, podkreślały jego bogactwo, ale nie były eleganckie. Miał silne szczęki, szeroki kwadratowy podbródek. Mięsiste i surowe usta nadawały mu wygląd człowieka zmysłowego i chętnie używającego życia. Ciemne, bystre oczy zdobiły krzaczaste brwi.

Frank Latella odsunął ciemną zasłonę z ciężkiego lnu, która filtrowała zbyt silne światło. W ogrodzie cztery złe alzackie owczarki leżały wśród krzewów forsycji. Były zawsze gotowe zaatakować i zabić. Tak zostały wyszkolone. W tej willi, na pustej plaży Coney Island, nad oceanem, Frank czuł się bezpieczny. Ktokolwiek chciałby jego śmierci, tutaj by go nie odnalazł, ponieważ tylko dwie osoby znały adres tego ufortyfikowanego

schronienia - on i José Vicente Dominici.

Nawet Sandra, jego żona, nie wiedziała, gdzie się teraz podziewał. Natychmiast po zamachu zadzwonił do niej, aby ją uspokoić. Później składał zeznania w komisariacie i wreszcie zniknął, gubiąc po drodze żadnych sensacji dziennikarzy.

Prosił Sandrę, aby uspokoiła Nearco. Był w stanie wyobrazić sobie jego nerwową reakcję. Ten trzydziestoletni już jednak studiował prawo z mizernymi efektami. Nie zrobił nawet dyplomu. Nearco stanowił dla niego zawsze duży problem. Na Uniwersytecie wyrzucili go z drużyny koszykówki ze względu na gwałtowny charakter. Rzucił się na wszystkie napotkane dziewczyny z arogancją osoby mającej kieszenie pełne pieniędzy i przez to posiadającej nieodparty urok. Niejeden raz Frank musiał wyciągać go z kłopotów. Teraz, kiedy się ożenił, uważał, że ma prawo do całego haremu kochanek.

Frank wciągnął go w niektóre swoje sprawy i stwierdził, że syn nie miał zdolności organizacyjnych i nie widział dalej niż czubek własnego nosa. Nearco był zadrą w jego sercu. Liczył na pomoc Sandry, umiała postępować z synem. I to było ważne, ponieważ teraz, bardziej niż kiedykolwiek, nie można było zrobić żadnego fałszywego kroku.

Po raz kolejny zadał sobie pytanie, kto i dlaczego zorganizował zamach na jego życie.

Zastanowił się nad zebraniem, trzymanym w dużej tajemnicy. Odbyło się tydzień wcześniej. Spotkania te były barometrem wskazującym na stopień zgody między rodzinami. Jedność wzrastała kiedy rodziny czuły się zagrożone przez wspólnego wroga i potrzebowały wszystkich sił, aby mu się przeciwstawić. Rzadko zabijało się dla samego zabijania, prawie zawsze powodem były interesy i władza.

Ponieważ jedynym nie zaproszonym na naradę był Albert Chinnici, zamach mógł być jego dziełem. W jakiś sposób stary Diamond Al dowiedział się o wydanym na niego wyroku. Kto mógł donieść bossowi z New Jersey, że to Latelli powierzono zadanie wyeliminowania go? Frank był coraz bardziej przekonany, że w jego rodzinie był zdrajca. Teraz chciałby jak najszybciej porozmawiać z Tonim Croce, człowiekiem, który miał usunąć z powierzchni ziemi Alberta Chinnici. I jeszcze tego nie zrobił. Dlaczego? Latella uznał, że należy ponownie zastanowić się nad osobą Toniego Croce, zaufanego człowieka, jednego z najlepszych jego ludzi.

Kiedy czternaście lat temu Tony wylądował w Nowym Jorku, Latella właśnie odłączył się od rodziny Chinnici. Odziedziczył po ojcu Sandry, Antonio Ventre, strefę Brooklynu z *racketem* gier hazardowych, nielegalnego totalizatora i budownictwa. Frank powierzył Toniemu ściąganie należności kredytowych. Chłopak sprawił się bardzo dobrze. Praktyczny, precyzyjny, zasadniczy, gdy trzeba było bezlitosny, umiał przekonać

najtrudniejszych klientów. Wynagrodził go odpowiednio, a on umiał mądrze zainwestować swoje pieniądze. Był porządnym i konkretnym wykonawcą, zasługiwał na awans. Umiał sprzątnąć niewygodnych ludzi bez pozostawiania po sobie śladów, działał zawsze w pojedynkę lub zlecał pracę poważnym zawodowcom, za których odpowiadał jak za siebie samego.

Wraz z zaufaniem, Tony Croce zyskał pewną autonomię, która nie przekreślała jednak ścisłej współpracy z Latella, podporządkowania się jego władzy.

Frank powierzył mu zadanie wyeliminowania Alberta Chinnici. Tony poprosił o tydzień na wykonanie roboty. Przed upływem tego terminu ktoś zorganizował zamach na jego życie. Podejrzenie jak robak drażyło go nieprzerwanie, dzięki czemu przeszedł nietknięty przez życie, które stawiało na jego drodze tysiące niespodzianek. Tym razem podpowiadało mu imię człowieka poza wszelkimi podejrzeniami, mimo że nie miał żadnych dowodów ani zwykłych poszlak, które by go obciążały. Odczuwał wewnętrzny niepokój, a przecież potrzebował spokoju. Rozejrzał się wokół. Ten salon, urządony absurdalnymi bambusowymi meblami, był smutny, brzydki jak wszystkie niezamieszkałe domy. Brakowało książek, kwiatów, obrazów, brakowało śladów kobiecej obecności.

Wrócił do zasłony, odsunął ją i tym razem otworzył okno. Wiatr poruszył zasłonami. Poczul na twarzy świeży powiew wiatru i zapach morza. Falujący ocean tkał na brzegu pianisty dywan. Frank dojrzał nadjeżdżający od strony Nortons Point samochód. Psy podniosły się, zastrzygły uszami przyjmując wyczekującą pozycję. Zwierzęta podbiegły do bramy merdając ogonami. Rozpoznały czarnego buicka José Vicente Dominici. Frank nacisnął guzik otwierający zdalnie bramę. Z auta wysiadł mężczyzna jeszcze młody, olbrzymi, mający około metra osiemdziesiąt pięć, o dużych dłoniach i mocnej budowie ciała. Ramiona szerokie, kwadratowe, były lekko pochylone do przodu w typowej dla boksera pozycji. Miał prostokątną twarz o szerokim, złamanym nosie, oczy ciemne i ruchliwe, usta wąskie, świadczące o sile i stanowczości. Było coś tajemniczego w tej postaci, coś co przypominało afrykańskiego bożka.

Psy otoczyły go łaszcząc się, potem na jego rozkaz oddaliły się, a on wszedł do domu z dwiema torbami i z plikiem gazet. Światło zakurzonej lampy podkreślało smutek pokoju, w którym Frank czekał na José Vicente. Mężczyźni uścisnęli się. José Vicente Dominici, syn sycylijskiego marynarza i Hiszpanki z Alicante, był urodzonym zabijaką z wrodzonym talentem do boks. W świecie boks uznano go za obiecujący młody talent. Mógł ubiegać się o mistrzostwo świata w wadze superciężkiej, ale wpadł w ręce durnia

manipulowanego przez *racket*, który bez skrupułów eksploatował zawodników i fałszował spotkania. Nie mógł nic zrobić, nie mógł zerwać więzów, był marionetką w rękach organizacji. Związany złodziejskim kontraktem, był skazany na przechodzenie z rąk jednego opiekuna w ręce drugiego za psie pieniądze. Pewnego dnia zorientował się, że siedzi w długach po uszy, i zaczął wstydzić się tych fałszowanych spotkań, podczas których musiał przegrywać z niezdarami, które mógł rozłożyć jedną ręką. Zanim sięgnął dna i całkowicie się zagubił, spotkał Franka, który wyciągnął go na brzeg, ratując przed utonięciem. Zmusił jego prześladowców do pozostawienia go w spokoju i pomógł mu otworzyć klub sportowy, gdzie mógł zająć się pracą, do której był stworzony, i odzyskać godność, której utraty był niebezpiecznie bliski. Od tej chwili José był wiernym psem Franka Latelli. I Latella, boss rodziny z Brooklynu, powierzyłby José Vicente życie swoje, żony, syna oraz wszystkie tajemnice.

- Przykro mi - powiedział José, który nie mógł znaleźć odpowiednich słów, aby wyrazić swój żal.

- Wiem - powiedział Frank dając znak, że zrozumiał. - Masz pomysł? - zapytał.

José zaopatrzył się w potrzebne składniki i przygotowywał kawę.

- Wiele pomysłów i żadnego - przyznał bezradny wobec wydarzeń, które go zaskoczyły.

José przyniósł ekspres z wrzącą kawą i dwie duże filiżanki. Usiadł na stołku i nawet teraz jego potężna postać górowała nad Frankiem. Boss złożył gazetę i dorzucił do leżącego na ziemi stosu już przeczytanych.

- Zwykła orgia słów - zaklął nalewając kawę do filiżanek. - Chcę Toniego. Tutaj - rozkazał.

Olbrzym nie zaoponował, ograniczył się do słuchania. Nie był przyzwyczajony do kwestionowania rozkazów Franka.

- Okay - powiedział, myśląc że jeśli Frank chciał zdradzić Toniemu swoje sekretne schronienie, musiał mieć ku temu powody.

- Sądzisz, że to nieostrożność? - zapytał.

José machnął ręką, co mogło oznaczać wszystko i nic.

- Jeśli musisz z nim porozmawiać - zareplikował - to jest to dobre miejsce.

- Lepiej nie posługiwać się telefonem - podsunął Frank. - Od kiedy ten łajdak Kefauver wbił sobie do głowy, że nas złapie, nie mam zaufania do telefonów.

Kefauver prowadził na polecenie senatu pedantyczne śledztwo w sprawie fałszywych spółek. Działający energicznie i uczciwie senator wpędził w kłopoty największe rodziny.

Pomocy udzielił mu Albert Chinnici, Diamond Al. Jego sława kobieciarza przyczyniła się do nadania mu przydomka Kogut. Popisując się swoją męskością bez zahamowań i bez środków zabezpieczających, zaraził się syfilisem. Choroba po okresie utajonym znajdowała się w fazie, z której nie ma już odwrotu. Pomoc najlepszych specjalistów w tej dziedzinie okazała się spóźniona. Stary Kogut okresy jasności umysłu przeplatał z okresami gorączkowego szaleństwa. Wezwany przed komisję śledczą, która prowadziła dochodzenie w sprawie Cosa Nostra do złożenia wyjaśnień, Albert Chinnici złożył kompromitujące deklaracje dając do zrozumienia, że ma bardzo wiele do opowiedzenia. Adwokatom organizacji udało się udowodnić, że niektóre jego opowieści były wytworami chorego umysłu, lecz senator Kefauver był zdecydowany sprawdzić, co się kryje za tymi wszystkimi usprawiedliwieniami. Zaświadczenia lekarskie przekonały go o tym, iż choroba jest prawdziwa, ale nie przekreśliły wagi złożonych wyjaśnień. Argumentacje adwokatów nie robiły żadnego wrażenia na tym błyskotliwym prawniku. Dlatego też udało mu się ponownie sprowadzić Alberta Chinnici przed oblicze komisji. Wobec tego bossowie pozostałych rodzin zebrali się, aby dokonać dokładniejszej analizy sytuacji. Jednogłośnie postanowiono uciszyć Koguta na zawsze.

- Co cię tak niepokoi, José? - zapytał Frank z uśmiechem.

- Zdrajcy - odpowiedział olbrzym.

- Masz na myśli konkretną osobę? - nalegał Frank, który chciał uzyskać potwierdzenie własnych wątpliwości.

José pokręcił głową.

- Myślę o kimś, ale za wcześnie na podawanie nazwisk.

Art Buchman znęcał się nad resztkami ostatniego Davidoffa jakby to było serce najgorszego wroga. Cenny relikwiarz przesuwiał z jednej strony mięsistych, dużych warg na drugą, nie wypuszczając, nie połykając, nie rozgryzając. Ten był ostatnim z szeregu podarowanych mu przez Franka Latellę po jego powrocie z Londynu. Art Buchman był wreszcie sam w biurze komendy policji. Dzień był wspaniały, wiatr przegnał na wschód ciężkie, ciemne chmury, niebo było niebieskie, powietrze czyste, a słońce ostre. Tymczasem w nim szalała burza, którą próbował wyładować serią przekleństw ze swojego bogatego repertuaru. Bez spodziewanego rezultatu. Ta cholerna rzeź przed Plaza, która w rzeczywistości znaczyła mniej niż strącenie kilku kręgli w kręgielni znajdującej się pod jego mieszkaniem, komplikowała mu życie. Nazajutrz miał się udać na wakacje do Europy. Już od trzech lat obiecywał Sophie tę podróż, z pobytem w Ravensburg, niemieckim mieście, z którego wyruszyli wiele lat temu na podbój świata ich rodzice.

Chcieli zobaczyć baszty na murach obronnych, kościół Świętego Jodoka, odwiedzić wielu krewnych. Mieli zamiar zwiedzić także Wiedeń, Paryż i nawet Wenecję. Ale ta idiotyczna historia z Plaza groziła przesunięciem podróży. I w tym wypadku mogliby powrócić do tego tematu dopiero za rok. Komisja senacka krążyła po omacku, Kefauver szalał i trzymał w napięciu Departament Stanu. Prokurator okręgowy żądał od pracowników szybkich rozwiązań i nie szczędził ironicznych i sarkastycznych uwag. Do tego jeszcze adwokat Franka Latelli, który chciał mieć szczegółowe relacje i informacje z pierwszej ręki.

Art Buchman musiał rozwikłać tę pogmatwaną intrygę, nie dlatego, by oddać w ręce sprawiedliwości stanu Nowy Jork jednego lub dwóch przestępców, ale by zapewnić sobie okres względnego spokoju.

Gdyby nie komisja senacka, moralizowanie i nerwowość Kefauvera, Art Buchman

miałby do czynienia ze zwykłą sprawą, którą mógłby ukryć tasując dowolnie karty. Przede wszystkim były to sprawy rodzinne i powinny zajmować się nimi tylko zainteresowane strony. Wdowa i sieroty po Calogero Pertinace niewiele mogły żądać, ale Frank, wiedział to z własnego doświadczenia, sam uregulowałby swoje rachunki.

Tymczasem jego telefon był na gorącej linii. W ciągu ostatnich pięciu minut dzwoniła żona, która chciała, by wrócił do domu i pomógł jej w pakowaniu walizek, trzech reporterów, pijak, który twierdził, że jest zabójcą z Plaza, i John Galante, który zaprosił go na kolację do pizzerii na Staten Island. John Galante był jednym ze współpracowników Franka Latelli, kapitan Art Buchman nie mógł mu odmówić. Przerwał swoją wulgarną litanię przekleństw, nie dlatego żeby zabrakło mu inwencji, jego repertuar był niewyczerpany, ale nie mógł spóźnić się na spotkanie z „porucznikiem” Franka.

Do pizzerii przyszedł przed czasem. Był po cywilnemu, nikt go tu nie znał. Miał ciemnoszary, skromny garnitur, który maskował jego atletyczną sylwetkę. Twarz miał pospolitą, banalną, charakterystyczne były jedynie za duże usta i zbyt jasne oczy, które mogły sprawiać fałszywe wrażenie łagodnych, a nawet dobrotliwych.

Człowiek Latelli, ociężały na skutek przejadania się, czekał na niego przy stoliku w kącie, pochłonięty lekturą wiadomości hippicznych w gazecie codziennej. Policjant usiadł naprzeciw niego. Był to dobry stolik w tym zatłoczonym i urządzonym z prostotą lokalu.

- Od razu ci powiem, że nie wiem, co za chuj chce wykończyć twego bossa - wystartował Art, który chciałby jak najszybciej zamknąć nieprzyjemną sprawę.

John Galante spojrzał na niego i uśmiechnął się promiennie.

- W czym problem, Art? - zapytał ze słodyczą.

- Ty jesteś moim problemem - zawarczał.

- Jesteś zawsze taki zabawny, Art - zaśmiał się złośliwie, pochylając się ku niemu i poklepując go serdecznie po ramieniu. - Ja cię zapraszam, abyśmy zjedli coś razem, a ty się wściekasz.

Policjant spoglądał na niego bezradnie, starając się zachować spokój.

Ten łobuz wiedział, że kłamie, ale nie potrafił zrezygnować z urzędu zwyczajowej sceny. Mężczyźni patrzyli sobie w oczy bez wrogości, ale i bez sympatii.

Policjant, którego niemieckie pochodzenie widoczne było w jasnych włosach i jasnej karnacji, i mafioso o miękkich rysach południowca, gęstych ciemnych włosach i oliwkowym odcieniu skóry, znali się od co najmniej dwudziestu lat, gdy Galante

przyjmował zakłady na wyścigach konnych, a Buchman, świeżo po szkole, wierzący święcie w głoszone tam zasady, złapał go na gorącym uczynku w czasie jednego ze swoich pierwszych patroli. Obydwaj byli po czterdziestce, ale Art wyglądał znacznie młodziej. Więcej ich łączyło niż dzieliło. Z biegiem lat ich wzajemne stosunki ewoluowały, ale pozostali dla siebie obcymi, nie rozumiejącymi się ludźmi.

- Nie mogę jeść twojej gównianej pizzy - wymamrotał. - Mam potem problemy z żołądkiem.

Za jego plecami zręczny pizzaiolo przygotowywał bez ustanku pizze i calzoni.

- Spaghetti z masłem i pulpety - zamówił u uśmiechniętej dziewczyny, która wyliczyła mu wszystkie dania dnia. - I piwo - zakończył.

John Galante skrzywił się z niesmakiem i wybrał bakłażany z parmezanem oraz czerwone corvo z Salaparuta.

- Chętnie bym zapłacił, żeby dowiedzieć się, co ci chodzi po głowie - zirytował się policjant po pierwszym kęsie. Spieszył się, musiał znaleźć jakieś rozsądne usprawiedliwienie dla Sophie, ale przede wszystkim musiał przełożyć wyjazd.

Sophie była młoda, piękna, apetyczna i męża oceniała według dotrzymywanych obietnic.

- Kto zrozumie was, *wops*, jest dobry - kontynuował. - Wymagacie interpretacji, jesteście skomplikowani, pokręceni, nigdy nie zmierzacie prosto do celu.

Uśmiech na ładnej włoskiej twarzy Johna zgasł ustępując zdecydowaniu. Galante wiedział, że przekazał wezwanie, a nie zaproszenie, i Art musi się mu podporządkować.

Rodzina Latelli przekazywała mu miesięczne wynagrodzenie, wobec którego jego policyjna pensja była śmieszna sumą. Dla rodziny były to dobrze wydane pieniądze, korzystna inwestycja. Buchman działał tak, aby zostawiono w spokoju chłopców Latelli, dostarczał też pożytecznych informacji, wykorzystywanych z dużą dyskrecją. W wyjątkowych przypadkach wzywano go i wtedy nie mógł odmówić.

- Spieszę się, John - ponaglił, ale mafioso zachował swój powolny sposób bycia.

- Kotka się śpieszyła, ślepe kociaki urodziła - upomniał Galante, spokojnie smakując swoje bakłażany i popijając dużymi łykami dobre czerwone wino. Niezależnie od wytyczonego celu wydawało się, że zadaniem Johna Galante było wyprowadzenie rozmówcy z równowagi, może dla zachowania nad nim przewagi.

- Co to, lekcje filozofii za trzy grosze? - zareagował gniewnie. - To upomnienie czy jakieś głupoty? Nigdy nie potrafię was, *wops*, zrozumieć - uogólnił policjant. Znał tak wielu przedstawicieli ze świata przestępczego, że niejednen historyk zajmujący się tą



dziedziną zdziwiłby się. Wszystkich ich znał: czarnych, Żydów, Polaków, Irlandczyków, Chińczyków, Portorykańczyków, Meksykanów. Umiał przewidzieć ich reakcje. Z *wops* było inaczej. Nigdy nie było wiadomo, z której strony pokażą zęby i pazury. W swych wywodach kręcili, mieszała. Nie mówiąc o tym obrzydliwym zwyczaju całowania się mężczyzn.

Art Buchman był gotów się założyć, że na stole w kostnicy znajdzie Alberta Chinnici, to było największe prawdopodobieństwo, po jego gadulstwie przed komisją. A tu organizują sprzątnięcie najważniejszego człowieka organizacji - Franka Latelli.

- Art, już dobrze - próbował uspokoić go Galante, stając się nagle poważny i ścisząc głos.

- Okay - zgodził się policjant, napychając się spaghetti.

- Sprawę Plaza załatwimy w rodzinie - powiedział, gasząc czerwonym winem pieczenie po pikantnych bakłażanach w parmezanie.

Policjant podniósł głowę, utkwiał w nim spojrzenie, przestał żuć. Znieruchomiał z pełnymi ustami. Przełknął makaron bez gryzienia, jak lekarstwo. Wiedział doskonale, że ci ludzie zwykle prali brudy we własnym domu, ale dlaczego wezwano go tak pilnie, gdy szykował się do wyjazdu z Sophie do Europy? Palila go ciekawość poznania odpowiedzi.

- Więc? - ponaglił.

- Frank prosi cię o przysługę - uśmiechnął się obłudnie.

Art głęboko westchnął.

- Słucham.

- Znasz Toniego Croce? - zapytał.

- Tego z pizzerii *Castellammare*? - odpowiedział zdziwiony policjant.

- Tego - potwierdził Galante.

Wiele pytań krążyło mu po głowie, ale żadnego nie zadał. Jakikolwiek wyjaśnienia nie zmieniłyby ani trochę sytuacji, oznaczałyby tylko stratę czasu. Z drugiej strony nie bardzo mógł być taki subtelny, od lat służył Latelli, z którym był nierozłącznie związany. Próbował z tego związku wyciągnąć maksimum korzyści i podporządkowywał się bez dyskusji.

- Żywy chłopak - poinformował go John, tak jakby mówił o niesfornym kuzynie. - Należy mieć go na oku. Frank chce wiedzieć, czy nie wpadł w złe towarzystwo. Chce wiedzieć kiedy, jak, gdzie i dlaczego.

Oparł się wygodnie o krzesło, zapalił papierosa i zakaszał.

- Ten główniany nałóg wpędzi mnie do grobu.

Art miał nadzieję, że przepowiednia Galante spełni się natychmiast. „Dlaczego sami nie załatwiają swoich krętałów?” - myślał.

- To może być żmudna robota - zaproponował.

- Nam się nie śpieszy - zapewnił Galante.

Oczywiście, że im się nie śpieszy, ale jemu tak. Sophie była dobra i miła, ale nie zgodzi się na kolejne przesunięcie terminu wyjazdu.

- Naturalnie lepiej zacząć od razu.

- Naturalnie - potwierdził John, przyglądając mu się przez chwilę. - W czym problem, Art?

- Sophie i ja zaplanowaliśmy podróż do Europy - spróbował bez przekonania.

- Od wielu lat stary kontynent jest tam, gdzie jest. I będzie tam nadal - odpowiedział z lekkim sadyzmem Galante.

- Ma coś wspólnego z Plaza ten Tony Croce? - zapytał zrezygowany Art.

- Tego chcielibyśmy się dowiedzieć.

- Był w swojej pizzerii, kiedy to się wydarzyło.

- Wiemy. W samym środku wspaniałego przyjęcia, wśród przyjaciół i krewnych. Krewnych portiera z Plaza. Męża kuzynki Croce, który z wyjątkową punktualnością przybył na spotkanie ze śmiercią.

Galante zarechotał i rozkaszał się. Zły zgasił w popielniczce to, co pozostało z papierosa.

- Dużo wie stary Art - pogratulował.

- A ten Calogero Pertinace? - zapytał Art.

- Proch - wygłosił John zdmuchując z otwartej dłoni niewidzialny pyłek.

Buchman pomyślał o dwójce dzieci zabitego. Jego detektywi bardzo dokładnie je przepytali, ale nic im się nie udało z nich wyciągnąć.

W protokołach nie było ani jednego szczegółu, który mógłby pomóc w identyfikacji zabójcy. Nic, absolutnie nic.

- Więc, Tony Croce - wymruczał Art. Nie mógł tego odłożyć, nie mógł się wycofać, nie mógł dyskutować. Mógł tylko wykonać. Za to mu płacono. Pomyślał o pięknej willi z ogrodem kupionej w New Jersey, gdzie zamieszkałby z żoną po przejściu na emeryturę. Wtedy pojechaliby do Europy, odbyliby niejedną podróż dookoła świata. Od kiedy był na utrzymaniu Latelli, zaoszczędził sporo pieniędzy. Należało dotrwać do tej emerytury.

- Frank wiedział, że może na ciebie liczyć - ucieszył się z typowo południową przesadą John Galante, ściskając mu energicznie dłoń. - Jesteśmy ci wdzięczni.

Buchman patrzył za wychodzącym. Został, żeby dokończyć piwo. Musiał natychmiast wziąć się do roboty. Może podróż do Europy nie była definitywnie stracona. Gdyby mu dopisało szczęście, miałby tylko jeden czy dwa dni opóźnienia.

Pierwszą i najważniejszą rzeczą było znalezienie racjonalnego wyjaśnienia dla Sophie.

## 8

Frank Latella nie mógł zasnąć. Nerwy nie pozwalające mu wypocząć nie były związane z zamachem ani nowym łóżkiem, czy nowym miejscem, ani też z zimnym, wilgotnym, dużym domem. Nie przejmował się tym, że ktoś go chciał zabić. Śmierć zawsze kroczyła u jego boku, towarzyszyła mu przy każdym posunięciu, od wczesnego dzieciństwa. Nie bał się śmierci. Był przekonany, że strzał z pistoletu czy seria z karabinu jest lepsza od długiej choroby, cierpienia i perspektywy inwalidztwa. Bał się, że ośrodek władzy budowany latami ciężkiej pracy, wyrzeczeń, przelaną krwią - rozpadnie się. Gdyby teraz umarł, w czyich rękach znalazłaby się organizacja? Widział już ją rozszarpywaną przez ujadające psy, gotowe rzucić się na każdego i pozagryzać się nawzajem, żeby tylko wydrzeć parę dolarów i jakiś okruch władzy.

Kiedy był chłopcem, wzorem dla niego był baron z Ravanusy; postać i nazwisko związane z fortuną przechodzącą z pokolenia na pokolenie, z prestiżem przekazywanym synowi przez ojca. Baronowie z Ravanusy wiedzieli, skąd pochodzą i dokąd zdążają dzięki umiejętnemu zachowywaniu nienaruszonej fortuny. Jego ojciec natomiast, Tonino Latella, był sezonowym robotnikiem rolnym próbującym zarobić na chleb. Maria Rosaria była drobną kobietą o dużych, przestraszonych oczach, zniszczona pracą i troskami. Byli niczym, znaczyli mniej niż pył i kamienie w posiadłościach Ravanusa, mniej niż zwierzęta, którym należał się szacunek i opieka.

W 1915 roku, zanim Włochy wypowiedziały wojnę Austro - Węgrom, po zatopieniu angielskiego transatlantyku „Lusitania” przez niemiecką łódź podwodną, Francesco Latella wylądował w stanach Zjednoczonych.

Miał piętnaście lat, worek, w którym zmieścił cały swój majątek, silną wiarę, która powodowała, że modlił się tak gorąco jakby wszystko zależało od Boga, i żelazną wolę, która powodowała, że zachowywał się tak, jakby wszystko zależało od jego siły.

Przystosowywał się z uśmiechem na ustach do najbardziej nieprzyjemnych prac

pewien, że wszystko obróci się na lepsze. Najgorsza sytuacja w Nowym Świecie oznaczała najlepszą w świecie, który pozostawił, i to go upoważniało do snucia marzeń o wspaniałej przyszłości. Optymizm i radość życia, charakterystyczne dla młodych ludzi, sprawiały, że czuł się nieśmiertelny i nietykalny, dawały mu siłę do znoszenia najbardziej upokarzających sytuacji. Na przykład praca w kuchni wielkiego hotelu, gdzie musiał wchodzić do środka olbrzymich kotłów, aby je wyczyścić. Jego ubranie, włosy, skóra tak silnie przeszły zapachem sosu, że każdy, kto się do niego zbliżał, zatykał nos.

Pewnej nocy, wracając do domu po ciężkiej pracy, pijany ze zmęczenia, przesiąknięty zapachami kuchni, trafił na bójkę. Próbował rozdzielić bijących się. Kiedy nadjechała policja, zgarnięto również Franka. Zrozumiał wtedy, że prawie zawsze niewinni są traktowani najgorzej.

Miał osiemnaście lat, był silny jak byk, napiął mięśnie i wyrwał się dwóm policjantom, próbującym wsadzić go do karetki więziennej. Być może młócąc swoimi długimi kończynami uderzył kogoś. Pewne jest, że któryś z policjantów uderzył go pałąk eliminując z walki. Kiedy obudził się w celi wśród chuliganów, pijaków, ludzi, którzy zaznali już wszelkich przeciwności losu, ale trzymali się od niego z daleka ze względu na smród, który bił od niego, dowiedział się, że został oskarżony o stawianie oporu władzy i przemoc. Mógł wyjść natychmiast w zamian za pięćdziesiąt dolarów kaucji, ale wszystko co posiadał to było tylko parę drobnych monet i duży krwiał na głowie. I tak, musiał czekać dwa dni, aż sędzia w pośpiechu, ale sprawiedliwie, ze względu na brak dowodów, wyda wyrok uniewinniający. Zdarzenie miało miejsce w sobotę, zwolnili go we wtorek i natychmiast zjawił się w swojej megakuchni wielkiego hotelu. W kotłach siedział już inny głodomór, który czyścił je, polerował i powoli przesiąkał nieprzyjemnym zapachem sosów.

Zdarł do reszty buty w poszukiwaniu nowej pracy. Wyglądało na to, że to duże miasto, w którym wszyscy śpieszyli się, nie miało mu nic do zaoferowania.

Pewnego zimowego popołudnia ukradł parę puszek w drugistorze. Przyłapał go na tym policjant, który zagroził mu drogę, a Frank rozłożył go ciosem w podbródek.

Trzy kobiety i dwóch mężczyzn świadczyło w procesie o kradzież i przemoc. Został aresztowany i skazany na dwanaście miesięcy. Odsiedział wszystko. W więzieniu pokazał, jakim jest twardzielem. Załatwił kilku chuliganów, odrzucił niedwuznaczną ofertę szaleńca, który upatrzył go sobie na ofiarę, zdobył paru przyjaciół. Kiedy wyszedł z więzienia, został natychmiast zatrudniony jako wykidajło w jednym z nocnych lokali na Broadwayu. Lokal kontrolowała rodzina Chinnici. Frank miał charakter, był poważny,

powściągliwy, zdecydowany. Te zalety stanowiły najlepszą jego broń, która pozwoliła mu na zrobienie szybkiej kariery. Z wykidajły stał się kierowcą bossa Alberta Chinnici, młodego człowieka, ambitnego i możnego, który go tak ustawił, że miał pełne prawo do marzeń o lepszej przyszłości. Frank był inteligentny i z fantazją, ale przede wszystkim skromny i umiejący maskować swoje przymioty. Wiele razy pozwolił bossowi podpisać się pod swoim pomysłem.

Zrozumiał, że wszyscy Numero Uno, pierwsi po Bogu, są dobrzy, kiedy wystawiając się na nieuniknione ryzyko, otaczają się osobami inteligentniejszymi od siebie.

Dla Alberta Chinnici chłopak stał się niezbędny jak powietrze. Mówił niewiele, a wydarzeniom nadawał rzeczywisty wymiar. Kiedy Frank poznał Sandrę, córkę Salvatore Ventre, miał dwadzieścia pięć lat i był osobą szanowaną. Ożenił się z Sandrą, ponieważ miała słodkie oczy i najpiękniejsze w świecie piersi i ponieważ kochał ją. Wyniósł z tego i inne korzyści, ale w jego świecie powiązania rodzinne niewiele znaczyły, jeśli nie były poparte zdolnościami pozwalającymi na wybicie się.

Frank analizował przeszłość i teraźniejszość, aby odnaleźć powód swojego zdenerwowania i w konsekwencji bezsenności. Gazety, radio, telewizja omawiając masakrę przed Plazą szukały śladów mafii, przypisując Cosa Nostra wszelkie zło, które miało miejsce w tym mieście. Gadali jedno głupstwo za drugim.

On, Frank Latella, uważał się za biznesmena i jak każdy człowiek interesu próbował wyciągnąć największą korzyść z własnych przedsięwzięć. Czasem ktoś umierał. Nikt przecież nie przejmował się tysiącami ofiar wypadków drogowych lub śmiertelnymi chorobami sprowadzonymi na człowieka przez przemysł chemiczny, tytoń, alkohol. To są skutki postępu cywilizacji.

Rodzina Latella miała na swojej liście płac prawdziwych obrońców demokracji i sprawiedliwości. Oczywiście, w jego organizacji, tak jak i we wszystkich innych skupiskach ludzi, trafiali się sadyści, zbrojeńcy, kanalie i to ich czyny były niczym woda na młyn dla moralistów z senatorem Kefauverem na czele.

Frank wstał, włożył ciepły wełniany szlafrok w szkocką kratę i zszedł na dół. Zimno i śliska cisza tego domu bez duszy przygnębiały go.

W kuchni zastał José Vicente siedzącego przy stole i wpisującego jakieś liczby do zeszytu.

- Nigdy nie śpisz? - zapytał Latella.
- Mniej więcej tyle, co ty - odpowiedział olbrzym nie odrywając się od roboty.
- Odstawiasz numery? - zażartował odsuwając krzesło i siadając naprzeciw.

- Obliczałem, ile pieniędzy potrzebuje wdowa, aby wychować dwójkę dzieci - odpowiedział José, robiąc aluzję do rodzeństwa Pertinace. Wyrósł w domu, w którym stan posiadania odmierzało się listą zakupów. Mimo, że teraz miał tyle pieniędzy, ile dusza zapagnie, wiedział ile kosztuje chleb, makaron, mleko, ubranie i cała reszta.

- Kawy? - zaproponował.

- Kawy - zaakceptował boss dziękując uśmiechem.

José wziął maszynkę do kawy i przygotował kawę.

- Trzeba ich wyżywić, posłać do szkoły, ubrać - wyliczał zamyślony.

- Wciągniemy ich na listę płac i co miesiąc będziemy przysyłać wdowie pieniądze - powiedział Frank.

Lekki szum za oknem zwiastował nadejście wiatru i burzy.

- Można tak zrobić - rozważał olbrzym, jakby rzecz sama w sobie nie była rozstrzygnięta.

Niebieski płomień gazu obejmował ekspres.

- Wydawało mi się, że przyszłość dzieci leży ci na sercu - zdziwił się.

- To prawda - potwierdził José, gasząc gaz i przekręcając maszynkę.

- Więc? - zapytał Frank, podczas gdy zapach świeżej kawy rozchodził się po całej kuchni.

- Może już mają kogoś, kto się nimi zajął - powiedział rozlewając kawę do filiżanek z białej porcelany.

- Znamy go?

- Jakżeby nie. To Tony Croce.

Frank uniósł brwi i zapatrzył się w dymiącą kawę, jakby mógł z niej wyczytać swoje przeznaczenie.

- Krewni? - poinformował się.

- I może kochankowie - odpowiedział łącząc wskazujące palce w jednoznacznym geście.

- Co za głupoty mi opowiadasz, José! - podskoczył, zmieniając ton i język.

- Prawdę. Tony Croce jest kuzynem i prawdopodobnie kochankiem Addoloraty Croce. Wdowy Pertinace.

Frank podniósł filiżankę do ust i upił łyk czarnej kawy, gorzkiej i gorącej. Nie zapytał olbrzyma, dlaczego go wcześniej nie poinformował ani jak i kiedy dowiedział się o tym.

Nie osądzał wdowy nie znając faktów. Nie skazywał i nie uniewinniał.

Przez chwilę zastanawiał się nad możliwością zbrodni w afekcie, ale było to zbyt

nieprawdopodobne.

- Powinniśmy wiedzieć o wiele więcej o tej historii - poradził. Nigdy nie wydawał poleceń i nie podnosił głosu.

- Zajmę się tym - powiedział José.

Frank dopił resztkę kawy i pobębnił palcami po zeszycie olbrzyma.

- Zajmij się też dziećmi. Sądzę, że naprawdę potrzebują pomocy.



## 9

Nancy miała wrażenie, że w drzwiach pojawiła się góra, próbująca przecisnąć się przez nie. A kiedy olbrzym przemówił, wydawało jej się, że jego głos wydobywa się na powierzchnię z głębin morskich. Pobrzmiwała jednak jakaś dobroć w tym niskim głosie i było jakieś piękno w tej brzydkiej, asymetrycznej twarzy o dużym nosie. Od tego mężczyzny biła siła i spokój.

- Nazywam się José. - przedstawił się, uśmiechając do niej i zobaczyła wesołe iskierki w ciemnych oczach olbrzyma.

- Tata nie żyje - zakomunikowała. Nie wiadomo skąd i dlaczego przyszedł jej do głowy pomysł, że mógł to być przyjaciel Calogero.

- Wiem - powiedział olbrzym głaszcząc ją po włosach swoją dużą dłoń.

Miał dobrze skrojoną, w miarę elegancką dwurzędówkę i okropny, srebrny krawat.

- Znał go pan? - zapytała z zainteresowaniem.

- W pewnym sensie - przyznał mężczyzna, rzucając okiem na meble i sprzęty znajdujące się w pokoju, aby wyrobić sobie pogląd na sytuację finansową rodziny.

- Kto to? - spytała Addolorata z kuchni.

- Proszę, niech pan wejdzie - zaprosiła Nancy usuwając się na bok, aby go przepuścić.

José zanim zdecydował się wejść, przez chwilę stał w progu. Było coś nieokreślonego w dużych oczach dziewczynki, niespotykana powaga wzbudzająca szacunek.

- Przyjaciel taty - krzyknęła do matki w odpowiedzi.

Addolorata pojawiła się w drzwiach kuchni, wycierając ręce w fartuch w czerwone i żółte paski. Sal stał za jej plecami.

Obydwoje patrzyli na José z ufnym zdziwieniem.

- Proszę - wtrąciła się Nancy wskazując na kanapę, która była miejscem spania Sala, podczas gdy fotel stojący naprzeciw należał do niej.

- Nie powiedziałbym, że przyjaciel - wyjaśnił José siadając ostrożnie na kanapie, która nagle wydała mu się bardzo mała.

Nancy zapałała instynktowną sympatią do tego mężczyzny.

- Więc? - indagowała Addolorata patrząc na córkę i gościa.

- Don Francesco Latella przekazuje wam swoje ubolewania z powodu śmierci waszego męża - wyjaśnił José. - Przesyła kondolencje.

Spojrzał na ubraną na czarno kobietę i odkrył jej niespotykaną urodę, smutek i słodycz spojrzenia, udrękę w twarzy, której bladość podkreślały czarne, błyszczące włosy, zebrane na karku w kok.

Nie mógł uwierzyć w to, co mu doniesiono. Ta kobieta, dotknięta bólem, krucha i przestraszona istota, miałaby być kochanką Toniego Croce?

Nie nauczył się jeszcze José Vicente Dominici przyjmować rzeczywistości taką, jaka jest.

Addolorata i dzieci spoglądały na niego pytająco. Powód jego wizyty nie został jeszcze wyjaśniony.

- Przypadkowo wasz mąż uratował życie don Francesco Latelli - powiedział José.

- I poświęcił swoje - dorzuciła z bólem Nancy.

- Fatum - powiedział mężczyzna.

Addolorata usiadła na brzegu fotela naprzeciw mężczyzny. Sal stanął za plecami matki, a Nancy pomyślała, że należałoby zaproponować coś do picia niezwykle gościowi.

Matka naprawdę musiała być wstrząśnięta, jeśli nie pamiętała o elementarnych zasadach dobrego wychowania. Dlatego odezwała się.

- Może zrobię panu kawy?

José ponownie uśmiechnął się do niej i podziękował skinieniem głowy. Podczas gdy Nancy zajęta była ekspresem do kawy, tacą i filiżankami, mężczyzna zwrócił się do matki.

- Don Francesco czuje się waszym dłużnikiem. A długi trzeba płacić - stwierdził.

- Jest ból, którego nie można ukoić, są długi, których nie można spłacić. Nikt nie zwróci ojca moim dzieciom.

Oczy kobiety zabłysły gniewem i powstrzymanymi łzami.

José pochylił się do niej, starając się okazać lepiej swoje zrozumienie.

- Kiedy zdarzy się już rzecz nie do odwrócenia, należy myśleć o tych, co pozostali - poradził. Nie był przyzwyczajony do długich przemówień i wydawało mu się, że mówi za

dużo.

Nancy podała gościowi filiżankę pachnącej kawy na drewnianej tacy, ozdobionej rysunkami w kolorach błękitu i purpury.

- Krótko mówiąc - podjął, mieszając kawę w filiżance - don Francesco chciałby zająć się waszymi dziećmi - napił się i spojrzał z wdzięcznością na Nancy. - Dziękuję. Właśnie taką lubię. Słodką, mocną i gorącą.

- W jaki sposób? - zapytała Addolorata, która jeszcze nie rozumiała, jak ten bogaty nieznajomy mógłby zająć się Nancy i Salem.

- Na razie przesyła wam to - mężczyzna położył na stoliku wypchaną dolarami kopertę, którą wyciągnął z kieszeni marynarki.

Koperta jaśniała na stoliku budząc nadzieję na lepsze jutro niczym wyspa dla rozbitków z zatopionego statku i Addolorata świadoma tego, jak trudne jest życie, gdy zabraknie ojca, chciała skorzystać z tego pierwszego dowodu solidarności, nawet jeśli pochodził on od osoby budzącej zastrzeżenia.

Ale Nancy uprzedziła ją, wyciągnęła rękę i położyła małą dłoń na kopercie. Podała ją José mówiąc:

- Niczego nie potrzebujemy. Dziękuję.

Mężczyzna szukał w oczach Addoloraty potwierdzenia decyzji podjętej przez dziewczynkę.

- Niczego nie potrzebujemy - powtórzyła kobieta podnosząc się i tym samym zapraszając gościa do zakończenia wizyty.

José potrzęsnał głową z dezaprobatą, ale uśmiechnął się na znak szacunku dla decyzji dziewczynki, która według wszelkich oznak decydowała za wszystkich i wzięła na siebie ciężar odpowiedzialności za rodzinę.

- Nazywasz się Nancy, prawda? - zapytał mężczyzna.

- Nancy - odpowiedziała.

- Nancy - podsumował José - jeśli w przyszłości będziesz miała problemy, jakiegokolwiek problemy, zadzwoń. Znajdziesz mnie w klubie. - Podał jej wizytówkę. - Klub Dominici. Pamiętaj. Znają go wszyscy tutaj, w Brooklynie.

Olbrzym zabrał kopertę, schował do wewnętrznej kieszeni marynarki, podniósł się, pożegnał i skierował się do wyjścia. Wychodząc dorzucił:

- Zawsze przychodzi taki moment w życiu, kiedy potrzebujemy przyjaciela. Kiedy ten moment nadejdzie, możesz na mnie liczyć.

Addolorata zamknęła drzwi za szeroko uśmiechniętym mężczyzną i natychmiast

zwróciła się do córki ze wzrastającą złością.

- Co ci przyszło do głowy? - zganiła ją. - Łez nam brakuje do opłakiwania, a ty odmawiasz pomocy, która zresztą nam się należy.

Sal stanął obok siostry, okazując jej tym swoją solidarność, Nancy poczuła się upokorzona i zmieszana. Sądziła, że dobrze zrozumiała intencję matki, ale widocznie pomyliła się.

- Tata nigdy by nie chciał, żebyśmy zadawali się z pewnymi ludźmi - zaprotestowała, usprawiedliwiając swoje postępowanie.

- Co ty wiesz o ludziach! Jesteś dzieckiem. Nic nie wiesz! - Addolorata westchnęła, ale zabrzmiało to jak łkanie. - Zdajesz sobie sprawę, że poza pensją twojego ojca nic nie mamy?

- Jest jeszcze wujek Tony - zaprzeczyła Nancy. - Jest naszym chrzestnym. Pomoże nam.

Ręka matki sucho trzasnęła, jakby kamień uderzył dziewczynkę w twarz.

Spojrzenie i wyraz twarzy Nancy nie zmieniły się. Tylko na różowej skórze policzka wykwitł czerwony placek. Kobieta spodziewała się reakcji, która nie nadeszła. Spodziewała się protestu, płaczu, tymczasem wobec niewzruszonej postawy córki to ona wybuchnęła płaczem. Osunęła się na fotel zasłaniając twarz rękami, a ciężkie, ciepłe łzy spływały jej między palcami.

Sal podszedł do matki i przytulił się do niej. Nancy poszła w jego ślady. Obydwoje zdawali sobie sprawę, że kobieta przepełniona bólem w ten sposób prosiła o wybaczenie. Addolorata nigdy nie podnosiła ręki na dzieci.

- Wszystko dobrze, mamó - zapewniła Nancy obejmując ją.

- Spróbuj trochę odpocząć - podsunął Sal.

Kobieta podniosła piękną, zalaną łzami twarz.

- Będziemy się trzymać razem w przyszłości - zapewniała ich przytulając. - Ale pamiętajcie obydwójce to, co wam powiem. Imię waszego chrzestnego nigdy więcej nie będzie wymawiane. Nie ma Toniego Croce. Nigdy go nie było. Sami zajmijmy się naszą przyszłością.

Decyzja matki brzmiała jak przysięga i jako taką dzieci ją zaakceptowały.

Nancy i Sal szanowali prawo matki do decydowania w imieniu wszystkich i zdali sobie sprawę, że nie powinni zadawać pytań.

Srebrzysty chevrolet podpłynął do chodnika i przystanął przed świetlną reklamą *Vicky's Club*. Powitalny uśmiech, który portier przeznaczył dla pasażera tego wspaniałego, nieseryjnego wozu, zawisł w powietrzu niczym chorągiew ściągnięta do połowy masztu na znak żałoby. Otwierając drzwiczki rozpoznał Alberta Chinnici i jego obstawę. Po tym, co wydarzyło się przed Plaza, nikt nie spodziewał się ujrzeć w miejscu publicznym kogokolwiek z rodziny Chinnici. A tym bardziej Diamond Ala. Respektując reguły gry członkowie rodzin, z wyjątkiem dzieci, powinni siedzieć zabarykadowani w swoich kryjówkach. Rzeź przed Plaza oznaczała wypowiedzenie wojny.

Minęła właśnie północ i niespodziewanie rozszalała się burza.

Albert Chinnici schronił się pod parasolem w porę otwartym przez portiera, któremu ciarki przeszły po plecach, bo właśnie przypomniał sobie smutny koniec swojego kolegi sprzed Plaza. Jemu też mogło się to przytrafić.

- Pogoda do dupy! - zaklął boss oddając płaszcz wpadającej w oko, przystojnej szatniarce i kichnął potężnie.

Obstawa, dwóch goryli, którzy nieumiejętnie maskowali pod marynarkami broń oraz zięć, Joe La Manna, prawa ręka i następca, otaczali bossa tworząc rodzajową scenkę. Ich atletyczne ciała dziwnie kontrastowały z wątłą postacią szefa. Chinnici był chudy, niski, o drobnych, ostrych rysach twarzy, zapadniętych policzkach, ciemnych, wodnistych oczach z pomarszczonymi workami pod nimi. Skóra o żółtawym odcieniu była poorana głębokimi zmarszczkami. Niski, matowy głos palacza wstrząsany był gwałtownymi, bulgoczącymi atakami kaszlu.

Szatniarka zauważyła jedynie zegarek na ciężkim pasku z masywnego złota i diament wielkości orzecha na małym palcu. To wystarczyło, aby zyskał w jej oczach zainteresowanie. A potem, kiedy wsunął jej do ręki pięćdziesiąt dolarów w zamian za czerwony goździk, który włożyła mu do butonierki, poczuła, że jest to najbardziej

fascynujący mężczyzna, jakiego w życiu spotkała. Do tej pory miała do czynienia z wulgarnymi i gwałtownymi głodomorami, którzy kochali się z nią szybko, bez jednego miłego słowa, bez zalotów, za stosem desek w magazynie tartaku w Vermont, w którym pracowała. Ci bardziej uprzejmi nazywali ją słodką Lilian, ale oni także brali ją na stojąco, dysząc i dygocząc, a na pożegnanie klepali ją w tyłek chwając, że jest najlepszą dupą w okolicy.

Te prymitywne rozgrzewki pobudziły jej apetyt seksualny, ale tak bardzo pragnęła, żeby chociaż raz ktoś zaprosił ją na lody, nic nie chcąc w zamian. Dlatego właśnie uznała Diamonda Ala za najbardziej czarującego mężczyznę.

Zanim grupa rodzinna zajęła miejsca, zawiadomiony przez nieomylny tam - tam pojawił się osobiście Victor Partana, nienaganny w swoim czarnym smokingu, doskonale leżącym na jego słusznej sylwetce, gościnnie i serdecznie, doskonale w roli gospodarza.

- Albert! - wykrzyknął pokazując w uśmiechu wspaniałe zęby, dzieło techniki protetycznej. Victor Partana miał sześćdziesiąt pięć lat, tyle co Albert Chinnici, ale wyglądał na czterdzieści pięć.

Albert uściśnął go, ryzykując przypalenie nieodłącznym papierosem rękawa smokingu.

- Świetnie wyglądasz - powiedział z nutą zawiści w głosie.

- Ty też się dobrze trzymasz - próbował odwzajemnić się Victor, ale nie umiał kłamać.

- Czuję się do dupy. I to widać - odpowiedział rozzłoszczony, zanim opanował go duszący kaszel.

Victor poprowadził przyjaciela do dyskretnego stolika w kącie lokalu. Obstawa i Joe La Manna zajęli strategiczne miejsca przy stoliku obok.

Wpływowi, znani ludzie i piękne kobiety zajmowali stoliki bardziej na widoku. Orkiestra jazzowa grała znane, klasyczne kawałki. Victor usiadł blisko przyjaciela. Razem się chowali w Little Italy na Mulberry Street. Będąc dziećmi biednych, sycylijskich emigrantów, od najmłodszych lat byli zaangażowani w najtrudniejszą walkę - o przeżycie. Chcieli się wybić, obydwaj mieli bystry umysł i byli szybcy w rękę. Albert Chinnici był w tamtych czasach odważnym, silnym byczkiem, zdolnym narzucić swój punkt widzenia. Często stawał w obronie Victora, który nienawidził przemocy i był szczególnie bezbronny w obliczu agresji miejscowych chuliganów. Albert podziwiał jego inteligencję, głos, niesamowitą wrażliwość na muzykę. Później obydwaj odnieśli sukces. Victor został znanym odtwórcą piosenek o miłości. Albert, „przemysłowiec” w świecie przestępczym, z wprawą menedżera zarządzał lichwą, hazardem, prostytutką.

Victor pojechał do Hollywood, zagrał w wielu kasowych filmach muzycznych, był trzykrotnie żonaty, miał nieokreśloną liczbę dzieci i samochodów. Odbył kilka tournée po Europie. Dojechał aż do Trapani, rodzinnego miasta swoich rodziców, gdzie przyjmowano go jak bohatera.

Albert pozostał w Nowym Jorku, tylko raz się ożenił. Jego żona, Carmela Artuso uwielbiała go i dała mu cztery córki. Miał na swoim koncie nieokreśloną liczbę kochanek i szalone wypadki do domów publicznych. Ale to właśnie dama z towarzystwa podarowała mu krętka bladego Schaudinna, odpowiedzialnego za syfilis, który bez jego wiedzy tkwił w nim uspiiony i przekazywany z pokolenia na pokolenie. To podwójne zarażenie spowodowało nietypowy rozwój choroby. Infekcja dała objawy późno, kiedy lekarstwa nie mogły jej już opanować i niszczyła nieodwracalnie organizm, wywołując reakcje i zachowania, których nie był w stanie kontrolować. Był wciąż człowiekiem wpływowym, z którym organizacja bardzo się liczyła.

Victor natomiast umiał mądrze przeciwstawić się upadkowi. Przy pierwszych oznakach zmęczenia jego osobą, nie czekając aż Hollywood go porzuci jak niemodne ubranie, wycofał się w pięknym stylu i wybrał inteligentne rozwiązanie, inwestując swoją popularność, autorytet i pieniądze w *Vicky's Club*, elegancki lokal z programem artystycznym na wysokim poziomie, międzynarodowymi numerami i pięknymi dziewczynami. Żył ciągle w swoim świecie i był wciąż panem samego siebie.

- Dojechałem prawie do końcowej stacji, Victor - zbulgotał Albert.

Światła lokalu potwierdzały jego słowa, podkreślając żółtawy odcień skóry. Victor rzucił okiem na goryli Alberta.

- Ktoś, kto ma właśnie umrzeć, nie zabezpiecza sobie tak tyłów - drażnił się z nim. Mógł sobie na to pozwolić w imię starej przyjaźni.

- Rzecz polega na tym, że w rozsądnych granicach chciałbym, aby to Wszchemogący wybrał moment mojego pożegnania ze światem - zareplikował puszczając do niego oko i zanosząc się po raz kolejny kaszlem. - A nie jakiś przekłety znany mi łajdak.

Victor dał znak i jak za dotknięciem różdżki pojawiło się srebrne wiaderko z butelką szampana. Kelner rozlał ten boski płyn z bąbelkami do kryształowych kieliszków.

- Kiedyś opowiadałeś o kobietach, przygodach. Teraz stałeś się ponury niczym listopadowy piątek. Starzejesz się, Albert - prowokował go żartobliwie, próbując dodać mu odwagi.

Al wyprostował się dumnie, chcąc okazać, że jeszcze nie jest tak źle.

- Victor, zwróć łaskawie uwagę, że nie jesteś na planie filmu „Same cycki, cud miód”.

Jesteśmy w przerażającej, strasznej dżungli. Pełno tu przeklętych łajdaków, którzy krążą wokół, strzelają bez opamiętania. Zorganizowali nawet zamach na życie mojego drogiego przyjaciela, Franka Latelli - zaśmiał się złośliwie.

Albert i Frank nienawidzili się i Victor wiedział o tym, tak jak wiedział o rzeczach, o których bał się nawet pomyśleć.

- To prawdziwy cud, że wyszedł z tego cało, Al. Prawdziwy cud.

Albert pochylił się do przyjaciela i powiedział:

- Chcę ci się zwierzyć. Nie będzie drugiego cudu. Jego życie za moje. Słuszna obrona. Okay?

Victor podniósł się, obdarzając go nieco słabszym niż poprzednio uśmiechem.

- Muszę cię opuścić, Albert. Przedstawienie musi się zacząć - wyrecytował sztucznie dramatycznym tonem.

- Chcesz wiedzieć jakie danko zaszerwuję naszemu przyjacielowi?

- Nic nie słyszałem - zareplikował gospodarz zatykając sobie uszy. - I nic nie chcę słyszeć. Posłuchaj mnie, Al - wyjaśnił serdecznie - ja nigdy nic nie widzę i nie słyszę. Dlatego jeszcze żyję.

- Dobry z ciebie chłopak, Vic. Zajmij się swoim przedstawieniem, a ja zajmę się łajdakami - zaśmiał się szyderczo, wypijając jednym haustem resztę szampana z kieliszka. - Zawsze tak było, nie?

- Okay, Al. Tutaj jesteś u siebie, następnym razem powiedz twoim chłopcom, żeby zostawili artylerię na zewnątrz. Moi klienci nie szukają mocnych wrażeń, ale rozrywki. Tak jak ty.

Zależało mu na *Vicky's Club*, był całym jego życiem, jego oczkiem w głowie. Tutaj spotykali się starzy koledzy z Hollywood i młodzi, nieznani artyści, tak bardzo starający się wybić, gotowi ozłocić go za rady. *Vicky's Club* na rogu Park Avenue i Pięćdziesiątej Szóstej ulicy był obowiązkowym etapem nocnych wędrówek znanych osobistości. I takim miał pozostać.

Bulgocący śmiech Chinniego dopadł go, gdy przeciskał się z gracją wąskim przejściem między stolikami, odpowiadając na pozdrowienia. Victor Partana zadrzał. Ten śmiech brzmiał jak dzwon pogrzebowy. Na sali zapadła ciemność. Tylko jeden reflektor oświetlił niewyraźną postać kobiecą. Niewidoczny fortepian obwieścił pojawienie się Ellis Worth, przekonującej, namiętnej interpretatorki jazzu. Była piękną Murzynką o delikatnych rysach i rozmarzonych oczach. W jej głosie współbrzmiały słodycz i głęboka zmysłowość. Ellis była gwiazdą *Vicky's Club*. Zaintonowała i



natychmiast wybuchły oklaski.

Albert Chinnici rzucił wyzwanie światu tylko z jej powodu. Wiedział, że trudno ją zdobyć, ale uważał, że nikt nie może mu się oprzeć i że i tę zwierzynę upoluje.

Przywołał jednego ze swoich ludzi.

- Powiedz dziewczynie, że zapraszam ją do stolika - rozkazał.

Goryl szykował się do natychmiastowego wykonania rozkazu, ale Al go powstrzymał.

- Nie teraz, idioto! Kiedy skończy się numer.

Wyciągnął z kieszeni marynarki woreczek z miękkiej skóry. Położył na stole i rozchylił, aby przyrzeć się zawartości: kupce wspaniałych, doskonałych, lśniących diamentów. Te symbole przejrzystości, perfekcji, twardości, światła, niezmiennej i niezwyciężonej potęgi, ten cud nieśmiertelności Al kojarzył z życiem wiecznym, czystością i niewinnością, których nieświadomie pożądał i ostatecznie utracił.

Powiedziano mu, że Platon opisując ós światą przyrównał ją do diamentu. Podzielał tę myśl. W swym błyszczącym skarbie próbował odczytać skomplikowaną alchemię przeznaczenia. Był jego maskotką, jego nadzieją i dawał mu poczucie bezpieczeństwa.

Z błyszczącej kupki wyjął jedno ziarenko wielkości grochu i podał mężczyźnie.

- Dołącz do zaproszenia - stwierdził stanowczo. - Daj jej to.

Był to królewski prezent, któremu - Al był tego pewien - żadna kobieta nie była w stanie się oprzeć.

Goryl oddalił się, a Chinnici uchwycił niespokojny wzrok Joe La Manna, który sygnalizował mu obecność kogoś, kto nie powinien znajdować się w tym lokalu. Boss zlokalizował swoimi małymi, kaprawymi oczkami Toniego Croce, Judasza który sprzedał mu Franka Latellę.

Niezwykła fala musiała wynieść Toniego Croce tego właśnie dnia i o tej właśnie godzinie na spokojną, ekskluzywną plażę *Vicky's Club*.

Musiał mieć jakiś poważny problem, aby tak się wystawiać, lub też pewność, że nie spotka zaufanych ludzi Latelli, gotowych zaświadczyć o jego kontaktach z człowiekiem Chinnici, jego zastępcą. Pomimo tego, że chwilowo byli sprzymierzeńcami, Al spojrział na niego z pogardą zarezerwowaną dla zdrajców. To ryzykowne porozumienie było świeżej daty, sprzed kilku dni.

- Sądzę, że mam bardzo ważną informację dla pana - zaczął Tony Croce dopadłszy Chinnici w męskiej toalecie restauracji *Da Gino*.

Przez chwilę stary boss myślał, że wybiła jego ostatnia godzina i pomyślał o błyszczącym, dodającym otuchy zapasie diamentów. Przypomniał sobie twarze

przyjaciół wykonanych w restauracyjnych toaletach lub u fryzjera. Rozpoznał w Tonim jednego z najbliższych ludzi Latelli i czekając na ostateczny cios przeklinał własną nieostrożność. Nigdy nie powinien wchodzić do toalety bez kogoś z obstawy. Nie bał się jednak, ponieważ był pewien, że diamenty, które miał przy sobie, zapewniały mu nieśmiertelność. I kiedy Tony rozpiął marynarkę, aby pokazać mu że jest czysty, nie zdziwił się.

- Co to za głupoty? - upomniął go od niechcenia.

- Odbyło się tajne spotkanie rodzin - poinformował Tony.

- Beze mnie.

- Bez pana.

- Więc? - udawał obojętność, gdy tymczasem wszystkie jego zmysły zostały postawione w stan gotowości.

- Szefowie zdecydowali, że przynosicie pecha organizacji.

- No no no - uśmiechnął się zbierając diamenty, które pod lekkim naciskiem palców wracały do woreczka.

- A ty teraz spełniasz dobry uczynek. Chcesz uratować mi życie. Widać masz dobre serce. Czyż nie?

- Proponuję wam układ - pozornie był spokojny, zdecydowany, ale krew krążyła mu jak samochód wyścigowy, a serce waliło jak oszalałe.

- Posłuchajmy - zachęcił do kontynuowania. - Albert Chinnici nigdy nie odrzucił korzystnej propozycji wymiany.

- Rodzinie Franka przypadło zadanie wymierzenia sprawiedliwości.

Tony odkrył karty. Wszystko na nie postawił. Albo miał szlema, albo był to jego koniec. Teraz albo nigdy. Wszystko lub nic. Władza go nieodparcie pociągała. Nie potrafił jej się oprzeć. Miał dosyć roli podnóżka, pazia. Nie chciał być dłużej punktualnym i gorliwym wykonawcą, dobrze opłacanym, gotowym lizać rękę wspaniałomyślnego pana. Miał dosyć tego oświeconego bossa, który decydował za niego, ustalał co jest dobre, a co złe.

Sam chciał się znaleźć w pokoju z przyciskami i upajać się władzą.

- Wszyscy zgodnie przeciwko mnie - powiedział Al skubiąc czubek nosa. - A ty?

- Gdybym był posłuszny, nie pytałby mnie pan teraz o to.

- Dobrze powiedziane, chłopcze - zachichotał bawiąc się swoimi diamentami. - Masz również poczucie humoru i tak mój drogi przyjaciel Frank tobie powierzył tę misję.

Chinnici czuł jak narasta w nim wściekłość. Pomyślał o swoich ludziach - sami

gówniarze. Gdyby choć jeden był z jajami, nie potrzebowałby zdrajcy, żeby wiedzieć co w trawie piszczy. Joe La Manna, ten cholerny zięć, którego głównym zadaniem było dostarczanie uciech własnej żonie, jego najstarszej córce, był coraz głupszy. Nie widział nawet muchy na własnym nosie. Wygodne życie uwypukliło jeszcze jego naturalną głupotę.

- Zawrzyjmy układ - nalegał.

- Daję wam głowę Franka.

Mężczyźni przyglądali się sobie, jakby chcieli przejrzeć się na wylot.

- Tak, tak - zamruczał Al. Przelatywało mu przez głowę wiele pytań, chciałby dowiedzieć się na przykład, dlaczego jeden z zaufanych ludzi Latelli zdecydował się na ten ryzykowny krok, ale wszystkie wątpliwości zachował dla siebie. Tony powiedziałby mu cokolwiek, rozmijając się z prawdą, której prawdopodobnie nawet on sam nie znał.

Zdrada jest skomplikowanym wykroczeniem. Nikomu do tej pory nie udało się jej racjonalnie wytłumaczyć. Nie chodziło w niej tylko o korzyści materialne. Ograniczył się do stwierdzenia:

- Głowę Franka. A co chcesz w zamian?

- Czuję potrzebę rozszerzenia działalności. Latella tetryczeje. Przepuszcza wiele dobrych interesów.

- Którym ty oczywiście nie pozwoliłbyś się wymknąć?

Al przeżywał szczęśliwy moment niezwyklej jasności umysłu, która pozwoliła mu docenić wyjątkową, przenikliwą inteligencję Franka, przy której ginął prostacki spryt Toniego.

- Sądzę, że tak - przyznał Tony przełykając ślinę.

Takie rozumowanie było dla Chinnici zrozumiałe. Synowie, którzy buntują się przeciwko ojcu, chcą go zniszczyć, aby zająć jego miejsce, młodzi, niecierpliwi w dążeniu do zastąpienia starych w roli przywódcy stada. Jednak jedną z najbardziej niepojętych zagadek była zdrada.

- Latella ma syna - zaproponował Al.

- Zero, znaczy mniej niż zero.

- Jest José Vicente Dominici, który zerem nie jest.

- Nikt nie jest wieczny.

- Dobrze powiedziane, chłopcze - pogratulował gasząc papierosa w popielniczce.

- Zgoda - powiedział Chinnici. - Pomogę ci zdobyć tron Latelli. Ale Frank nie jest łatwym celem.

- W niedzielę o pierwszej. Na obiedzie w Plaza. Dokładnie o pierwszej. Będzie tylko z kierowcą.

- Okay. Zostaniesz obsłużony. Prawie bym zapomniał, żeby ci podziękować. W gruncie rzeczy zawdzięczam ci życie, no nie?

- Będę również dobrym sprzymierzeńcem w odpowiednim czasie.

- Jesteś typem, który patrzy daleko - pożegnał się Al.

Kiedy został sam, przypomniał sobie, po co przyszedł do toalety. Od pewnego czasu odczuwał coraz częstszą potrzebę oddawania moczu. Stał przed miską klozetową, rozpiął spodnie i ze swojego atrybutu męskości wycisnął mizerny strumyczek przypominający niteczkę wody wyciekającą z wysychającego źródła. Powiększona prostata, dająca mu się nieźle we znaki, zatrzymywała płyn organiczny. Pamięć nie była już taka jak dawniej, wspomnienia zacierały się, niepewne były punkty odniesienia, nazwy, imiona wymykały się z pamięci. Mgła, która przyćmiewała mu umysł, czasami gęstniała do tego stopnia, że tworzyły się przerażające luki. Był stary, wydawał się mieć więcej niż sześćdziesiąt pięć lat. Był chory. Ale nie zmieniłby ani jednego dnia w swoim życiu. Życiu, w którym starał się zaspokoić każdą swoją zachciankę.

Zadanie wyeliminowania Franka powierzył Joe La Mannie, który zawsze wiedział, gdzie można znaleźć zawodowego mordercę, killera. Zamach niestety nie udał się i za późno było na samokrytykę bądź na szukanie winnych. Teraz Latella siedział w ukryciu i być może organizował odwet. A ten łajdak Tony Croce wbrew wszelkim regułom, próbuje nawiązać z nim kontakt w *Vicky's Club*. Al dał znak Joe, żeby zajął się Tonim. Jego obecność nie wróżyła nic dobrego.

Ellis Worth skończyła piosenkę wśród oklasków i podeszła do stolika Chinnici.

Mężczyzna popieścił zamglonym wzrokiem wysmukłą sylwetkę, której krągłości podkreślała biała suknia z błyszczącej satyny. Dziewczyna ścisnęła między kciukiem a palcem wskazującym najczystszej wody diament. Przez chwilę podziwiała go pod światło. Bawiła się jego blaskiem. Później odłożyła go na stolik.

- Piękny, prawda? - odezwał się Al.

- Godny królowej. Ale ja jestem tylko piosenkarką - odpowiedziała obawiając się czy go nie uraziła.

- Jest ciebie godny, uwierz mi - stwierdził z przekonaniem, zapraszając ją gestem, aby usiadła.

Ellis nie przyjęła zaproszenia.

- Przyjmuję komplementy, ale nie prezenty.

- Dama nigdy nie mówi „tak”. Za pierwszym razem - zarechotał sprośnie puszcżając oczko. Al pomyślał, że należy do kobiet, które dają się prosić, albo też jest spryciarą, która mierzy wysoko.

- Mój chłopak się nie zgadza - usprawiedliwiła się. - A ja się z nim zgadzam.

Niewinny uśmiech, w którym pokazała białe, drobne jak perły zęby, podniecił go jeszcze bardziej.

- Twój chłopak jest kretnym - stwierdził dobrodusznie, pieszcząc ją zmęczonymi oczami.

- Ja też tak uważam - przyznała, szukając w ironii ucieczki przed niebezpiecznym tematem. - Niech mi pan wierzy, panie Chinnici, serce mi się ścisza - i w pewnym sensie tak było.

Al wyciągnął rękę w jej kierunku i położył wysuszoną, pokrytą niebieskimi żyłkami dłoń na jej doskonałym w formie biodrze.

- Umiem być bardzo dyskretny - zagwarantował. - Brylant jest miłym podarunkiem. Dobrze zapłacę za ten numer. I będzie to naszą tajemnicą.

- Moja dziewczyna jest artystką, a nie kurwą z twojego burdelu, stary - wtrącił się spokojnym głosem mężczyzna, który nagle pojawił się u boku Ellis.

Boss rozpoznał w nim pianistę przygrywającego Ellis i spojrział na niego tak, jakby był już martwy. Przyjrzał się tej młodej, nieprawdopodobnie pięknej twarzy i w zimnym uśmiechu rozpoznał determinację, której nigdy nie zapomniał, która ożywiła go, gdy był w jego wieku. Zamiast zareagować i wściec się, oklapł jak przekłuty balonik. Nie ze strachu. Wystarczyłoby unieść brew, a jeden z jego ludzi skrzyłby kark temu aroganckiemu bubkowi.

Oklapł pod wpływem niesmaku do samego siebie. Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy zdawał sobie jasno sprawę z tego, kim jest: lubieżnym starcem, zmęczonym, chorym, który grzął w bagnie życia, będącego pomyłką i zbliżającego się ku schyłkowi.

- W porządku, chłopcze - powiedział Al. - Nic nie słyszałem. Powiedzmy, że to jest twój szczęśliwy wieczór.

Mały kamyk błyszczał na stoliku obok kryształowego kieliszka. Piosenkarka i pianista oddalili się.

- Mogłeś mi powiedzieć, że go znasz - zaprotestował urażony Joe La Manna, który zajął miejsce przy stoliku Chinnici.

- Niby kogo? - zareagował gwałtownie.

- Irlandczyka.
- O jakim Irlandczyku gadasz? - odparował ze złością.
- O typie, który nie trafił Latelli. Nazywa się Sean McLeary.
- Pianista? - powiedział Al przechodząc od złości do uśmiechu, który ustąpił z kolei miejsca głośnemu, nieokiełznanemu śmiechowi przerwaneemu przez gwałtowny atak kaszlu.

Joe przyglądał się staremu, kładąc na karb choroby to jego kolejne dziwactwo.

- Nigdy przedtem nie nawalił - podjął, robiąc aluzję do Seana McLeary.
- Ten zarozumiały Irlandczyk zasługuje na lekcję - zawyrokował z nagłą powagą Al.
- Oczywiście - poparł go Joe, który nie umiał przeciwstawić się brakowi logiki szefa.
- Co mi powiesz o Tonim Croce? - zmienił temat.
- Rozmawiałem z nim. Zna kryjówkę Latelli. Pilno mu, tak jak i nam, zakończyć sprawę.

- Przynajmniej wiemy, że jego niedotrzymanie terminów jest usprawiedliwione.
- Czy można załatwić to szybko?
- Mają się na baczności. Trudno ich będzie zaskoczyć. Potrzeba czasu i dobrej zasadzki.

- Ten pianista wygląda na bystrego.
- Irlandczyk nie chce o tym słyszeć.
- Chłopak szuka guza. Ja go nauczę, że nie zostawia się zaczętej roboty.
- Tutaj? - zapytał Joe zdziwiony, ale gotów na wszystko.
- Nie, nie tutaj. Nie chcę sprawiać kłopotów mojemu przyjacielowi Vickowi. Później. Na zewnątrz, po zamknięciu lokalu.

Podeszła niezwykle piękna dziewczyna. Miała skórę białą jak mleko i szkarłatną suknię. Odsunęła krzesło i zajęła miejsce przy stoliku Ala.

- Jestem prezentem od drogiego przyjaciela Victora - przemówiła melodyjnym głosem. - Mówię, chodzę i mam inne zalety.

Joe chciał się podnieść, ale boss go powstrzymał.

- Podziękuj Victorowi - powiedział z żalem do kobiety. - Wiem, co tracę, ale dziś wieczór chcę być sam.

- Rozumiem - wyszeptwała szykując się do odwrotu.

Al wziął diament ze stolika i podał jej.

- To dla ciebie - powiedział.

- Dla mnie? - zapytała zdziwiona.

- Tak, dla ciebie. I rusz tyłek, zanim się rozmyślę - zagroził Al.

- To szczęśliwa noc dla wielu osób - dodał. - Spróbuj to wykorzystać.

Dziewczyna przyjęła radę i poszła nacieszyć się niespodziewanym bogactwem, mając nadzieję, że stary się nie rozmyśli.

Sean odetchnął głęboko czystym, nocnym powietrzem. Broń w prawej kieszeni płaszcza dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Wyszedł bocznymi drzwiami dla artystów i spoglądał w górę na migocące gwiazdy. Ulica uprzątnięta przez wiatr i umyta deszczem przypominała czarny, błyszczący kamień odbijający blask świetlnych napisów. Nowy dzień nieśmiało muskał sukno nieba rozpostartego między drapaczami chmur. Ostatni goście opuścili lokal, czekał na Ellis, aby odprowadzić ją do domu.

- Jestem - powiedziała młoda piosenkarka, której klienci *Vicky's* z pewnością nie rozpoznaliby. Była bez makijażu, w szerokich flanelowych spodniach i grubym swetrze z błękitnej wełny, który ją jeszcze odmładzał.

Irlandczyk spojrział na nią czule i objął ramieniem. Nie był zakochany, ale bardzo mu się podobała. Była wspaniałą dziewczyną i świetną piosenkarką. Łączyła ich młodość, uroda, było im dobrze ze sobą, nie potrzebowali zbędnych słów. A poza tym nie zadawała zbędnych pytań, nie stwarzała problemów. Żyła dniem dzisiejszym, nie oplakując przeszłości, bez obawy o przyszłość. Zniekształcona w Korei ręka Seana, która przekreśliła definitywnie jego karierę solisty, nie przeszkadzała mu we wspólnym muzykowaniu z Ellis. Sprawiało mu to wielką przyjemność. Wzięła go pod rękę i ruszyli zaułkiem.

- Zbyt zmęczona, aby dać się zaprosić na obfite śniadanie? - zaproponował z niezwykłą wesołością. Znał takie miejsce na Czterdziestej Drugiej, jakieś dziesięć minut drogi stąd, gdzie mogliby dostać jajecznicę i wspaniałą kawę z tostami.

W ciszy pustego zaułka ich głosy były szeptem nadającym rytm krokom.

- Zmęczenie nie przeszkodzi mi skorzystać z tej wspaniałej okazji odnowienia moich zasobów energetycznych - odpowiedziała przytulając się do niego.

W tym momencie, w miejscu gdzie zaułek zakręcał, łącząc się z Broadwayem, ujrzeli srebrzystego chevroleta, zaparkowanego w poprzek drogi i blokującego przejście.



Wielki samochód miał opuszczone szyby i otwarte drzwiczki. Siedzący w nim ludzie niewątpliwie patrzyli w ich kierunku.

Sean rozpoznał Joe La Mannę za kierownicą i Alberta Chinnici na tylnym siedzeniu. Dwóch ludzi z obstawy stało opartych o lśniącą maskę.

- Wracajmy - wyszeptała przerażona Ellis.

- Stąd nie ma już odwrotu - wyjaśnił zimno, zmuszając ją, aby szła dalej. - Możemy tylko iść naprzód. Nic ci się nie stanie, jeśli zrobisz dokładnie to, co ci powiem.

Sean wiedział, czego chcą. Gdyby byli tam tylko po to, aby go zabić, nie daliby mu czasu na to, żeby zdał sobie z tego sprawę. Chociaż w przypadku Alberta Chinnici trzeba było wziąć pod uwagę jego nieprzewidziane reakcje.

Kiedy w lokalu Victora Joe La Manna wziął go na stronę i powiedział mu, że ma jeszcze raz spróbować z Latellą, ale tym razem bez pudła, Sean odmówił.

- Zwracam ci zadatek - powiedział. - Nie podoba mi się już ta robota.

Nie wiedział dokładnie, dlaczego podjął taką niespodziewaną decyzję, ale teraz, kiedy wiedział, że jest na usługach Alberta Chinnici, coś przeszkadzało mu wywiązać się z umowy.

Łamiąc zasady gry ryzykował życiem, ale igranie ze śmiercią było dla niego podniecającym przyzwyczajeniem.

- Kiedy cię popchnę, rzuć się na ziemię - powiedział półgłosem do Ellis. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Sparaliżowana strachem dziewczyna zachowywała się jak automat. Skinęła głową na znak, że zrozumiała.

Sean patrzył na starego Ala nie tracąc jednocześnie z oczu uzbrojonych goryli.

- Zbliź się, Irlandczyku - rozkazał stary boss swoim bulgoczącym głosem.

Sean dojrzał niebieskie błyski dużego kamienia na jego małym palcu. Prawą ręką dotykał z niewysłowioną rozkoszą nieodłącznego woreczka z diamentami. Wiedział, że ani ze strony starego, który nie był uzbrojony, ani ze strony Joe, który - choć uzbrojony - miał ograniczone ruchy siedząc za kierownicą, nie grozi mu niebezpieczeństwo. Natomiast dwaj mężczyźni oparci o samochód mieli idealne warunki na to, aby go dostać.

- Odeślij dziewczynę - rozkazał Chinnici. - Tak będzie lepiej.

Irlandczyk nie usłuchał i dalej szedł ostrożnie do przodu. Zatrzymał się na dwa metry przez limuzyną, mając obstawę z prawej strony.

- Powiedziano mi, że nie chcesz wywiązać się z umowy - zabulgotał Albert bawiąc się

woreczkiem diamentów i ważąc go w prawej dłoni. Jego wodniste spojrzenie ślizgało się po ciele Ellis.

Sean poczuł obrzydzenie, natomiast dziewczyna była zbyt wstrząśnięta, aby odczuwać jakiegokolwiek emocje.

- Mniej więcej tak się rzeczy mają - odpowiedział Irlandczyk.

- Powinieneś zmienić zdanie - poradził mu Al.

Wokół panowała cisza przerywana jedynie ich głosami i delikatnym szmerem pracującego silnika.

- Pomyśle - odpowiedział ostrożnie Sean. Chciałby, żeby odjechali, ale wiedział, że tak się nie stanie.

Al włożył do ust papierosa, Joe podsunął zapalniczkę, z której wytrysnął niebieskawy płomyk. Przy pierwszym pociągnięciu dostał napadu kaszlu. Kiedy się uspokoił, przesłał mu szyderczy uśmiezek.

- Jesteś zarozumiałcem, Irlandczyku - prowokował. - Jesteś mocny tylko w słowach. Ale jak przechodzisz do sedna, to tracisz rozpęd. Strzelasz nie celując, jak na strzelnicy w lunaparku. Co trafisz, to twoje. Myle się, Irlandczyku? - spytał wkładając w te słowa całą swoją pogardę. - Jesteś błędzącą miną. Znaczysz mniej niż zero. Również przy fortepianie. Sądzę, że nawet gdybyś miał zdrową rękę, to nie potrafiłbyś nie tylko grać na fortepianie, ale nawet kręcić korbką katarynki. Założę się, że również z dziewczyną ci nie wychodzi, Irlandczyku. Powinna poznać prawdziwego mężczyznę.

- Możliwe - odpowiedział Sean nie zmieniając pozycji.

Swoją nadzieję na przeżycie wiązał z szaleństwem starego bossa, który łamiąc wszelkie zasady oddawał się swemu niezwykłemu rytuałowi bawiąc się woreczkiem z diamentami, podczas gdy miał tysiące sposobności usunięcia go ze swej drogi definitywnie. Jeśli o to mu chodziło. Sean miał wrażenie, że wisi nad przepaścią.

Spojrzenie młodego mężczyzny przesunęło się z niezwykłą regularnością z podskakującego woreczka z diamentami na obstawę i z powrotem, gdy niespodziewanie stary chybił, nie złapał woreczka, który upadł nieszczęśliwie na asfalt, otworzył się i kamienie rozsypały się po ulicy niby lśniące łyzy. W momencie, gdy Ellis popchnięta przez niego upadła na ziemię, Sean nie wyciągając broni z kieszeni trafił dwóch goryli, którzy nie zdążyli zareagować i osunęli się jak przekłute baloniki. Później spojrzął na starego zapatrzonego ze smętnym uśmiechem w rozsypane fragmenty swojego talizmanu. Kiedy jego głowa trafiona pociskiem Seana rozpadła się, był już martwy. Życie opuściło go wcześniej, w chwili gdy pomylił się i upuścił woreczek z diamentami. Joe La Manna

zrobił jedyną możliwą rzecz - ruszył z piskiem opon zostawiając na ziemi dwa trupy.

Sean pochylił się nad Ellis.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Masz dużą dziurę w płaszczu - zauważyła, jakby to była najważniejsza rzecz. Wstała i spojrzała na dwa nieruchome ciała. - Dlaczego? - spytała.

- Ich życie za moje. Nic osobistego.

- Skończysz w więzieniu?

- Nie. Jeśli zaświadczysz, że działałem w obronie własnej. Teraz jednak musimy iść. Lepiej, żeby nas tu nie widziano. Może do nas nie dotrą.

Z tyłu za nimi, na końcu zaułka, pojawiła się masywna sylwetka Arta Buchmana, policjanta związanego z klanem Latelli. Poszedł prosto do budki telefonicznej, aby przekazać natychmiast wiadomość o tym, co zaszło. Różowe światło poranka oświetliło wieżowce.

## 12

José odłożył słuchawkę i sprawdził godzinę na ręcznym zegarku. Była czwarta dziesięć rano. Stał chwilę przy telefonie zastanawiając się, czy należy natychmiast iść do Franka, zbudzić go i poinformować o tym, co zaszło, czy też lepiej poczekać, aż się obudzi, żeby zakomunikować mu dwie wiadomości: dobrą i złą.

Odsunął zasłony i światło poranka zalało pokój. Psy spały pod daszkiem, w głębi ogrodu. Lekki wiatr przyniósł zapach morza. José odetchnął głęboko, z ulgą. Skończyła się koszmarne noc. Był jednak szczerze zasmucony wiadomością. Bardziej bolesne będzie to dla Franka, kiedy zapozna się z wynikami śledztwa Arta Buchmana. Zdecydował, że lepiej będzie, jeśli poinformuje go o wszystkim natychmiast, i poszedł na górę. Frank nie spał, był kompletnie ubrany. Nawet zdążył się ogolić, w powietrzu unosił się zapach jego ulubionej wody kolońskiej, którą sprowadzał z Londynu, tak jak i cygara Davidoff. Miał na sobie sportowy, świetnie skrojony garnitur i sznurował sobie właśnie buty.

- Kto dzwonił? - zapytał Frank.

- Buchman.

- Wiadomości?

- Złe.

Frank podniósł głowę i utkwiał spojrzenie w twarzy rozmówcy.

- Wyrzuć to - rozkazał półgłosem. - Mów.

- Tony Croce. Człowiekiem, który sprzedał cię Chinnici jest Tony Croce.

To naprawdę była zła wiadomość i Frankowi wydawało się, że słyszy wokół siebie drwiący śmiech. Zachował kamienny spokój. Tylko oczy wyrażały ból i gniew.

Tak więc Tony chciał jego śmierci. Pamiętał go jako chłopca, który dopiero co przybył do Nowego Jorku. Nie wyglądał na swoje dwadzieścia lat. Natychmiast pozyskał sobie sympatię Franka swoim szczerym uśmiechem i pełnym podziwu spojrzeniem. Dumnie

obnosił swoje świąteczne ubranie, niemodne, za ciasne, za małe, z przykrótkimi rękawami.

- Don Giovanni Colosimo przesyła wam pozdrowienia - zaczął przedstawiając się z powagą współziomkowi w jego fabryce aparatów radiowych Latella Radio Set. - I również to - dodał podając mu starannie zapakowaną paczuszkę. - To święcona woda z sanktuarium Madonny z Capo San Vito.

Frank docenił prezent ze stron rodzinnych. Wierzył w cudowną Madonnę. Wyciągnął rękę po prezent i Tony pocałował ją na znak poddaństwa i szacunku. I nazwał go *compare*, według sycylijskiego zwyczaju, który nakazuje zwracać się w ten sposób do wpływowych ludzi, od których oczekuje się pomocy i ochrony.

Frank uśmiechnął się rozbrojony naturalnością Toniego.

- Tutaj nie ma *compari*, chłopcze. Ale pomogę ci na tyle, na ile będę mógł. Bo szanuję mego przyjaciela Colosimo. I ponieważ dasz się lubić. I wreszcie, ponieważ wydaje mi się, że chodzisz po ziemi.

- Będę panu dozgonnie wdzięczny - przyrzekł młodzieniec.

Antonio Croce stał się Tonim i okazał się w tych trudnych latach współpracownikiem chętnym i godnym zaufania. Należało mieć się na baczności przed niedobitkami band Irlandczyków, chronionych przez współziomków w mundurach policyjnych. I przed bestialstwem przestępców włoskiego pochodzenia, którzy okradali i mordowali ludzi, w których żyłach płynęła ta sama krew. Pospolici zbrodniarze, ciemni i gotowi na wszystko za parę dolarów. Na szczęście byli też ludzie tacy jak Latella, Johnny Torrio, Albert Chinnici, Salvatore Maranzano i paru innych ludzi o szerokich i jasnych horyzontach, posiadający zdrowy rozsądek i zmysł do interesów. Oświecona elita, która zrozumiała, że pieniądze nie powinny i nie mogły pochodzić z kradzieży i rabunku, ale ze zorganizowanego biznesu. Torrio był pierwszym, który na początku lat dwudziestych zarabiał astronomiczne sumy na przemyśle alkoholu w Chicago. Albert Chinnici zrobił to samo w Nowym Jorku, organizując dodatkowo loterie i sieć domów publicznych. Nie obyło się oczywiście bez rozlewu krwi. Również postępowanie pozostawia na swojej drodze ofiary. Były więc liczne wojny, spadło wiele głów. Ale kiedy Tony przybył z Sycylii, najgorsze mieli już za sobą. Uciekano się do przemocy tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. A interesy kwitły. Frank Latella był młodym i inteligentnym mężczyzną, Tony Croce stał się wkrótce jednym z jego zaufanych ludzi i bliskim przyjacielem. Wysubtelniał, nabrał ogłady, wzbogacił się. Było oczywiste, że zaczęła go drażnić żądza władzy, a ponieważ nie mógł jej zdobyć w krótkim czasie i o własnych

siłach, zmuszony był szukać niebezpiecznych sprzymierzeńców i ostatecznych rozwiązań.

- Szkoda - skomentował Frank. - Lubilem go. Szczerze.

Już go skreślił z listy żyjących. Wstał, włożył marynarkę i klepnął z sympatią José.

- Opowiedz mi wszystko po kolei.

- Mam również dobrą wiadomość - powiadomił go José. - Stary Albert został zlikwidowany - dodał kreśląc z papieskim namaszczeniem krzyż w powietrzu.

- Był dobry i lojalny, zanim zachorował. Szkoda, że tak skończył - skomentował Frank ze szczerym żalem.

José opowiedział mu ze wszystkimi szczegółami o wydarzeniach, o których poinformował go telefonicznie Buchman.

- Teraz dopiero prasa podniesie szum - myślał na głos. - A ten cholerny senator będzie się teraz miotał! - przerwał. - A propos - podjął - kim jest ten Irlandczyk, który niechcący i gratisowo oddał nam tę przysługę?

- Nie jest tym, na kogo wygląda - odpowiedział José.

- A na kogo wygląda?

- Na eks - bohatera, który brzdąka na pianinie.

- Znasz go dobrze?

- Nie na tyle, aby znać jego zalety, którymi zablysnął. Przychodzi do mojego klubu.

- Chciałbym go poznać - odrzekł Latella. - Jesteśmy mu coś winni.

Podniósł się, przeszedł przez pokój i zszedł na parter. José poszedł za nim. Wziął płaszcz i kapelusz.

- Wracamy do domu - powiedział. Na chwilę zatrzymał się w progu i dodał. - Tonim ty się zajmiesz. Osobiście. To wstydliva sprawa. Lepiej, żeby się to nie rozniosło.

## 13

Obudził go cichy odgłos jadącej windy. Tony Croce nasłuchiwał wstrzymując oddech. Krew pulsowała mu w skroniach, szumiało w uszach. Winda zatrzymywała się na każdym piętrze i mężczyzna nabrał otuchy. To był z pewnością mleczarz, wydawało mu się, że słyszy brzęk butelek. Przejechał ręką po twarzy, jednodniowy zarost był długi, twardy i ostry. Zasnął w fotelu w salonie, obok telefonu, czekając na wiadomość, która nie nadeszła. W miarę upływu czasu tracił pewność, ciążyło mu nieczyste sumienie. Ale nie może tracić ducha ani robić fałszywych ruchów przyjmując, że do tej pory wszystkie ruchy były właściwe. Mijały godziny, a jego wątpliwości rosły. Nie wierzył już w strategię ambicji, której powierzył swoje sny o sławie. Gdyby mógł się cofnąć wstecz, czy odrzuciłby zdradę? Prawdopodobnie tak, zwłaszcza że skazała go na nieskończoną, ponurą samotność.

- Zawiadomimy cię po skończonej robocie - powiedział mu Joe La Manna w *Vicky's Club*.

Ale telefon milczał. Wiedział, że nie będzie łatwo wykurzyć Franka z jego kryjówki i zabić go, ale w tym stanie rzeczy musiał wierzyć w to ze wszystkich sił.

Wstał z fotela, rozprostował zdrętwiałe nogi, podszedł do drzwi, otworzył je i schylił się po butelkę z mlekiem i gazetę. Zostawił je na stole w kuchni, w białej lśniącej kuchni jak z reklamy pisma zajmującego się urządzeniem wnętrz. Każdy pokój, od salonu po sypialnię, był bardzo starannie urządzony. Nieźle mu się powiodło w ciągu tych czternastu lat od momentu wylądowania w Nowym Jorku. Udało mu się nawet posiąść jedyną kobietę, którą kochał. Fakt, że tragiczna pomyłka usunęła z jego drogi nieświadomego niczego rywala, wydał mu się znakiem danym przez los.

Wspomnienie Addoloraty i perspektywa uciech, których będzie z nią zażywać, jeśli wszystko pójdzie dobrze, złagodziły lodowaty strach, który się w nim zagnieździł.

Nastawił czajnik, otworzył gazetę i to, co zobaczył, ścięło mu krew w żyłach. Duże

zdjęcie na pierwszej stronie przedstawiało zwłoki dwóch mężczyzn leżące na bruku w kałuży krwi. Tytuł brzmiał: „Dwaj członkowie bandy Chinnici zamordowani o świcie”.

Jego wątpliwości, strach przybrały teraz konkretną formę. Latella prawdopodobnie żył, jego sen się skończył. Zauważył, że drżą mu ręce. Jeszcze tak niedawno wydawało mu się, że ma w ręku cały świat. Teraz utracił wszystko. Bał się prawdy, ale musiał ją poznać za wszelką cenę. Uczynił rzecz, której nie powinien absolutnie robić. Zadzwoił do Chinnici. Telefon odebrał Joe La Manna.

- Czekałem całą noc - zaczął Tony.
- Były komplikacje.
- Widziałem wiadomości - zareplikował robiąc aluzję do gazety.
- Wszystko w porządku, przyjacielu - uspokoił go.
- Chcę z nim mówić - powiedział myśląc o Diamond Alu. Nie wiedział, że on również nie żyje.
- Odpoczywa. Później, kiedy się obudzi, odezwie się.
- A tamta sprawa? - nalegał, robiąc aluzję do zlikwidowania Latelli.
- W swoim czasie - usłyszał lakoniczną odpowiedź La Manny.

Frank Latella, miał tego wręcz matematyczną pewność, żył, a on mógł mieć nadzieję na oczyszczenie się, likwidując Chinnici zgodnie z wydanym mu poleceniem. Wpadł w szal. Był jak ogłupiała ćma usiłująca ratować się i ciągle wpadającą na lampę, która miała ją zabić.

Odłożył słuchawkę, aby połączyć się z willą w Coney Island, ale nikt nie odpowiadał. Wykręcił numer klubu Dominici. Odpowiedział mu zaspany głos José.

- Co się stało? - zapytał.
- Chciałem zawiadomić, że zajmę się przesyłką jeszcze dzisiaj.
- Nie ma pośpiechu - zapewnił go José. - Dzisiaj, jutro, co za różnica?
- Wydawało mi się - zaczął jękając się - wydawało mi się, że to pilne.
- Rzecz w tym, że nasz przyjaciel nie jest dzisiaj w najlepszej formie. Być może nie będzie miał jej także jutro.

Strach spowodował, że Tony zapomniał o najbardziej elementarnych zasadach ostrożności.

- Dlaczego mi tego nie wyjaśnisz? - zapytał.
- Ależ oczywiście - poparł go José.
- Kiedy?
- Dziś wieczór. Przyjdź do klubu dzisiaj wieczorem.



- Kłopoty?

- Żaden kłopot. Wszystko okay, przyjacielu - José miał pogodny, spokojny, przekonujący głos.

- Może być o ósmej?

- Doskonale.

- Może zjemy razem kolację?

- I wszystko ci wyjaśnię, punkt po punkcie.

Znów wstąpiło w niego życie. Serce zaczęło bić normalnie. Zabije Chinnici i Frank nigdy się nie dowie o jego zdradzie. Na razie może być spokojny, ponieważ - tak utrzymywał José Vicente - nie było pośpiechu. Później wszystko wyjaśni. Teraz ma przed sobą cały dzień, który spędzi z Addoloratą. Od wielu dni, od śmierci męża odpychała go od siebie. Nie rozumiał dlaczego. Dzisiaj pójdzie do niej, niosąc jej prezenty i miłość.

Od śmierci ojca Nancy chodziła do szkoły bez entuzjazmu, jadła bez entuzjazmu, żyła bez entuzjazmu. Zachowywała się jak automat, któremu kazano uczyć się, jeść, żyć. Cienka nić porozumienia z kolegami z klasy została definitywnie przerwana. Wydawali jej się zbyt dziecinni, niedojrzali, bez charakteru, nie potrafili cierpieć bez jednej łzy, nie umieli dotrzymać tajemnicy.

Nauczycielka, pani Estearne, na próżno próbowała zrozumieć skomplikowaną osobowość nastolatki, zwłaszcza po tym rozlewie krwi, w którym stracił życie jej ojciec, Calogero Pertinace. Nie spuszczała z oka tej posłusznej, zamkniętej w sobie uczennicy, po której mogła spodziewać się tylko długich okresów milczenia.

Gdyby Nancy nie poczuła ostrych bólów w podbrzuszu, a w chwilę później ssącej pustki w żołądku, pani Estearne również i tego ranka nie usłyszałyby głosu swojej niezwyklej uczennicy. Do bólu i wrażenia pustki dołączyła migrena. Jakby niespodziewanie jakaś obręcz boleśnie ścisnęła jej głowę. Gdyby miała opisać to dziwne złe samopoczucie, nie potrafiłaby tego uczynić. Odłożyła pióro na ławkę i trzymając się za brzuch pochyliła się do przodu.

Nauczycielka, blondynka o bujnych kształtach i niebieskich, łagodnych oczach, przerwała dyktowanie i podeszła zaniepokojona.

- Coś nie tak? - zapytała.

Nieruchome spojrzenie i niezmienny wyraz twarzy dziewczynki nie były w stanie ukryć jej przestachu. Nancy powiedziała tylko:

- Mogę pójść do łazienki?

- Źle się czujesz? - dopytywała się pani Estearne.

- Nie - odpowiedziała Nancy. - Chciałabym tylko pójść do łazienki.

Nauczycielka skinęła przyzwalająco głową.

W łazience Nancy zauważyła, że ma majteczki poplamione krwią, i przypomniała

sobie rozmowy mamy i babci o nadchodzącym nieuchronnym zjawisku fizjologicznym, dzięki któremu miała stać się kobietą.

Ta świadomość rozproszyła tajemnicę, strach, a skrepowanie stało się nagle znośne. Odczuła nawet dumę. Poczula się ważna, wyjątkowa, niejasno zdając sobie sprawę z tego, że został właśnie uruchomiony mechanizm reprodukcji. Przypomniały jej się słowa ojca: - „Będziesz wspaniałą kobietą, Nancy”.

Wróciła do klasy i poprosiła o pozwolenie pójścia do domu.

- Mogę ci w czymś pomóc? - zaniepokoiła się nauczycielka.

- Tak. Proszę puścić mnie do domu - powiedziała Nancy.

- Źle się czujesz?

- Nie czuję się dobrze.

- Chcesz pójść do pielęgniarki?

- Chcę iść do domu - nalegała dziewczynka spoglądając na nią niewzruszenie.

- Dobrze. Idź do domu - zezwoliła nauczycielka, podczas gdy uczniowie komentowali półgłosem to wydarzenie.

Nancy zebrała swoje rzeczy i nie słuchając zaleceń pani Estearne wyszła. Czowała się już lepiej. W domu będzie mogła zwierzyć się matce, która jej pomoże. Były teraz same. Babcia i Sal przyjęli zaproszenie pewnej rodziny współziomków z High Point w New Jersey, przyjaciół, którzy po tragedii w ten konkretny sposób chcieli wyrazić swoją sympatię i solidarność. Przede wszystkim chcieli pomóc Annie Pertinace wyjść z odrętwienia, w jakie wpadła po śmierci syna.

Addolorata i Nancy po raz pierwszy pozostały same i dzięki częstym rozmowom nawiązała się między nimi piękna więź przyjaźni. Opowieści Addoloraty nadawały określony kształt wspomnieniom, z których wyłaniała się odtwarzana tkliwie postać Calogero Pertinace, dobrego, mądrego, atrakcyjnego męża, którego nie umiała docenić za życia. Teraz przekładała na słowa swoją miłość do niego i do rodziny, te wszystkie drobne gesty świadczące o zainteresowaniu nimi. Czasami pozwalala sobie na nieukojoony, dziecięcy płacz w ramionach dziewczynki, która była jej córką.

Do serca i umysłu Nancy zakradało się w tych momentach zimne i palące pragnienie zemsty. Nie zastanawiała się gdzie, kiedy, jak, ale wiedziała, że pomści swego ojca.

Ze wzburzonym sercem, zajęta nowymi myślami, Nancy pośpiesznie szła do domu. Na ulicy było niewiele osób, dzieci były w szkole, mężczyźni w pracy, kobiety na zakupach.

Miała nadzieję, że matka jeszcze nie wyszła lub też że już wróciła. Bardzo chciała z nią

porozmawiać. Szybko wbiegła po schodach i zasapana stanęła przed drzwiami mieszkania. Chciała zadzwonić, gdy zauważyła, że drzwi są uchylone. Wystarczyło pchnąć je, aby się otworzyły szeroko. Z ciemnego przedpokoju widziała pustą kuchnię. W salonie panował trudny do opisu nieporządek. Czarne buty Addoloraty leżały porzucone pod drzwiami sypialni, z której dochodziły do Nancy przytłumione jęki. Przestraszyła się. Na plecach poczuła mrowienie, nieprzyjemne dreszcze. Odwróciła się i spojrzała na drzwi wejściowe, jakby zastanawiając się nad możliwością ucieczki. Ale ciekawość i odwaga zwyciężyły, nacisnęła klamkę, powoli otworzyła drzwi sypialni.

To, co zobaczyła, sparaliżowało ją. Potworność gwałtu podziałała na nią jak trucizna. Na małżeńskim łóżku, do którego czasami chroniła się i w którym była przyzwyczajona widzieć rodziców w spokojnej, bezpiecznej bliskości, jej matka w podartym ubraniu była gwałcona przez brutala, który zatykał jej usta ręką, aby zdusić krzyki.

Jęki kobiety mieszały się z urywanymi słowami gwałciiciela, który narzucał jej swoją zwierzęcą żądzę. Nancy musiała powstrzymać to nagie, ohydne ciało, które napadło na jej matkę. Przed łóżkiem leżało rozrzucone ubranie mężczyzny, na oparciu krzesła wisiała kabura z jasnej skóry, z której wystawała kolba pistoletu. Nancy chwyciła ją. Broń zaciążyła w jej małej rączce, pomogła sobie drugą, wyciągnęła ręce i wycelowała w kark mężczyzny. Była teraz chłodna, zdecydowana, świadoma dokonania tego jedyne go gestu, który mógł uratować jej matkę. Strzeliła z bezlitosną determinacją kata, bez wątpliwości, bez wahania. Ręka mężczyzny rozluźniła chwyt i Addoloracie, skamieniałej z przerażenia, udało się podnieść z łóżka. Podczas gdy trup mężczyzny osuwał się na ziemię, Nancy rozpoznała w nim Toniego Croce.

Nancy spojrzała na matkę pobrudzoną krwią mężczyzny i napotkała jej przerażony, pełen niedowierzania wzrok. Jedną ręką próbowała zebrać resztki podartej halki, aby okryć swą nagość, która napełniała ją wstydem.

- Niech Bóg nam wybaczy - wyszeptała Addolorata wstając ostrożnie z łóżka, jak winowajczyni, z rękami ubrudzonymi jeszcze ciepłą i lepłą krwią.

Nancy poczuła silne bóle w dole brzucha, zrobiło jej się niedobrze i zwymiotowała. Addolorata zarzuciła szlafrok i próbowała jej pomóc, ale dziewczynka odzyskała swą zimną krew. Przypomniała sobie twarz afrykańskiego bożka, niski głos, wielką niczym góra postać, od której biła siła i spokój. Pomyślała o José Vicente Dominici, przypomniała sobie jego słowa: „Przychodzi taka chwila w życiu każdego z nas, kiedy potrzebujemy przyjaciela. Gdy nadejdzie ten moment, możesz na mnie liczyć”.

Nie zwlekając Nancy sprawdziła w książce telefonicznej, nakręciła numer i kiedy

upewniła się, że jej rozmówcą jest właśnie José Vicente Dominici, powiedziała zdecydowanym głosem.

- Jestem Nancy Pertinace. Potrzebuję przyjaciela. Natychmiast.

José Vicente siedział na kanapie w salonie, na tym samym miejscu, które zajmował, gdy przybył do domu Pertinace po raz pierwszy. Nancy stała przy oknie, patrzyła na dzieci bawiące się na ulicy. Samochód, do którego dwaj mężczyźni załadowali ciało Toniego Croce, zniknął za rogiem bloku. Miejsce zostało oczyszczone szybko i sprawnie, bez zbędnych słów. Addolorata siedziała na brzegu fotela niczym onieśmielony gość. Pomogła zaprowadzić porządek w tym rozgardiaszu, potem usiadła w salonie. Była czystą esencją bólu, bez jęków, bez łez. Myślała o mężu i o kochanku. Pierwszy zabity pomyłkowo przez killera, drugi stracony z rozmysłem przez córkę w momencie, gdy gwałcił Addoloratę. Okrutny, dotkliwy los ją prześladował.

- Wszystko skończone - próbował pomóc jej José. - Zapomnijcie.

Addolorata pozostała nieporuszona, Nancy zadrżała. Znow ujrzała nagie ciało ojca chrzestnego dziko rzucające się na matkę, znow usłyszała odgłos strzału, odtworzyła moment śmierci, kiedy pocisk wszedł w głowę mężczyzny i uszło z niego życie. Położyła rękę na piersi. Pod wełnianą bluzeczką w białe - niebieską kratkę miała złoty medalik z Najświętszą Panienką, który Tony Croce podarował jej w dniu pierwszej komunii. Nancy pogładziła go, wsuwając dwa palce w zapięcie bluzeczki.

José podniósł się, jego potężna postać wypełniła cały pokój. Podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. Czuł, jak drży, i owładnęło nim dziwne uczucie czułości i obawy o to stworzenie, tak kruche i jednocześnie tak zdecydowane. To było jeszcze dziecko, ale o niespotykanej sile charakteru.

- Ja go zabiłam - powiedziała Nancy. - Pomodłę się za niego - obiecała.

- Sądzę, że to dobry pomysł - zauważył José z leciutkim uśmiechem. - Modlitwa może ci tylko pomóc. Ale zapomnij - poradził. - Śmierć jest zapisana w wielkiej księdze przeznaczenia, nie zależy od nas.

Frank Latella siedział zagłębiony w wielkim obrotowym fotelu z czarnej skóry, zabarykadowany za wielkim mahoniowym biurkiem, na którym stały zdjęcia w srebrnych ramkach, dwa zegary, z których jeden wskazywał czas włoski, drugi czas amerykański, stojąca lampa z zielonym abażurem, złota kopia Madonny z Capo San Vito i papiery, księgi, katalogi reklamowe, kilka pudełek z cygarami Davidoff. Ściany w ciemnym drewnie ożywiały reprodukcje przedstawiające krużganek starego klasztoru Benedyktynów w Monreale, świątyni z Selinunte i widok z Castellammare del Golfo z jej prostopadłym układem ulic. Za jego plecami królował portret Red Devila, najlepszego araba czystej krwi z jego hodowli, zwycięzcy pamiętnych zawodów.

Naprzeciw Latelli siedział młody, przystojny, uśmiechnięty mężczyzna o ironicznym spojrzeniu. José poznał go natychmiast, choć nie spodziewał się go spotkać tego dnia w kwaterze głównej. Był to Sean McLeary, o muskularnym ciele i niezwykłym umyśle. Tak go oceniał José. Sean podniósł się i wyciągnął rękę do Dominici, który ją uściśnął. José był wyższy od niego o dłoń i z pewnością silniejszy, ale tego eleganckiego reprezentanta wagi średniej lepiej było mieć za sprzymierzeńca niż nieprzyjaciela, niezależnie od siły fizycznej.

- Irlandczyk od dzisiaj pracuje dla nas - ogłosił Latella.

Sean opowiedział mu wszystko o sobie, włącznie z zamachem przed Plaza, który kosztował życie jego kierowcy i Calogera Pertinace. Latella zrozumiał i docenił szczerść tego wyznania.

- Witamy na pokładzie - powiedział José. - Szczerze.

Był ważnym składnikiem, który w tych okolicznościach stał się szczególnie cennym. Potrzebni byli ludzie zdecydowani na odparowanie ciosów rodziny Chinnici, zwłaszcza teraz, po śmierci Alberta.

- Wszystko w porządku? - poinformował się Frank, kiedy zostali sami.

- Nie wszystko - powiedział José.

Obydwaj mężczyźni wiedzieli, że po Tonim nie pozostanie śladu. I nikt nie zada sobie trudu, aby rozwiązać zagadkę jego nagłego zniknięcia.

Na liście płac poszczególnych rodzin znajdowały się setki policjantów i urzędników państwowych. Rozbudowana sieć powiązań pozwalała organizacji dobrze prosperować nawet przy pewnych przeoczeniach czy pomyłkach. W końcu śmierć Alberta Chinnici przypisano wylewowi krwi do mózgu. Zasadniczo było to prawdą, choć nie spowodowały tego czynniki naturalne. Teraz zwłoki bossa, pieczołowicie zrekonstruowane przez specjalistę, robiły duże wrażenie w wyłożonej jedwabiem, luksusowej trumnie ze

srebrnymi uchwytami. Tylko najbliżsi znali prawdę o jego śmierci. Porucznik policji Art Buchman, naoczny świadek, złożył już sprawozdanie Frankowi Latelli i obecnie znajdował się wraz z żoną Sophie na pokładzie samolotu lecącego do Ravensburg, by tam rozkoszować się długimi wakacjami.

- W czym problem? - zapytał Frank gładząc kopię Madonny z Capo San Vito.

- Niepokoi mnie dziewczynka - zwierzył się José.

- Myślisz, że mogłaby mówić?

- Nie, nic nie powie - zagwarantował José. - Dlatego jestem niespokojny.

- Mówisz o niej, jakby była twoją córką - odrzekł Frank.

José zaczerwienił się. Wziął cygaro z pudełka, powąchał i odłożył na miejsce.

- Widziała śmierć ojca. Cztery dni później zabiła ojca chrzestnego, który gwałcił jej matkę. Wystarczy ci? - prawie go zganił. - Jeśli dane jej będzie dorosnąć, to jaką kobietą się stanie?

- Co proponujesz? - ponaglił Frank.

- Wywieźć ją z Nowego Jorku. Wywieźć ją ze Stanów Zjednoczonych.

- Wydaje mi się, że to mądra i rozsądna propozycja. Można to zrobić - odrzekł. - A nawet trzeba to zrobić. Odeślemy rodzinę Pertinace do Castellammare del Golfo pod opiekę przyjaciela. W ten sposób twoja Nancy będzie mogła zapomnieć. I wyrosnąć.

- A jeśli mama i babcia nie będą chciały? - zaniepokoił się olbrzym.

- Będą chciały - uciał krótko Latella.

Sprawa była zamknięta.

- Samochód czeka - zawiadomił José.

- Zająłeś się wysłaniem wieńca?

- Najpiękniejszego, Frank.

- A napis na szarfię?

- Taki jak chciałeś: „Niezapomnianemu przyjacielowi”.

- Złotymi literami?

- Żółtymi i błyszczącymi.

- To jedźmy złożyć hołd niezapomnianemu przyjacielowi Albertowi - zakończył zadowolony Latella, wkładając na głowę czarne borsalino, które José mu podał.



Anna Pertinace siedziała na kamieniu w cieniu czarnych winogron i czuła się nieodwołalnie stara. Wyciągnęła z kieszeni szarej, perkalowej spódnicy czystą, pachnącą lawendą chusteczkę, przetrła twarz i szyję wsuwając ją nieco za kołnierzyk zapiętej pod brodę bluzki. Wyciągnęła ją mokrą od potu. Czerwcowe słońce paliło wysuszoną już ziemię. Anna wracała z cmentarza, gdzie modliła się przy grobie, w którym miały zostać złożone zwłoki jej syna Calogero natychmiast po uzyskaniu zezwolenia na przeniesienie. Ciało jej chłopca spoczywało jeszcze tam, w tym amerykańskim mieście, którego nazwy nie chciała nawet wymieniać. Powrót do domu nie złagodził bólu z powodu poniesionej straty i na pewno już nigdy nie uwolni się od tego bolesnego ucisku, który zapierał jej dech w piersiach i nie pozwalał pograć się w przynoszącym ulgę płaczu. Od czasu do czasu podmuch wiatru poruszał szerokimi liśćmi, niosąc zapach morza i mieszając go z zapachami łąk i pól.

Pomyślała o synowej i wnuczce. Addolorata i Nancy zamknęły się w sobie, mówiły niewiele i wykazywały obojętność wobec przygotowań czynionych przez nią na cmentarzu, gdzie miały spocząć doczesne szczątki jej syna. Staruszka pilnie kontynuowała to wzbudzające litość zajęcie, które nadawało sens jej życiu. Od powrotu na wyspę każdego ranka, bardzo wcześnie, udawała się na cmentarz, zanosila świeże kwiaty biednym zmarłym krewnym i czyściła nagrobek z owalną, emaliowaną fotografią Calogero, przygotowany przez miejscowego rzemieślnika. Mówiła do uśmiechniętej twarzy syna na fotografii, ale żal, który ścisnął jej serce, nie dawał jej spokoju.

Kiedy słońce stało wysoko na niebie, Anna opuszczała cmentarz pełen zapachów kwiatów i rozmarynu, wypełniony leciutkim, melodyjnym brzęczeniem rodzącego się lata, i ruszała w powrotną drogę.

Odpoczynek w winnicy stał się przyzwyczajeniem ze względu na zmęczone nogi, poprawiał też krążenie, które nie było już takie, jak dawniej.

Schodziła ze ścieżki i siadała na kamieniu, tam gdzie dojrzewały czarne winogrona. Codziennie o tej samej godzinie, jakby w milczącym porozumieniu, przechodził tędy don Pietro Indelicato, którego wrodzona ostrożność zaprzeczała nazwisku. Był to krzepki, rumiany starzec o błyszczącej tłustej twarzy, która zdradzała jego nadmierne łakomstwo, a gęsta siatka małych różowych żyłek na skrzydełkach nosa świadczyła o zamiłowaniu do nektaru uzyskiwanego z owoców tych winnic. Gęsty wianuszek mocnych białych włosów podkreślał rozległą łysinę. Don Pietro Indelicato był proboszczem w kościele Matki Boskiej Wniebowziętej i przejeżdżał tędy na rowerze wracając z odwiedzin u chorych. Ciężko pedałował na starym, damskim rowerze marki Bianchi po kamienistej ścieżce, pocąc się jak mysz.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - mówiła Anna Pertinace widząc, jak nadjeżdżał.

- Niech będzie pochwalony - odpowiadał jadąc prosto przed siebie.

Tego ranka nieoczekiwanie zatrzymał się. Zdjął nogi z pedałów wspomagając słabe hamowanie roweru i ze ścieżki podniosły się dwa białe obłoczki kurzu, który osiadł na butach i na brzegu czarnej sutanny. Z nieoczekiwaną zręcznością z uwagi na wiek i wagę zsiadł ze zniszczonego wehikułu i stanął naprzeciw kobiety.

Don Pietro i Anna byli rówieśnikami. On był młodym wikarym u starego proboszcza, kiedy Anna poślubiła Ignazio Pertinace. Później zrobił karierę.

Kobieta chciała się podnieść na znak szacunku, ale powstrzymał ją władcym gestem ręki i uśmiechem.

- Obydwoje jesteście starzy, Anno - upomniał ją. - Nie róbmy żadnych akrobacji - zażartował z błyskiem sympatii w małych niebieskich oczach. Oparł rower o drzewko i usiadł obok Anny.

Przejechał chłop na mule. Odwrócił się do nich i uchylił bez słowa czapkę. Kiedy ucichł głuchy i delikatny stukot kopyt, don Pietro wyłowił z kieszeni obszernej sutanny wielką chustkę w białą - niebieską kratę i zaczął wycierać pot.

- Już od pewnego czasu chciałem z wami porozmawiać - zaczął rozpinając krochmalony, nie pierwszej świeżości kołnierzyk.

- I dlaczego tego nie zrobiliście? - zapytała bez dawnego onieśmienia.

- Może brakowało okazji - odpowiedział wzdychając.

- A teraz czego brakuje, wielebny? - ucięła kobieta z ironią.

- Waszej dobrej woli - powiedział ksiądz mając w głębi duszy nadzieję, że Anna w dalszym ciągu będzie powściągliwa.

W rzeczywistości zatrzymał się tylko z obowiązku i w poszukiwaniu alibi dla własnego braku zainteresowania. W tej miejscowości, w której się urodził, wychował i w której wypełniał swą misję apostołską, udoskonalił sztukę niedomówień, potrzebną do życia jak powietrze.

Był w niezręcznej sytuacji: spoczywał na nim obowiązek wykazania zainteresowania, a jednocześnie nie chciał znać sekretów zbyt ciężkich na jego stare barki.

- Tak niewiele jest do opowiadania - usprawiedliwiła się kobieta.

- Trudno - ucieszył się w duchu ksiądz.

- Lub może za dużo i ja, biedna, prosta kobieta, gubię się w tym. Umiem wyrysować mój podpis, bo nauczyłam się tego na pamięć. Ale nie umiem pisać.

- To wcale nie umniejsza waszej inteligencji - pochwalił ją wydmuchując głośno nos w chustkę. - Zawsze byliście kobietą inteligentną. Jeśli teraz nic nie mówicie to dlatego, że myślicie, że wasz proboszcz nie może wam pomóc - usprawiedliwił ją. - Ale czasami rozmowa przynosi ulgę.

- Historię znacie, don Pietro. B... - przerwała, zanim wymówiła niepotrzebnie imię dobrego Boga. - Los - podjęła - wziął się na naszą rodzinę. Zabili mi syna. Teraz moja synowa jest otępiała z bólu i już nie potrafi być dobrą matką dla swoich dzieci. Moja wnuczka Annina zamknęła się w sobie jak jeź. Ona patrzyła na świat oczami swego ojca. Być może to nie jedyny powód jej cierpienia - zatroskała się staruszka przypominając sobie pełne cierpienia spojrzenia, które wymieniały pomiędzy sobą Addolorata i Nancy.

- Widziałem pani wnuczka Salvatore. Wygląda na pogodne dziecko - próbował pocieszyć ją ksiądz.

- Sal jest cieniem Nancy - wyjaśniła staruszka.

- Czas jest najlepszym lekarstwem w takich przypadkach - powiedział ksiądz. - Czas i wiara. Należy modlić się i czekać.

Dziwny, pełen niejasności był ten nagły powrót z Ameryki rodziny Pertinace i don Pietro mógł się tylko domyślać, wołał jednak nie dociekać.

Wyjechali dziesięć lat temu, biedni jak myszy kościelne, sprzedając nawet domek u stóp starego aragońskiego zamku, a teraz mieszkali w mieście, w kamienicy przy głównej ulicy, którą oddał im do dyspozycji don Antonino Persico, osoba powszechnie szanowana, właściciel pastwisk, winnic, gajów oliwnych i wielu domów w Castellammare, a także w Trapani i w Alcamo. Poza tym było jeszcze konto w Banku Handlowym na nazwisko Addoloraty, systematycznie zasilane dolarami.

Rodzina Pertinace znajdowała się pod dobrą opieką i proboszcz kościoła pod

wezwaniam matki Boskiej Wniebowziętej domyślał się nawet, pod czyją. Ale co innego domyślać się, a co innego wiedzieć.

- Jeśli mógłbym w czymś pomóc - powiedział don Pietro wstając z wysiłkiem - wiecie, gdzie mnie szukać.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - wyrecytowała staruszka podczas gdy wsiadał na rower.

- Na wieki wieków - odpowiedział ksiądz naciskając na pedały, w głębi duszy zadowolony, że wypełnił swój pasterski obowiązek unikając ciężaru niebezpiecznych wyznań.

Dwupiętrowa kamienica na końcu corso, zamieszkała przez rodzinę Pertinace, była zwieńczona tarasowym dachem z balustradą o kamiennych kolumnkach. Na balustradzie kwitło w donicach geranium. Z jednej strony wznosiła się ściana sąsiedniego budynku, do której przymocowano zieloną markizę z opuszczonymi zasłonami. Pod tym schronieniem przed rzadko pojawiającym się deszczem oraz zbyt ostrym letnim słońcem ustawiono wiklinowe fotele i niski stolik. Ze swojego tarasu Nancy widziała wapienny, nagi szczyt Monte Inici, zakurzonego olbrzyma pokrytego mizernymi pastwiskami i winnicami, którymi sporadycznie zajmowali się rybacy, zmuszeni przeplatać połowy pracami w polu. Morze, zamknięte w najrozleglejszej zatoce na wybrzeżu sycylijskim, było niezrównanej piękności, ale ubogie w ryby z powodu kłusowników, którzy przywłaszczali sobie jego bogactwa przy pomocy materiałów wybuchowych. Gdziekolwiek Nancy nie spojrzała, pod maską piękna tej ziemi ojców, na której czuła się wciąż obco, widziała biedę. Pokazano jej greckie świątynie w Selinunte i ruiny w Segesta, lecz te znamienite świadectwa starożytnych cywilizacji nie były w stanie złagodzić jej tęsknoty za Stanami Zjednoczonymi, które uważała za swoją prawdziwą ojczyznę, choć Nowy Jork wiązał się z zabójstwem ojca, strzałem z pistoletu, który pozbawił życia Toniego Croce i zakończył jej dzieciństwo. Jej marzenia utonęły we krwi i teraz żyła tęsknotą i udręką. Upłynął rok od jej powrotu.

Nancy, niespełna czternastoletnia, urosła i jeszcze bardziej wyszczuplała. Jej piękna twarz o doskonałym owalu, otoczona gęstą masą czarnych włosów spływających falami na ramiona, zmieniała wyraz w zależności od jej stanu ducha. Wielkie szare oczy o złotych błyskach wyrażały dojrzałość kobiety i powagę osoby, która dużo wycierpiała, natomiast piersi, jeszcze niedojrzałe, ledwo odznaczały się pod białą bluzeczką, wskazując nastolatkę, którą w rzeczywistości była. Wielki ból i tragiczne przeżycia z niedawnej przeszłości naznaczyły ją na zawsze. W rzadko goszczącym na jej twarzy

uśmiechu przebijał nieodwołalnie smutek. W szkole mówiła niewiele, również z nauczycielką miała słaby kontakt. W domu, w którym zresztą rzadko przebywała, potrafiła porozumieć się tylko z Salem, który wciągał ją w swoje sprawy. Z matką i babką nie miała kontaktu. Wolne chwile spędzała w swojej kryjówce pod zieloną markizą na tarasie domu, w towarzystwie książek i własnych myśli. Czytała, pisała, rozmyślała, a potem wpatrywała się w odległy punkt, gdzieś poza morzem Sycylii, poza szerokim oceanem, i wyraźnie widziała Statuę Wolności, Ellis Island, duże bloki Brooklynu, wieżowce Manhattanu, New York City, Amerykę, swoją prawdziwą ojczyznę, którą była zmuszona opuścić z sercem przepelnionym bólem i oczami pełnymi łez. Podtrzymywała ją pewność, że pewnego dnia wróci tam, gdzie spędziła dzieciństwo, do tego chaotycznego i okrutnego, ale pełnego życia miasta. Do tego świata pełnego obietnic, nadziei, tak bardzo różniącego się od tego miejsca wygnania, gdzie zmuszona była żyć czekając, aż José Vicente pozwoli jej powrócić.

Dla tutejszych ludzi Nancy i Sal byli Amerykanami. Wszyscy słuchali ich tak, jakby byli w posiadaniu cudownej tajemnicy. Od rodzin, które miały krewnych za oceanem, zaczęły napływać prośby o tłumaczenia i wyjaśnienia. Imię Nancy Pertinace było na ustach wszystkich, którzy mieli krewnych w Stanach Zjednoczonych. Jej powaga, odwaga, determinacja w dużych szarych oczach wzbudzały zaufanie, były zaproszeniem do wyznań.

Pewnego dnia, podczas gdy dla pewnego Włocha od niedawna przebywającego w Ameryce tłumaczyła pierwsze linijki tekstu z podręcznika do prawa jazdy, wpadł do niej Sal. Pojawił się na ostatnich stopniach schodów, które prowadziły do kryjówki siostry i uśmiechnął się do niej. Nancy spojrzała na tego chłopca o ciemnej karnacji, gęstej, rozczochranej czuprynie, czarnych, radosnych oczach i miłych rysach twarzy zmienionych teraz szybkim biegiem.

- Kto cię goni, policja czy bandyci? - zażartowała Nancy.

- Muszę z tobą pomówić - stwierdził padając wyczerpany na fotelik stojący naprzeciw siostry.

- To musi być coś pilnego - uśmiechnęła się.

- Pilnego i poważnego.

- Jak pilnego i jak poważnego?

- Nie wiem. Trzeba pomóc przyjacielowi i jego rodzinie, którzy padli ofiarą niesprawiedliwości.

Nancy skuliła się w fotelu obejmując kolana rękoma. Przyjmowała tę niecodzienną

pozycję obronną, kiedy coś ją irytowało lub gnębiło, kiedy groziło jej niebezpieczeństwo.

- Skąd wiesz, że mogę naprawić niesprawiedliwość?

Sal spojrział na nią przechylając głowę, jakby widział ją po raz pierwszy, ale nie zmienił przekonania. Wiara w możliwości siostry była nieograniczona. Nie wiedział, w jaki sposób Nancy rozwiąże problem, który go trapił, ale był przekonany, że da sobie z nim radę.

- Rodzina Alfredo Pennisi ma kłopoty - zakomunikował Sal.

Nancy pomyślała, że wiele rodzin w tym kraju miało kłopoty, ale przypomniała sobie Alfreda Pennisi, szkolnego kolegę Sala, nieśmiałego chłopca, który spuszczał wzrok i czerwienił się za każdym razem, gdy ktoś się do niego zwracał. Był kiedyś u nich w domu na obiedzie. Siedział na brzeжку krzesła i właściwie nie tknął jedzenia.

- Pennisi rybaka? - poinformowała się.

Sal skinął głową.

- Z winy don Mimì Scali - powiedział chłopiec.

Nancy przypomniała sobie sangwicznego typu, który każdym gestem podkreślał swoją władzę. Miał monopol na naftę do łodzi, tak więc trzymał w garści miejscowych rybaków.

- Jakiej winy? - zapytała.

- Odmawia dostawy na kredyt Sante Pennisi, tacie Alfreda. Bez paliwa nie może wypłynąć w morze.

- Dlaczego innym rybakom daje, a tacie Alfredina nie? - dopytywała się Nancy.

- Ponieważ Sante nie chce jego opieki. Ponieważ nie przyłączył się do spółdzielni rybackiej, którą tamten kieruje. Sante wolał ryzyko i samodzielne zarobki własnego przedsiębiorstwa od nędznej, haniebnej i pełnej zasadzek pewności narzuconej przez don Mimì rybakom zmuszonym zaakceptować jego warunki.

- Jak pies, który goni za własnym ogonem - kontynuował Sal powtarzając zasłyszane u dorosłych zdanie. - Bez pieniędzy nie może łowić. Bez połowów nie może zarabiać.

Nancy wysłuchała brata bardzo uważnie, następnie, jak to było w jej zwyczaju, zastanowiła się. Musiała przemyśleć w spokoju, zanim będzie mogła wyrazić swój pogląd lub podjąć jakąś decyzję. Przyszło jej do głowy najprostsze rozwiązanie - pożyczyć pieniądze Sante Pennisi. Mieli pieniądze. Gdyby napisała do José, ten znalazłby sposób, aby przesłać do ich banku sumę, której zażądałaby.

Ale to rozwiązanie natychmiast uznała za złe. Było nie do pomyślenia, aby w miejscowości, w której wszyscy wszystko o sobie wiedzieli, nagle zaczęła krążyć plotka,

że rodzina Pertinace pożyczyła pieniądze rybakowi będącemu na czarnej liście don Mimì Scali, który - Nancy wiedziała o tym - razem z don Antonim Persico, don Michele Cutruneo i paru innymi trząsł całym Castellammare del Golfo.

- Musisz porozmawiać z don Mimì - powiedział Sal przerywając jej rozważania i podpowiadając siostrze rozwiązanie, którego szukała. - Ty możesz zmusić go do zastanowienia się.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Zrobię, co będę mogła.

- Kiedy?

- Natychmiast.

- Pójdę z tobą - zaoferował się, przyjmując rycerską postawę dawnego szarmanckiego kawalera.

- Nie tym razem - odmówiła. - Wiesz dobrze, że Grazia Scalia, córka don Mimì, jest moją szkolną koleżanką. Pod pretekstem rozmowy z nią spróbuję porozmawiać z ojcem. Ale ty, Sal, bądź tak miły, nie opowiadaj nikomu tej historii.



Rodzina Scalia mieszkała w starej kamienicy w zabytkowej części miasta. Nancy wielokrotnie gościła w tym domu ociekającym bogactwem, zapraszana przez Grazie, która wyraziła pragnienie uczenia się amerykańskiego i zachwycała się jej opowiadaniem o Wielkim Kraju. Przy różnych okazjach spotykała don Mimì i odniosła wrażenie, że jest to człowiek arogancki wobec słabszych, uległy i służalczy wobec silniejszych od siebie. Był osobą wpływową, nie spodobał jej się. Był prawdopodobnie ostatnią osobą, z którą chciałaby rozmawiać, ale musiała to zrobić, jeśli chciała dokonać aktu sprawiedliwości.

Drzwi otworzyły się, zanim Nancy wyciągnęła rękę w kierunku dzwonka.

- Zobaczyłem cię przypadkiem przez okno - przyjęła ją radośnie Grazie. - Nie powiedziałaś mi, że przyjdiesz dzisiaj - dodała odsuwając się, żeby ją przepuścić.

- Muszę porozmawiać z twoim ojcem - powiedziała nie szukając wybiegów i kierując się prosto do salonu. Wiedziała, że o tej porze zostanie go zagłębionego w obszernym fotelu, w którym z trudem się mieścił, z cygarem w ustach, w obłoku cierpko - słodkiego dymu, słuchającego arii operowych. Były to święte, nietykalne chwile. Nikt nie ośmielał się mu przeszkadzać.

- Jesteś szalona - zganiała ją Grazie chwytając za rękę.

Nancy uwolniła się odpychając ją i weszła do salonu. Z adapteru unosił się potężny głos barytona będącego w połowie prologu z opery „Pajace”. Otoczony cierpkim dymem cygara don Mimì rozkoszował się błogo słowami i muzyką.

- Muszę z panem porozmawiać, don Mimì - zaczęła stanowczo Nancy, przekrzykując barytona swoim dźwięcznym głosem.

Mężczyzna spojrzał na nią nie widzącym wzrokiem.

- Później - powiedział władczo, nie wyjmując cygara z ust.

- To pilne - nalegała stając naprzeciw niego, mrugając oczami i pokaszując z powodu

dymu.

Don Mimì rzucił wściekłe spojrzenie i jego czarne, małe, świdrujące oczka wypełniły się nienawiścią. Wyciągnął rękę i wyłączył adapter.

- Życzę ci, żeby to było naprawdę pilne - zagroził.

Nancy przełknęła, zebrała całą swoją odwagę i wygłosiła wszystko jednym tchem.

- Chodzi o Sante Pennisi. Rybaka. Jego syn Alfredo jest zrozpaczony, ponieważ są bez pieniędzy i nie mogą kupić nafty. Bez nafty nie ma połowów. Bez połowów nie ma pieniędzy. Pan ma dużo nafty, don Mimì. Czy zechciałby pan mu pomóc ze względu na moją rodzinę?

Była blada, wyczerpana, zdesperowana.

Mężczyzna wyjął cygaro z ust, odłożył do dużej popielniczki, następnie przesunął końcem grubego, wilgotnego języka po zmysłowych, dużych ustach.

- A ty kim jesteś? - zapytał patrząc na nią z obojętnością, z jaką się patrzy na muchę.

- Jestem Nancy Pertinace - odpowiedziała dumnie. - Koleżanka szkolna waszej córki. Widzieliśmy się już parę razy, przypominacie sobie? - Nancy pociała się niebawale i to nie z powodu gorąca. Rzuciła wyzwanie temu potężnemu i niebezpiecznemu człowiekowi i była zdecydowana nie ugiąć się.

- Amerykanka - zareplikował z ironią, śmiejąc się szyderczo z jej przemowy. - To w Ameryce nauczyli cię tego dobrego wychowania?

Najchętniej skończyłby całą sprawę wymierzając siarczasty policzek tej bezczelnej dziewczynce. Tak postępował z własnymi dziećmi, aby nauczyć je dobrych manier. Było jednak coś w nieugiętym spojrzeniu Nancy, odwaga, która go wprawiła w zakłopotanie i nie pozwoliła na wprowadzenie zamiaru w czyn. Amerykanka, w przeciwieństwie do jego dzieci, nie spuszczała głowy, ale patrzyła mu twardo i zdecydowanie w oczy.

- Szanuję was, don Mimì. I dlatego przychodzę do was z tą prośbą. Proszę, nie odmawiajcie pomocy naszemu przyjacielowi. Nawet jeśli chodzi tu o uparciucha, który chce pracować na swoim i odrzuca korzyści, jakie daje spółdzielnia.

Mężczyzna wyczuł w słowach dziewczynki kpinę, ale nie zareagował tak, jakby tego sobie życzył, z powodu siły i determinacji w spojrzeniu Nancy.

- Nowy Jork uderzył ci do głowy - podsunął ostro don Mimì. - Ale teraz jesteśmy tu, na Sycylii. Tutaj rządzi mądra życiowa zasada: nie wtykaj nosa w cudze sprawy. Mimo to twoje miłosierdzie jest godne pochwały. Tyle, że z miłosierdzia nie zrobisz chleba. Z pustego nie nalejesz. I musisz również nauczyć się szanować odpoczynek innych - skończył i pokazał jej drzwi.

Nancy po raz pierwszy się uśmiechnęła i dzięki temu miłemu, szerokiemu uśmiechowi zniknęło napięcie.

- Proszę o wybaczenie, don Mimì - przeprosiła. - Nigdy już nie będę wam przeszkadzać. Ale jeśli chcielibyście pomyśleć o biednym Sante Pennisi, jego pięciorgu dzieciach, chorej żonie, byłabym wam dozgonnie wdzięczna.

W holu czekała na nią Grazia bardzo wzburzona.

- Naprawdę jesteś niebezpieczną wariatką - zaatakowała zatrwożona. - Teraz ojciec nie pozwoli mi spotykać się z tobą.

Była szczerze zmartwiona.

- Powoli, Grazia. Bądź spokojna - zapewniła. Była pewna tego, co powiedziała, tak jak wiedziała, że don Mimì da ojcu Alfreda wszystko, czego będzie potrzebował do życia.

Don Mimì był typem człowieka, który nie rozumiał argumentacji, ale umiał słuchać rozkazów.

W Klubie Dominici w Brooklynie zadzwonił telefon. José Vicente Dominici usłyszał odległy, ale wyraźny głos Nancy, który mówił:

- Potrzebuję pomocy.

Dzień później Sante Pennisi wypłynął swoją łodzią na połów.

Don Mimì Scalia otworzył mu nieograniczony kredyt.

***Trzy lata później***

# 1

Samolot z Nowego Jorku podszedł bez wstrząsów do lądowania i łagodnie usiadł na pasie rzymskiego lotniska. Zgodnie ze wskazówkami pracowników lotniska dotarł do miejsca parkowania. Odskoczyły pasy bezpieczeństwa i podniósł się szmer podobny do tego, który towarzyszy zakończeniu mszy, gdy wierni wstają z miejsc i wychodzą z pociechą w sercu.

Pasażerowie przygotowywali się do wysiadania. Stewardessa, ładna blondynka o figurze modelki i olśniewającym uśmiechu, zęgniała każdego podróżnego, który opuszczał samolot, życząc mu miłego pobytu w Wiecznym Mieście. Kiedy przeszedł koło niej Sean McLeary, dziewczyna zmarszczyła arogancko nosek, zmrużyła fiołkowe oczy i do uśmiechu dołączyła niedwuznaczny podziw. Jej głos miał słodycz fletu, gdy dorzuciła:

- Życzę miłej podróży. Jestem pewna, że Sycylia się Panu spodoba.

Przeglądała karty pokładowe pasażerów i zauważyła, że Amerykanin leci do Palermo. Zdawała sobie sprawę, że dla niej jest nieosiągalny, więc gdy schodził po schodkach samolotu, odprowadziła go tylko wzrokiem pełnym pożądania. Podczas swych licznych międzykontynentalnych podróży poznała wielu atrakcyjnych mężczyzn, ale ten miał jeszcze coś. Miał urok, klasę i czarujący, nowojorski akcent. Pragnęła, aby raz, choć raz, złapać w swe sieci takiego typu. Natychmiast zauważyła spokojne spojrzenie jego intensywnie niebieskich oczu, zamyślony i nieprzenikniony wyraz twarzy, wyzywającą urodą, zniewalający uśmiech. Westchnęła patrząc za nim i zapominając przez chwilę o żegnaniu wysiadających pasażerów.

Lot Rzym - Palermo był krótki. Sean dojrzał przez okienko zarys Punta Raisi widniejący na tle iskrzącego się, niebieskiego morza, potem sylwetką nieprzystępną Monte Pellegrino i wreszcie lotnisko.

Don Antonino Persico czekał na niego przy wyjściu. Był tłusty, jowialny, uśmiechnięty i na pozór szczęśliwy jak niegdysiejsi bogacze. Miał gruby głos i miły uśmiech, który z

nieprawdopodobną szybkością zamieniał się w dudniące wybuchy śmiechu. Było jasne, że nie pozbawiał się przyjemności stołu. Miał serdeczny, rozbrajający wyraz twarzy. Tylko oczy - czarne, błyszczące - przeczyły temu uspokajającemu wizerunkowi i ukazywały męczyznę przyzwyczajonego do wydawania rozkazów. Kiedy mówił, wyraźnie wymawiał słowa, tak żeby nie było niejasności i dzięki temu nigdy nie potrzebował się powtarzać. Nikt nigdy nie słyszał, aby podniósł głos czy natarczywie czegoś żądał, a jednak każde jego żądanie było spełniane.

Don Antonino Persico był również właścicielem domu, w którym od czterech lat mieszkała rodzina Pertinace.

Sean rozpoznał go wśród innych oczekujących na pasażerów samolotu, który właśnie wylądował. John Galante pokazał mu jego zdjęcie i Sean dobrze je sobie wyrył w pamięci.

- Don Antonino - stwierdził na pewniaka.

- A ty jesteś Irlandczyk - odrzekł Sycylińczyk ściskając mu dłoń i popisując się znajomością paru słów angielskiego, których nauczył się w Ameryce.

Don Antonino Persico przebywał w Nowym Jorku od 1930 do 1933 roku i działał w rodzinie Ventre. Zaczął od „prostego żołnierza”, potem został „kapitanem drużyny” mając w perspektywie stanowisko „szefa regionu”, wszystko w ramach sztywnego schematu organizacji.

Był to okres wojny castellammareńskiej między Salvatore Maranzano i Giuseppe Masserią, najkrwawszego konfliktu między włoskimi bandami, który kosztował pięćset istnień ludzkich. Aby uniknąć procesu Antonino Persico wrócił do ojczyzny. Wsiadł na transatlantyk z jedną walizką zawierającą sto tysięcy dolarów w banknotach po sto i stworzył solidne imperium w Castellammare del Golfo. Wiernie współpracował z nowojorską rodziną, także wtedy, gdy na czele organizacji stanął zięć ojca chrzestnego, Frank Latella.

Teraz Latella przysyłał mu tego Irlandczyka, przedstawiciela nowej generacji przyzwyczajonej do szybkiej kariery, osiągnięcia wszystkiego i natychmiast.

Antonino Persico wiedział, że kilka lat wcześniej jego rodak Tony Croce, który zniknął bez śladu, został zastąpiony przez świetnego faceta, który walczył w Korei. Dzięki Latelli Sean stał się współnikiem sieci punktów sprzedaży artykułów spożywczych pod nazwą „O sole mio”. Antonino Persico dostarczał oliwki, oliwę i wino do tych sklepów. Mężczyźni wyszli w światło zachodzącego słońca. Sean podziwiał ten prawie afrykański krajobraz, tak różny i tak odległy od jego kraju rodzinnego, że mógł mieć tylko nadzieję

na szybkie załatwienie sprawy. Był wrzesień i Sean z nostalgią wspominał wspaniały o tej porze Nowy Jork. Pierwsze zetknięcie z Sycylią nie potwierdziło entuzjastycznych deklaracji stewardessy. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bardzo nieswojo, nie na miejscu, bezbronny wobec problemu, który miał rozwiązać. Język znał źle. Miał wyryte w pamięci mechanizmy organizacji, ale czuł się obco w tym środowisku. A wysłano go, aby odkrył kulisy oszustwa, które mogło zdyskredytować legalną działalność klanu Latella. Należało wyjaśnić zagadkę, rozwikłać zagmatwany problem i dopóki tego nie uczyni, nie będzie mógł wyjechać.

Don Antonino skierował się do czarnego, lśniącego jakby dopiero co wyjechał z fabryki, fiata 1400.

Usiadł za kierownicą, a Sean zajął miejsce obok.

- Czekamy na kogoś? - zapytał Sean, widząc, że Sycylijczyk nie rusza.

- Czekam tylko, aż mi powiesz, dokąd chcesz jechać - odpowiedział don Antonino ze spokojnym uśmiechem.

- To wy mi to musi powiedzieć - odrzekł ostrożnie Sean. - Jestem waszym gościem - dodał przypominając sobie słowa Johna Galante: „Jeśli odeśle cię do hotelu to oznacza, że chce cię trzymać na dystans.”

- Mów mi ty, Irlandczyku - powiedział Persico.

- Jestem twoim gościem - powtórzył młody człowiek poufale, akceptując propozycję rozmówcy.

- Więc musisz wiedzieć, że gość w dom, Bóg w dom - dowodził z wrodzonym sprytem.

- Twoje życzenia są dla mnie rozkazem. Zarezerwowałem ci apartament w Hotelu delia Palma w Palermo i kazałem przygotować apartament gościnny w moim domu w Castellammare. Wybieraj - powiedział i obdarzył go jednym ze swoich zagadkowych uśmiechów.

Zaczynał odczuwać sympatię do tego sprytnego, mądrego i inteligentnego mężczyzny. Podobał mu się i szanował go, mimo że zdawał sobie sprawę, że jest trudnym klientem. Sycylijczyk traktował go z poufałą serdecznością i jednocześnie trzymał na dystans. Twarde spojrzenie czarnych, przenikliwych oczu było zaporą nie do przebycia. Sean musiał rozpocząć swoje dochodzenie od niego, a don Antonino Persico wiedział, że Irlandczyk nie przybył z Nowego Jorku, aby podziwiać wspaniały zachód słońca w purpurze i złocie.

Była to partia pokera, rozgrywana przez wysokiej rangi zawodowców. Dopiero po odkryciu kart można by było stwierdzić, kto miał wygrywającą kombinację kart.

- Jedziemy do Palermo - powiedział Sean zgodnie z własnym planem. - O ile nie jest ci przykro - dodał.

- A dlaczego miałyby mi być przykro? - odrzekł Sycylijczyk jeszcze bardziej enigmatyczny niż zazwyczaj. - To ja ci to zaproponowałem.

Dyskretne pukanie do drzwi zaalarmowało Seana, który instynktownie odszukał rewolwer. Potem uśmiechnął się na widok dwóch nieskazitelnie czystych kelnerów, którzy weszli popychając dwa błyszczące szkłem i chromem wózki. Na jednym królowała patera z owocami, które nie przyniosłyby wstydu renesansowej ucztie, na drugim stała butelka szampana i lśniące naczynia. Z zawodową dyskrecją sprawni kelnerzy ustawili wszystko na właściwym miejscu.

Stolik przy oknie został nakryty wykrochmalonym obrusem, na nim ustawiono talerze z cienkiej porcelany, srebrne sztucce, kryształową karafkę z kieliszkami, wiaderko z szampanem, paterę z owocami pokrytymi kropelkami wody niczym rosą i bukiet kwiatów w wazonie z cienkiego szkła z Murano.

Wszystko z wrodzoną klasą, profesjonalizmem, które sprawiały, że podobne sceny z filmów hollywoodzkich, które znał Sean, wydawały się fałszywe i przesadzone. Dał dziesięciodolarowy napiwek kelnerom, którzy podziękowali z grzecznym uśmiechem, życząc mu miłego pobytu. Sean ledwo spróbował białych, słodkich winogron, zostawiając szampana na lepszą okazję. Wziął gorący prysznic i ubrał się starannie. Sprawdził działanie rewolweru, włożył go do kabury pod pachą. Usiadł na kanapie i zaczął przyglądać się wręczonemu mu przez Johna Galante planowi Palermo z zaznaczonymi nocnymi lokalami, adresami przyjaciół, burdelami, domami schadzek, godnymi polecenia restauracjami. Przez otwarte okno słychać było dobiegające z daleka dźwięki pianina. Pianista grał „Gwiazdny pył” z takim zaangażowaniem, że Sean silniej poczuł tęsknotę za Nowym Jorkiem.

Dzwonek telefonu przerwał mu potok myśli.

- Słucham - powiedział Irlandczyk.

- Czy może być w *Porta d'Orol* - zaproponował rozmówca z drugiej strony sznura.

- Okay. O której?

- O jedenastej trzydzieści. Stolik numer jedenaście. Rezerwacja na nazwisko Morrison.

Głos był niepewny, słaby, z silnym sycylijskim akcentem.

- Będę.



Sean, który przestudiował bardzo uważnie drogę na planie, doskonale orientował się w labiryncie uliczek wokół Quattro Cantoni. Nieliczni przechodnie i przygnębiające wrażenie, jakie na nim wywarli, kontrastowały z bogactwem architektury starego miasta, którą gdzieś tam szpeciły brzydkie przeróbki lub prostackie unowocześnienia.

Jego zwierzęcy instynkt ostrzegł go przed groźącym mu niebezpieczeństwem. Czuł, że jest śledzony, szpiegowany, że ktoś depta mu po piętach w tym nieznanym mieście, do którego przybył, aby wyjaśnić zagadkę.

Szedł tuż przy ścianie domów, czasami odwracał się, aby znaleźć potwierdzenie swoich podejrzeń, ale napotykał tylko głuchą ciszę i pustkę, która go dezorientowała.

- Nawet w Korei nie czułem się tak wystawiony na niebezpieczeństwo - pomyślał.

Przeszedł długi odcinek ulicy Maqueda. Również ruch samochodowy był tu nieznaczny. Kiedy zbliżył się do barokowego kościoła z fasadą z szarego marmuru o szczególnie sugestywnych, teatralnych rozwiązaniach, Sean odwracając się po raz kolejny sądził, że dostrzegł cień idącego za nim człowieka, ale było to tylko wrażenie. Kontynuował swój spacer. Był już niedaleko *Porta d'Oro*, kiedy jakiś samochód jadący w jego kierunku gwałtownie przyspieszył, oślepiając go światłami. Sean rzucił się na ziemię i w tym momencie rozległ się strzał z broni palnej. Samochód najechał na mężczyznę, który strzelał, rzucając go na mur, od którego odbił się, upadł na chodnik i znieruchomiał. Ciągle ścisnął w ręku rewolwer.

Don Antonino wysiadł z samochodu i wyszedł naprzeciw Seanowi, który tymczasem podniósł się z ziemi.

- Zawdzięczam ci życie - powiedział Irlandczyk.

- Trochę melodramatyczna wersja wydarzeń - uśmiechnął się Sycylijczyk. - Ale jeśli tak uważasz...

- Mam nadzieję, że będę mógł ci się zrewanżować.

- Nie zabraknie okazji.

Teraz Sean wiedział, że mógł ufać don Antonino, który śledził go, by go chronić.

- Kto to? - zapytał Irlandczyk wskazując na ciało młodego człowieka ze zmiażdżoną twarzą i zgruchotaną czaszką.

Don Antonino dotknął zwłok czubkiem błyszczącego buta i odpowiedział:

- Pionek. Mniej niż zero. Wykonawca, który nawet nie wiedział, dla kogo pracował. W tych stronach życie ma wartość jednej kuli. Chodźmy.

Mężczyźni wsiedli do samochodu i szybko odjechali.

- A on? - zapytał Sean robiąc aluzję do trupa płatnego mordercy.

- Wypadek przy pracy - zawyrokował Persico. - Jutro znajdzie swoje miejsce w zakurzonych aktach archiwum. Dokąd chcesz jechać? - zapytał.

- Na ulicę Lampedusa. W dzielnicy Monte di Santa Rosalia - odpowiedział Sean. Jazda do *Porta d'Oro* nie miała sensu, nikt tam na niego nie czekał.

Sycylijczyk był posłuszny wskazówkom, jakby były rozkazami. Nie żądając dodatkowych informacji dojechał do końca ulicy Valverde i skręcił w ulicę Lampedusa.

- Numer dwadzieścia cztery - powiedział Sean.

We wskazanym miejscu don Antonio Persico zatrzymał samochód:

- A teraz? - zapytał bez ironii.

- Muszę sprawdzić, czy jest osoba, której szukam.

- We dwóch bezpieczniej - poradził Sycylijczyk.

Pchnęli bramę starego domu, weszli do sieni, a potem wspięli się na drugie piętro. Również drzwi mieszkania były otwarte i ustąpiły pod lekkim naciskiem. Sean wyciągnął rewolwer i zapalił światło. W małym holu na zniszczonej kanapie w stylu liberty siedział chudy mężczyzna, miał wytrzeszczone oczy i kamień w ustach. Trup był jeszcze ciepły.

- Rozmawiałem z nim niecałe pół godziny temu - powiedział Sean. Było jasne, że podsłuchano rozmowę telefoniczną i zabito go, aby nie mógł mówić.

- Salvatore Miccichč - rozpoznał go Persico.

- Kontakt Johna Galante - poinformował Sean w zaufaniu. - Człowiek, który miał mi pomóc rozwiązać problem, jaki przywiódł mnie tutaj, na Sycylię. I z którym ty także musisz się teraz zapoznać. Jedziemy do ciebie - rozkazał Irlandczyk.

## 2

Sean zatrzymał się przy końcu ulicy, przed surową fasadą kamienicy, w której mieszkali Pertinace. Ujął kołatkę z brązu i mocno uderzył nią dwa razy w drzwi. Głuche uderzenia odbiły się echem pod łukowym sklepieniem sieni. Upłynęło parę sekund, potem ktoś uruchomił mechanizm, zasuwą odskoczyła z metalicznym dźwiękiem i drzwi się uchyliły.

Mężczyzna pchnął je i wszedł.

- Kim jesteście? - zapytała stara, drobna kobieta stojąca na szczycie kamiennych schodów.

- Jestem przyjacielem - odpowiedział.

- Niech Bóg nas broni! - wykrzyknęła staruszka zaniepokojona akcentem Seana. - Znów Amerykanie!

I obróciła się do wnętrza mieszkania wzywając na pomoc wnuczkę.

Sean zręcznie pokonał pierwsze stopnie schodów i kiedy był na podeście, za plecami babci pojawiła się Nancy.

Była dziewczyną o niespotykanej urodzie, wysoka prawie jak on, smukła, zwinna, delikatna jak kwiat, giętka i silna niczym młoda wierzba. W doskonałym owalu twarzy błyszczały olbrzymie, szare, zamyślane oczy, zbyt dojrzałe na tak młodą i piękną dziewczynę. Niebieska wstążka podtrzymywała czarne, gęste włosy. Miała na sobie sukienkę tego samego koloru, z lekkiej bawełny, pachnącą lawendą. Stała nieruchomo na progu, za plecami staruszki i patrzyła na niego intensywnie, z ciekawością.

- Przysyła mnie José Vicente - wyjaśnił Sean, próbując przerwać ciszę, w której czuł się zawieszony. - Jestem Sean McLeary - dodał uśmiechając się lekko i wyciągając prawą rękę do dziewczyny, która mu się przyglądała, jakby chciała przejrzeć go na wylot. Sean zadrżał. Wiedział, że Nancy jest tą samą dziewczynką w białej sukience do pierwszej komunii, którą widział na rogu Fifth Avenue przez okno taksówki, gdy szybko odjeżdżał

po oddaniu strzałów do jej ojca. Vicente powiedział mu o wszystkim. To wspomnienie, które - jak sądził - zagrzebał głęboko w zakamarkach pamięci, pojawiło się jak duch i wróciło do niego w niezmaconym spojrzeniu małej. Przez chwilę Sean bał się, że zostanie rozpoznany, ale uśmiech Nancy uspokoił go.

- Jestem Nancy Pertinace - powiedziała ściskając mu dłoń.

Jej głos był spokojny, dobrze modulowany, o przekonującym i łagodnym tonie.

- Jak się pan czuje? - dodała obojętną formułkę.

Sean westchnął z ulgą i uspokoił się. Upłynęło sporo czasu od tamtego tragicznego dnia, zmienił się, nie tak jak Nancy, ale jego rysy wysubtelniały. A poza tym cóż mogła zapamiętać ta wspaniała dziewczyna z twarzy ujranej przelotnie w oknie jadącego samochodu, gdy była dzieckiem?

- To amerykański przyjaciel - powiedziała Nancy zwracając się do babki i zwiększając swoim stwierdzeniem wzburzenie staruszki.

- Tego się obawiałam - odrzekła Anna Pertinace przesuwając dłonią po czole i białych włosach.

- Proszę wejść - zaprosiła. - José Vicente nie zawiadomił nas o pana przyjeździe - dodała dziewczyna.

- To była nagła decyzja - skłamał mężczyzna idąc za nią do pokoju, który był zarówno salonem jak i jadalnią.

Addolorata siedziała w miękkim fotelu przy oknie, przez które wpadały ostatnie promienie słońca, i robiła szydełkiem koronkę. Sal był zasłonięty szkolnymi książkami zajmującymi większą część stołu.

Babka wymamrotała niezrozumiałe przeprosiny i odeszła do kuchni. Ta niespodziewana wizyta nie wróżyła nic dobrego. Matka przywitała gościa z grzeczną obojętnością, podnosząc za ledwie niewypowiedziane smutne oczy znad koronki, której plątanina nitek przypominała chaos jej myśli.

Sean położył na stole paczkę, którą niósł pod pachą.

- Dla nas? - zapytał Sal zrywając się ze swojego miejsca i podając mu rękę na przywitanie.

- Dla was. Płyty - powiedział Sean odpowiadając na nieme pytanie w oczach chłopca. - Od José. Ostatnie nowości muzyki rozrywkowej - sprecyzował.

Mężczyzna czuł się bezbronny wobec bolesnej apatii matki, od której nie mógł oderwać wzroku.

- Mama jest zmęczona - usprawiedliwiła ją Nancy, zapraszając gościa do zajęcia

miejsca przy stole między nią a Salem, który za jej zgodą rozrywał niecierpliwymi palcami opakowanie.

- Jak wygląda teraz Nowy Jork? - zapytała z takim uczuciem, jakby w jego oczach widziała wieżowce Manhattanu.

- Nowy Jork jest zawsze piękny - odpowiedział Sean. - We wrześniu jest cudowny - dodał tak, jakby mówił o kochance.

- Liście na drzewach w Central Park zaczynają przybierać barwy jesieni - wspomniała Nancy tęsknie, przypominając sobie zmiany zachodzące o tej porze roku, którą najbardziej lubiła.

- A kiedy opadają, tworzą na trawniku skrzący czerwienią dywan - odrzekł czerwieniąc się z powodu tego niezwykłego obrazu, który nieoczekiwanie mu się nasunął.

Sal podniósł oczy znad kolorowej okładki płyty, patrząc na tych dwoje i zastanawiając się, gdzie też się mogli wcześniej spotkać. Rozmawiali tak, jakby się znali od dawna, jakby podejmowali przerwana przed chwilą rozmowę. Spojrzenia, które wymieniali, były jak wyczerpujące pieszczoty muskające wspomnienie odległego miasta i osiadające na ich skórze.

- Tak bardzo chciałabym zobaczyć znów Nowy Jork - powiedziała.

- Wiem, że pewnego dnia wrócicie. Wszyscy.

- Kto to powiedział?

- José Vicente.

Młodzi powracali do wspólnych wspomnień, ale ich oczy mówiły o miłości.

Sal, częściowo zajęty płytami, nie umiał zinterpretować tej dziwnej rozmowy o Nowym Jorku i o innych sprawach, które wymykały się chłopcu. Emocjonujące wibracje przepływały między młodymi. Pchała ich ku sobie niespodziewana, niezwykła siła, z trudem kontrolowana, która odgradzała ich od reszty świata i która kazała im prowadzić bezmyślny dialog zakochanych.

- Po co pan tu przyjechał? - szorstki głos Addoloraty przerwał tę magiczną atmosferę. Ton był agresywny, nieprzyjemny, ale pytanie nie wymagało dokładnej odpowiedzi. Była to zmaterializowana pewna myśl, która w tej samej chwili została zapomniana. W ciągu tych kilku lat matka się zmieniła. Czasami można było dostrzec na jej zmęczonej twarzy ślady dawnej piękności, czasami pojawiał się cień uśmiechu na tej zgaszonej, zrezygnowanej masce. Modliła się, płakała, jak automat szyła i haftowała, jadła z przyzwyczajenia to, co babka przygotowała dla wszystkich, nie brała udziału w

rozmowach.

- Przekazać pozdrowienia od José Vicente - odpowiedział Sean kobiecie, która ponownie zamknęła się w sobie ze swoimi smutnymi myślami, obojętna na wszystko, co się wokół niej działo.

Gość zrozumiał, że powinien pożegnać się. José wyraził się jasno:

- Rzuć okiem na dzieci.

Wykonał polecenie i teraz instynkt podpowiadał mu, aby wycofał się z tego chaosu uczuć, zanim w nim nie ugrzęźnie.

W drzwiach, żegnając się, wbrew postanowieniom przytrzymał dłużej w swych dłoniach rękę Nancy i ten kontakt wstrząsnął nim bardziej niż pieszczoty.

Nancy odwzajemniła uścisk z namiętnością, której doznała po raz pierwszy, która rozpalila jej policzki i przyspieszyła bicie serca.

Tego wieczoru, zamknięta w swoim pokoju, kiedy wszyscy już spali, wyciągnęła z dna szuflady mały pakiecik, zazdrośnie strzeżony. Odwinęła uroczyście i podniosła do światła poślizgnięty welon, który miała na sobie w dniu tragicznej śmierci Calogero Pertinace. Plama krwi ściemniała.

Pogłaskała ją czule, jakby była to twarz ojca.

- Muszę ci coś wyznać, tato - wyszeptwała. - Jestem zakochana.

### 3

Wszyscy go zauważyli, ale Nancy rozpoznała go pierwsza i poczuła drżenie nóg. Sean miał na sobie płócienne spodnie, błękitną koszulkę polo i duże słoneczne okulary. W oczach ludzi był niewątpliwie cudzoziemcem. Mężczyzna i dziewczyna byli rozdzieleni placzykiem, a jednak miała wrażenie, że dolatuje do niej zapach jego wody kolońskiej przypominający jej Nowy Jork.

Nancy poczuła gwałtowne bicie serca, krew zaczęła krążyć szybciej, zaczerwieniła się. Była w nim na zabój zakochana.

Ranek w szkole upłynął jej szybko na myśleniu o Seanie i udawaniu zainteresowania lekcjami. Nauczyciele na szczęście mieli dość taktu, aby nie przerywać jej marzeń. Żyła w stanie cudownej łaski, po raz pierwszy doświadczyła tego niewysłowionego uczucia, którym jest miłość. Słyszała o tym wzburzeniu serca od swych przyjaciółek i licznych koleżanek szkolnych. Słuchała ich z absolutną obojętnością, ponieważ najczęściej ich miłosne przygody były tylko czystą fantazją. Zbyt przypominały dziecienną zabawę, aby można było traktować je poważnie. Kuzyn, brat przyjaciółki, sąsiad, syn aptekarza, gwiazdy ekranu w rodzaju Gregory Pecka i Gary Coopera, dwudziestoletni nauczyciel przybyły do Palermo - byli źródłem rozbudzającym ich fantazje.

Nancy, która przedwcześnie dojrzała, poznała ból i śmierć, ale nie niepokoje i marzenia swoich rówieśniczek. A teraz przypadek, los, przeznaczenie, życie wciągnęły ją niczym bohaterkę romansu w wir namiętności, której znaczenia nie umiała ocenić. Był to chaos wrażeń, niepokojów, wywołany banalną rozmową o Nowym Jorku.

- Zauważyłaś mister McLeary'ego? - wyszeptał Sal, który szedł u jej boku.

- Oczywiście, że zauważyłam - odpowiedziała szarpana pragnieniem, aby wybiec mu naprzeciw i obawą, że nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Sean był w towarzystwie don Antonino Persico, którego poprawna elegancja kontrastowała z niedbałym strojem Irlandczyka. Nancy próbowała ułożyć sobie szybko

to, co powie za chwilę, gdy się spotkają, ale przychodziły jej do głowy tylko banalne, grzecznościowe zwroty.

Wolałaby spotkać się z nim gdzie indziej, nie na placu, wśród ciekawskich, którzy byli gotowi obgadywać ją. Jeszcze nie wiedziała jak, ale z pewnością zarzuci sieć, tak jak to robią rybacy w zatoce, aby schwytać swoją zdobycz. Pragnęła tego mężczyzny jak niczego innego na świecie i była gotowa na wszystko, żeby go tylko zdobyć.

- Może zaprosimy go na wspólną wycieczkę do Selinunte? - podpowiedział Sal, przypominając o zaplanowanej na następny dzień, niedzielę, wycieczce autobusem do ruin starożytnego greckiego miasta. Nancy lubiła zwiedzać te antyczne ruiny, świadectwo starej cywilizacji.

- Nie - zdecydowała sucho, tłumiąc pragnienie.

Sal wyczuł z tonu siostry, że nie należy się sprzeciwiać. Nancy była gotowa na wszystko, ale nie ona będzie go szukać i nie pozwoli Salowi, aby robił to w jej imieniu. Uszanuje tradycję. To Sean musi przejąć inicjatywę.

Tymczasem odległość między nimi malała coraz bardziej. Dzieliło ich zaledwie parę metrów, przygotowała już swój olśniewający uśmiech, aby pokryć nim zmieszanie.

Nieoczekiwanie Sean i don Antonino zmienili kierunek, wchodząc między stoliki Baru Centrale, i zniknęli wewnątrz lokalu.

Nancy rozłościła się. Była pewna, że Sean ją widział. Specjalnie jej unika? Zastanowiła się nad tym zagadkowym zachowaniem i stwierdziła, że było coś dziwnego w tym mężczyźnie, który rozkochał ją w sobie. Wydawało jej się, że zna go od zawsze.

Nancy poczuła dotknięcie i zadrżała.

- Muszę z tobą pomówić - powiedział Alfredo Pennisi, syn rybaka, który zaszedł ich od tyłu niepostrzeżenie. Urósł od tego czasu, kiedy zwrócił się do niej o pomoc. Wyglądało na to, że chłopak ma jakąś ważną wiadomość i pęknie, jeśli się nią nie podzieli.

- Teraz? - zapytał Sal, który podzielał niezadowolenie siostry, ale wiedział, że przyjaciel jest zbyt rozsądny, aby przeszkadzać im bez ważnego powodu.

- Tak, ale nie na placu - sprecyzował chłopak.

Nancy spojrzała na niego surowo. W gruncie rzeczy przerwał jej rozmyślenia na temat zachowania Seana, jedynej rzeczy, która w tym momencie liczyła się dla niej.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Musisz mi doradzić - powiedział oddając się w jej ręce ufnie jak dziecko matce.



## 4

- Dlaczego opowiedziałeś tę historię właśnie mnie? - dopytywała się Nancy.

- Ponieważ ty umiesz decydować - wyjaśnił chłopak. - Wiesz, czy można to przekazać dalej, czy też należy o tym zapomnieć.

Od czasu kiedy Nancy rozwiązała problem jego ojca, zmuszając don Mimì Scalię do zmiany decyzji, Alfredo traktował ją jak wpływową i mającą autorytet matkę, do której można zwrócić się w potrzebie lub po prawdę. Znajdowali się na tarasie domu Nancy, w przyjemnym cieniu.

Nancy siedziała w wielkim bambusowym fotelu i przypominała mu królową. Alfredo usiadł na brzeżku stołka, zamyślony i poważny. Właśnie przed chwilą opowiedział jej o zdarzeniu, które miało miejsce ubiegłej nocy w magazynie oliwek don Antonina Persico.

Chłopak pracował w tym magazynie od prawie roku i przez przypadek był świadkiem niepokojącego zdarzenia, które wymagało interwencji Nancy.

W drodze do domu, po dniu spędzonym na napełnianiu pojemników oliwkami na eksport, spostrzegł, że zostawił w magazynie klucz od domu. Kiedy wrócił po niego, zauważył, że magazyn jest otwarty. Dostrzegł również przemykające się wewnątrz postacie. Alfredo obszedł ostrożnie halę i stanął na skrzyni. Zajrzał przez okno do środka. Rozpoznał Vito Vitanzę, mającego dozór nad magazynem chrześniaka don Antonino, który wraz z kilkoma mężczyznami kręcił się przy pojemnikach z oliwkami. Alfredo przyjrzał się dokładniej. Zauważył, że do cynkowych korków, które zamykały pojemniki, wkładają paczuszki zawinięte w ceratę.

Korki z paczuszkami miały podwójne dno. Serce zaczęło bić mu szybciej, gdy rozpoznał jeszcze jednego mężczyznę. Był to Michele Sansa, zaufany człowiek don Mimì Scalii.

Nancy wysłuchiwała opowiadania z największą uwagą; teraz przelatywały przez jej głowę różne myśli i refleksje.

- Lepiej zapomnieć - poradziła.

Alfredo skinął głową na znak, że zrozumiał. I że będzie milczał. I że zapomni.

- Lekcja angielskiego? - zapytał don Mimì Scalia spotykając Nancy w parę godzin później, gdy wchodziła do jego domu.

- Również - uśmiechnęła się patrząc teraz, po zwierzeniach Alfreda, na tego mężczyznę innymi oczami.

- Dobrze wykorzystujcie czas - upomniał moralizatorskim tonem. - Czas stracony, pieniądze wyrzucony.

- Zapamiętam to sobie - odparła Nancy, która wciąż myślała o tym, co opowiedział jej Alfredo i próbowała dostrzec w tej wulgarniej, prostackiej twarzy coś, co łączyłoby tego mężczyznę ze sprawami, które rozgrywały się w magazynach oliwek, za plecami don Antonina Persico.

Mężczyzna przeciągnął końcem języka po zmysłowych ustach, nadając twarzy dwuznaczny i odrażający wyraz.

Grazia uwolniła ją z tej nieprzyjemnej sytuacji, zapraszając do swojego pokoju. Urządzony był ciężkimi, ponurymi meblami, tak jak pozostała część domu, ale powietrze nie było tu zatrute śmierdzącym dymem z cygara.

- Nic mi nie powiedziałeś o Amerykaninie, który cię odwiedził - zganiała ją odrobinę rozłoszczona. Ciekawość jednak zwyciężyła i zaczęła wypytywać przyjaciółkę o podniecającą nowinę, która obiegała już całe miasteczko.

- To tylko przyjaciel z Nowego Jorku. Grzecznościowa wizyta - zbagatelizowała Nancy, która nie miała ochoty dzielić się z Grazją swoimi tajemnicami, uczuciami, niepokojami, emocjami.

- Ależ to bombowy facet! Jak możesz o nim mówić z taką obojętnością?

- Wcale o nim nie mówię. To ty o nim gadasz.

Grazia usiadła na łóżku, podniosła się, przesunęła książkę na stoliku, przy którym odrabiała lekcje, przejrzała się w lustrze i uznała, że jest ładna. Chwyliła przyjaciółkę za ramiona i spojrzała jej prosto w oczy, chcąc wydrzeć jej obietnicę.

- Obiecuj, że przedstawiś mi go - błagała. - Boże, jakbym chciała być na twoim miejscu. To taki mężczyzna, - zaczerwieniła się gwałtownie - pod którego spojrzeniem topniejesz.

- Czytasz za dużo romansów, Grazia - broniła się uwalniając się z uścisku i podchodząc do okna wychodzącego na wspaniały ogród. Kłamała w obronie własnej, ale

czuła się straszną hipokrytką.

- Wszyscy mówią o Amerykaninie - zauważyła przesuwając ręką po czarnych, kręconych włosach.

- To znaczy, że niewiele przyjemnych rzeczy zdarza się w tej naszej zapomnianej przez Boga miejscinie.

- Wyobraź sobie, że nawet tata mówił dzisiaj o nim.

Nancy wyteńczyła uwagę.

- Z tobą? - zapytała udając obojętność.

- Nie. Z Michelelem Sansa.

- To może i on uważa go za szalowego faceta! - przyjmując ironiczny i obojętny ton próbowała skłonić ją do mówienia.

- Przeciwnie! - zachichotała. - Sądzę, że uważają go za odrażającego czy coś w tym rodzaju.

- Obydwaj?

- Szczególnie tata. Odniosłam wrażenie, że nie spodobał mu się.

- Ale nie martwi cię to? - zażartowała Nancy.

- Przeciwnie. Jeszcze jeden powód, aby mi się podobał. Nie sądzisz? - spytała, płocha i płytka jak zawsze.

- Myślę, że twój ojciec nie miał na względzie wyglądu zewnętrznego Amerykanina - nalegała posługując się ironią, która miała skłonić przyjaciółkę do zwierzeń.

- Męskie sprawy. Interesy. Wysyłka towaru do Nowego Jorku.

- Nic ciekawego - skłamała Nancy, rejestrując nowy element, który mógł okazać się kluczem do wyjaśnienia ostatnich wydarzeń: opowiadania Alfreda i przyjazdu Seana.

Tej nocy, kiedy wszyscy już spali, zadzwoniła do José Vicente.

W Nowym Jorku był dzień.

- Dziękuję za płyty i pozdrowienia - powiedziała.

- Spodobały ci się?

- Bardzo.

- Przepraszam, że nie uprzedziłem cię o wizycie naszego przyjaciela.

- Nie szkodzi - wybaczyła. - Ale teraz, kiedy ten przyjaciel jest tutaj, chcę z nim porozmawiać. Sądzę, że mam mu coś ważnego do przekazania. Coś, co jak sądzą, łączy się z jego podróżą.

Nastąpiła chwila ciszy. José próbował rozszyfrować sygnały przesyłane mu przez dziewczynę.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Zawiadomię go. Ucałowania dla ciebie i rodziny.

- Kiedy cię zobaczę? - zapytała szybko, jakby rozmowa mogła zostać nagle przerwana.

Była zmęczona wygnaniem.

- Wkrótce - zapewnił José. - Niedługo przyjadę po was.

- Pamiętaj, że ja ci ufam - wyszeptała z oczami pełnymi łez, zanim odłożyła słuchawkę.

Nazajutrz Sean przyszedł do niej, ale jej nie zastał. O świcie pojechała z Salem do Selinunte.

## 5

Sean patrzył na nią z podziwem i zdumieniem. Była nierealna w tym blasku słońca złocącego kamienie szlifowane przez wieki. Siedziała na postumencie doryckiej kolumny z włosami zebranymi na karku żółtą kokardą. Miała na sobie jasne spodnie i bluzeczkę w kwiaty o kolorach tak delikatnych, jak trawa po burzy oczyszczającej ziemię i powietrze.

Na kolanach trzymała album i szkicowała klasyczne linie greckiej świątyni. Długo stał w bezruchu, obserwując ją na tle tego świadectwa greckości i pozostałości fenickich osad. Przejrzyste, czyste, pełne zapachów powietrze, poruszane lekkim wietrzykiem, otulało krajobraz i Nancy. Sean wstrzymał oddech. Bał się, że za chwilę ten obraz zniknie. Jakże daleko była teraz Ameryka. Stewardessa miała rację. To była Sycylia, zaczarowana, nieporównywalnej urody ziemia, gdzie czas się zatrzymał.

Nancy podniosła oczy znad albumu, obróciła się w kierunku góry i zauważyła Seana. Pozdrowiła go uprzejmym ruchem dłoni, jakby była u siebie w domu i zapraszała gości do środka.

- Czekałam na ciebie - powiedziała dziewczyna.

- Jesteś bardzo pewna siebie - odrzekł czując na sobie delikatne jak pieśczoła, porozumiewawcze spojrzenie Nancy. Zapragnął jej gwałtownie i jednocześnie poczuł niechęć do siebie za tę słabość.

- Nie tak, jakbym chciała - powiedziała wstając. Odłożyła album na kamień i zbliżyła się do mężczyzny.

- José zawiadomił mnie, że mam cię odnaleźć natychmiast. I jak widzisz - jestem.

- Rzeczywiście, muszę z tobą porozmawiać.

- Słucham - powiedział Sean oddalając się w kierunku murku, na którym usiadł. Instynktownie stwarzał rozsądny dystans między sobą a Nancy.

Spojrzała na niego z udawaną obojętnością. On obserwował ją z pozornie aroganckim uśmiechem. Obydwoje próbowali ukryć uczucie, które ich do siebie pchało.

- Wyglądasz na niezadowolonego.

Sean zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął.

- Nienawidzę owijania w bawełnę - skrytykował ją wydmuchując dym. - Wczoraj na placu, byłem o krok od ciebie. W każdym razie, wiedziałas, gdzie mnie szukać. Po co tyle komplikacji?

- Nie jestem skomplikowana.

- Jaka więc jesteś?

- Jestem Sycylijką.

- To nie to samo?

- Ty nie możesz tego zrozumieć. Nikt, kto się tu nie urodził i nie ma tej wyspy we krwi - zareagowała, jakby w tej właśnie chwili odkryła własne korzenie - nie rozumie tego. Nigdy bym nie przysłała do ciebie, nawet jeśli to, co mam ci do powiedzenia, jest bardzo ważne.

Stała dumna i poważna. On też się podniósł, czując się nieswojo wobec takiej dumy i patrzył na nią zdezorientowany.

- Kocham Nowy Jork i mam nadzieję, że powrócę tam. Wierzę w to do tego stopnia, że bez tej pewności mogłabym nawet zwariować, - podjęła Nancy - ale pozostaje fakt, że ty traktujesz nasze zwyczaje z obojętnością barbarzyńcy - skrytykowała go, dając upust własnej złości na tego mężczyznę, który ujarzmił ją samą swoją obecnością. - Twoje amerykańskie buty depczą to, co dwa tysiące lat temu było forum Selinunte. Uczniowie rozprawiali tu o filozofii, matematyce, naukach ścisłych.

- Sądziłem, że kochasz tylko Nowy Jork - odrzekł z rozbijającą szczerością.

- Kocham Nowy Jork. Ale jestem Sycylijką.

- Jesteś piękna - wyszeptał jednym tchem - i pragnę cię - dodał zbliżając się i od razu pożałował swych słów.

- Nawet gdybym i ja cię pragnęła, nigdy bym ci tego nie powiedziała - stwierdziła Nancy pragnąc gorąco, aby wziął ją w ramiona i pocałował. W tym momencie odrzuciła swoje zasady zapominając nawet, że w każdej chwili mógł wyłonić się spośród ruin Sal i zaskoczyć ich.

Ale Sean cofnął się i kopnął z pasją daleko kamyk, jakby chciał rozprawić się w ten sposób ze swoim pożądaniem i uczuciem, które żywił do Nancy.

- Czy zechcesz mi powiedzieć, dlaczego kazałaś mi przyjść aż tutaj? - zapytał zmienionym głosem.

Nancy uśmiechnęła się zadowolona. Sean był w niej zakochany i to jej wystarczyło.

Wszystko szło tak, jak tego pragnęła.

- Ktoś manipuluje przy pojemnikach z oliwkami, które są wysyłane z magazynów don Antonina Persico do Ameryki.

Mężczyzna spojrział na nią zaskoczony i nieufny.

- Mam ci uwierzyć?

- To twoja sprawa.

- Jak się dowiedziałeś?

Nancy opowiedziała mu o Alfredo Pennisi i o tym, czego był świadkiem.

- To Vito Vitanza, chrześniak don Antonina Persico, kieruje tą robotą. I jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden jest na usługach Mimì Scalii. Nazywa się Michele Sansa.

- Czy wiesz również, co chowają w pokrywkach pojemników?

- Mówiąc szczerze, nie. Nawet jeśli nie tak trudno jest się domyślić.

- Jesteś inteligentną i bystrą dziewczyną. Rodzina będzie ci wdzięczna.

- Sam też byś to odkrył. Tyle, że potrzebowałbyś więcej czasu. To wszystko.

- Tymczasem to twoja zasługa. Nie rozumiem natomiast - zamyślił się - dlaczego Mimì Scalia wypowiedział wojnę Persico, który uważa go za przyjaciela.

Nancy sądziła, że nie tylko zwykła chęć zysku była powodem tej decyzji. Przypomniała sobie, jak kilka lat temu zadzwoniła do José w sprawie ojca Alfreda i jak z Nowego Jorku nadszedł rozkaz dla don Mimì, polecenie natychmiast wykonane, ale nigdy nie strawione. Przy pierwszej nadarzającej się okazji odplacił się na swój sposób, prawdopodobnie sprzymierzając się z konkurencją.

Powiedziała to Seanowi.

- To możliwe, - przyznał mężczyzna - ale kiedy nie ma pretekstu, to się go wymyśla. Liczy się tylko pieniądz i władza. Reszta należy do twoich tysiącleci, nakładającej się warstwowo kultury - podsumował biorąc rewanż za kazanie Nancy.

Nazajutrz znaleziono zwłoki Michele Sansy przed bramą kamienicy don Mimì Scalii, natomiast Vito Vitanza został zabity w swojej sypialni. Śmierć zaskoczyła go we śnie. Morderca był miłosierny. Don Mimì Scalia rozpląnął się w nicości.

## 6

- Vito to mój chrześniak. Wziąłem go do siebie, kiedy był jeszcze dzieckiem. Był sam. Sierota. Wychowywałem go jak syna.

Don Antonino Persico miał zapuchnięte od płaczu oczy i zmienioną twarz. Zdrada i żaloba jednocześnie zagościły w jego domu. Płakał cicho, mieszając kawę w filiżance z cienkiej porcelany srebrną łyżeczką, która ginęła w jego olbrzymiej dłoni. Wypił łyk gorącej kawy, jak eliksir, i oparł się o twardą dziewiętnastowieczną kanapkę pokrytą czerwonym aksamitem.

Sean, który siedział naprzeciw niego w fotelu w tym samym stylu, poważnie mu przytakiwał myśląc o Nancy.

- Vito był dla mnie jak syn - powtórzył. - Dałem mu to zajęcie, bo chciałem, żeby dojrzał, ale tak naprawdę to widziałem w nim swojego następcę. Ufałem mu całkowicie. Z jakąż odwagą wyznał mi zdradę! Te uszy go słyszały - dodał z dramatyczną gestykulacją. - Te oczy widziały, jak wyznawał swą winę. Cóż mogłem uczynić, Irlandczyku?

- Było możliwe tylko jedno rozwiązanie - odpowiedział Sean - i zrobiłeś to.

- Był jak syn - powtórzył wycierając pot i lzy dużą białą chustką, w którą w końcu wytarł głośno nos.

Sean przytaknął, nadając twarzy wyraz pełen zrozumienia. Nie mógł przywyknąć do tych Sycylijczyków skorych do śmiechu i do płaczu, ofiar, w dobrym i złym, własnych burzliwych uczuć.

Była pora sjesty. Gorące wrześnie słońce paliło bezlitośnie domy i wysuszone pola. Cykady grały jak oszalałe, jakby to był środek lata. Okiennice w salonie przepuszczały oślepiające światło, które zatrzymywało się na białych, koronkowych firankach, rzucając na tapetę i obicia mebli nierealne cienie.

Don Antonino dał upust swemu bólowi, zaś Sean myślał z bezgraniczną miłością o



Nancy.

- Mimì Scalia zapłaci za wszystko - obiecał uroczyście Sycylijczyk, pochylając się do przodu i stawiając filiżankę na kryształowym stoliku nakrytym koronkową serwetką.

- Byłoby dobrze zakończyć sprawę jak najszybciej - poradził Irlandczyk.

- Natychmiast - wysyczał zaciskając pięści.

- Najpierw powinienem się dowiedzieć, gdzie on jest - odrzekł spokojnie, popierając Sycylijczyka i jego sposób rozumowania. Wziął karafkę z wodą z lodem i napełnił szklankę, zaś gospodarz nalał sobie jeszcze kawy z neapolitańskiego ekspresu.

- Już jest załatwiony. Ma związane ręce i nogi - zaskoczył go Persico, przechodząc od bólu do obojętności i od obojętności do uśmiechu. W jego spojrzeniu i głosie nie było już wzruszenia.

- Sądziłem, że uciekł - zaproponował Sean.

- Chwilowo nieuchwytny. Dzisiaj rano, kiedy ty byłeś poza domem, przysłał emisariusza. Chce pertraktować.

- Jakie pertraktacje?

- Chce się spotkać na neutralnym gruncie. Proponuje wysokie odszkodowanie za straty moralne. Wyraża skruchę i jest gotów odpokutować.

- A co w zamian?

- Chce nietykalności - Antonino Persico przyglądał mu się, a okrutny uśmiech wypływał mu na usta.

- Sądzisz, że jest szczerzy? - zapytał zastanawiając się, co by powiedział na jego miejscu Frank Latella.

- Kłamie - powiedział bez wahania.

- Więc?

- Spotkamy się z nim.

- Żeby pertraktować?

- Żeby wyciągnąć z niego co się da. Potem zamkniemy mu usta na zawsze. Żywy stanowi ciągle zagrożenie. A ty miej oczy szeroko otwarte. Jego grę przejrzelśmy. Jest śmiertelnym wrogiem Franka Latelli. Tylko dlaczego? - podsumował zaciskając usta.

Ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

- Kto tam? - zapytał Persico.

- Pan sierżant - odpowiedziała, wchodząc, pokojówka i tym zaanonsowała podoficera.

- Wpuść go - rozkazał gospodarz wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenie z Irlandczykiem. Wstał z niespodziewaną zwinnością i wyszedł naprzeciw gościu,

wyciągając na przywitanie rękę.

- Przyszedłem złożyć panu kondolencje - zaczął sierżant.

Był to przystojny, silny mężczyzna o gęstych siwych włosach i o budzącej zaufanie twarzy wiejskiego proboszcza z dużym nosem i śmiejącymi się, niebieskimi oczami. Pochodził z Lombardii, ale żył i pracował na Sycylii od wielu lat. Nazywał się Mario Colombo. Był o krok od emerytury i miał nadzieję, że dożyje swoich dni wraz z żoną, która nie dała mu dzieci, nad tym pięknym morzem, w tym niezrozumiałym dla niego miasteczku, wśród tajemniczych ludzi, których pokochał.

- Wielka strata - odrzekł don Antonino, przyjmując smutny wyraz twarzy i uprzejmym gestem zapraszając gościa do zajęcia miejsca. - Świeżą i mocną kawę dla pana sierżanta - rozkazał pokojówce, która stała jeszcze w progu.

- Proszę o wybaczenie, don Antonino, za wtargnięcie w tak trudnym momencie - przeprosił podoficer zajmując miejsce obok niego na kanapie.

- Znacie pana McLeary? Jest moim amerykańskim klientem.

- Jak może umknąć uwadze obecność tak ważnego cudzoziemca w naszej małej miejscowości? - odrzekł podoficer rozkładając ręce.

- A więc? - zapytał don Antonino udając, że nie zna powodu wizyty.

- Nie jest to najważniejszy moment, ale jest dwóch zabitych. A biedny Vito był prawie waszym krewnym.

Don Antonino Persico przytaknął z wdzięcznością. Wiedział, że sierżant mógł go wezwać na komisariat. Docenił przysługę, jaką wyświadczył mu tą wizytą, z której i tak nic nie wyniknie.

- Czy znane są panu jakieś szczegóły, które mogłyby coś wniesć do sprawy? - zapytał podoficer ze służbowego obowiązku, wiedząc, że nie otrzyma właściwej odpowiedzi.

- Na pewno pomyłono osoby - stwierdził gospodarz. - Mój handel jest całkowicie legalny. I biedny Vito tym się zajmował. Miał czyste ręce. Mam złamane serce.

- Nic panu nie przychodzi do głowy? Jakiś dziwny szczegół? Podejrzenie? Cień podejrzenia?

- Nic nie wiem - skłamał ze łzami w oczach i ze smutkiem w głosie.

Sierżant dopił kawę i podniósł się, aby się pożegnać. Nawet gdyby naciskał, stosował tortury, niczego więcej nie dowiedziałby się.

- Być może prokurator będzie chciał panu zadać jeszcze jakieś pytanie - poinformował go.

- Jestem do dyspozycji sprawiedliwości, sierżancie. Zawsze.

- Gdyby w międzyczasie pan coś sobie przypomniał, czy ja wiem, jakiś szczegół -  
kończył ściskając wyciągniętą dłoń - wie pan, gdzie mnie szukać.

- Nie omieszkam - powiedział gospodarz, przypieczętowując to wspólne kłamstwo.

Nancy obserwowała go z ukrycia, gdy wychodził z willi don Antonina i poszła za nim w odpowiedniej odległości. Sean szedł ścieżką wśród niskich, kamiennych ogrodzeń w stronę plaży. Księżyc wydłużał cienie w tym przyprószonym srebrem krajobrazie. Zebrał kilka kamyków i rzucał je do wody, tak jak wtedy, gdy był dzieckiem i rzucał je do morza w Long Island. Długie, spokojne, szmerzące fale omywały plażę.

Nancy wyszła z ukrycia, zdjęła sandaalki i milcząc podeszła do niego.

- Dlaczego idziesz za mną? - zapytał mężczyzna, który zauważył ją już wcześniej.

- Dlaczego nie uciekasz? - zaskoczyła go pytaniem.

- Sama sobie przeczysz. Ostatnim razem powiedziałeś, że wolałabyś umrzeć niż przejąć inicjatywę.

- Tylko idioci nie zmieniają zdania - odrzekła zmuszając go do odwrócenia się.

Sean powoli obrócił się do niej, zamknął ją w gorącym uścisku i pocałował z całą słodyczą, do której był zdolny. A była to niezmierna słodycz. Nancy, której nie całował jeszcze nigdy żaden mężczyzna, odpowiedziała mu z niecierpliwością i żarem nagromadzonymi w oczekiwaniu tego pierwszego pocałunku.

W tym momencie Sean zdał sobie sprawę, że wszystkie kobiety jego życia nie były warte nawet jednego włoska z głowy tej impulsywnej, namiętnej dziewczyny.

- Kocham cię - wyszeptał jej na ucho. Nigdy jego uczucie nie było tak głębokie i porażające.

- Ja też - odrzekła, a serce jej waliło tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Było tak, jakby całe życie czekała tylko na niego.

Sean ukrył twarz w gęstwinie jej włosów powstrzymując łkanie. Pragnął jej tak, jak nigdy przedtem nie pragnął żadnej kobiety.

- Doprowadzasz mnie do szału, Nancy - wyszeptał, a ona leciutko muskała ustami jego szyję.

Nancy poczuła na swoim brzuchu, który rozpływał się jak złocisty miód, pożądanie Seana i przyłgnęła do mężczyzny z całą mocą własnej kobiecości. Właśnie tak wyobrażała sobie swoje pierwsze doświadczenie miłosne. Na brzegu morza, w srebrnym świetle księżycy, kołysana szumem fal. Zapragnęła go silnie, bezgranicznie, bardziej niż czegokolwiek innego. Nie miała już tradycji, reguł, wątpliwości, zasad, tylko tę złocistą ciemność, którą czuła w sobie i która pchała ją w ramiona Seana.

- Nie tak, dziewczynko - przywołał ją do rzeczywistości, chwytając mocno za ramiona i odrywając od siebie.

- Dlaczego? - zapytała zawieszona jeszcze na skraju czarownego zawrotu głowy.

- Nie możemy, Nancy - powiedział stanowczo. - Nie mogę - sprecyzował.

Nancy zapłonęła ze wstydu czując się odrzucona.

- Dlaczego? - powtórzyła. Miała ochotę się rozplakać.

Czy miał jej powiedzieć, że biorąc ją w ramiona uzyskał pewność, że zakochał się do szaleństwa w córce człowieka, którego kilka lat wcześniej zabił przed Plaza? I nie tylko to zmuszało go do refleksji. Była jeszcze ojcowska postać José Vicente, który gdyby doszło do czegoś nieodwracalnego, chroniłby, jako Sycylijczyk, dobre imię dziewczyny. Wchodząc do rodziny Franka Latelli Sean nauczył się, że istnieją nieprzekraczalne granice i prawa niepisane, choć surowo przestrzegane, regulujące stosunki wewnętrzne między poszczególnymi członkami.

Jedno z tych praw chroniło nietykalność kobiet, niezależnie od tego, czy były to żony, córki czy też siostry.

- Nie mogę - powtórzył mężczyzna.

- Czego nie możesz? - zapytała Nancy.

- Nie mogę cię posiadać - powiedział przytulając ją.

Poczuła znów pożądanie mężczyzny i odnalazła odwagę dającą jej prawo do tej namiętności. Sean pocałował ją zapominając o José, o prawach honoru i rodziny, o własnym brudnym rzemiośle, wyrzutach sumienia za nieumyślną zbrodnię. Chciał tylko jednej rzeczy - Nancy. Przez lata nosił w sobie prawie nierealny wizerunek kobiety, którą chciałby pokochać całym sercem; wyolbrzymił go, wypieścił, a teraz miał ją w ramionach, w świetle księżycy, nad brzegiem morza, drżącą pragnieniem i młodością.

- Pragnę cię - udało mu się wreszcie wymówić, gdy tak klęczeli na piasku rozpaczliwie się szukając.

- Nancy! - imię dziewczyny, dziko wykrzywane, przerwało czar tej księżycowej nocy i ostudziło pożądanie zakochanych. Cień zmaterializował się parę metrów przed nimi. To

była Addolorata, która rozpaczliwym, obronnym gestem chwyciła córkę za ramiona, unosząc nieco do góry.

- Mama! - wykrzyknęła Nancy, bardziej zdziwiona niż przestraszona.

Zrozpaczona kobieta była kłębkim nerwów. Poczuli się znieważona sytuacją, w jakiej zastała córkę. Nadbiegła zdyszana, dręczona wyrzutami sumienia, zaniepokojona myślą, że Nancy mogłaby popełnić jej własne błędy. Przywołała na pomoc wszystkie siły i uderzyła dziewczynę w twarz z taką gwałtownością, że ta upadła na piasek.

Sean pochylił się nad Nancy i pomógł jej wstać.

- To moja wina - wziął na siebie całą odpowiedzialność.

Nancy była wściekła. Nie chciała słuchać ani Seana, ani matki.

- Skąd u ciebie to poczucie odpowiedzialności za innych? - zapytała trzymając ją za ramiona i potrząsając. - Dlaczego nagle przypomniałaś sobie, że istnieje? Wiele lat temu odsunęłaś się od swoich dzieci pogrążona w bólu. A teraz nagle obudziłaś się, aby mnie obrażać i napadać - była zimna, logiczna, bezlitosna. Odkrywała przed Seanem nieznaną mu stronę swojego charakteru.

- Miałam nieszczęśliwe życie - broniła się Addolorata - i nie chcę, aby moja córka miała jeszcze gorsze. Nawet nie wiesz, kim jest ten mężczyzna - oskarżyła Seana. - Nie wiesz, czym się zajmuje.

- A ty wiesz? - rzuciła wyzwanie.

- Twoja matka ma rację, Nancy - wtrącił Irlandczyk. - Nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie. Jesteś wspaniałą, czystą dziewczyną. Zaslugujesz na kogoś lepszego. Ja...

- Ty należysz do rodziny Latelli - przerwała mu Nancy. - Jak José. Jak don Antonino Persico. Jak moja matka, moja babka i ja sama. Do jakiej rodziny należymy? Powiedz, mammo. Za czyje pieniądze żyjemy? Wiesz, że mój ojciec został zabity przez pomyłkę w porachunkach między rodzinami z Nowego Jorku? - rzuciła mu wyzwanie.

- Wiem - przyznał z bólem Sean.

- To dlaczego prawisz mi kazania jak moja matka?

- Kobiety z rodziny są święte. Nie mogę cię mieć, Nancy. Gdyby twoja matka nie przeszkodziła nam, popełnilibyśmy błąd nie do wybaczenia.

Dokładnie w tej sekundzie jego zwierzęcy instynkt ostrzegł go przed niebezpieczeństwem. Sean rzucił się na Nancy pociągając ją na ziemię i zakrywając własnym ciałem. W tej samej chwili seria z karabinu maszynowego skosiła matkę. Sean wyszedł cało z zamachu ratując Nancy. Addolorata uśmiechała się do księżyca i do

śmierci, której od dawna wyczekiwała. Również ona, tak jak i mąż, zginęła zamiast kogoś innego. Również ona, choć pośrednio, została zabita przez Seana McLeary. W niego wymierzona była broń, która pozbawiła ją życia.

Rozkaz José Vicente Dominici był kategoryczny.

- Przywieź dzieci - powiedział do Seana.

I teraz Nancy i Sal pod jego opieką lecieli w pierwszej klasie rejsowego samolotu nad Atlantykiem w kierunku Nowego Jorku. Sal skończył niedawno czternaście lat, Nancy nie miała jeszcze siedemnastu. Byli sami. Byli sierotami. Anna Pertinace, babka, wyraziła życzenie dokończenia życia w miejscowości, w której się urodziła. Ameryka nigdy jej się nie podobała, ale zdawała sobie sprawę, że z drugiej strony oceanu mogła być przyszłość dla jej wnucząt pozbawionych rodziców. Być może Nancy i Sal znajdą w Nowym Jorku ojczyznę. Pozwoliła więc im wyjechać z błogosławieństwem i pustką w sercu.

Addolorata została pochowana na cmentarzu obok grobu męża. Tam wreszcie odnaleźli spokój.

Tego samego dnia zostały pochowane dwie inne osoby: najemny morderca, który ją zabił, oraz don Mimì Scalia, któremu według raportu policji wplątał się krawat w kierownicę auta i udusił go. Fatum, straszne nieszczęście. Addolorata natomiast zmarła w wyniku zawału serca. Tak stwierdzało świadectwo zgonu wystawione przez lekarza rodziny, doktora Innocenzo Profumo, wielkiego przyjaciela don Antonina Persico.

O świcie Nancy dostrzegła brzeg Stanów Zjednoczonych i oczy rozbłysły jej wzruszeniem.

- Jesteśmy w domu - powiedziała do Sala.

Brat ścisnął ją mocno za rękę.

- Nareszcie - uśmiechnął się.

Siedzący z tyłu Sean spędzał czas na rozpamiętywaniu. Podczas międzylądowania na wyspie Sale Nancy powiedziała mu:

- Niepotrzebnie mi uciekasz. Moje uczucia nie zmieniły się.

Sean uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Zapomnisz o mnie. Czas jest najlepszym lekarstwem na chorobę miłości.

- Mówisz o mnie? - zapytała Nancy.

- Także o sobie - odpowiedział. I od tej chwili ignorował ją.

## 8

Powolny, zimny zmierzch zapadał na cichy, pokryty śniegiem park. Niektóre okna willi rzucały niebieskie światło na puszystą kołdrę. Obstawa przy bramie wyszła naprzeciw niebieskiego packarda José Vicente Dominici.

- Wszystko okay? - zapytał jeden z nich.

- Bez problemów - odpowiedział José wrzucając bieg i wjeżdżając w aleję prowadzącą do willi.

Środki ostrożności były niezbędne odkąd rodzina znajdowała się w stanie wojny z La Maną. José potrzebował czterdziestu minut na przejechanie czterdziestu kilometrów, które dzieliły Brooklyn od willi Latelli w Greenwich w Connecticut. Mocno naciskał pedał gazu, bardziej niż było to wskazane przy tym niskim, stojącym niebie, śniegu bielącym ziemię i śliskiej nawierzchni. Miał nadzieję, że się nie spóźnił.

Kiedy wszedł do gabinetu, Franka jeszcze nie było. Odetchnął z ulgą. Nie znosił kazać Frankowi na siebie czekać. Przywitał się z Seanem McLeary, synem Latelli - Nearco - i Johnem Galante. Uśmiechy i uściski dłoni były takie jak zwykle, ale w powietrzu wisiało napięcie. José natychmiast je wyczuł. Usadowił się na krześle w kącie, blisko telewizora, gdzie wydawało mu się, że nie będzie zawadzał.

Nearco uczeplił się telefonu, nacisnął przycisk i po krótkim oczekiwaniu powiedział:

- Jesteśmy wszyscy, tato.

W chwilę później otworzyły się drzwi. Wszedł Frank Latella. Zanim usiadł za biurkiem, przyjrzał się z uśmiechem każdemu po kolei, wymawiając ich imiona i podnosząc prawą rękę w geście pozdrowienia.

- Podjąłem decyzję niezwykłą i poważną - zaczął.

Wszyscy utkwili w nim spojrzenia wzmagając uwagę i słuchając w absolutnej ciszy.

- Jaką decyzję? - wtrącił Nearco, tracąc w ten sposób jeszcze jedną wspaniałą okazję do milczenia.



Wydawało się, że nikt go nie usłyszał i Frank go zignorował.

- W punkcie, w którym się znajdujemy - podjął - uważam, że nie ma innego sposobu na uspokojenie tego szaleńca, Joe La Manny. Jest bardziej szalony niż jego teść. Ale nie ma talentu i jaj starego, niech spoczywa w pokoju. Kieruje nim tępa, sadystyczna przemoc.

Mężczyźni słuchali go z uwagą. Nearco kręcił się nerwowo na wyściełanym krześle. Wszystkie twarze wyrażały napięcie.

- Nie ma co ukrywać powagi sytuacji - kontynuował Frank. - Jesteśmy w oku cyklonu. I jesteśmy sami.

Pokój przypieczętowany śmiercią Chinnici, która miała wyrównać rachunki za zamach na Franka Latellę, trwał krótko.

Zięć Alberta, mąż jego starszej córki Cissy, pogwałcił zawieszenie broni wdzierając się na cudzy teren: w pojemnikach z oliwkami przeznaczonymi dla Latelli przemycił z Sycylii narkotyki. Gdy przerzut ten został krwawo przerwany tak w Castellammare jak i w Nowym Jorku, odbyło się spotkanie na szczycie szefów pięciu rodzin, na którym zawarto właściwie pozorny rozejm.

W kwestii handlu narkotykami okazało się, że Frank Latella jest sam.

- Narkotyki to bardzo ważny biznes - argumentował Joe La Manna. - Jeśli się nim nie zajmujemy, kto inny będzie czerpał z tego zyski. Dlaczego mamy ustąpić? Żydzi, Irlandczycy, Portorykańczycy, Polacy tylko na to czekają. Jeśli im podarujemy ten interes, staną się tak bogaci i wpływowi, że nas zmiażdżą. I dopiero wtedy będą łyzy i krew. Narkotyki to pieniądze, duże pieniądze. Narkotyki dają władzę.

W ten sposób Joe wyraził opinię i intencje wszystkich obecnych.

Frank Latella przedstawił w dwóch słowach swój punkt widzenia.

- Narkotyki to gówno. Gówno i trucizna. Mam wnuka, to dobry chłopak. Nie chcę, aby pewnego dnia musiał się wstydzić za dziadka. Nie chcę brać udziału w zatruwaniu świata.

W końcu ustalono, że każdy na swoim terenie będzie działał niezależnie, tak jak będzie chciał.

- Jeśli nie chcesz przystąpić do tego interesu - twoja sprawa - powiedziano Frankowi.

- My nie będziemy wtrącać się w twoje sprawy.

Wszyscy przestrzegali umowy, z wyjątkiem Joe La Manny. Był młody, chciwy i teraz, kiedy odziedziczył władzę w rodzinie Chinnici, czuł się nie do pokonania. Wkręcił swoich handlarzy na teren Latelli i rozprowadzał narkotyki w lokalach kontrolowanych przez

Franka. Wojna była nieunikniona.

Usłudni policjanci kontrolowani przez Latellę utrudniali działalność lokalom La Manny, natomiast zięć nieboszczyka Chinnici podłożył ładunki wybuchowe w dwóch restauracjach i w trzech sklepach należących do rodziny Latelli.

Frank był wściekły i zwołał swój sztab, aby przekazać mu swoje decyzje.

- Jest to niezwykle i poważne pociągnięcie - powtórzył. - Wszyscy znamy dobrze Cissy Chinnici, żonę Joe La Manny. Przynosi wstyd swojej rodzinie. Przynosi wstyd wszystkim naszym kobietom. Sean i Buchman odkryli na jej temat coś naprawdę skandalicznego i strasznego. Nie pogłoski lub plotki, ale dowody jej perwersji. Brzydzę się szantażem, zwłaszcza tego typu, ale jest to jedyny sposób, aby powstrzymać tego paranoika i obronić nasze terytorium.

Cissy Chinnici zaczęła przynosić wstyd rodzinie w wieku piętnastu lat. Carmela Anfuso, żona Alberta, powtarzała mężowi:

- Jest taką samą awanturnicą, jak ty. Tyle, że jeszcze większą, bo jest kobietą, a zachowuje się jak rozpalony samiec.

Cissy była jeszcze dzieckiem, kiedy zaszła w ciążę i rodzina nigdy nie dowiedziała się, kto był za to odpowiedzialny. Ojciec zmusił ją do przerwania ciąży i zamknął w college'u. Uciekła po kilku tygodniach. Odnaleziono ją w okolicach Miami, w lokalu odwiedzanym przez kierowców ciężarówek.

Gdy miała szesnaście lat, Albert wydał ją za dobrego chłopaka. Rzuciła go w trakcie miodowego miesiąca lądując w łóżku gracza w bilard. Doprowadzona do owczarni, przy pierwszej okazji uciekła do hotelu trzeciej kategorii za ciemnoskórym piosenkarzem, artystą kabaretowym i w wolnych chwilach sutenerem. Mąż zażądał rozwodu i otrzymał go, kiedy Cissy miała siedemnaście lat. Al Chinnici zbił ją na kwaśne jabłko.

Trzy miesiące później zatrzymała ją policja drogowa. Była pod wpływem alkoholu, koki i haszyszu. Prowadziła nago buicka z rozsuwanym dachem na moście w Brooklynie.

Joe La Manna, który wtedy był gorylem i zaufanym Alberta Chinnici, zapewniał:

- Poradzę sobie z nią.

- Powierzam ci ją - powiedział Albert nie mając już żadnej nadziei.

Osiemnastoletni Joe poślubił ją i oswoił z pomocą dużego przyrzędu, którym obdarzyła go przewidująca matka natura. Przez pewien czas wydawało się, że Joemu udało się. Wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni. Cissy cztery razy zachodziła w ciążę i cztery razy poroniła. Za piątym razem była to ciąża pozamaciczna. Została zoperowana w ostatniej chwili. Jeszcze godzina i byłaby martwa. Potrzebowała kilku miesięcy, aby

dojść do siebie.

Rok później była w ciąży po raz szósty, tym razem udany. Urodził się syn. Wspaniały. Nazwano go Albert, po dziadku. Przez kilka tygodni Cissy bawiła się nową zabawką i była przykładną matką. Po dwóch miesiącach bobas stracił na atrakcyjności i kobieta znów zaczęła pić, narkotyzować się i oddawać się każdemu napotkanemu mężczyźnie. Jak napalona samica podczas rui.

- To nimfomanka - próbował wyjaśnić Joemu lekarz.

- Kurwa - sprecyzował Joe.

- Kobieta chora i nieszczęśliwa - kontynuował lekarz.

- Można ją wyleczyć?

- To skomplikowana sprawa.

- A więc?

- Lubisz ją?

- Tak - odpowiedział Joe, który poślubił ją z wyrachowania, a teraz kochał. Ona również na swój sposób go kochała. W łóżku była jedyną, która umiała dać mu pełną rozkosz.

- Więc musisz postępować tak, jakbyś miał w domu wariata.

- W jaki sensie?

- W takim, że musisz ją chronić.

- Ale jak?

- Zabezpieczając ostre kany. Upadki będą mniej bolesne.

Joe objął głowę rękami.

- Ja oszaleję!

- Musisz się pogodzić. Powtarzam - to chora kobieta.

I Joe próbował się pogodzić. Najważniejsze, aby rzecz nie przedostała się do publicznej wiadomości i aby zaspokajała swoje potrzeby bez wywoływania skandali.

Tym razem jednak Cissy przebrała miarę. Uwodząc mężczyznę, któremu Joe La Manna zlecił jej pilnowanie, udało się jej wziąć udział w erotycznym spektaklu, który okryłby hańbą rodzinę Chinnici po wsze czasy.

Frank otworzył szufladę biurka, wyciągnął dużą kopertę i podał ją Johnowi Galante.

- Sean i Buchman wiedzą już, o co chodzi - powiedział. - Chciałbym poznać wasze zdanie na temat sposobu postępowania w tej brudnej sprawie.

Galante otworzył kopertę i wyciągnął zdjęcia. On, który znał najbardziej bulwersujące strony życia, uznał te zdjęcia za wstrząsające i aż oniemiał. Wsunął fotografie do koperty,

starając się ukryć zdumienie, które wywołały.

- Czy to pewne? - zapytał z dziwnym błyskiem w oku. - Czy to naprawdę Cissy La Manna, ta na fotografii?

Frank przytaknął.

- To pewne - potwierdził Sean.

Nearco wyciągnął rękę do Galante, który przekazał mu kopertę. Latella poczuł się nieswojo na myśl, że syn będzie oglądał te zdjęcia, choć miał czterdzieści lat.

- Chryste Panie! - wykrzyknął Nearco. - To dynamit!

- Dlatego musimy ostrożnie się z tym obchodzić, aby nie wybuchł nam w rękach - skomentował Latella.

Nearco wyciągnął fotografię do José Vicente, ale olbrzym pokręcił przecząco głową.

- Nie w moim typie - powiedział patrząc na Franka z przepaszającą miną.

- Ohyda - usprawiedliwił go Latella. - To tak, jakbyś podniósł błyszczący, wypolerowany kamień, a pod nim znalazł wijące się robaki.

Koperta została odłożona do szuflady.

- Więc? - spytał Frank rzucając wszystkim pytające spojrzenie.

Nearco kręcił się na krześle. Aby dodać sobie pewności, wsadził papierosa do ust i zapalił od strony filtru. Zgasił z niesmakiem. Wyciągnął z paczki drugiego łamiąc go. Trzeciego udało mu się zapalić i zaciągnął się tak, jakby z tej rurki wypchanej tytoniem wysysał życie.

- Jeśli zabierzesz głos i będziesz miał nawet pomysł, nikt się tu nie obrazi - dał mu kuksańca ojciec.

Nearco miał kompleks następcy tronu i wydawało mu się, że wszystko mu się należy. Ale nie robił nic, aby poznać tajniki organizacji, częściowo dlatego, iż uznał, że wie wszystko, częściowo z braku talentu i chęci.

- Mamy w rękach bombę - ucieszył się wydmuchując niebieski dym. - Na co czekamy, aby ją uruchomić? Wystarczy podać do odpowiednich gazet. I gra skończona. La Manna jest skończony - gorączkował się podnosząc głos.

Latella spojrzał na Galante.

- Co o tym sądzisz, John? - zapytał spokojnie jak zwykle.

Stary i wierny współpracownik pokręcił głową.

- Komu to się przyda? - rozumował. - Co nam przyjdzie ze skandalu w prasie?

- Uzyskamy to, że La Manna zareaguje z okrucieństwem tygrysa - wtrącił José Vicente - i rozpocznie najkrwawszą ze wszystkich wojen.

- Dokładnie to by się wydarzyło - potwierdził Latella kierując niemy wyrzut w stronę syna.

- Chryste panie! - rozłościł się Nearco. - Co chciałbyś zrobić? Pójść do niego i powiedzieć: „Popatrz na te świństwa twojej żony, postawmy krzyżyk na przeszłości i pogódźmy się”? Tego chciałbyś?

- To już lepsze rozwiązanie niż to poprzednie, ale jeszcze niewystarczająco skuteczne - odparował spokojnie Frank.

- Musimy doprowadzić Joe La Mannę do burdelu, w którym zostały zrobione te zdjęcia. Joe musi zobaczyć przedstawienie na własne oczy.

- Wyślemy mu zaproszenie z dopiskiem „Obowiązuje strój wieczorowy”. - Nearco próbował odciąć się.

Latella spojrział na syna z politowaniem.

- Sean zajmie się zaproszeniem. Potem José dostarczy mu zdjęcia. Oczywiście kopie. Wtedy będzie gotowy do pertraktacji. I zaakceptuje kapitulację. Bezwarunkową kapitulację. Ale dopiero po przedstawieniu obejrzanym na żywo. Jasne? - zakończył Frank piorunując syna wzrokiem.

## 9

Joe La Manna przeszedł przez hol willi w High Point w New Jersey i zszedł do suteryny. W rozbieralni przebrał się w kostium kąpielowy i otworzył drzwi wychodząc na kryty basen. Był postawnym mężczyzną z niewielką nadwagą, której nie mógł się pozbyć. Wszystkie próby odchudzania kończyły się porażką.

- Spóźniłeś się - skarcił go męski głos, młody i wesoły.

- Utknąłem w korku - usprawiedliwił się, zbliżając się do drabinki.

Atletyczna sylwetka młodego człowieka odcinała się wyraźnie na tle przejrzystej niebieskiej wody w basenie.

- Przepląnąłem już cztery baseny - uśmiechnął się pokazując białe, mocne zęby. - Dzisiaj jestem naprawdę w formie.

- Zobaczymy więc, czy mnie pokonasz - rzucił mu wyzwanie Joe wchodząc do wody i zbliżając się do chłopaka.

Ruszyli jednocześnie na sygnał dany przez Joe i płynęli na plecach młóćąc energicznie rękoma. Nogi chłopca leżały bezwładne, a mimo to pierwszy osiągnął przeciwny brzeg basenu olimpijskich rozmiarów. Mocnym pchnięciem klatki piersiowej wywinął w wodzie koziołka, wypłynął i pracując mocno rękoma zawrócił. Joe dogonił go zadyszany.

- Sapiesz i dyszysz jak lokomotywa, tato - śmiał się chłopak.

- Żadna sztuka! - odciął się zduszonym głosem. - Masz dwadzieścia lat. Nie pijesz, nie palisz. Jesz tyle, ile trzeba.

- Możesz zawsze brać ze mnie przykład - zachęcał go.

- Powinieneś wybrać sobie mądrzejszego ojca - powiedział Joe zbliżając się do drabinki, przy której był jego syn.

- Każdy pretekst jest dla ciebie dobry.

- Chodź, poćwiczmy trochę - zachęcił go chwytając za kostki u nóg.

Albert położył się na wodzie trzymając się rękoma drabinki. Joe zmuszał go do

ruchów przypominających jazdę na rowerze. Ćwiczenia wchodziły w skład terapii i Joe za każdym razem, kiedy tylko mógł, zastępował fizjoterapeutę, wkładając w ten obowiązek całe swe ojcowskie uczucie. Po wypadku samochodowym, w trakcie którego jakiś odprysk uszkodził mu kręgosłup i w konsekwencji spowodował paraliż nóg, Albert załamał się. Później chęć życia zwyciężyła i stał się mistrzem w posługiwaniu się fotelem na kółkach. Dzięki odpowiedniemu wyposażeniu mógł znów prowadzić samochód. Miał silnie rozwinięte barki i klatkę piersiową, natomiast nogi były cienkie.

- Jesteś zdenerwowany - stwierdził Albert.

- Tylko zmęczony - sprecyzował Joe kłamiąc. W rzeczywistości był bardzo zdenerwowany. Telefon od Franka Latelli był dziwny. Jego najgorszy wróg rozmawiał z nim spokojnie i w niezrozumiały sposób, przyjacielskim tonem.

- Chciałbym, żebyś zobaczył coś, co cię bardzo zainteresuje - powiedział wywołując w nim niepokój.

- Gramy w zgaduj - zgadulę?

- Jestem pewny, że po obejrzeniu tego, co ci proponujemy, my dwaj dogadamy się.

- Powiedz mi, Frank, mózg ci wysiada?

- Nie, Joe. Wiem, co mówię i jestem czujny. Mówię w imię moich interesów, ale również twoich.

- Sądzisz, że możesz coś komuś nakazać? A zwłaszcza mnie? Frank, ty masz odłot.

- To żaden rozkaz, Joe. Jedynie zaproszenie. Lub jeśli wolisz - sugestia. Lub rada. Choć raz powinieneś mnie posłuchać.

Było naprawdę coś dziwnego w głosie Latelli, niezwykła pewność siebie, nieuzasadniona w świetle ostatnich znanych wydarzeń.

- Co ty mi tu pieprzysz, Frank? Mam cię w garści. Masz związane ręce.

- Mag Houdini rozrywał łańcuchy i kłódki.

- Ale ty już jesteś trupem i jeśli jeszcze chodzisz, to tylko dlatego, że nikt ci o tym nie powiedział. Ja ci to teraz mówię.

- Dziś wieczór przyjedzie po ciebie do domu w High Point Irlandczyk. Z naszej strony nie będzie żadnych sztuczek. Ty też nic nie wymyślaj - Latella przerwał rozmowę, zanim La Manna mógł odpowiedzieć.

- Pomóż mi wyjść - powiedział Albert do ojca, który go nie słuchał. Nie wiedział dlaczego, ale wiedział, że pojedzie z Seanem McLeary na tajemnicze spotkanie. Był pewien, że Latella dotrzyma danego słowa i że nie będzie pułapek.

Był też pewien, że tym razem przeciwnik nie blefował. Żeby sprawdzić jego karty,

musiał przystąpić do gry.

- Tato, mówię do ciebie, czy ty mnie słuchasz? - przywołał go do rzeczywistości Albert.

Podniósł go i posadził w fotelu na kółkach, wyłożonym prześcieradłem kąpielowym.

- Ależ oczywiście. Chcesz poprosić tę... tę dziewczynę, żeby za ciebie wyszła. A dlaczego miałbyś tego nie zrobić? - powiedział wycierając mu miękkim materiałem nogi.

Przeklęty Irlandczyk! Właśnie jego wyznaczyli mu na przewodnika. Kiedy pojawiał się Sean McLeary wiadomo było, że będą kłopoty. Tak było ze starym Alem, tak było z przemytem narkotyków z Sycylii. No i teraz...

- Chryste, tato - napadł na niego syn - o problemie mojego życia ci mówię! Dlaczego mnie nie słuchasz? Moja dziewczyna rzuciła mnie! I wiesz dlaczego? Ponieważ jestem tylko na wpół mężczyzną! Jestem kaleką! - krzyczał. - Impotentem i kaleką!

Joe nie miał żadnych argumentów, które mógłby przeciwstawić rozpacz syna. Nie mógł mu powiedzieć: „Stracisz jedną, znajdziesz sto innych.”

Ten chłopak, który na zawsze utracił męskość, musiał znaleźć jakiś inny cel w życiu. I musi być gdzieś na tym szerokim świecie jakiś wystarczający powód, który nie pozwoli mu pójść na dno. Był gotów bić się o niego aż do śmierci, ale nie w tej chwili.

Jego myśli, jego uwaga były skupione na tym przeklętym Irlandczyku. Już dawno powinien był skrócić mu kark. Ale pewnego dnia usunie go z powierzchni ziemi.

- Fakt, że ta kurewka cię rzuciła, jeszcze nic nie znaczy - odpowiedział niezręcznie, wiedząc dobrze, że miało to decydujące znaczenie.

- Zgoda, tato - poparł go chłopak, pozornie pogodzony z losem.

Wiedział, że ojciec bardzo go kocha, ale zdawał sobie też sprawę, że czasami, w pewnych sytuacjach, niezależnie od wagi problemu, może liczyć tylko na siebie. Musiał przyznać, że w gruncie rzeczy ojciec, z tą swoją surowością, był jedyną osobą, która traktowała go tak, jak gdyby był normalnym człowiekiem.

Albert zdjął kostium. Joe spojrzał na niego. Był wspaniałym mężczyzną, wyposażonym hojnie przez naturę, tak jak i on, ale ten cholerny wypadek zdmuchnął płomień, który zasiliał jego moc. Co za gówniane życie! Czy się kiedykolwiek z tym pogodzi? A nawet jeśli zaakceptuje swoją ułomność, czy znajdzie kobietę zdolną go pokochać za to trochę, co może jej zaofiarować? Te pytania nie dawały mu spokoju. Teraz jednak nie miał czasu na szukanie sensownych odpowiedzi, o ile takowe istnieją.

- Do jutra, Albercie - pożegnał się gwałtownie, klepiąc go przyjacielsko po ramieniu.



## 10

Sean, oparty o swoje czerwone ferrari zaparkowane przed wejściem do willi La Manny, palił niechętnie papierosa rysując na śniegu esy - floresy czubkiem wyglansowanego buta.

- Jedźmy - rozkazał Joe z udawaną obojętnością, wychodząc z holu.

Sean uśmiechnął się do niego z podejrzaną serdecznością i zaprosił do samochodu. Usiadł za kierownicą i ruszył białą już aleją, dojeżdżając do otwartej elektronicznie bramy.

Sean dotknął hamulca i samochód, posłuszny, zatrzymał się.

- Co jest? - zapytał Joe.

- Twoja obstawa - odparł lakonicznie Irlandczyk machając prawą ręką jak autostopowicz, pokazując chryslera, który zatrzymał się za nimi.

- Moi ludzie jadą za mną wszędzie - powiedział.

- Nie tym razem - sprecyzował Sean. - My się zajmujemy transportem. O ile wciąż jeszcze chcesz się udać na to spotkanie. Nie ma miejsca na mediacje i zagrywki. Wóz albo przewóz.

La Manna ścierpiał w milczeniu. Otworzył drzwiczki, dał znak i samochód ruszył z piskiem opon w kierunku Nowego Jorku, podczas gdy obstawa pozostała za zamykającą się bramą.

Ochłodziło się. Z nieba leciały małe płatki śniegu. Przejechali w milczeniu około trzydziestu kilometrów z szybkością na jaką zezwalały warunki na drodze oczyszczonej przez okazałe pługi śnieżne, dobrze widoczne w ciemności dzięki światłom sygnalizacyjnym. La Manna przeżuwał myśli i fakty, zrobił przegląd wszelkich możliwości, ale nic nie rzucało światła na tę głęboką tajemnicę.

Nie był pewien nietykalności. Nie miał żadnej pewności. Jedynie wrażenie, że nikt nie wyrządzi mu fizycznej krzywdy. Nikomu by się to nie opłacało. Frank Latella wiedział, że

jeśli tylko spadłby mu włos z głowy, jego rodzina zostałaby unicestwiona. Frank był zbyt inteligentny, aby wystawiać się na takie ryzyko. Mimo wszystko, przygotował się na najgorsze. Spojrzał na profil Irlandczyka. Był nieprzenikniony. Sztuka czekania nie pasowała do jego popędliwej natury, ale tym razem musiał się dostosować. Co miał na myśli Frank robiąc aluzję do maga Houdini, który umiał rozrywać łańcuchy i kłódki.

Ferrari było już na peryferiach Manhattanu. Kiedy La Manna odczytał tablicę Sto Dwudziestej Piątej ulicy i Sean zaparkował przed numerem 235, wiedział, że znajdują się w sercu Harlemu.

- Co do cholery robimy wśród tych parszywych czarnych? - zaklął.

- My nic - odpowiedział lakonicznie Irlandczyk zapraszając go do opuszczenia samochodu.

Grupa chuliganów zbliżyła się do ferrari w sposób, który pozwalał domyślać się ich intencji.

- Jeśli go tu zostawisz, to w najlepszym przypadku zastaniesz dwa.

Sean nie słuchał go nawet, wymienił szybkie, porozumiewawcze spojrzenie z szefem bandy, ubranym w dżinsy i marynarską bluzę. Typ koszykarza z uśmieszkiem cwaniaka na zarośniętej twarzy.

- Jeden podaruję ci na rocznicę ślubu - odpowiedział Irlandczyk przygryzając dolną wargę w obawie, że posunął się za daleko.

Joe zignorował to jedyne zdanie, które mogłoby naprowadzić go na trop. Wszedł za Seanem do nowoczesnego ośmiopiętrowego budynku, a następnie do windy upiększonej sprośnymi rysunkami. Wszystko było względnie nowe, ale zarówno budynek jak i winda nosiły ślady systematycznego, niemal naukowego procesu niszczenia. W Harlemie wszystko w krótkim czasie było doprowadzone do żalosego stanu.

Na ostatnim piętrze winda otworzyła się na słabo oświetlony korytarz. Z głębi dobiegały dźwięki jazzu. Sean zadzwonił do jednych z drzwi. Ktoś przyjrzał się im przez judasza, następnie drzwi otworzyły się i młoda Murzynka, piękna i niepokojąca, w czerwonej sukni tak opiętej na jej prowokujących kształtach, że wydawała się namalowana wprost na skórze, przesłała Seanowi gorący uśmiech.

- No, to rzeczywiście spodobało ci się przedstawienie - przywitała go, opuszczając długie rzęsy na ciemne oczy.

Sean wyciągnął z kieszeni marynarki studolarowy banknot i wsunął go za głęboki dekolt dziewczyny.

- Przeprowadziłem przyjaciela - powiedział. - Światowy człowiek.

- Dżentelmena można rozpoznać natychmiast - odrzekła kobieta robiąc aluzję do miłego wstępu.

Usunęła się pozwalając im wejść. Hol był cały czerwono - złoty: ściany i sufit czerwone, złote były drzwi, zza których dochodziła muzyka jazzowa, i złoty był barokowy stolik, na którym stał sześcioramienny świecznik; jego ruchliwe światło dodawało ciepła i wyrazu temu pomieszczeniu. Dziewczyna podeszła do stolika, wyrwała z bloczku dwa bilety i podała je Seanowi, który zapłacił dwieście dolarów. Te dziewczyna schowała do szuflady. Joemu la Mannie udało się odczytać napis na bilecie „Moonlight Club”.

Dziewczyna zapukała i złociste drzwi otworzyły się ukazując dużą salę, która była urządzona w tym samym stylu i w tej samej tonacji co hol. Były tu białe dwuosobowe kanapki ustawione jak fotele w teatrze, na wprost kurtyny z cienkiego tiulu. Za nią, w błękitnym półmroku, można było dojrzeć ciemnoskórą parę, mężczyznę i kobietę, ubraną na biało. On grał na trąbce, ona akompaniowała sobie na fortepianie. Miała ciepły i niski głos.

Kanapki były w przeważającej części zajęte przez pary białych. Dwie kelnerki w skąpych, wyszywanych cekinami strojach, podawały trunki. W powietrzu unosił się słodkawy zapach palonej przez wielu gości trawki. Joe, który sprzedawał ten towar, ale go nie znosił, natychmiast poczuł ucisk w skroniach.

Dziewczyna posadziła ich w jednym z ostatnich rzędów.

- W ostatniej chwili - wyszeptała uśmiechając się. - Przedstawienie właśnie się zaczyna.

Trąbka podała ostatnią tęskną nutę, pianino zatrzymało się na akordzie, głos piosenkarki zamilkł obiecując i pieszcząc. Rozległy się umiarkowane brawa. Muzyczny duet zniknął powoli z obrotowej sceny. Rozsunęła się tiulowa kotara i na purpurowym tle pojawiło się okrągłe łóżko przykryte śnieżnobiałym, błyszczącym atłasem. Na łóżku leżała kobieta w złotej tunice i peruce ze złotych nitek. Chrapliwe dźwięki trąbki podjęły temat sugestywnego bluesa podkreślanego powolnym, przeciągłym rytmem perkusji. Boczna zasłonka odchyliła się, gdy na scenę wyszedł biały, elegancki, smukły chart o wysokich, cienkich łapach, wygiętym grzbiecie i arystokratycznym pysku. Podeszedł wolno do łóżka. Kobieta uderzyła dłonią o kołdrę i zwierzę położyło się na ziemi, z postawionymi uszami, czujne i nieruchome.

- Zar - wyszeptała kobieta pieszczotliwym głosem - kochanie.

Chart zbliżył się, wskoczył na łóżko, położył się obok kobiety, która leniwie i zmysłowo podniosła się ukazując się publiczności.

- Cissy - sylabizował La Manna poznając ją. - Cissy - powtórzył wstając.

- Najlepsze dopiero się zacznie - powiedział Irlandczyk, a dwie silne ręce osadziły La Mannę na miejscu. Obrócił się i rozpoznał stojącego za jego plecami Dominici.

- Rozkoszuj się przedstawieniem, skurwysynu - rzucił mu José.

Tymczasem chart podniósł się i wyciągnął pysk do kobiety. Uśmiechnęła się do niego, pocałowała i powiedziała:

- Zar, najśłodszy, zdejmij mi tunikę.

Pies chwycił zębami koniec sukienki, pociągnął zsuwając ją z kobiety i ukazując jej wspaniałą, olśniewającą nagość. Zwierzę zeskoczyło z łóżka, chwyciło zębami suknię i zaniósło na białe, aksamitne krzeselko, później wróciło do niej, patrząc na nią z oddaniem.

- Chodź, Zar - zaprosiła z ogniem w oczach, pieszcząc udo.

Chart wskoczył lekko na łóżko, zbliżył pysk do czarnego trójkąta łona i zaskowyczał. Serce Joego to waliło jak szalone, to znów wydawało mu się, że przestaje bić. Zimny pot zrosił mu czoło.

Kobieta wyciągnęła rękę i pogłaskała szyję zwierzęcia. Ten gest odsłonił cienką obrozę z diamentami, które błyszczały nierealnie w świetle reflektora.

Prawdziwy jednak i realny był ten przeciwny naturze stosunek, prawdziwe były dzikie okrzyki kobiety, prawdziwe było sapanie psa, prawdziwa była żądza u jednych spośród publiczności i prawdziwe było wywołane przedstawieniem obrzydzenie u innych.

José i Sean w ostatniej chwili zdążyli wyprowadzić Joe La Mannę. Zwymiotował w korytarzu. To, co zobaczył, ubliżało temu, kto to robił i temu, kto to oglądał, ale przede wszystkim obrażało jego, który pomimo wszystko kochał tę kobietę. Cissy doszła do dna upodlenia.

José wsadził go do swojego niebieskiego packarda.

Sean odjechał ferrari. Nikt mu go nawet nie dotknął.

- Ja cię odwiozę do domu - powiedział José.

- Czego chcecie? - zapytał słabym głosem Joe, wycierając zroszone potem czoło.

Dominici podał mu kopertę.

- To są zdjęcia twojej pani - powiedział. - Oczywiście kopie - sprecyzował.

- Nie trzeba - odsunął je Joe. - Czego chcecie? - powtórzył, gotów pójść na każdy kompromis, na każde ustępstwo.

- Frank chce odszkodowania za zniszczone restauracje i sklepy - zaczął dyktować warunki. - Chce, aby na jego terenie nie sprzedawano narkotyków. Chce, by warunki

umowy były dotrzymane. I jeśli choć jeden naganiacz zostanie przyłapany na rozprowadzaniu twojego gówna w lokalach Franka, te fotografie pojawią się we wszystkich stanach Ameryki. I nawet w Castellammare del Golfo. Zastanów się, kolej na twój ruch.

Dwa dni później Cissy La Manna zginęła w wypadku drogowym w pobliżu High Point, spowodowanym najprawdopodobniej nagłym zasłabnięciem lub zaśnięciem za kierownicą.

Na terytorium rodziny Latella nie było ani jednego dostawcy narkotyków rodziny La Manna. Wszelkie akcje zakłócające spokój skończyły się. Powrócił pokój.

Nancy miała na sobie elegancki kostium w drobną kratkę, w którym wyglądała na więcej niż osiemnaście lat. Pantofelki na niskim obcasie były ze skóry pytona. Włosy związała na karku wąską, białą wstążką. Na szyi, na sweterku z niebieskiej angory, błyszczał sznur różowych pereł, urodzinowy prezent od José. W ręku miała torebkę i parę książek. Kiedy rok temu zapisała się do Yale, nie wiedziała jeszcze, na jakie studia skierują ją jej inteligencja i zapał. Teraz, po kilku kursach podstawowych, wiedziała, że wybierze prawo. Spojrzała na pokryte bluszczem budynki starego i sławnego uniwersytetu, jednego z najsłynniejszych w całych Stanach, i na jej delikatnych wargach pojawił się uśmiech. Czy było więc szczęściem to wzburzenie duszy, to rozedrganie jak po bąbelkach szampana, które powodowało, że uśmiechała się bez żadnej widocznej przyczyny w ten wietrzny, majowy dzień? Zdała sobie sprawę, że podjęła ważną życiową decyzję. Była pewna, że wybrała właściwy kierunek. Ta pewność dodawała otuchy.

- Cześć, Nancy - pozdrowił ją chłopak, przypatrując się jej ze zdumieniem i podziwem.

- Cześć, Taylor. Jak leci?

- Jesteś po prostu promienna - powiedział jej komplement.

- Wiem - przyznała zaskakując go.

- Chcesz się przejść? - zaproponował zafascynowany, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

- Rozkaz czy zaproszenie?

- A jak ty myślisz? - spytał miękko.

- Że nowicjuszka musi się poddać autorytetowi mastera, tak doświadczonego studenta. Nie wspominając już o tym, że posłuszeństwo jest zaletą.

- A ty masz pełno zalet.

- Nie tyle, ile chciałabym.

Nancy spojrzała na młodzieńca z sympatią. Był to typowy amerykański chłopak:

karmiony witaminami, korzystający z sali gimnastycznej i boiska zgodnie z wszelkimi zasadami. O miłej powierzchowności, wysoki, silny blondyn o niebieskich oczach i szczerym uśmiechu na przyjaznej twarzy. Miał na sobie spodnie z szarej flaneli, a pod skórzaną kurtką kaszmirowy sweter. Buty były angielskie. Była to kosztowna, ale nie rzucająca się w oczy i pozbawiona ostentacji elegancja. Taylor Carr pochodził ze świetnej rodziny z Bostonu. Był osobą zrównoważoną, która własną egzystencję budowała w zgodzie z wewnętrzną, spokojną pewnością siebie.

- Wdzięk i tajemniczość to twoja najlepsza broń. Wcale nie wątpię w twoje zalety - powiedział.

- Myślałam, że to moja uroda zrobiła na tobie wrażenie - zażartowała Nancy z kokieterią.

- To nie uroda wzbudza najgłębsze namiętności - zacytował Taylor. - Uroda bez wdzięku to jak haczyk bez przynęty. Piękność bez wyrazu nuży.

- Tak więc mam wiele zalet, ale jestem całkowicie brzydka - zaśmiała się Nancy, gdy Taylor zacytował jej Emersona.

- Brzydka i tajemnicza - żartował chłopak. - Mimo wszystko jestem gotowy skompromitować się wychodząc z tobą dzisiejszego wieczoru.

- Jakżeż mi przykro.

- Na myśl o wyjściu ze mną?

- Na myśl, że muszę ci odmówić.

- Weź, zważ, zapakuj i zanieś do domu - poddał się Taylor. - Nie jestem w twoim typie?

Doszli do zadrzewionej alei przy końcu uniwersytetu.

- Tu nie chodzi o ciebie. Muszę jechać do Greenwich na weekend.

- Taktyka numer jeden: aby wzmocnić zainteresowanie mężczyzny, nigdy nie przyjmuj pierwszego zaproszenia podając jednak rozsądny powód odmowy.

- To pozwala mi sądzić, że będzie drugie - zamiauczała Nancy.

- Naprawdę musisz jechać? - zapytał, mając jeszcze nadzieję.

- Już po mnie przyjechali - powiedziała Nancy spoglądając na drugą stronę alei i machając do kogoś ręką.

Za kierownicą niebieskiego packarda Taylor dojrzał twarz José Dominici.

- Twój ojciec? - zapytał.

- Nie. Ale mógłby nim być. Mój ojciec nie żyje.

- Wybacz - powiedział Taylor szczerze zmartwiony.

- To się zdarzyło wiele lat temu. W taki sam wietrzny, majowy dzień jak dzisiaj - odczuła potrzebę wyjaśnień, przytrzymując rozwiane włosy i kierując się do oczekującego auta.

- Odpowiada ci poniedziałek wieczór w self - service? - zaproponował.

- Taktyka numer dwa: aby wzbudzić zainteresowanie mężczyzny, na drugą propozycję odpowiedzieć proponując alternatywne rozwiązanie. Nici z poniedziałkowego wieczoru. Będę w Greenwich przez cały tydzień. Jeśli chcesz, zadzwoń. W sekretariacie biblioteki znajdziesz mój numer.

Ostatnie słowa Nancy wykrzyczała biegnąc przez ulicę w stronę José Vicente, który wysiadł z auta.

Taylor obserwował tę uroczą, drobną postać, która schroniła się w ramionach olbrzyma, i poczuł ukłucie zazdrości. Próbował oddalić od siebie to niebezpieczne uczucie. Oczywiście będzie próbował dowiedzieć się czegoś więcej o Nancy Pertinace.

- Ponieważ pewnego dnia ożenisz się z nią, Taylor - obiecał samemu sobie, podczas gdy niebieski packard oddalał się.

Był typem, który nigdy nic nie obiecywał na próżno.

- Cześć, wspaniała kobieto - pozdrowił ją José. - Widzę, że jesteś w doskonałej formie - rzucił komplement.

- A ty tryskasz energią - powiedziała Nancy, przyglądając mu się z czułością.

- Wspaniała kłamczucha - uśmiechnął się.

- Przysięgam, przysięgam na wszystko - powiedziała całując żartobliwie skrzyżowane wskazujące palce, tak jak to robią dzieci.

- Kto to? - zapytał olbrzym robiąc aluzję do Taylora, który ich obserwował.

- Student ekonomii międzynarodowej - odpowiedziała Nancy z udaną obojętnością, wsiadając do samochodu od strony kierowcy.

- Jednym słowem - tęga głowa.

- W pewnym sensie.

- I również kawał chłopa - dorzucił siadając obok.

- Ma dobre notowania na giełdzie Yale.

W aucie ze skórzanymi siedzeniami i wykończeniami w drewnie orzechowym Nancy chłonęła znany jej zapach José, ten sam, który zapamiętała jako dziecko z ich pierwszego spotkania, zapach dający jej poczucie siły i bezpieczeństwa.

- Do *Basila*? - zapytała wrzucając bieg i kierując się na New Haven. Prowadziła



dobrze i ostrożnie. José był dobrym nauczycielem.

- Do *Basila* - potwierdził.

*Basilis*, grecka restauracja słynna z nadziewanej ryżem papryki, stała się obowiązkowym przystankiem w ich powrotnej drodze.

- Jak się nazywa? - dodał.

- Kto? - zapytała Nancy, mimo że doskonale zrozumiała czyje imię José pragnął poznać.

- Tęga głowa - sprecyzował.

- Taylor Carr - poinformowała, rozbawiona jego ojcowskim niepokojem.

- Wygląda na twojego wielbiciela - kontynuował zaniepokojony jej lakonicznymi odpowiedziami.

Nancy udął oburzenie:

- Nie widzieliśmy się przeszło miesiąc, a ty robisz mi przesłuchanie, wypytuując się o nieznajomego, który zresztą mnie nie interesuje.

- Zgoda. Sąd nie bierze pod uwagę ostatniego oświadczenia - zazartował. W rzeczywistości był dumny i jednocześnie zazdrosny, tak jak ojciec, który odkrywa, że córka ma wielbiciela.

- Zmieniam temat. Chcesz, żebyśmy porozmawiali o twoim bracie?

- Co zrobił Sal?

- Wygrał turniej tenisowy.

- Fantastycznie! - zachłysnęła się, uderzając rękoma o kierownicę. - Będzie zadzierał nosa - uśmiechnęła się Nancy nie odrywając oczu od drogi.

- Co najmniej dwa uniwersytety z Southwest ozłociłyby go, gdyby tylko zechciał w którymś z nich studiować po *high school*.

- Sal będzie chodził do Yale, tak jak ja - zawyrokowała.

- Jesteś pewna, że się zgodzi? - było to pytanie retoryczne. Za Sala myślała Nancy.

Nie odpowiedziała, ograniczyła się do skinięcia głową. José pamiętał ją jeszcze dzieckiem, kiedy po śmierci jej ojca zobaczył ją po raz pierwszy w ich mieszkaniu w Brooklynie. Od razu przypadli sobie do gustu. I kiedy Nancy odmówiła z całą naturalnością przyjęcia pieniędzy od Latelli, poczuł do niej szacunek i podziw. On też, tak jak Sal, jak wszyscy, którzy zetknęli się z nią, w końcu chciał tego, czego chciała Nancy.

Dziewczyna wrzuciła prawy kierunkowskaz i zwolniła wjeżdżając na parking przy restauracji.

Usiedli przy stoliku pod oknem. Lampka na stoliku rzucała różowe światło na biały obrus. Charakterystyczny, typowy gwar luksusowej restauracji, na który składają się uprzejme głosy i brzęk sztućców, tworzył tło. Była to szczęśliwa chwila dla José i Nancy.

- Chcę zostać adwokatem, José - wyznała, a nowa fala szczęścia zaślniła w szarym aksamicie jej oczu.

Mężczyzna ani przez chwilę nie miał wątpliwości co do wyniku przedsięwzięcia. Nancy była przeznaczona do wielkich czynów. Był tego pewien.

- To dobra wiadomość - powiedział. - Również Frank będzie tym uszczęśliwiony. - Pomyślał o Nearco, który zrezygnował z nauki na drugim roku studiów, sprawiając tym ojcu wielką przykrość.

- Co słyhać w domu? - zapytała Nancy, jakby czytając w jego myślach.

- Wszyscy mniej więcej dobrze.

- Wszyscy? - nalegała przymykając oczy i poważniejąc.

- Wszyscy - powtórzył José. - Również Sean - dodał mężczyzna, który zrozumiał prawdziwy cel pytania Nancy. - Widziałem go przedwczoraj. Pytał o ciebie. Przesyła pozdrowienia.

Nancy zaczerwieniła się i José, nie chcąc wprawiać jej w zakłopotanie, zaczął bardzo starannie studiować menu, co było zupełnie zbędne, ponieważ zawsze zamawiali nadziewaną ryżem paprykę i jabłecznik.

- Wciąż się kręcą wokół niego te wszystkie baby? - nalegała z udaną obojętnością.

Po powrocie z Sycylii opowiedziała prawie wszystko José.

- Zapomnij o nim - taka była jego rada. - Zaslugujesz na więcej. I na coś lepszego.

- Sądziłem, że dałaś sobie z tym spokój - odrzekł rozczarowany.

- Nigdy - stwierdziła stanowczo Nancy patrząc mu w oczy.

- Okay - westchnął zrezygnowany. Było wiele problemów w życiu Nancy. Ten nie był ani ostatni, ani najpoważniejszy. Gdyby zdecydował się opowiedzieć jej wszystko o Irlandczyku, przeszłoby jej oczarowanie, ale tak, jak to się często zdarza, kuracja mogłaby być bardziej niebezpieczna niż sama choroba.

Nikt nie był w stanie przewidzieć reakcji Nancy.

## 12

Nancy i Sal uścisnęli się gorąco, wyrażając w ten sposób głęboką radość ze spotkania. Sal również wydoroślał. Miał zdecydowany wyraz twarzy, łagodne spojrzenie i wygląd sportowca.

- Całe wieki cię nie widziałam - powiedziała.

- Miesiąc - sprecyzował.

- Zależy od punktu widzenia.

Uśmiechnęli się obejmując się ponownie i usiedli na kanapie.

- Kogo widziałaś przede mną? - dopytywał się Sal.

- Mamę Sandrę.

Żona Franka jak zwykle powitała ją z pospieszną serdecznością.

- Nearco i Doris?

- Gdzieś się zaszyli.

- Frank jest w Atlantic City.

- Mówił mi José.

- A propos, gdzie się podziała ta bestia? - poskarżył się Sal. - Nawet się nie przywitał.

- Nawet nie wszedł. Był umówiony na Manhattanie. Opowiedz mi o sobie, sportowcu, o twoich wyczynach. Trafiłeś, co? - powiedziała spoglądając na niego z podziwem.

- Miałem szczęście.

- Jesteś piękny, dzielny i jestem z ciebie dumna.

Nancy i Sal byli zadowoleni z nowego mieszkania. Był to apartament przerobiony ze strychu willi w Greenwich: dwie sypialnie, każda z łazienką i garderobą, salon służący jednocześnie za gabinet z dwoma biurkami w stylu Ludwika XV, biblioteką z orzecha, szeroką, wygodną, nowoczesną kanapą i dwoma przepastnymi fotelami. Frank był zadowolony z urządzenia dwojga dzieciaków. Jego żona Sandra nie miała zastrzeżeń. Akceptowała każdą decyzję Franka. Nie rozumiała, dlaczego jej mąż robił to wszystko dla

tych dwojga włoskich dzieci, ale z pewnością miał ważny powód. Natomiast Nearco i jego żona Doris nigdy nie zaakceptowali Nancy i Sala.

- Z jakiego powodu mają mieszkać w naszym domu? - przeciwstawił się Nearco.

- Jesteśmy im coś winni. I ty o tym wiesz - odrzekł twardo Frank.

- Pomóżmy im, nie mówię nie. Ale dlaczego w naszym domu? Jest tyle college'ów.

- Ponieważ ja tak postanowiłem - stwierdził Frank piorunując go wzrokiem. - Wydaje mi się, że jest to wystarczający powód.

Nearco opuścił głowę czerwieniąc się jakby został spoliczkowany.

- Ale tych dwoje *wops* ma się trzymać z daleka od naszego syna - wysyczała rozwścieczona Doris.

- Frank junior jest także moim wnukiem. I będzie spotykał się z Nancy i Saleem kiedy tylko będzie chciał. Czternastoletni chłopak ma prawo dobierać sobie przyjaciół, zwłaszcza jeśli nie są to zwykli goście, lecz należą do rodziny. Tak ma być i już, czy wam się podoba, czy nie - podsumował Frank.

Frank Latella wrócił z Atlantic City wcześniej, niż planował. Frank junior wybiegł mu naprzeciw, rzucając się dosłownie w jego ramiona. Bardzo kochał tego potężnego dziadka, który w jego obecności miękł. Zdawał sobie sprawę z wpływu, jaki miał na niego.

- Szybko wróciłeś - uśmiechnął się.

- Aby was zobaczyć - odrzekł włączając w ten sposób do rozmowy Nancy i Sala, którzy podnieśli się na jego widok.

- Dzień dobry - powiedzieli obydwójce, ściskając mu dłoń.

Frank chciałby, aby i tych dwoje wybiegło mu na spotkanie i uściskało go. Chciałby zburzyć tę barierę oficjalnego szacunku, która w pewnym sensie nie pozwalała nadać tym spotkaniom rodzinnego charakteru. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego osobowość, funkcja narzucały mu jeszcze to minimum powściągliwości. A poza tym był José, który zastępował Nancy i Salowi ojca.

- A więc wkrótce będziemy mieli adwokata w rodzinie - pogratulował Nancy. - Może dwóch - dodał patrząc na Sala, który jakby spadł z obłoków.

- Obawiam się, że nie rozumiem - wtrącił chłopak, który poza tenisem nie podjął żadnych decyzji na przyszłość.

- To tylko moja propozycja i pragnienie - wyjaśniła Nancy.

- A poza tym - uśmiechnął się dobrodusznie Frank - są to zbyt poważne tematy, aby

poświęcać im tylko pięć minut przed kolacją.

Decyzja Nancy pozwalała mu obecnie żywić nadzieję na realizację pewnych planów. Rodzina Latella przeżywała właśnie okres niezwyklego spokoju. Wstrząsające przepowiednie Joe La Manny nie spełniały się. Interesy szły dobrze, mimo że nie brali udziału w narkotykowym biznesie. Frank miał w tym momencie pod kontrolą spółkę zarządzającą w Atlantic City czterema dużymi hotelami z salonami gier. Znalazł zdolnych, sprawnych współpracowników, których umieścił na kluczowych stanowiskach. Na szczycie piramidy ustawił Johna Galante. Nearco od dawna marzył o tej funkcji dla siebie i oczywiście nie zgadzał się z wyborem ojca. Z drugiej strony Frank nie mógł ryzykować. Było to zbyt poważne przedsięwzięcie, aby można było je zlecić temu zarozumiałemu fanfaronowi, jakim był jego syn. Frank często zastanawiał się nad przyszłością organizacji. W takich chwilach spoglądał na Franka juniora jak na jedyną nadzieję na utrzymanie władzy w rodzinie. Chłopak był inteligentny, potrafił się zaangażować, a kiedy trzeba było, także cierpieć i zaciskać zęby. Miał niezłe zadatki. No i była Nancy. Szkoda, że kobieta. Frank sprawdził godzinę na swoim starym kieszonkowym zegarku, z którym nigdy się nie rozstawał.

- Sądzę, że musimy się ruszyć - zaniepokoił się. - Sandra obiecała spaghetti na ósmą. Jeśli makaron jej się rozgotuje, będzie zła.

Lattela ruszył pierwszy do jadalni, gdzie czekała na nich Sandra. Obok niej stał Sean. Irlandczyk przywitał się ze wszystkimi z uśmiechem, ale kiedy znalazł się przed Nancy, zabrakło mu słów. Nie widział jej od przeszło dwóch lat, odkąd wrócili razem do Stanów. A ona tymczasem jeszcze bardziej wypiękniała i stała się jeszcze bardziej pociągająca.

Nie tak miała wyglądać ta wielka, oczekiwana od dawna chwila. Nie w jadalni Latelli przed górą dymiącego spaghetti. Przez dwa długie lata czekała, marzyła, wyobrażała sobie spotkanie z Seanem. Wyobrażała sobie przypadkowe spotkanie w Central Park lub na Fifth Avenue, marzyła o spotkaniu go w alejkach Yale. Również park otaczający willę w czasie przyjęcia nadawał się na to lub też klub José Dominici, który miał już właściwie pewną klasę. Ale nie tak. Nancy z tysiąc razy dokonała w myśli przeglądu swoich strojów, aby wybrać najbardziej odpowiedni na to spotkanie. A Sean dosłownie ubóstwiałby ją, padłby do jej stóp wyznając, że nigdy nie przestał jej pożądać. Natomiast teraz stał tam, obok Sandry, przesiąknięty zapachem sosu będącego mieszaniną czosnku, oliwy, pomidorów i tartego sera.

Ona miała na sobie czerwony sweter, trochę wypłowiały i bawełniane spodnie, które

według niej kryły jej wspaniałą kobiecość.

- Do licha, Nancy! - wykrzyknął Irlandczyk kumplowskim tonem, który markował silne emocje. - Nie poznałbym cię na ulicy - dodał robiąc aluzję do zmiany, jaka w niej zaszła.

- Nasza Nancy stała się kobietą - przyznał Frank. Usiadł na honorowym miejscu zapraszając tym samym innych do zajęcia miejsc.

- Masz rację, Frank. Prawdziwa kobieta - Sean uśmiechnął się w swój charakterystyczny, ironiczny sposób, który tak ją fascynował.

Zaczerwieniła się, zakaszła, wierciła się na krześle, ale nie potrafiła znaleźć celnej riposty. Nagle wydało jej się, że utraciła swój tupet, przebojowość, werwę. Poczuli się nieswojo. Spojrzała na Sala, jakby był ratownikiem, a ona niedoświadczoną wczasowniczką wciągana właśnie przez otchłań.

- A mnie nic nie powiesz? - wtrącił chłopak rzucając jej zbawienne koło ratunkowe.

- O tobie wiem wszystko z kroniki sportowej - odpowiedział czujnie Sean. - Wschodząca gwiazda światowego tenisa. Gratulacje. Czy mogę opowiadać znajomym, że jesteśmy przyjaciółmi? - zapytał. - Byłyby to pierwszorzędne referencje.

- Zawsze lubisz żartować - bronił się Sal z wrodzoną skromnością.

- Nie sądzę, żeby żartował - zapewnił Frank. - To zaszczyt mieć w rodzinie mistrza.

- Bez ironii - potwierdził Sean. - Tylko trochę zawiści. Ja też lubiłem tenis. Ale nie miałem danych, żeby do czegoś dojść.

Irlandczyk miał na sobie dobrze skrojony szary garnitur, białą koszulę i bordowy krawat. Dla Nancy był wzorem doskonałości męskiej urody. Dla niej kolacja była niekończącą się torturą. Wokół niej zaś toczyła się ożywiona rozmowa.

- Co jest, Nancy? - zaniepokoiła się Sandra widząc ją zamyśloną przed ciągle pełnym talerzem. - Nie smakuje ci? A może źle się czujesz?

- Spaghetti jest wyśmienite - uspokoiła ją. - I czuję się dobrze. Za dużo zjadłam w greckiej restauracji z José - usprawiedliwiła się. - Teraz nie jestem głodna.

- Jeśli to prawda - pogodziła się Sandra. - Ale szkoda.

Nancy spojrzała na Irlandczyka i zauważyła, że on też obserwuje ją zamyślony i uśmiecha się do niej, ale bez ironii.

Pod koniec obiadu niespodziewanie znaleźli się sam na sam. Zaczęła sprzątać ze stołu, a Sean miał właśnie podążyć za Frankiem do salonu.

- Ciągle mnie nie chcesz? - zapytała go przypominając sobie dotknięcie jego gorącego ciała.

- Nie dręcz mnie - powiedział głaszcząc ją po twarzy.

- Nie odpowiedziałeś mi - odrzekła uciekając przed tą pieśczołą, która potęgowała dwuznaczność ich stosunku.

W tym dręczącym przerywniku nie było miejsca na niepewność, która obudziłaby w niej ponownie nadzieję.

- Nie chcę cię - potwierdził mężczyzna, podczas gdy cała jego postawa zdawała się temu przeczyć.

- Idź do diabła, Seanie McLeary - zareagowała gniewem, bólem i oburzeniem. Wyszła pospiesznie z jadalni trzymając w ręku kieliszki, które ustawiła na zlewozmywaku w kuchni, gdzie Sandra zmywała naczynia w ciepłej wodzie z dużą ilością piany z płynu o cytrynowym zapachu.

Dziwne życie prowadzili Latella. Byli bogaci, ale w willi nie było na stałe służby. Mężczyzna do ciężkich robót i kobieta na godziny pomagali w trudniejszych pracach, ale gospodarstwem domowym na co dzień zajmowały się kobiety z rodziny. Również Nancy, kiedy była w domu, brała udział w tych pracach. Teraz Sandra płukała kieliszki, a Nancy je wycierała. Zmywarka do naczyń była diabelską sztuczką, której mama Latella dawała zdecydowany odpór. Nancy, która myślami była gdzie indziej, zbiła dwa kieliszki; dosłownie wyleciały jej z rąk.

Sandra podniosła głowę znad zlewozmywaka i spojrzała surowo.

- Zechcesz mi powiedzieć, co się z tobą dzieje? Najpierw nic nie jadłaś pod pretekstem greckiej restauracji. Teraz demolujesz mi dom. Co cię dręczy? - ton był zdecydowany, nie dopuszczający sprzeciwu, ale była również pewna troska o tę dziewczynę, zazwyczaj tak pogodną i zrównoważoną.

Nancy ze złością odłożyła ścierkę, którą wycierała kieliszki. Oczy wypełniły jej się łzami. Szybko odwróciła się, wybiegła z kuchni i uciekła po schodach na mansardę. Gdy weszła do pokoju, rzuciła się na łóżko i rozpaczliwie rozszlochała. Zadzwoił telefon na nocnym stoliku. Nancy podniosła słuchawkę.

- Słucham - powiedziała pociągając nosem jak mała dziewczynka.

- Coś nie tak? - zainteresował się troskliwy głos z drugiej strony.

- Sean? - powiedziała pełna nadziei.

- Przykro mi, Nancy - przeprosił głos - ale to tylko ja, Taylor. Jestem w Greenwich. Miałem zamiar zapytać cię, czy zechciałabyś spotkać się ze mną.

## 13

Brenda Farrel wróciła do domu obładowana paczkami i paczuszkami. Napiwki i uśmiech zapewniły jej pomoc - najpierw kierowcy taksówki, a później portiera - w zebraniu i bezpiecznym dotransportowaniu całości zakupów. Wiązały się one z zaplanowanym na ten wieczór wyjściem. Ta perspektywa bardzo ją podniecała: nareszcie zje kolację razem z Nearco, jak prawdziwa dama, w Waldorf Astorii.

Przewróciła do góry nogami cały dział konfekcji damskiej w domach towarowych Saksa w poszukiwaniu sukni odpowiedniej na tę wielką okazję. Dzięki pomocy kilku miłych sprzedawczyń udało jej się dokonać doskonałego wyboru: obcisła dżersejowa suknia w kolorze truskawki, a na to lekki, płócienny płaszcz tej samej barwy.

Przeszła do sypialni, szybko się rozebrała, włożyła sukienkę i czarne, lakierowane pantofle na niebotycznym obcasie. Następnie zgarnęła gęste platynowe włosy, aby zapiąć długi złoty łańcuszek. Lustro odbiło wizerunek młodej i pięknej kobiety, która z powodzeniem mogłaby się znaleźć na okładce pisma z modą: talia osy, smukła linia, w najważniejszych miejscach przyjemne zaokrąglenia. Czarne oczy o długich rzęsach przyglądały się z zadowoleniem tej naprawdę ładnej kobiecie i przesłały jej promienny uśmiech. Miękkie wargi rozchyliły się, ukazując błyszczące białe zęby. W Waldorf wzbudzi powszechne zainteresowanie.

- Dzielna Brenda - pogratulowała sobie. - Przeszłaś długą drogę.

Miała dwadzieścia pięć lat i wydawało jej się, że całe wieki upłynęły od czasów, kiedy występowała w trzeciorzędnych, pełnych dymu, sprośności i biedy lokalach na zachodnim wybrzeżu. Wtenczas miała szesnaście lat, a za sobą dzielnicę baraków na peryferiach Phoenix w Arizonie, gdzie urodziła się i mieszkała.

Popychała ją naprzód ambicja i szalona chęć dojścia dokądkolwiek, bo nie wiedziała nawet dokąd. Brenda uważała występy w trykocie za obowiązkowy etap na drodze do realizacji ambitnych celów. Mierzyła w każdym bądź razie wysoko i grała ostro,



angażując cały swój talent i wdzięk, aby osiągnąć ten jedyny cel: wystawny ślub z bogatym mężczyzną. I w realizację tego swojego marzenia wkładała całą duszę, tak jak inne dziewczyny, które żyły w podobnych warunkach, oddałyby wszystko za błyskotliwą karierę artystyczną.

Jej pierwszym kochankiem był księgowy z małego banku z Ohio, który był za bardzo żonaty i za mało bogaty, aby mógł stanowić prawdziwą próbę sił w tej wspinaczce po szczeblach drabiny społecznej. Brenda uczepiła się go, aby wyrwać się z kręgu trzeciorzędnych lokali. I udało jej się. Księgowy uchylił jej drzwi do świata reklamy; pozbyła się wszystkich szmatek i wstydu, aby dostać się do tej kolorowej jarmarcznej budy. Pozowała nago do kalendarza, który zrobił furorę wśród kierowców ciężarówek i dzięki któremu zdobyła właściciela małej, ale dobrze prosperującej fabryczki konfekcji damskiej. Był to miły, grzeczny i bardzo dobrze wychowany mężczyzna. Był wesoły, bez zahamowań i sympatyczny, ale bał się straszliwie żony, która z pewnością zniszczyłaby go, gdyby odkryła jego związek z Brenda.

To wtedy Brenda stwierdziła, że normy społeczne dzielą kobiety na dwie główne kategorie: żony i te inne. Przywileje, poza rzadkimi wyjątkami, były zarezerwowane dla żon, zwłaszcza jeśli dochody i pozycja społeczna były wysokie. Nastawiła się więc na ten kierunek, zawężając obszar poszukiwań i stając się bardzo wybredna. Pozostawało natomiast dużo miejsca na intensywne i burzliwe historie, które owocowały liczącymi się korzyściami materialnymi, ale również były przyczyną frustracji.

Ostatnim mężczyzną jej życia był Nearco Latella, syn wielkiego Franka, który zalatywał mafią, jak niektórzy insynuowali, ale za to posiadał znaczną fortunę.

Również Nearco, tak jak inni bogaci mężczyźni, których miała przed nim, był bardzo żonaty, lecz tym razem pewne przesłanki utwierdzały Brendę w przekonaniu, że istnieje szansę awansu poprzez doprowadzenie ognistego, wulgarnego, ale naiwnego i zakochanego mężczyznę do rozwodu.

Nearco kupił jej małe, urocze mieszkanko na ostatnim piętrze eleganckiego budynku przy Park Avenue, nie skąpił jej oczywiście pieniędzy, obsypywał ją prezentami i zabierał ze sobą w niektóre służbowe podróże. Przedstawił ją paru zaufanym przyjaciołom. Traktował ją więc z szacunkiem i poważaniem zarezerwowanym zazwyczaj dla żon, chociaż kochał ją wciąż jak namiętą kochankę. Była pewna, że nadejdzie dzień, kiedy wygra decydujący zakład swojego życia. I ten dzień był blisko. Dotąd wspiwała się po szczeblach drabiny stopniowo. Brenda okresy przygnębienia i ich intensywność dopasowywała do świąt i przyjęć, które Nearco spędzał nieuchronnie na łonie rodziny.

Podczas kłótni, w których umiejętnie odgrywała rolę ofiary, popisywała się swoją samotnością zwłaszcza wtedy, gdy najbardziej była potrzebna miłość i solidarność. Mówiła o ewentualnej rezygnacji z tej wspaniałej miłości, która prawdopodobnie nigdy nie zakończy się małżeństwem, na rzecz stylu życia uwzględniającego ten podstawowy cel. Szantaż uczuciowy, zręcznie zastosowany, służył do wyegzekwowania dodatkowych przywilejów. Takich jak zaplanowana kolacja w Waldorf.

Nearco przybył w chwili, gdy Brenda pochłonięta była tymi rozmyślaniami. Brenda uściskała go i obdarzyła tkliwym uśmiechem. Patrzył na nią z jawnym pożądaniem, ujawniając swoje prawdziwe intencje. Pragnął ją posiadać natychmiast, tu i teraz. Po to przyszedł, a jeszcze ta suknia, przylegająca niczym druga skóra, dodatkowo go podniecała.

- Jesteś wcześniej - powiedziała Brenda.

- Wcześniej, co wcześniej? - zareplikował przyciskając ją w niedwuznacznych zamiarach.

Brenda broniła się, jakby chodziło o jej honor. W rzeczywistości starała się uchronić suknię przed tym wulgarnym obmacywaniem, które mogłoby spowodować szkody, których nie umiałaby naprawić.

- Nie pamiętasz już o kolacji w Waldorf? - krzyknęła próbując ratować sytuację.

- Nie pamiętam - powtórzył za nią, ogarnięty żądzą.

Chwycił ją za pośladki, podniósł do góry i rzucił na łóżko.

- To daj mi spokój! - rozkazała.

- Ale dlaczego? - zapytał prosząco Nearco.

Brenda sprytnie zrezygnowała z obrony swojej pięknej sukni zalewając się gorącymi łzami. Dotknęła jedynych strun, które mogły wzbudzić w nim poczucie winy. Musiała go ustawić, zanim będzie za późno, musiała wykorzystać sytuację.

- Bo nie jestem kurwą - powiedziała płacząc. - Nie jestem kurwą, która rozkłada nogi na rozkaz.

Mężczyzna był wzburzony, ogarnięty pożądaniem i sfrustrowany.

- Czym więc jesteś? - zareagował rozłoszczony.

- Jestem głupią idiotką, która miała nadzieję przeżyć resztę swojego życia z tobą. Ale pomyliłam się. Ty mnie traktujesz jak kurwę, podczas gdy ja chcę być tylko twoją dziewczyną.

Nearco rozluźnił chwyt, podniósł się i przejechał dłonią po włosach. Brenda stanęła obok niego poprawiając sukienkę.

- Jesteś moją dziewczyną - wyznał. - Moją jedyną dziewczyną. I pragnę cię jakbyś była jedyną kobietą na świecie. - W gruncie rzeczy mówił prawdę. Kiedyś zadawał się ze wszystkimi call girls w Nowym Jorku, ale od poznania Brendy nie miał innych przygód.

- Chciałabym ci wierzyć - powiedziała wycierając chusteczką oczy.

- Musisz mi wierzyć - zapewnił ją Nearco obejmując i pokrywając jej twarz pocałunkami. - Jesteś moją dziewczyną. Jedyną.

Brenda poczuła, że nadszedł moment, aby zaryzykować zakład jej życia.

- Jeśli jestem jedyną kobietą w twoim życiu - zauważyła - dlaczego jesteś wciąż z Doris? Dlaczego nie zostawisz Doris? Dlaczego nie rozwiedziesz się i nie ożenisz ze mną?

Płakała, lecz łzy nie przeszkadzały jej obserwować go z uwagą i z niepokojem. Przez chwilę wydawało się jej, że waha się, że jego twarz wyraża żal i czułość dla niej. Miała nadzieję, że wybrała odpowiedni moment, aby osiągnąć cel. Zdała sobie jednak sprawę, że poniosła klęskę, gdy rysy jego twarzy stężały, przybrały bezlitosny wyraz, który dobrze знаła i którego się obawiała.

- Dlaczego? - westchnęła wycierając oczy.

- Dlatego, że tak - odpowiedział posępnym głosem. - I nigdy więcej nie wymawiaj imienia mojej żony.

Brendę ogarnęła złość i wstyd.

- Boisz się, że je zbrukam? - zareagowała gwałtownie.

- Powiedzmy, że jej imię nie brzmi dobrze w twoich ustach - rzucił jej ostro. - Ty masz tylko jedną możliwość, - dodał - musisz znać swoje miejsce. Jeśli ci to nie odpowiada, możesz wysiąść na najbliższym przystanku. Ale ma być jasne raz na zawsze, że ty to ty, a moja rodzina to moja rodzina. Dwie różne rzeczy, których nie należy mylić. Nigdy.

Gdy mówił, powoli zniknął okrutny wyraz twarzy, zastąpił go uprzejmy i przekonujący. Jego głos był spokojny, precyzyjny, mowa grzeczna, lecz stanowcza. Czuło się, że jest szczerzy i zdecydowany, zupełnie inny niż ten mężczyzna, którego znał ojciec. Brenda zdała sobie z tego sprawę i zobaczyła nagle, jak pryskają jej marzenia. Jej plany ponownie zderzyły się z bolesną rzeczywistością i ponownie była bez przyszłości. Marzenie, hołubione przez dwa lata, rozwiało się w ciągu sekundy.

Z Nearco będzie tak, jak ze wszystkimi innymi przed nim - dobra i uległa w zaciszu sypialni, gotowa na spełnianie życzeń pana i władcy lub wystawiona na ataki okrutnego świata. Jeszcze raz została skazana na pozostanie w kategorii tych drugich. Strach i upokorzenie zostały odsunięte przez uczucie dumy i postanowiła zrezygnować z przywilejów zdobytych w ten sposób.

Nagle podniosła dłoń i z całej siły uderzyła Nearco w twarz.

- Łajdak! - rzuciła zniewagę z rozmysłem.

Krew w nim zawrzała i spojrzał na nią, jakby chciał ją zabić. Instyktownie prawą dłoń skierował pod pachę, gdzie miał pistolet, ale zrezygnował. Szyderczy uśmiech zamienił się w okrutny. Chwycił za dżersejową suknię koloru truskawki i dosłownie zdarł ją z niej. Stała piękna swą niespotykaną urodą, dumnie patrząc mu prosto w oczy.

- Nasza historia kończy się teraz - odprawił ją mężczyzna. - W tym mieście nie ma dla ciebie miejsca. Nawet na ulicy.

Kiedy Nearco wyszedł, Brenda okryła się szlafrokiem. Rodziła się w niej bezgraniczna nienawiść i wiedziała, że zemści się okrutnie na tym mężczyźnie, który pozwolił jej mieć nadzieję.

## 14

Kiedy zadzwonił telefon, Albert La Manna energicznym pchnięciem obrócił wózek przesuwając się od okna do biurka. Odebrał telefon, chwilę słuchał, potem powiedział:

- Wpuść ją - i odłożył słuchawkę.

Zapatrzył się zamyślony w przestrzeń. Trudno było decydować w tak delikatnej materii. Jak nigdy przedtem potrzebował dobrej rady, ale musiał zdecydować sam.

Albert usłyszał dwa znane sobie uderzenia w drzwi, które otworzyły się ukazując kobietę koło sześćdziesiątki, elegancką, uprzejmą i poważną niczym wychowawczyni w starym stylu. Była to niezastąpiona Mayella, stara sekretarka Joego, która w dawnych, frywolnych i burzliwych czasach była kochanką jego dziadka Alberta. Z tych szalonych lat pozostał jej noszony z wielkopańską nonszalancją kosztowny diament o fantazyjnym szlifie. Przepiękny.

- Panna Farrel - zaanonsowała z godnością, przepuszczając Brendę, która ukazała się promienna niczym obietnica szczęścia.

Mayella wyszła zamykając drzwi gabinetu, a fascynujący gość o blond włosach stanął przed Albertem uśmiechając się do niego.

- Nie wierzyłem, że przyjdiesz - zdziwił się młodzieniec.

- Jesteś słodkim chłopcem, ale złym psychologiem - odpowiedziała aksamitnym głosem.

- Tu nie chodzi o interpretację psychologiczną - kontynuował nie ruszając się zza biurka, za którym czuł się bezpieczny. Mebel ukrywał jego kalectwo. - Nie wierzyłem, że przyjdiesz - powtórzył - po weekendzie spędzonym razem. Gdy odkryłaś, co cię czeka - dorzucił.

Słowa, które mówiły o jego kalectwie były obojętne, lecz ton dumny i wyniosły.

- Kiedy poznasz chociaż minimalną część mojego życia, zrozumiesz, że jesteś moim jedynym marzeniem - wyjaśniła spokojnie, modląc się o to, żeby Albert przez dumę nie

wycofał się.

- Mój adwokat przygotował już kontrakt - powiedział podając jej niebieską teczkę. - Możesz podpisać już teraz, jeśli chcesz, lub pokazać zaufanemu prawnikowi. - On już podjął decyzję.

- Chcę za ciebie wyjść, Albercie - oświadczyła z naturalną prostotą. - Połowę mojego życia spędziłam na myśleniu o małżeństwie. I wyobrażałam sobie siebie jako czułą, wierną żonę pięknego i bogatego mężczyzny.

- I impotentą - dodał Albert chcąc powstrzymać entuzjazm Brendy, zmuszając ją do przemyślenia decyzji.

- Jest wiele rodzajów miłości - rozumowała pieszcząc go rozmarzonym spojrzeniem. - My wypróbujemy wszystkie. I znajdziemy taką, która będzie nam odpowiadać.

To był egzamin, który miał zdecydować o jej przyszłości. Robiła wszystko, żeby nie popełnić błędu. Była szczerą i wzruszoną. Albert uśmiechnął się do niej.

- Jesteś przekonująca jak reklama lodów latem.

Młodzieniec podziwiał jej sylwetkę w zgrabnym, ciemnogrnatowym kostiumie od Givenchy. Podziw dla kobiecej urody to było jedyne uczucie, na które mógł sobie pozwolić, nawet jeśli go to strasznie frustrowało.

- Mogę podpisać z zamkniętymi oczyma - zauważyła spoglądając na niebieską teczkę na blacie ciężkiego biurka.

- Jest klauzula, która zezwala ci na rozwód, kiedy tego zapragniesz, kiedy zdasz sobie sprawę, że współżycie z paralitykiem jest dla ciebie nie do zniesienia.

- Lubisz zadawać sobie ból, prawda, Albercie? - zaskoczyła go.

- To jedna z niewielu przyjemności, jakie mi pozostały - zareplikował gorzko. - Dodałem również klauzulę o wspólnocie majątkowej, ale uważam za swój obowiązek uprzedzić cię, że niewiele posiadam.

Oczy Brendy błyszczały z satysfakcji. Joe La Manna był uważany za jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce, a ten jedyny syn był dla niego wszystkim.

- Również i mój posag nie jest królewski - zażartowała.

- Wiadomość, którą mi przekazałaś jest bezcenna. Jeśli uznamy ją za twój posag, mam jeszcze w stosunku do ciebie dług.

- To ryzyko, które chętnie podejmę - sprecyzowała, nagle poważniejąc.

Wiedziała, że w momencie przekazania Albertowi informacji o udziale rodziny Latella w interesach w Atlantic City wystawiła się na jej zemstę.

- Przyjmując, że informacja okaże się pewna. I potrzebna.

- Wiesz tak jak i ja, że wiadomość jest wiarygodna. Znasz jej ciężar i wartość. Nie szukałabyś mnie, gdybyś nie znała pewnych podstawowych prawd.

Po raz pierwszy była szczerą i lojalną i zdała sobie sprawę, że fakt, iż nie musi kłamać, zwiększył jej szacunek do tego młodego kaleki, którego zaczynała kochać. Zrobiłaby wszystko, aby stał się mężczyzną jej życia.

- Masz rację, Albercie. Nie można żyć tak długo u boku mężczyzny takiego jak Nearco i niczego się nie nauczyć.

Podał jej srebrnego parkera i powiedział:

- Więc podpisz ten kontrakt. Pobierzemy się za jakiś tydzień.

- Czy to konieczne? - zapytała. - Sądzę, że mogę ci zaufać.

- Wolę tak - nalegał.

Brenda podpisała i oddała pióro.

- A twój ojciec? - zapytała.

Albert wysunął się zza biurka, wyszedł z ukrycia.

Stwierdzenia zawarte w podpisanym przed chwilą kontrakcie dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Czuł, że nie potrzebował już ukrywać się przed kobietą, z którą miał przeżyć wspólnie kawałek życia.

- Mój ojciec chce mnie widzieć pogodnym - odpowiedział.

- Moja przeszłość nie zapewnia spokoju i harmonii.

- Myślisz o twoim związku z Nearco?

- Oczywiście. I twój ojciec, jeśli jeszcze o tym nie wie, to szybko się dowie.

- Jak długo będziesz nadużywała mojej cierpliwości? - zażartował Albert. - Nie chciałbym spędzić reszty dnia rozmawiając o moim ojcu - zganił ją łagodnie, przysuwając się do niej.

Kobieta usiadła koło niego, aby znaleźć się na tym samym poziomie. Albert wsadził prawą rękę do kieszeni sportowej kaszmirowej marynarki i wyciągnął z niej zgrabne pudełeczko od jubilera.

- Moja rodzinna tradycja wymaga, aby w dniu zaręczyn mężczyzna podarował swej przyszłej żonie pierścionek - przycisnął zameczek pudełeczka.

Wieczko odskoczyło ukazując iskrzący się niebiesko na czarnym jedwabiu kwadratowy diament wyjątkowej wielkości i blasku. Brenda była olśniona jego wspaniałością. Otworzyła szeroko oczy, a dziecinne zdumienie odbiło się na jej pięknej twarzy. Wpatrywała się intensywnie w kamień. Podniosła dłoń, aby go pogłaskać, ale nie odważyła się. Gdyby go dotknęła, była tego pewna, sparzyłaby sobie palce. Nie była w

stanie ocenić czystości, wartości i wielkości karatowej diamentu, był to jednak kamień niespotykanej urody. Gdyby Albert powiedział jej, że ten diament miał wartość kamienicy przy Madison Avenue, uwierzyłaby mu. Zresztą, nie było to odległe od prawdy.

Młodzieniec wziął lewą rękę Brendy i wsunął na jej palec wskazujący ten wspaniały pierścionek.

- Należał do mnie - wyjaśnił. - Odziedziczyłem go po moim dziadku, którego imię noszę. Nazywali go Diamond Al ze względu na jego manię kolekcjonowania diamentów. Teraz należy do ciebie - dodał z prostotą, składając na jej dłoni lekki pocałunek.

Brenda czuła, jak ciepło bijące od tego kamienia powoli ogarnia ją całą. A może było to ciepło ust Alberta? Ból i upokorzenie jej nieudanego życia znalazły ujście w ciepłych łzach. Nachyliła się do niego, zbliżyła swe usta do ust mężczyzny i miała nadzieję, że ją pocałuje. I pocałował ją, najpierw delikatnie, potem namiętnie. I Brenda zrozumiała, że naprawdę zaczęła tracić głowę dla mężczyzny, którego nigdy nie będzie mogła posiadać. Rozłączyli się ogarnięci pożądaniem, którego nie mogliby rozładować. Nigdy. Ta pewność spowodowała, że Albert chciał gwałtownie się od niej oddalić, ale Brenda chwyciła go za ramię i przytrzymała.

- Pomówmy o interesach, dobrze?

- Pomówmy - poddał się Albert, któremu płonęła twarz, ale męskość spała.

- Mam nadzieję, że informacja, którą ci przekazałam, jest prawdziwa - zaniepokoiła się.

- W każdym razie my się pobierzemy - zapewnił ją. - Nawet jeśli ta wiadomość nie istnieje. Nawet jeśli ją sobie wymyśliłaś. Nawet jeśli był to tylko pretekst do poznania mnie i złapania w sidła - odrzekł wesoło. - Ale jeśli jest prawdziwa, - dodał biorąc ją za rękę i pozwalając kamieniowi zabłysnąć w całej okazałości - jeśli Frank Latella naprawdę kontroluje interesy w Atlantic City, to w tym przypadku informacja, którą mi przekazałaś, ma wartość większą niż ten diament, jest bezcenna - podsumował całując ją w policzek.

Brenda miała pewność, że znajduje się na progu wymarzonego świata, świata kobiet zameźnych. Po raz pierwszy spotkała mężczyznę, który kochał ją taką, jaką była.



Wprawiając w ruch kółka wózka Albert opuścił gabinet i szybko wśliznął się do windy. Był mistrzem w posługiwaniu się tą dryndą, od której zależał każdy jego ruch. Zjechał na parter biura przedstawicielstwa Newtex, najpotężniejszej fabryki wykładziny w całym New Jersey.

Nie była to tylko przykrywka dla nielegalnej działalności rodziny, było to modelowe przedsiębiorstwo w tej dziedzinie, oczko w głowie konsorcjum kontrolowanego przez Joe La Mannę. Newtex był dostawcą wykładzin nawet do Białego Domu. Ojciec zajęty był omawianiem projektu graficznego, logo Newtex i właściwej kampanii promocyjnej. Kiedy go zobaczył, uśmiechnął się dając mu znak, żeby poczekał. Trzech plastyków z agencji reklamowej tłumaczyło Joemu, że najlepszą reklamą produktu będzie akt kobiecy wykonany przez znanego fotografa.

- Moja wykładzina wchodzi do mieszkań - zaproponował Joe. - Do rodzin na pewnym poziomie. Nie do burdeli, Chryste. Damy, a nie kurwy.

Pewność siebie plastyków pod wpływem obiekcji Joego zaczęła się chwiać.

- Osobiście - wtrącił się Albert - uważam, że aby odpowiednio wyeksponować wykładzinę Newtex, potrzebny jest płonący kominek i łóżko z jedwabną pościelą, którego można się tylko domyślać. Książka, fajka, fotografia w srebrnej ramce. Sznur pereł, zabawka. To wszystko.

Ojciec odwrócił się i spojrzał na niego ze zdumieniem. Plastycy słuchali go z uwagą. Był to prosty pomysł, ale właśnie dlatego mógł być skuteczny.

- Podoba mi się pana pomysł - pochwalił go odpowiedzialny za projekt Franchot Granger, niski i krępy facet koło czterdziestki, z karkiem i barkami jak zapaśnik. Można go było wziąć za kogokolwiek, ale na pewno nie za eksperta od reklamy.

- Mój syn, Albert - powiedział Joe.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Propozycja, nad którą trzeba popracować - powiedział wciągając swoich młodych współpracowników do rozmowy.

- Masz talent, chłopcze - przyznał Joe.

- To pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy - wyznał Albert zaskoczony tymi pochwałami.

- Od kilku miesięcy Albert pracuje ze mną w Newtex - wyjaśnił z dumą La Manna. - Przedtem... - przerwał. Przedtem, chciał powiedzieć, był zbyt zajęty kuracją, potem próbą pogodzenia się z tym strasznym kalectwem.

- Sądzę, że po pewnych poprawkach może to być najlepszy pomysł.

Albert pomyślał, że są chyba trochę szaleni, jeśli uczepili się pierwszego pomysłu, który mu przyszedł do głowy. Powiedział to ojcu, gdy zostali sami.

Joe przyglądał mu się z zadowoleniem.

- Nie przyjechałeś tutaj, aby omawiać projekt graficzny naszego image. O co chodzi? - zapytał, gotowy wybaczyć mu każde dziwactwo.

Przyjemność, którą czerpał z pochwał, spowodowała, że zapomniał dlaczego przerwał ojcu zebranie.

- Chciałem porozmawiać z tobą o Atlantic City - zdumiał go Albert.

Rysy twarzy mężczyzny stwardniały, usta zacisnęły się w okrutnym grymasie, co zapowiadało jeden z najgorszych momentów. Atlantic City był jak cierń w sercu, temat tabu i cholernie niebezpieczny.

- Sprawdźmy, czy mówimy o tym samym - poprosił go o wyjaśnienia.

- Mam na myśli ten kompleks hotelowy z salami gier - odrzekł Albert.

- Jedź dalej.

- Mówiłeś o nim przedwczoraj z Freddyem Profumo. Pamiętasz? - nalegał Albert.

Oczywiście że pamiętał. Ten kompleks hotelowy z salami gier spędzał mu sen z powiek. Dowodził solidnym imperium finansowym w Las Vegas, mając dobre oparcie polityczne. Ten megakompleks osłabił jego interesy w tym mieście, a ktoś mu jeszcze doniósł, że nie należało w tym przypadku używać tradycyjnych metod perswazji. W ten sposób od pewnego czasu przetykał truciznę mając związane ręce.

- Mówiłem o tym z Freddyem - przyznał. - A więc?

- Sądzę, że wiem, kto kontroluje instytucję szkodzącą naszym interesom - wyjął z pewnym wahaniem.

- Ty? - zapytał Joe patrząc z niedowierzaniem na swojego pięknego syna unieruchomionego na fotelu na kółkach.

- Ja. Z tego wózka - odrzekł czytając w myślach ojca.
- Jak tego dokonałeś?
- Z pomocą osoby, która jest mi bardzo droga.
- A czego się dowiedziałeś? - nalegał La Manna coraz bardziej zaintrygowany.
- Nazwiska osoby kontrolującej spółkę, która kieruje kompleksem w Atlantic City.

Po raz pierwszy ze swojego fotela na kółkach panował nad sytuacją, a jego ojciec był od niego zależny.

Wiadomość podniosła Joemu ciśnienie, twarz mu zsiniała, skrzydełka nosa poruszały się gniewnie, krążąca szybciej krew spowodowała chwilowy zawrót głowy.

- Czy ja też mogę je poznać? - zapytał ironicznie, przytomniejąc.
- Frank Latella - wyznał mu Albert.

Joe usiadł w fotelu i oparł dłonie o biurko.

- Komu mamy podziękować? - zapytał po chwili milczenia.
- Kobiecie, która w ciągu tygodnia zostanie moją żoną - odpowiedział Albert.

## 16

- Mamo Sandro, wychodzę - powiedziała Nancy pokazując się w drzwiach salonu.

Sandra spoglądała na nią rozczarowana i zdziwiona.

- To koniec świata - skomentowała z żalem.

Nancy obejrzała się, jakby chciała się upewnić, że w tym momencie były naprawdę same.

- O czym ty mówisz? - zapytała.

- O czasach nie tak odległych, kiedy prosiłaś Franka lub mnie o pozwolenie na wyjście. Jeszcze jedna dobra zasada, która zanika - uśmiechnęła się melancholijnie.

Nancy objęła ją.

- Nie chciałam was urazić.

- Wiem. I nigdy w to nie wątpiłam - stwierdziła Sandra zmuszona przerwać robotę na drutach, którą zajmowała się zagłębiona w swoim ulubionym fotelu. Na czubku nosa miała okrągłe okulary, które czyniły ją podobną do typowej babci ze starej fotografii. Spoglądała na dziewczynę z uznaniem.

Nancy zaczesła włosy do tyłu odsłaniając piękną, promienną twarz, ożywioną lekkim makijażem. Miała na sobie krótki płaszczyk i układaną kremową spódniczkę. Była elegancka i uśmiechnięta.

- Dokąd idziesz? - zapytała Sandra.

- Nie wiem. Ma po mnie przyjechać kolega z uniwerku. Sądzę, że pójdziemy potańczyć. Nie ma obawy, to porządny chłopak - chciała ją uspokoić.

- Tak będzie lepiej dla wszystkich - odrzekła oszczędzając jej aluzji do wcześniejszego kryzysu. - To twój chłopak?

- Nie. Tylko przyjaciel.

- Nie wracaj zbyt późno - poradziła z matczyną troską.

- Możesz pozdrowić Franka ode mnie?

- Możesz być spokojna.

Kiedy Latella był w swoim gabinecie nie lubił, aby mu przeszkadzano. Dla Nancy czynił wyjątek. Ona jednak nie chciała spotkać się ponownie z Seanem, który omawiał z Frankiem interesy. Byłaby to dobra okazja, aby wzbudzić jego zazdrość, ale nie chciała uciekać się do takich sztuczek, tak jak nie przyjęła zaproszenia Taylora, żeby zrobić na złość. Była zdecydowana nie dać się kryzysowi.

Taylor czekał na nią za kierownicą MG, przed bramą ogrodu. Wstał, aby otworzyć jej drzwiczki, po czym zajął swoje miejsce. Czekał wymyślał różne rzeczy na temat tej wspaniałej dziewczyny mieszkającej w wielkim domu, rezydencji prawie królewskiej, która pozwalała snuć najbardziej fantastyczne domysły. Któż się krył za tą naturalną pięknoscią? Księżniczka czy awanturka? Elegancja i skromność wykluczały tę drugą możliwość. Chłopak był onieśmielony swoją tajemniczą towarzyszką, do której żywił uczucie jeszcze nie całkowicie jasne, ale łatwe do przewidzenia w swoim rozwoju.

Taylor był na najlepszej drodze do zakochania się w Nancy. I to właśnie w momencie, kiedy odkrył, że ona, jak w starej piosence, płakała za innym. Pomyślał optymistycznie, że to mógł być pozytywny znak dla takiego jak on, gotowego czekać cierpliwie. Natomiast nie miał żadnych wątpliwości co do pozytywnego efektu tego zamysłu. Ożeni się z nią.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Nancy.

Taylor, który miał w planie dyskotekę, postanowił ją teraz zaskoczyć.

- Do *Vicky's* - odpowiedział.

Dziewczyna nie okazała ani podniecenia, ani entuzjazmu na dźwięk nazwy modnego lokalu o posmaku dwuznaczności, odwiedzanego przez osoby wątpliwej konduity, ludzi z show biznesu, menedżerów i milionerów.

- Okay - skomentowała z angielskim spokojem, wzbudzając jeszcze większą ciekawość mężczyzny.

- Więc w drogę - zażartował. - Jest jeszcze wcześniej.

Nancy przyłapała się na porównywaniu Taylora z Seanem. Obydwaj piękni, interesujący i tak różni, niczym dzień i noc. Sean był ciemnością, która ją porażała swoimi pogmatwanymi zagadkami, Taylor zaś słonecznym, wiosennym dniem. Przy nim czuła się dobrze, mogła marzyć o wielu rzeczach, może nie łatwych do osiągnięcia, ale możliwych. Mając do wyboru Taylora, który jej pragnął i Seana, który uciekał od niej, niebezpieczeństwo nocy i pewność dnia, nie wahała się. To właśnie Seana pragnęła tak,

jak niczego innego na świecie.

- Grosik za twoje myśli - zaproponował Taylor jadąc szybko, ale ostrożnie.

- Zmarnowane pieniądze. Nie myślałam o niczym - przyłapała się zdziwiona na kłamstwie.

*Vicky's* był pełen eleganckich gości.

- Ma pan rezerwację? - spytał się Taylora nienaganny szef sali.

- Obawiam się, że nie - uśmiechnął się rozbrajająco *master* z Yale, mając nadzieję rozwiązać problem za pomocą odpowiedniego napiwku.

Maître wyraźnie zde gustowany odmówił przyjęcia napiwku.

- Jest mi jeszcze bardziej przykro - powiedział z lekką ironią i szczerym bólem - ale obawiam się, że nic nie mogę dla pana zrobić. Może pan spróbuje zarezerwować stolik na jeden z najbliższych wieczorów - poradził mu.

Nancy czekała w milczeniu, co powodowało, że Taylor czuł się jeszcze bardziej nieswojo. Jego rozpacz, że nie może jej zaimponować swoją zaradnością tak, jakby sobie tego życzyła, rozczuliła ją.

- Zależało ci, prawda? - uśmiechnęła się dla dodania otuchy.

- Przykro mi - odpowiedział.

Właśnie przechodził Victor Partana, wiecznie młody boss *Vicky's*, i Nancy pomachała mu na przywitanie. Elegancki właściciel, jak na aktora przystało, obdarzył najwspanialszym uśmiechem jakichś ważnych klientów przekazując ich w ręce kelnera i skierował się w jej stronę.

- Mała, słodka, pociągająca Nancy - powiedział słynnym głosem, na dźwięk którego wpadały w ekstazę trzy pokolenia.

- Chcesz, żebym się zarumieniała, Victor? - broniła się Nancy.

Mężczyzna i dziewczyna przywitali się i oczy wszystkich obecnych zwróciły się na tę szczęściarę, której wielki Victor tak demonstracyjnie składał hołd.

Taylor, ze swej strony, nie próbował nawet niczego zrozumieć. Nawet maître był zdezorientowany. Nancy dokonała prezentacji.

- W domu wszyscy czują się dobrze? - spytał Partana.

- Wspaniale.

- Więc - dodał zwracając się do współpracownika - spróbujemy usadzić moich przyjaciół przy najlepszym stoliku.

- Naturalnie, panie Partana - usłuchał maître, który niejednokrotnie był zmuszony

odmówić stałym klientom, którzy nie mieli rezerwacji. Zaprowadził młodych do stolika w pierwszym rzędzie z napisem „zarezerwowane”. W chwilę później podano im szampana, rocznik 1948, ze specjalnych zapasów.

- Musiałaś się świetnie bawić - powiedział Taylor odzyskując głos.

- Tak naprawdę to ty wszystko załatwiłaś - odrzekła odczuwając po raz pierwszy przyjemność z faktu, że została rozpoznana i radość, że mogła dzięki uśmiechowi uzyskać przywileje nieosiągalne dla innych, którzy byli gotowi za nie drogo zapłacić.

- Lekcja jest gratis? - zapytał, podczas gdy maître nalewał szampana do kryształowych kieliszków.

- Wierz mi, Taylor, to nie miała być lekcja. Gdyby Victor mnie nie zauważył, w jednej chwili bylibyśmy po drugiej stronie drzwi. Może znaleźlibyśmy lokal, który bardziej by nam odpowiadał. Za dużo snobizmu. - zaczęła wyliczać rozglądając się - za dużo gwiazdorstwa, za dużo ekshibicjonizmu. Ale skoro już tu jesteśmy, możemy wznieść toast.

Taylor podniósł kieliszek i stuknął się z Nancy, szukając jej spojrzenia. Ktoś inny przyciągnął jednak jej spojrzenie. Przy stoliku obok siedział Sean. Był w towarzystwie kobiety, niezłej imitacji Grace Kelly, niestety tylko imitacji. Uwodziła go bez umiaru i bez stylu. On spoglądał na nią z tą swoją wieczną chłodną ironią. Było zrozumiałe, że mieli ze sobą coś wspólnego, że nie było to tylko przypadkowe spotkanie w modnym lokalu.

- Coś nie tak? - zapytał Taylor odwracając się, aby zobaczyć co przyciągnęło jej uwagę. Rozpoznał kobietę i ucieszył się. - Ty też ją rozpoznałaś? - zapytał.

- Kogo? - zapytała Nancy bardzo zdziwiona.

- Dziewczynę przy stoliku za nami. To Mitzi Wronosky. Miała niewielkie rólki w filmach muzycznych.

- Znasz również mężczyznę, który jej towarzyszy? - dopytywała się.

- Nie, ale jeśli w dalszym ciągu będziesz tak intensywnie przyglądać się mu, to zacznę uważać, że to obrzydliwy typ.

Sean podniósł się przepaszając swoją partnerkę i zbliżył do stolika Nancy.

- Cześć, księżniczko - pozdrowił ją wyciągając rękę, która na kilka sekund zawisła w powietrzu, nim Nancy ją uścisnęła.

- Nie przedstawiś mnie? - zapytał robiąc aluzję do chłopaka.

- Taylor Carr - wyrecytowała ze znużoną miną. - A to Sean McLeary.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Sean, odpowiedzialny za twoje niedawne cierpienia? - powiedział Taylor,

przypominając sobie rozmowę telefoniczną.

Irlandczyk rzucił mu wściekłe spojrzenie. Rozłożył już niejednego twardziela z błaższych powodów, ale tym razem chodziło o Nancy, nad którą czuwał na prośbę Franka.

- Sprawdź, czy chłopak, z którym wyszła - powiedział Latella poinformowany przez żonę - jest w porządku.

W hallu *Vicky's* spotkał Mitzi, która przyczepiła się do niego jak rzep do psiego ogona.

- Co to za historia z tymi niedawnymi cierpienia? - zapytał Sean, podejrzliwy, ale i uważny, aby nie sprowokować wybuchu złości Nancy. Ta dziewczyna pozornie krucha i bezbronna mogła wywołać niezłą awanturę.

- Nowa gra towarzyska - powiedziała Nancy z pozorną pewnością siebie.

- Chcesz zatańczyć? - zaprosił ją Sean bezceremonialnie, ignorując jej absurdalną odpowiedź.

Gdyby Nancy odmówiła, a mężczyzna nalegał, Taylor mógłby interweniować niczym średniowieczny rycerz. Ona ze swojej strony chętnie znalazłaby się w ramionach Seana, gdyby tylko jednym mrugnięciem oka można było usunąć ludzi, którzy ją otaczali, łącznie z Taylorem, a przede wszystkim tę natrętną piosenkarkę, która czekała niecierpliwie na Seana przy stoliku. Ale Sean i tym razem bawiłby się z nią jak kot z myszką. Nancy rozładowała sytuację podejmując niespodziewaną decyzję.

- Właśnie wychodziliśmy, Sean - powiedziała podnosząc się, a Taylor poszedł w jej ślady mając wrażenie, że gra w przedstawieniu, którego treści nie zna.

Sean chwycił ją mocno za ramię jak właściciel. Stojący z drugiej strony lokalu Victor Partana modlił się, aby nie wydarzyło się nic gorszego.

- Nigdzie nie pójdziesz - rozkazał - beze mnie. Pan Carr nam wybacz.

- Pan Carr pana prosi, aby zszedł mu pan z drogi - ostrzegł go Taylor.

Natychmiastowa interwencja Nancy była błogosławieństwem.

- Zostaw, Taylor - zasugerowała. - Tym razem ja wygrałam - dodała zwracając się do Irlandczyka z triumfującym uśmiechem.



Nancy podczas tej pełnej niespodzianek majowej nocy odkryła miłość. Zapomniała o przeszłości i przyszłości i przeżywała podniecającą gorączkę terażniejszości. Noc miała świeże i szczypiące tchnienie, a Nowy Jork wydawał się naprawdę wspaniałą grą, szczęśliwą wyspą, miastem radości, o którym mówiły słowa starej piosenki. Nancy, w ramionach Seana, w rollsie z 1950 roku, z ostrożnym i dyskretnym kierowcą jadącym ulicami Manhattanu, wreszcie przeżywała swoją miłosną historię.

Poprzez szyby rollsa widziała imponujące wieżowce tak odległe i tak różniące się od świątyń w Selinunte, a przecież wzbudzające w niej te same uczucia, wspaniałe i delikatne. Auto posuwało się wolno i bezszelestnie. Broodway, szeroka biała ulica, kipiał życiem pełen wesołych ludzi wychodzących z teatrów i z nocnych lokali wokół Times Square. Mężczyźni i kobiety, którzy musieli stać w kolejce, aby dostać bilety na ostatni okrzyczany musical, nucili teraz nowe motywy, przerzucali się nowymi powiedzonkami.

Nancy przypomniała sobie Dos Passos i uśmiechnęła się.

- Dla tego, kto nie umie się bawić, w Nowym Jorku nie ma nadziei - zacytowała na głos.

Sean przytaknął głaszcząc ją po twarzy.

- Ty jesteś nadzieją - powiedział.

- Kiedy trzymasz mnie w ramionach, życie jest snem - wymruczała wtulając się w niego, jakby chciała rozplynać się.

- Mam dwa razy tyle lat, co ty i połowę twojego zdrowego rozsądku - wyszeptał całując jej włosy.

- Żadnych oskarżeń - poprosiła. - Nie chcę wiedzieć, co byś zrobił, gdybyś miał głowę na karku.

- Odwiózłbym cię galopem do domu.

- Mogłabym cię nawet zabić.

- Nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz kim jestem. Co robię. Skąd pochodzę.

- I nie chcę wiedzieć - uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. - Jedziemy na tym samym wózku, sterowanym przez Franka. On jest silnym i lojalnym człowiekiem. Znam José Vicente. Każdy z nich był dla mnie jak ojciec, gdy mój został zamordowany. Jedynie ty bawisz się ze mną jak kot z myszką. Teraz koniec z twoim dwuznacznym zachowaniem. Nic nie chcę wiedzieć o tobie. Nie interesuje mnie, skąd pochodzisz. Ani dokąd zmierzasz. Kocham cię takim, jakim jesteś.

Sean pomyślał, że może nadszedł moment na wyznanie jej prawdy. Może zrozumiałaby. Ale gdy zaczął jej opowiadać, zareagowała gwałtownie.

- Nie chcę mówić o moim ojcu. Nie chcę wspominać tamtego dnia. To wspomnienie należy tylko do mnie, nie mogę go z nikim dzielić - i na krótką chwilę na twarz Seana nałożyła się twarz umierającego Calogero, któremu ona, ubrana w białą sukienkę do pierwszej komunii obiecywała wendettę. Obraz rozwiązał się natychmiast. I znów rolls cichym jak wiatr szelestem kołysał jej marzenia.

Sean pomyślał, że Nancy była najuczciwszą osobą, jaką udało mu się spotkać, kobietą z którą mógłby założyć rodzinę. Był pewien, że spodobałaby się jego matce, gdyby ta jeszcze żyła.

Sean miał Nancy, jej zapach, jej ciepło, jej nieskończoną czułość, jej wstydlive rumieńce, jej bicie serca, jej namiętną miłość, oddanie, pragnienie zjednoczenia się z nim. Jak długo to może trwać? Jedną noc czy jedną minutę? Oczywiście, światło tak żywe nie mogło trwać wiecznie, ale to, że zobaczył je w swoim mrocznym, samotnym życiu było dla niego jedynym i niezapomnianym doświadczeniem. W odległej przeszłości była zbrodnia, która przyćmiewała piękno ich spotkania i na chwilę mężczyzna wycofał się zatrwożony kryjąc się przed tym ponurym zawrotem głowy, zastanawiając się, co z nimi będzie w przyszłości, która właśnie już się zaczęła. Ani Frank, ani José Vicente, którzy reprezentowali niepisane prawa, nic nie mogli zdziałać przeciw pożądanemu, które pulsowało w jego żyłach.

Sean i Nancy chcieli razem podążyć dalej, poza pożądanie. I kochali się w mieszkaniu Seana, na ostatnim piętrze budynku przy Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy, mając przed sobą zieleń parku i oświetlony zarys Nowego Jorku.

Nancy stała się kobietą lekko, tak jak o tym marzyła, z kolorową delikatnością kwiatu rozchylającego się o świcie.

Dźwięk telefonu wyrwał Nearco z głębokiego snu.

- Przykro mi, że cię obudziłem - przeprosił energicznym głosem Jimmy Marron.

- Miejmy nadzieję, że masz chociaż dobry powód - warknął Nearco wypływając z nicości snu.

- Pewne rzeczy lepiej wiedzieć od razu - odrzekł Jimmy.

- Dziesięć do jednego, że to główniana wiadomość - przepowiedział przeczesując jedną ręką włosy, a drugą ściskając telefon, tak jakby chciał skrócić kark człowiekowi, który obudził go o szóstej rano.

Jimmy nie żywił specjalnej sympatii do Nearco, którego oceniał jako wulgarnego, prostackiego i uciążliwego dla otoczenia, także dla własnego ojca, ale był przy tym wszystkim członkiem rodziny, z którą on był związany od niepamiętnych czasów więzami wierności. Jimmy przyjmował dobre i złe strony organizacji i wykonywał to, co uważał za swój obowiązek, nie zwracając uwagi na reakcje następcy tronu, któremu według hierarchii podlegał.

- Sądzę, że to ważna wiadomość - stwierdził Jimmy.

- Słucham - powiedział Nearco ze śladami snu w głosie, ale z jasnym umysłem.

- Właśnie skończyłem sprawdzać rachunki z restauracji - powiedział.

- No i co?

- Znalazłem dziurę.

- Winien? - popędzał go.

- Paul - powiedział krótko.

- Ach - był to jedyny komentarz Nearco.

- Manipuluje księgowością i chowa do kieszeni pięć procent wpływów.

Paul Valenza był bardzo zręcznym księgowym i zarządzał siecią restauracji kontrolowanych przez rodzinę Latella. Zajmował się importem włoskich produktów i

angażowaniem personelu. To Paul odkrył przemysł narkotyków z Sycylii w pojemnikach z oliwkami. Był zaufanym człowiekiem, ale nawet przez chwilę Nearco nie podawał w wątpliwość stwierdzenia Jimmiego Marrona, którego wierności był całkowicie pewien.

- Okay, Jimmy - powiedział. - Dziękuję za informację.

- Pozdrów ojca. Powiedz mu, że mam kopie ksiąg - dodał, zanim zakończył rozmowę.

Nearco podciągnął się i usiadł na łóżku. Rozłoszczona Doris zaczęła gniewnie pomrukiwać. Rzadko zdarzało się, żeby telefon dzwonił o świcie, ale kiedy miało to miejsce, Doris była nieznośna, oznaczało to bowiem kłopoty. A kiedy Doris stawała się nieznośna, wyciągała na światło dzienne wszelkie przewinienia z ich przeszłości i psuła mu kompletnie humor.

Nearco wstał, całkowicie rozbudzony, i poszedł na palcach do łazienki. Zatrzymała go w drzwiach.

- Nie chcę wiedzieć, co się dzieje - wysyczała - ale przypominam ci, że jesteśmy dzisiaj zaproszeni na obiad do moich rodziców - dodała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Nearco w tym momencie udusiłby ją i jej rodziców. Gnębiło go tysiąc problemów, brakowało mu Brendy, erotycznej ucieczki od gorzkich stron życia, dzięki której czuł się silny i ważny. Poświęcił ją jednak na ołtarzu rodziny, trzymającej się dzięki wytartym konwenansom, które jednak budziły w nim strach i szacunek. Zamiast odpowiedzieć ostro, tak jakby chciał, wymamrotał do żony uspokajającą obietnicę.

Kiedy Nearco zszedł do kuchni, zastał tam swoją matkę w wirze zajęć. W ekspresie filtrowała się kawa i po kuchni rozchodził się jej ciepły zapach. Na stole leżały ciepłe tosty i stał słoik z sycylijskim miodem o złocistych refleksach.

- Tata? - zapytał pocałowawszy ją w czoło.

- Odpoczywa. Dzisiejszej nocy niewiele spał. Nie jest już młodzieniaszkiem. Wiek i troski ciężą mu.

- Wszyscy się starzejemy - skomentował Nearco. - Ale wydaje mi się, że tata jest we wspaniałej formie - skłamał wiedząc, że do trosk starego będzie musiał dorzucić oszustwo Paula Valenzy.

Od kiedy uruchomił interes w Atlantic City, Frank stał się wręcz obsesyjnie ostrożny. Przeworność była zawsze niezastąpioną bronią, ale tym razem, według Nearco, graniczyła ze strachem.

Podwoił strażę wokół willi i zalecił zachowanie absolutnej tajemnicy w sprawie operacji handlowej. Nawet Sandra i Doris nie zostały poinformowane.

Nearco nalał sobie kawy do porcelanowej filiżanki w kwiaty, posmarował chrupiący tost masłem i miodem, ugryzł nie odczuwając żadnej przyjemności. Wypił łyk kawy, ale ceremonia śniadania zakłócała jedna powracająca myśl: Brenda Farrel. Nie był to tylko żal za utraconą grą miłosną, wspaniałą rozrywką. Wyłowił z pamięci ostatni weekend spędzony z Brendą w Atlantic City, przed ich rozstaniem. Nearco nie umiał zrezygnować z perspektywy zabrania jej ze sobą, zwłaszcza, że mieli zatrzymać się w willi jego przyjaciela w pobliżu Smithville. Wbrew dokładnym zaleceniom Franka i z niewybaczalną lekkomyślnością zabrał ją do jednego z kasyn gry kierowanych przez spółkę kontrolowaną przez Latellę.

Brenda wpadła w szal gry i przegrała dużą sumę w ruletkę. A on, zamiast rozgniewać się, jak się tego spodziewała, pocieszył ją, mówiąc:

- Nie przejmuj się. Te pieniądze pozostaną w rodzinie.

W chwilę później odgryzłby sobie język za to lekkomyślne i niebezpieczne zdanie, ale uspokoił się szybko widząc jej pusty uśmiech. Oczywiście nie pojęła znaczenia tego zdania. Teraz jednak, z dystansu czasu, ta wątpliwość ukryta w zakamarkach umysłu odżyła prowokując w nim niepokój i niepewność.

- Mój syn już jadł śniadanie? - poinformował się popijając mocną, gorącą i dobrze osłodzoną kawę.

Sandra spojrzała na duży elektryczny zegar wiszący nad kredensem. Było wpół do ósmej.

- Zjadł śniadanie i właśnie wychodzi - odpowiedziała kobieta, pokazując widocznego przez kuchenne okno chłopaka wsiadającego do auta. Była z nim Nancy i Carmine Russo, goryl Franka Latelli.

Nearco otworzył okno i zawołał go.

- Po co jedziesz z moim synem? - zapytał mężczyznę.

- Rozkaz Franka - powiedział Carmine. - Mam go odwieźć do szkoły, a później odebrać.

Mały Frank pozdrowił ojca szerokim ruchem ręki. Nancy siedziała już w samochodzie. Carmine Russo zbliżył się do okna. Był to nabytek z czasów zamachu przed Plaza. Był najlepszym gorylem, jakiego można było sobie wymarzyć. Nie miał imponującej sylwetki, ale wydawało się, że był ze stali. Jego refleks był zadziwiający, odwaga bezdyskusyjna. Nigdy nie chybiał.

Nearco uznał go za odpowiedniego człowieka do dostarczenia Paula Valenzy. W ten sposób Frank będzie go mógł przesłuchać po przebudzeniu. Wydawało mu się przesadą

zatrudnienie przez ojca elementu tak ważnego jak Carmine do odprowadzania jego syna do szkoły. Cóż może grozić jego synowi w czasie pokoju?

- A co tam robi dziewczyna? - zapytał wskazując Nancy.

- Jedźcie do miasta na zakupy - odpowiedział Carmine.

- Jesteś mi potrzebny - powiedział Nearco. - Chłopakowi wystarczy kierowca.

Carmine był wyraźnie zakłopotany. Frank junior podszedł pod okno, aby porozmawiać z ojcem.

- Wcześniej dziś wstałeś, tato - powiedział z radosną miną. Wydawało się, że jest z tego zadowolony.

- Jedź bo spóźnisz się do szkoły - upomniął go Nearco. - Dzisiaj Carmine nie będzie ci towarzyszył.

- Zgoda. Cześć. - Chłopak posłusznie wrócił do auta, w którym czekała na niego Nancy.

- Frank wydał mi polecenie - zaproponował Carmine, kiedy auto ruszyło w kierunku bramy.

- A ja je anuluję. Znajdź Paula i przywieź mi go tutaj natychmiast - uciął krótko.

Zamknął okno i wrócił do stołu dopić swoją kawę.

- Twój ojciec będzie się gniewał za to, co zrobiłeś - powiedziała Sandra, która nigdy nie odwołałaby rozkazu męża.

- To wyjątkowa sytuacja. Kiedy się dowie, dlaczego to zrobiłem, przyzna mi rację - odrzekł dumnie.

Sandra miała nadzieję, że syn się nie myli.

Metalizowane study pewnie poruszało się w strumieniu aut. Dudley, kierowca, nastawił radio na lokalny dziennik. Spiker zapowiadał burzę nadchodzącą z północnego zachodu, ale na razie niebo było czyste i słońce świeciło jasno. Frank junior powtarzał sobie lekcję historii. Siedząca obok Nancy niecierpliwie sprawdzała godzinę na swoim patku. Pociąg z Greenwich do Nowego Jorku odjeżdżał o ósmej pięć. Nie chciała i nie mogła spóźnić się, gdyż miała zamiar zrobić zakupy i zjeść z Seanem śniadanie w jego mieszkaniu przy Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy.

Tej nocy wróciła późno do domu i już nie zasnęła, wspominając swoje pierwsze, niezapomniane doświadczenie miłosne, czułe i łagodne, dokładnie takie, o jakim zawsze marzyła.

- Nancy, przepytasz mnie stąd dotąd? - zapytał chłopiec podając jej książkę i przerywając gwałtownie bieg jej myśli.

Uśmiechnęła się nie słysząc ani jednego słowa z tego, co powiedział Frank junior, ale wzięła książkę do ręki, tak jakby zrozumiała. Tego ranka Nancy zwróciła szczególną uwagę na swój strój, wkładając bieliznę z bladoróżowego jedwabiu, szaroperłową, prostą, wąską sukienkę z alpaki z krótkimi rękawami, z różowym żakiecikiem wykończonym szarą lamówką. Włosy ściągnęła gumką z różowego aksamitu.

- System amerykański nie polegał tylko na próbach znalezienia ekonomicznej autonomii - zaczął powtarzając z niezwykłą pewnością Frank jr. - Szkolnictwo i literatura nabierały powoli naprawdę amerykańskiego charakteru. W strefie przygranicznej było niewiele szkół. Przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych Andrew Johnson nie umiał czytać, gdy się żenił... Wojna z 1812 wzbudziła niechęć do Anglii.

Gwałtowne hamowanie przerwało powtarzanie lekcji i obydwójce zostali rzućeni na przednie siedzenia nie odnosząc na szczęście żadnych obrażeń. Przed nimi w poprzek drogi na samym zakręcie stała ciężarówka. Tylko refleks i doskonale opanowanie

Dudleya uchroniły ich przed większymi szkodami. Kierowca zareagował puszczając wiązaną soczystych przekleństw. Natychmiast rozważył wszystkie możliwe rozwiązania, ale sytuacja nie pozwalała na żadne z nich. Wsiadł więc z auta, aby sprawdzić, co się dzieje.

Nancy spojrzała na zegarek.

- Nie zdążę na pociąg - pomyślała uderzając rytmicznie stopą w dywanik z białego jagnięcia leżący na podłodze samochodu.

W tym momencie jakiś człowiek wysiadł z ciężarówki, zbliżył się od tyłu do Dudleya i powalił go uderzeniem w kark. Obydwoje zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje, gdy było już za późno na ucieczkę.

Drzwiczki samochodu otworzyły się jednocześnie i dwaj mężczyźni chwycili Franka jr i zabrali go ze sobą. Trzeci usiadł na miejscu chłopca i powiedział do Nancy zamarłej ze zdumienia:

- Tylko spokojnie. Nie mamy zamiaru cię skrzywdzić.

Nancy skinęła głową.

- Słuchaj mnie uważnie - kontynuował mężczyzna, który miał gęste, kręcone włosy i śmierdział czosnkiem. - Zabieramy chłopca. Ty pojedziesz do Franka Latelli i powtórzysz mu dokładnie to, co ci powiem: Joe La Manna mówi, że za sprawą Altantic City zerwałeś układ. To oznacza wojnę. Dostaniesz twojego wnuka, kiedy zaakceptujesz warunki, które ci podyktujemy. Zrozumiałeś? - warknął mężczyznę.

Nancy odpowiedziała, że tak.

- Powtórz, co ci powiedziałem - rozkazał.

Nancy powtórzyła słowo po słowie wyraźnym, bezbarwnym głosem i dodała:

- Teraz ja ci coś powiem, ty bydlaku. Postaraj się, żeby nic się nie przytrafiło Frankowi jr, w przeciwnym razie będziesz żałował, żeś się urodził.

- Dobra jesteś i masz klasę, dziewczyno - powiedział mężczyzna szczypiąc ją w policzek.

Nancy nienawidziła go z całego serca. Kiedy mężczyzna zniknął, ciężarówka ruszyła dając przejazd. Wsiadła z samochodu wychodząc naprzeciw Dudleyowi, który podnosił się z ziemi.

- Przykro mi, Nancy - wyszeptał.

- To nie twoja wina - rozgrzeszyła go myśląc o Nearco. - Potrzebny ci lekarz. Wracamy do domu. Ja poprowadzę.



Frank Latella stał przed lustrem w sypialni i wiązał sobie, jak zwykle starannie, krawat dobrany kolorem do szarego garnituru z miękkiej angielskiej flaneli. Mimo że wszystko układało się jak najlepiej, to jednak od pewnego czasu uskarżał się na uciążliwe zmęczenie, które przypisywał pogodzie i wiekowi, oraz na powtarzające się mdłości, które kładł na karb nie najlepszej przemiany materii. Te niewielkie dolegliwości nie przeszkadzały mu rozkoszować się osiągniętym sukcesem. Interes w Atlantic City, w który zainwestował wszystkie swoje siły i cały rodzinny majątek, był ukoronowaniem jego życia. Teraz mógł spędzić w spokoju resztę swego życia, a jego syn zająłby się wyłącznie czystymi interesami. Spadek po teściu był zlikwidowany, nie było już loterii ani lichwy, ani prostytutce, ani wymuszania pieniędzy w zamian za opiekę. Nie przeszkadzało to w opłacaniu urzędników sądowych, polityków i policjantów. Płacono biżuterią, obrazami znanych artystów, wyrobami ze srebra, fundowano podróże. To nie była korupcja, to stanowiło część stosunków społecznych.

Latella był potęgą. Był właścicielem sklepów spożywczych, sieci restauracji na dobrym poziomie, hoteli na zachodnim i wschodnim wybrzeżu. A poza tym było jeszcze jego oczko w głowie: kompleks w Atlantic City, niewyczerpalne źródło czystych pieniędzy. Wszystko to zrealizował nie brudząc sobie rąk handlem narkotykami. Przedsięwzięcie sfinalizowane w New Jersey, w samym środku terytorium rodziny Chinnici, było ryzykowne, ale dramat był nieodłącznym składnikiem życia. Nawet przejście przez jezdnię jest ryzykiem: można wpaść pod samochód. To była jedyna okazja: być albo nie być. Zostały jednak podjęte wszelkie możliwe środki ostrożności, aby uniemożliwić dotarcie do niego. Tylko Nearco znał ten sekret, którym podzieliliby się pewnego dnia z Frankiem jr. Stary, mimo że miał niejakie wątpliwości co do talentów syna, wciąż wierzył w jego umiejętność dochowania tajemnicy o podstawowym znaczeniu dla ich życia.

Frank wpiął w krawat małą złotą szpilkę: znak zapytania wysadzany perełkami i

zakończony szafirem. Wierny swoim przyzwyczajeniom wziął z nocnego stolika pustą filiżankę po kawie, którą Sandra przyniosła mu jak co dzień rano po przebudzeniu, i przygotował się do zejścia. W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - powiedział zdziwiony.

Tylko Sandra wchodziła do sypialni. I nigdy nie pukała. Otworzyły się drzwi i w progu ukazała się Nancy. Błada, z trudem łapiąca powietrze, z zagubionym spojrzeniem.

- Proszę o wybaczenie - wyszeptała.

- Co jest, mała? - zaniepokojony poprosił, aby kontynuowała.

- Stało się coś strasznego - wyznała dziewczyna. - Porwano Franka.

Na te słowa rysy mu stężały, zmieniając się w nieprzeniknioną maskę.

- Wejdz i zamknij drzwi - rozkazał odstawiając filiżankę na marmurowy blat komody.

- Teraz usiądź i złap powietrze - dodał wskazując jej jedno z dwóch krzeseł w nogach łóżka.

Nancy naprawdę musiała usiąść. Spokojnie zareagowała na porwanie, ale teraz wstrząsały nią dreszcze.

- Frank - wyszeptała.

- Uspokój się i powiedz mi, co się przytrafiło Juniorowi - upomniał ją Frank.

- Junior został porwany przez Joe La Manę. Byłam z nim w samochodzie prowadzonym przez Dudleya, kiedy został porwany.

- Co ty robiłaś w samochodzie? - zapytał.

- Chciałam pojechać na dworzec w Greenwich, aby złapać pociąg do Nowego Jorku.

Frank usiadł powoli na krześle naprzeciw niej. Nie okazał najmniejszego przestachu, nie zmienił wyrazu twarzy, nie mrugnął nawet okiem. Rozpiął marynarkę, wyciągnął złoty zegarek z kieszeni kamizelki, sprawdził godzinę i schował na miejsce.

- Opowiedz mi wszystko spokojnie - poprosił - nie zapominając o żadnym szczególe. Masz dobrą pamięć, prawda?

Szarpał łańcuszek zegarka, a Nancy opowiadała z drobiazgową precyzją przebieg wydarzeń. Stary słuchał z uwagą i potakiwał.

- Dlaczego Carmine Russo nie był z wami? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedziała Nancy, która przestała się trząść.

- Pamiętasz coś jeszcze.

- Pamiętam, że Nearco zawołał Carmine przed odjazdem. Rozmawiał z nim półgłosem. Potem Carmine zbliżył się do samochodu i powiedział do Dudleya, żeby jechał bez niego.

- Idiota - wysyczał przez zęby Frank.

- Może, proszę pana, gdyby doszło do strzelaniny, byłoby jeszcze gorzej - odważyła się. - Może.

Prawdopodobnie Nancy miała rację.

- Jesteś inteligentną i mądrą dziewczyną.

Mężczyzna analizując w myślach wszystkie możliwości, nie zapominając o żadnej hipotezie, zastanowił się, czy porywacze nie liczyli na nieobecność Carmine Russo. Jeśli to było prawdą, ktoś zdradził. Miało to już miejsce w czasach Toniego Croce, ale tym razem sprawa była poważniejsza. La Manna dowiedział się o czymś, o czym nie powinien wiedzieć. Tajemnica Atlantic City została odkryta. Znał ją tylko on i jego syn Nearco.

Nancy uspokajała się.

- Co się dzieje, proszę pana? - zapytała. - Dlaczego porwali Juniora?

Frank uśmiechnął się pochylając się ku niej.

- To tylko kwestia pieniędzy - powiedział jakby mówił do siebie. - Junior został porwany dla okupu. Dla nas to straszna sprawa. Ale wiadomo, że dla pieniędzy i władzy popełnia się najokrutniejsze ze zbrodni.

Nie o tym chciał mówić Frank. Odczuwał natomiast potrzebę rozmowy z Nancy, uważał ją za jedyną osobę, która była w stanie go zrozumieć. I mówiąc sam sobie wyjaśniał sedno sprawy.

- Junior w zamian za pieniądze - zastanawiała się głośno dziewczyna.

- Mówiąc krótko, o to chodzi.

- Ale przecież rodzina Chinnici jest bardzo bogata.

- Nigdy nie dość pieniędzy i władzy.

- Ale dlaczego właśnie teraz, a nie rok temu? Lub za rok?

Frank pogłaskał ją po twarzy.

- To są inteligentne pytania - zauważył. - Mówisz: „Dlaczego teraz?”. I ja ci odpowiem. Joe La Manna od dawna zajmuje się narkotykami. To brudny interes, któremu zawsze byłem przeciwny. Ale to mu nie wystarcza. Jest w pobliżu inny interes, na który ma chętkę. A w tym interesie siedzę ja. Sądzę, że to jest powodem porwania - dodał Latella, który teraz zaczynał widzieć jasno całą sprawę, nie chciał jednak jeszcze mówić Nancy, że to on, Frank Latella, wdarł się na terytorium La Manny. Wchodząc w hotelowy interes w Atlantic City złamał pakt. Nie upoważniało to jednak do porwania dziecka.

- Teraz, kiedy chodzi o życie Juniora, co zrobimy? - przerwała mu przerażona Nancy.  
- Co pan zrobi?

- Postąpimy tak, aby nie spadł mu ani jeden włos z głowy - odpowiedział łagodnie, jakby chcąc jej podziękować za to spontaniczne zaangażowanie się. - Życie mojego wnuka jest bezcenne. Jest warte o wiele więcej niż to, co posiadam. Dam La Mannie to, czego zażąda. Również moje życie w zamian za życie Juniora.

- Ustąpimy bez walki? - spytała Nancy.

- Nie ma sensu walczyć w przegranej sprawie. Jest czas na zwycięstwa i na przegrane. Wszystko przemija - powiedział stary, już pogodzony, - Zejdźmy na dół. Musimy zawiadomić Sandrę i Doris. W odpowiedni sposób.

- Zaczniemy od początku - rozkazał Frank.

Wiadomości przekazywane mu przez Nearco były jak okruchy kolorowego szkła układające się we wciąż nowe, dziwne wzory, zmieniające się przy najdrobniejszym ruchu jak w kalejdoskopie, ale dalekie jeszcze od końcowego kompletnego rysunku.

Ojciec z synem byli sami w gabinecie starego na parterze. Sandra była na górze z lekarzem, który przybył natychmiast, na wezwanie do Doris, która miała atak hysterii. Kobieta wzywała syna i rzucała się jak opętana. Nearco obdzwonił już zaufanych ludzi wzywając ich do rezydencji w Greenwich.

- Powiedziałem ci już wszystko, co wiem, tato - rzucił agresywnie Nearco, tak jakby miał coś do ukrycia.

- Impulsywność to twój słaby punkt, chłopcze - powiedział tak, jakby mówił do dziecka. - Jeśli w wieku czterdziestu lat nie nauczyłeś się jeszcze myśleć, obawiam się, że już się tego nigdy nie nauczysz. To poważna i przykra sprawa - dorzucił - ale w tej chwili drugorzędna. Nie możemy rozwiązywać wszystkich problemów na raz. Najpilniejszą sprawą jest sprowadzenie chłopca do domu. Więc chcę wiedzieć, jak mają się sprawy z tą kobietą, którą utrzymywałeś na Madison Avenue. I chcę nauczyć się na pamięć, słowo po słowie, rozmowy telefonicznej z Jimmym Marrone - kontynuował stary spokojnie, tonem nie znoszącym sprzeciwu, nie tolerującym zwłoki. Stał pod olejnym portretem wnuka, kciukiem i wskazującym palcem przesuwając złoty łańcuszek od zegarka przy kamizelce. Dręczyły go mdłości. Był zmęczony. Słuchał opowiadania syna w maksymalnym skupieniu.

Nearco czuł się nieswojo, jak dziecko zmuszone do wyznania ciężkiego przewinienia, i uciekał się do najgłupszych kłamstw próbując ukryć prawdę, w rezultacie wybierał niewłaściwe słowa budując konstrukcję, którą pierwszy podmuch wiatru mógł zdmuchnąć. Próba zminimalizowania własnej winy nie powiodła się. Wyznał, że kilka

miesiący temu pojechał z Brendą do Atlantic City na weekend.

- Chciałem osobiście zobaczyć, jak działa cały ten mechanizm - usprawiedliwił się.

- I najprościej było pojechać tam z kobietą - podkreślił Frank - z twoją utrzymanką, która ma tę zaletę, że nie przechodzi niezauważana.

- Tam w środku - zareplikował - jest pełno kobiet, jak mówisz, wpadających w oko. To tak, jakby wieźć drzewo do lasu. Jedna podobna do drugiej. Nikt jej nie zauważył.

- Bylejakość i powierzchowność to także twoje słabe punkty, także impulsywność - zmienił temat. - Gdzie spałeś?

- W domu przyjaciela.

- Jakiego przyjaciela?

- Jamesa Everetta, deputowanego.

- Fantastycznie. A co potem?

Nearco przesunął ręką po czole, lepiła się od potu.

- W sobotę zjedliśmy obiad w restauracji w kasynie. Potem tańczyliśmy, oglądaliśmy przedstawienie i graliśmy w ruletkę.

- I naturalnie wygraliście. Niemożliwością było przegrać.

- Właśnie to próbowałem wytłumaczyć Brendzie, kiedy rozpacziała z powodu przegranej - wpadł w pułapkę zastawioną przez ojca.

- Przegrana nie była brana pod uwagę - zauważył Frank.

- To jej właśnie powiedziałem.

- W jaki sposób? - usta starego lekko drżały.

- Powiedziałem jej, że nie należy się przejmować. Pocieszyłem ją. Prawie płakała.

- Chcę usłyszeć dokładne słowa - rozkazał.

Nearco zrozumiał, że nie miał wyjścia z pułapki przygotowanej przez ojca.

- Powiedziałem jej, że te pieniądze pozostają w rodzinie - dokończył słabym głosem.

- Wyraziłeś się jasno i wyraźnie. Powiedziałeś jej, że nie musi się martwić, bo i tak te pieniądze wychodzą z jednej kieszeni i wracają do drugiej. Powiedziałeś jej, że interes w Atlantic City to nasz biznes. Dokładnie.

- Prawdopodobnie nie doszła do takiego wniosku - spróbował słabo Nearco.

- I to „prawdopodobnie” mi się nie podoba. Ten przysłówek sprowadza nieskończoną ilość kłopotów. A ty, mimo tego „prawdopodobnie” uznałeś, że lepiej ją rzucić jak niepotrzebny, stary kapeć.

- Chciała, żebym się z nią ożenił - bronił się syn.

Frank usiadł w wygodnym, pluszowym fotelu i wskazał Nearco drugi, identyczny,

stojący naprzeciw niego.

- Rozumiem - powiedział obserwując syna, który zapalał papierosa od strony filtra, co zdarzało mu się, gdy czuł się nieswojo.

Nearco kaszląc wypluł papierosa.

- Widzisz, mój chłopcze - podjął Frank nie zdradzając żadnych emocji - ja nigdy nie miałem kochanek. Nawet jeśli wyda ci się to dziwne, zawsze byłem wierny twojej matce. Ale widziałem wielu mężczyzn potrafiących traktować odpowiednio swoje przyjaciółeczki. Na przykład stosownie wysoka odprawa czyni rozstanie znośniejszym.

- Powtarzam ci, ona chciała małżeństwa - zaprotestował.

- Bo ty pozwoliłeś jej na snucie takich marzeń - uciszył go ojciec. - Zawsze miałem do ciebie duże zaufanie - dodał. - Za duże. I tak, kiedy twoja Brenda poślubiła syna Joe La Manny, sądziłem, że Joe kupił sparaliżowanemu synowi nową zabawkę. Jak głupi, nie chciałem myśleć o niczym innym.

- To wiedziałeś? - zapytał zdumiony Nearco.

- Oczywiście. Wszyscy wiedzieli.

- Nigdy mi o tym nie powiedziałeś.

- O zbyt wielu rzeczach ci mówiłem, również o tym, czego ta dama użyła jako towaru wymiennego.

- Skończy jak na to zasługuje - odgrażał się zrozpaczony Nearco.

- Wszystko w swoim czasie - odrzekł spokojnie Frank.

- Nikt nie może nam udowodnić, że kompleks w Atlantic City jest naszą własnością - zareagował.

- Mają Juniora w swoich rękach. I nie potrzebują niczego udowadniać. Świadkowie i dowody są potrzebni tylko w sądzie.

- Źle zrobiłem odwołując Carmine Russo - przyznał. - Ale nie brałem pod uwagę porwania. Po telefonie od Jimmiego Marrona wydawało mi się, że najważniejszy jest Paul Valenza.

- To może jedyna sensowna rzecz, którą zrobiłeś w tym wielkim burdelu - zaskoczył go Frank. - Intuicja, odwaga i refleks Carmine mogły uratować Juniora, ale mogły również przynieść mu zgubę. Nancy także. Zasadzka była dobrze zorganizowana. Musieli zablokować boczną drogę znakami drogowymi i prawdopodobnie ustawili fałszywych policjantów przy wjeździe na autostradę, uniemożliwiając wjazd na nią innym kierowcom. Nie, niczego innego nie należało robić. Ale oskarżenia nie mają już sensu.

- Paul Valenza jest tutaj - przypomniał Nearco. - Co z nim zrobimy?

Frank potrząsnął głową bezradnie.

- Powiedz mu, że jest mi potrzebny. Potrzebuję wszystkich, również złodziei takich jak Valenza. Przyjdzie czas, kiedy każdy dostanie to, na co zasłużył.

Kiedy wypowiadał te ostatnie słowa, jego spojrzenie złagodniało, ponieważ wiedział, że również Nearco będzie musiał zapłacić.

- Teraz - zakończył - musimy myśleć o tym, jak sprowadzić chłopca do domu całego i zdrowego.



Sean przyjechał do willi w Greenwich jako pierwszy. Nancy wybiegła mu naprzeciw i ukryła się w jego ramionach.

- Nie zostawiaj mnie, kochany. Nigdy więcej mnie nie zostawiaj - szeptała mu na ucho, z trudem powstrzymując łzy.

- Naprawdę nic ci nie zrobili? - zapytał biorąc jej piękną twarz w swoje ręce i patrząc jej intensywnie w oczy.

Telefon Nearco wyrwał go ze snu i marzeń. Śnił o Nancy i wdychał jej zapach pozostawiony na poduszce.

- Joe La Manna porwał mojego syna. Nancy była z nim. Wróciła z przesłaniem - zaatakował go Nearco jak tylko odezwał się zaspanym głosem.

Wyskoczył z łóżka w jednej chwili przytomny. Spał bardzo krótko, może wszystkiego ze dwie godziny. Po odwiezieniu Nancy do Greenwich wrócił do Nowego Jorku, zwolnił kierowcę i kręcił się po opustoszałych ulicach myśląc o niej. Był zakochany w Nancy, tak jakby była pierwszą kobietą w jego życiu i jedyną kobietą na świecie. Przez lata całe nosił w sobie jej obraz, zabraniając sobie kochać ją.

Teraz poddał się namiętności. Od tej chwili, kiedy Nancy była wreszcie jego, nie zrezygnowałby z niej za żadne skarby świata. Wrócił do domu kiedy już świtało. Zasnął, gdy nieprzyjemny, zaniepokojony głos Nearco przywrócił go do twardej rzeczywistości.

- Jak się czuje? - zapytał myśląc o najgorszym. Był już na nogach, słuchawkę leżącą na ramieniu przytrzymał brodą, i zaczynał się ubierać.

- Lepiej od Dudleya. Dostał w głowę.

- A Carmine?

Również Sean znał rozkaz ojca, aby pilnować Juniora.

- Miał inne zadanie - Nearco wyznał półprawdę.

- Przyjeżdżam natychmiast - zakończył Sean.

Teraz, kiedy trzymał delikatnie jej twarz w swoich rękach, zaczął drżeć. Po raz pierwszy bał się o kogoś.

- Moje biedne małeństwo - wyszeptał.

- Naprawdę, nic mi nie zrobili - próbowała go uspokoić. - Chcieli Juniora. Ja nie jestem nic warta, nie nadaję się na towar wymienny - dodała z gorzkim uśmiechem.

- Jesteś bardzo cennym i rzadkim okazem - wyszeptał jej wprost do ust i poczuł wzbierające w nim pożądanie, ale nie mógł jej pocałować. Nie tutaj. I nie w tym momencie.

- Co będzie z Juniorem? - zapytała zaniepokojona Nancy.

- Co będzie z nami? - zastanawiał się Sean. Problem chłopca wcześniej czy później zostanie rozwiązany. To tylko kwestia ceny, którą trzeba będzie zapłacić. Jego historia z Nancy natomiast nie miała rozwiązań, nie miała ceny i nie przewidywała szczęśliwego zakończenia.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją.

- Też tak sądzę - przyznała. - Ale tymczasem pragnę cię bezwstydnie. Powinnam płakać, rozpaczać, myśleć o Juniorze i Franku. A pragnę tylko ciebie, jakbyś był całym moim życiem.

- Ja też cię pragnę. I nie wstydzę się tego.

W suterynie willi urządzono wielki salon, salę z bilardem i szereg saloników z niskimi i długimi oknami zasłoniętymi gęstymi firankami. Schody prowadzące na dół były tuż obok, wabiły przyjacielsko i nieodparcie.

Sean wziął Nancy za rękę, nie potrzebował jej niczego tłumaczyć. Zeszli po stopniach, przeszli przez salon i gdy doszli do pierwszego saloniku, padli na kanapę pokrytą złotym aksamitem. Sean objął Nancy i poczuł, jak rośnie jego namiętne, pulsujące pożądanie. Pragnienie złączenia się było tak silne, że nawet myśl, że ktoś mógłby ich zaskoczyć, nie była w stanie zgasić tych kolorowych fajerwerków, które wybuchwały w ich wnętrzu. Słowa szeptane z miłością rwały się, zanikały w przyśpieszonym oddechu, aż słychać było tylko westchnienia i bicie serca. Ekstaza Nancy przeszła w cichy, delikatny płacz niczym w tęczę, która w niej falowała.

Kiedy wynurzyli się z tego zamętu doznań, spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się.

- Frank czeka na ciebie w gabinecie - przypomniała Nancy.

- Chodźmy, księżniczko - zaprosił ją Sean podając jej rękę.

Frank Latella zreasumował pokrótce fakty.

- Musimy działać z maksymalną ostrożnością - zalecił ludziom ze swojego sztabu. - To sprawa bardzo delikatna. Im mniej szumu, tym lepiej. Nie możemy włączyć w to innych rodzin ani prosić o pomoc. Tu chodzi o życie chłopca. Musimy sami to załatwić.

Wszyscy zastanawiali się nad powodami, które zmusiły La Mannę do przerwania rozejmu w tak obrzydliwy sposób, który łamał wszelkie zasady i zapowiadał pojedynek do ostatniej kropli krwi. Nie było wątpliwości co do wyniku pojedynku. Jeden z przeciwników nigdy się nie podniesie. Nikt nie odważył się poprosić o wyjaśnienia. Każdy był przekonany, że Frank Latella zna powody i że zapozna ich z nimi, kiedy uzna za stosowne.

- Mój wnuk został porwany cztery godziny temu - podjął Frank sprawdzając godzinę na zegarku, który wyciągnął z kieszonki kamizelki. - I jeszcze się nie odezwali. To jasne, że La Manna bawi się trzymając nas w niepewności. Teraz on jest górą. W tej chwili mamy związane ręce. Możemy tylko czekać - dodał nakręcając zegarek.

- Czy domyślasz się, czego mogą zażądać? - odważył się José Vicente.

- Domyślam się. Wszyscy będziemy się musieli do tego przyzwyczaić - odpowiedział Frank. - La Manna zażąda mojej głowy. Mamy porachunki jeszcze z czasów komisji Kefauvera. Najbardziej gorzką pigułkę musiał przełknąć, kiedy powiedzieliśmy mu o perwersyjnych rozrywkach jego żony. Czekał tylko na pretekst, żeby skoczyć nam do gardła. Teraz znalazł - rozumował z właściwym sobie spokojem. Wyglądał jak szachista czekający na kolejny ruch przeciwnika. Uważny, ostrożny, analizujący w myśli wszelkie możliwe ruchy i ewentualne kontrposunięcia.

Każda rodzina przechodziła swoje trudne okresy. Prześladowane przez rząd w czasie, gdy walczyły o supremację na najlepszych rynkach: narkotyków, prostytucji, w grach hazardowych, musiały angażować swe siły jednocześnie na dwóch frontach i starać się

inwestować kapitał w legalną działalność: budownictwo, rzeźnie, supersamy, magazyny, fabryki odzieżowe.

Frank Latella był pierwszym, który opuścił stado dinozaurów na wymarciu, jak określano szefów starej daty. Wyszedł z obiegu, ale nie z zaczarowanego kręgu, i musiał walczyć metodami organizacji. Była jednak różnica. O ile przedtem wystarczyło usunąć ojca chrzestnego, padrino, aby przenieść swój *racket* pod jurysdykcję zwycięskiej rodziny, o tyle teraz, kiedy protekcja, loterie, wymuszenia pieniędzy przeszły w ręce nowej generacji małych, krwiożerczych przestępców, a szefowie inwestowali swoje pieniądze w legalną działalność, śmierć szefa nie oznaczała automatycznie przejścia do zwycięskiej organizacji.

Coraz częściej płatni zabójcy byli zastępowani przez prawnych prokurentów, którzy zamiast broni używali pakietów akcji. Było jasne dla wszystkich, że La Manna zażąda przelania na swoje konto wszystkich akcji spółek Latelli.

- La Manna zażąda wszystkiego, co nasza rodzina posiada - sprecyzował. - Wszystko w zamian za Juniora. Zebrałem was tutaj, ponieważ jesteśmy współdziałowcami niektórych przedsiębiorstw. Należy podjąć odpowiednie kroki, aby zminimalizować wasze straty - kontynuował Latella. Następnie zwrócił się do José Vicente. - Klub należy do ciebie w pięćdziesięciu procentach. Pomyślałem, że mógłbyś zapewnić sobie drugą połowę za symboliczną sumę. Chyba, że odpowiada ci jako wspólnik ktoś z rodziny Chinnici - potrafił jeszcze żartować.

- Zgoda - podziękował José. - Zgadzam się z każdą twoją decyzją.

- Nie mamy dużo czasu. Należy działać natychmiast. Moi prawnicy są do waszej dyspozycji. Jeśli o ciebie chodzi, Sean - dodał zwracając się do Irlandczyka - radzę ci przejąć w całości restauracje, których jesteś współnikiem, zanim La Manna położy na tym łapę. A ty, John - zwrócił się do Galante - będziesz musiał mi odstąpić akcje, które posiadasz. Należą do spółki, którą La Manna będzie chciał przejąć w całości. Jesteś szczerym i zaufanym przyjacielem. Odważnym chłopcem. Spłacę cię co do grosza.

John Galante skinął ręką, że się zgadza i dodał:

- Nie ma sprawy.

- Jeśli uznasz, że będzie to dla ciebie korzystne, możesz z nim pracować. Nie jestem w stanie zapewnić wam przyszłości - kontynuował zwracając się do wszystkich. - To dotyczy każdego z was. Zwolnijcie także waszych chłopców z jakichkolwiek zobowiązań. Od tego momentu mogą wybierać nowego pana. Frank Latella zamyka z powodu zaprzestania działalności - zaryczał ironicznie stary lew, aby ukryć wzruszenie i tym

żartobliwym stwierdzeniem rozładować dramatyczną i poważną atmosferę.

Latella przypominał generała planującego bezwarunkową kapitulację narzuconą mu przez nieprzyjaciela.

Telefon porywaczy uczynił klęskę bardziej realną i okrutną, ale również uchylił wrota nadziei.

Dzwonił Charly Imperante. Odpowiedział John Galante.

- Frank chce rozmawiać ze swoim wnukiem, zanim rozpocznie jakiegokolwiek negocjacje - rzucił John energicznym głosem.

- Zgoda - powiedział Charly.

John przekazał słuchawkę Latelli. Głos Juniora, jasny i głęboki, skandował:

- Czuję się dobrze. Powiedzieli, że będę mógł szybko wrócić do domu. Mam ci powiedzieć, że aby tak się stało, musisz natychmiast przyjąć ich warunki. Wiem, że postąpisz słusznie - powiedział zdecydowanie i z dumą.

- Jutro będziesz z powrotem w domu, chłopcze - zapewnił go. - Masz moje słowo. A teraz daj mi Charliego.

Charly Imperante i Frank Latella znali się dobrze. Razem pracowali i byli przyjaciółmi. Teraz rozmawiali, stojąc po dwóch różnych stronach barykady, ale rozmawiali z nieukrywanym szacunkiem.

- Zajmujesz się teraz porywaniem dzieci - rzucił mu Frank.

- To nie był mój pomysł.

- I tak gównu.

- Wojna to gównu. Świat to gównu. My wszyscy jesteśmy gównem.

Frank przełknął ślinę, ale ucisk w piersiach nie zelżał.

- Uważaj, żeby chłopcu nic się nie stało.

- Jest bardzo dobrze traktowany. Bądź spokojny. Nie rób głupstw, a chłopcu nie spadnie włos z głowy.

- Zgoda, Charly.

- Joe ma dla ciebie dokładne warunki. Dam ci go.

- Nie - zaproponował stary. - Tym zajmą się moi prawnicy. Mają rozkaz zaakceptować jego warunki. Chcę jutro widzieć Juniora w domu.

- Pokonałem cię, stary - warknął La Manna w słuchawkę. - Jesteś skończony! - ryczał śmiejąc się wulgarnie na całe gardło.

- Wiem - wymruczał Latella, zanim odłożył słuchawkę. - To naprawdę koniec - dodał zwrócony do swoich ludzi, którzy spoglądali po sobie bezradni i zdezorientowani.

- Co zrobisz? - zapytał José Vicente.

- Teraz idę odpocząć - zakończył Frank. - Jestem bardzo zmęczony.

Nancy prowadziła pontiaca koloru barwinka. Był wspaniały, słoneczny dzień i mimo oczekującego ją zadania była wyjątkowo spokojna, prawie szczęśliwa. Pozostawiła za sobą Brooklyn, przejechała przez most Verrazzano i przez Staten Island dojechała do Clove Lakes Park. Zgodnie z planem zatrzymała się w pobliżu budki telefonicznej. Jej zadanie było proste: miała przejąć Juniora i wrócić do domu, przedtem zaś zadzwonić i powiadomić o uwolnieniu. W Coney Island dołączyć mieli do nich Sean i Carmine Russo, aby eskortować ich do rezydencji w Greenwich. Dopiero wtedy pełnomocnik La Manny miał opuścić biura prawników Latelli z dokumentami potwierdzającymi przekazanie wskazanej spółce całego majątku Franka. To Joe La Manna wybrał Nancy do tej delikatnej operacji, a Latella natychmiast zaakceptował.

Nancy wysiadła z samochodu, weszła do budki telefonicznej, spojrzała na zegarek: brakowało około minuty do umówionego spotkania. Była ciekawa, czy wśród strażników Juniora był również ten wulgarny typ, śmierdzący czosnkiem, który uszczypnął ją w policzek. Był i prowadził nadjeżdżającego właśnie forda. Nancy włożyła monetę, wykręciła numer w Greenwich. Po pierwszym sygnale odezwał się Frank Latella.

- Junior wysiada z auta - opisywała dokładnie. - Zbliża się. Czuje się dobrze. Tak. Teraz wsiada do mojego samochodu. Trzech ludzi La Manny obserwuje go z samochodu. Ten przy kierownicy patrzy w moją stronę.

- Wracaj do domu, Nancy. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Dobrze się sprawiłaś.

Nancy odłożyła słuchawkę i podeszła do pontiaca. Spojrzała na zaparkowanego forda i zobaczyła, jak mężczyzna siedzący za kierownicą wychyla się z auta, uśmiecha się do niej obleśnie, otwiera dziurawą paszczkę i sprośnie oblizuje się.

Zrobiło jej się niedobrze, spuściła wzrok i wsiadła do auta obok Juniora.

- Przykro mi - powiedział chłopak siedząc nieruchomo jak kukła.

- Nie ma powodu - próbowała go uspokoić. - Wszystko idzie dobrze.

Zapaliła silnik i poczekała, aż ford oddali się w przeciwnym kierunku. Tak zostało ustalone. Mężczyzna za kierownicą przejeżdżając koło niej po raz ostatni uczynił w jej kierunku sprośny gest, ale tym razem Nancy odpowiedziała mu uśmiechem. Zdążyła przyjrzeć się dwóm pozostałym porywaczom: młodym mężczyznom o ponurych twarzach i pustych spojrzeniach.

- Dobrze się czujesz? - zapytała chłopca.

- Tak - odpowiedział nie ruszając się.

- Zrobili ci krzywdę?

- Ograniczyli się do szyderstw - mówił zrywami, zmienionym głosem, cały czas szarpiąc kartki książki do historii, którą miał ze sobą od dnia porwania. - Dotrzymywała mi towarzystwa - dodał.

Nancy obserwowała we wstecznym lusterku oddalającego się forda, później spostrzegła ciężarówkę „Dodge”, która pojechała za nim. Za kierownicą tego kolosa siedział Antonio Corallo. Nie był to ten sam łagodny, skory do żartów mężczyzna, którego znali klienci klubu Dominici. Jego twarz była twarda, zdecydowana. Wymienił z Nancy porozumiewawczy znak, którego Junior nie zauważył.

- Wszystko skończone, Junior. Zapomnij - upomniała go.

- Ile kosztowało?

- Co?

- Okup za mnie.

- O czym ty myślisz?

- Przykro mi - powtórzył chłopiec.

- Na twoim miejscu nie przejmowałabym się tak bardzo.

Była spokojna. Wierzyła w starego Franka, w jego mit, w legendę, że jest niepokonany. Samochód poruszał się szybko i pewnie w intensywnym ruchu na Clove Road w kierunku Brooklynu.

- A jeśli przeze mnie straciliśmy wszystko? - zapytał.

Nancy uśmiechnęła się.

- W życiu wszystko przychodzi i wszystko przemija - powtórzyła słowa Franka. - Ale na koniec, wszystkie rachunki muszą się zgadzać. Jeśli nie, to jaki sens miałoby życie?

Junior spojrział na nią uspokojony. Zaczynał się rozluźniać. Napięcie, które ścisnęło mu żołądek, zaczęło mijać.

- Czy chcesz powiedzieć, że i oni zapłacą? - zapytał mając na myśli porywaczy.

Nancy wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Juniora z czułością.



- Zaufaj, Junior.

- Oczywiście. Dokąd jedziemy? - zapytał.

Dziewczyna odpowiedziała tonem przewodnika po mieście.

- Proszę państwa, jedziemy w kierunku Coney Island. Za chwilę przejdziemy most Verrazzano, jeden z najdłuższych wiszących mostów na świecie.

Była prawie wesoła i zaraziła swoim stanem ducha Juniora.

- Cieszę się, że wracam do domu - wyznał. - Były momenty, kiedy myślałem o najgorszym.

- Wszystko skończone - zapewniła.

Kiedy minęli most, Nancy wjechała w Ericson Drive i jechała dalej aż do Drier Offerman Park. Skręciła w małą uliczkę i zaparkowała przed barem.

- Co robimy?

- Zadzwonimy do dziadka - odpowiedziała wysiadając z samochodu i dając mu znak, żeby zrobił to samo.

Wtedy właśnie zobaczyła buicka José Vicente, który zatrzymał się tuż za nimi. Za kierownicą siedział Sean. Olbrzym wysiadł i uściskał Juniora.

- Nie wiedziałam, że miałam eskortę - zdziwiła się.

- Im mniej się wie, tym lepiej - zażartował José Vicente.

- Nie traciliśmy cię z oczu - powiedział Sean. - I nie tylko my.

Nancy rozpoznała Carmine Russo w drugim samochodzie, który zaparkował za nimi.

- Ruszyło całe wojsko - zażartowała.

- Ale ty miałaś osobistą ochronę - stwierdził José odciągając ją na stronę. - Co tam robił Antonio Corallo w dodge'u?

Nancy spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie wiem, o czym mówisz - skłamała.

- A jednak w dodge'u był Antonio Corallo.

- Przypadek. Teraz muszę zadzwonić do Franka - ponagliła go.

- Nie ma potrzeby.

- Jeszcze jedna niespodzianka?

- Jeśli chcesz tak to nazwać.

- Jedziemy prosto do domu?

- Jedziemy prosto na lotnisko.

- Dlaczego? - zareagowała zdezorientowana.

- Ponieważ tam czeka na was Frank.

- A okup, który miał zostać zapłacony, jak tylko Junior przekroczy bramę w Greenwich?

- Joe La Manna dostał to, czego żądał. Frank Latella dotrzymuje słowa. Zawsze.

Nancy przygryzła dolną wargę. Przyszło jej do głowy, że Frank wymyślił jakąś diabelską sztuczkę, aby nie płacić okupu.

- Dlaczego na lotnisko? - zapytała domyślając się powodu tego niecodziennego wezwania, mając jednak nadzieję, że Sean i José rozwieją jej obawy.

- Rodzina Latella wraca do Włoch - stwierdził Sean, kładąc jej na ramionach swe silne ręce, jakby ją chciał ochronić. - A ty należysz do rodziny. Ja zostaję - dodał pośpiesznie..

Decyzja była nieodwołalna, musiała ją zaakceptować.

- Bez ciebie? - powiedziała, a cały jej świat w tej sekundzie zawalił się.

- Beze mnie, skarbie. I to natychmiast - podsumował Sean zapraszając ją do buicka.

Frank Latella usiadł wygodnie w fotelu, przymknął oczy, wciągnął rześkie, wieczorne powietrze, przesiąknięte zapachem mokrej ziemi i delikatną wonią róż opadłych po krótkiej i zbyt gwałtownej burzy; w jednej chwili pod wpływem tego mrowiącego uczucia życia powrócił w czasy dzieciństwa. Ujrzał siebie obok matki, wdychał to samo powietrze, pełne kolorowych nadziei i marzeń. Jakżeż to wszystko było proste w wyobraźni! I mniej bolesne.

- Zasnąłeś, prawda? - zapytał go jakiś głos.

Podskoczył na dźwięk tego głosu, który przypominał mu głos matki. Z tyłu, za nim stała Sandra, która pochyliła się i pogłaskała go po dłoni. Otworzył oczy. Kolorowe ozdoby z papieru, dekoracja przyjęcia wydanego przez don Antonina Persico z okazji jego powrotu, smutno zwisały z mokrych jeszcze od deszczu gałązek glicynii.

- Czekałem na ciebie - odpowiedział biorąc w swe ręce przezroczystą dłoń żony, podnosząc ją do ust i muskając pocałunkiem.

Kobieta usiadła obok niego i spojrzała z uśmiechem, pełnym wdzięczności i miłości.

- Jak się czujesz? - zaniepokoiła się. - Tak mało zjadłeś.

Mówiła z oddaniem, z czułością, bawiąc się sznurem cennych pereł sięgającym aż do miejsca, w którym suknia z jedwabiu w czarne roślinne wzory układała się w gęste, plisowane fałdy. Wiek, przyzwyczajenia i wysoki poziom cholesterolu kazały Frankowi unikać obfitych i ostrych sycylijskich potraw. Podejrzewał także, że ma anginę pectoris, ale to zachował dla siebie.

- Tylko młodzi mogą stawić czoła tym bachanaliom jadła - zauważył uśmiechając się smutno. - Ale bardzo mi się podobało - dodał, zadowolony w głębi serca, że przyjęcie wreszcie się skończyło.

Don Antonino Persico przygotował wszystko w wielkim stylu z okazji tego niespodziewanego powrotu do Castellammare wielkiego Franka razem z rodziną.

Sprowadził z Trapani kucharza wraz z pomocnikami, paru kelnerów oraz zaprosił wielu wpływowych przyjaciół.

Na tej wyspie wciąż żyły stare zwyczaje, o których on zapomniał. Najbardziej rozpowszechnionym i uświęconym był zwyczaj świętowania powrotu przyjaciół. Nie brano pod uwagę zmęczenia podróżą, problemów, trosk, potrzeby samotności. Naprawdę poczuł się lepiej teraz, kiedy przyjęcie definitywnie dobiegło końca, opatrnościowo przerwane przez burzę, która orzeźwiła powietrze. Teraz, na tarasie oddanej do ich dyspozycji sypialni mógł wreszcie odpocząć i pomyśleć.

- Daleś do zrozumienia, że wróciłeś z zamiarem pozostania - powiedziała. - To prawda? - zazwyczaj przyjmowała bez dyskusji jego postanowienia, ale tym razem pytanie samo się nasunęło, ponieważ decyzja była zbyt poważna i mogła zmienić całe jej życie.

- Musiałem przecież coś powiedzieć - zaproponował bez przekonania.

- Mogłeś powiedzieć coś innego - była smutna, rozgoryczona.

Frank wypił łyk wody z kryształowego kieliszka.

- Nie było to oświadczenie zbyt stanowcze - próbował ją uspokoić. - Taka sobie gadanina. Bez konkretnych zobowiązań.

Sandra westchnęła z ulgą.

- Widzisz, Frank, nigdy nie przysparzałam ci kłopotów, a nie chciałabym zacząć teraz. Wiem, że przeżywamy trudne chwile. Może jest to najtrudniejszy okres w naszym życiu. Ale myśl, że resztę swojego życia mam spędzić na wygnaniu, na tej wyspie, przeraża mnie, Frank. - Kontynuowała z oczami błyszczącymi ze wzruszenia. - Czuję się tu nieswojo.

Mężczyzna pocieszył ją głaszcząc po twarzy.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Uśmiechnęła się przez łzy, które zaczęły jej płynąć po policzkach.

- Naprawdę? - zapytała.

- Czy nie dotrzymałem kiedyś jakiejś obietnicy?

- Nigdy tak nie było.

- Nie będę zaczynał w moim szacownym wieku.

Sandra otarła łzy.

- Bo jedno to opłakiwać tę ziemię mieszkając w Nowym Jorku, a drugie to żyć na niej tu, z perspektywą pozostania na zawsze. Ja urodziłam się w Ameryce. Moim domem jest Greenwich. Niezbyt dobrze rozumiem ten język. A jeszcze gorzej nim mówię. Moje

miejsce jest tam, za oceanem - po raz pierwszy od ich poznania Sandra polemizowała z decyzją męża.

- Doskonale wiem, gdzie jest twoje miejsce - odrzekł stanowczo.

Uścisnęła mu dłoń.

- Przepraszam, Frank - wyszeptała. - Rozkleiłam się trochę.

- Musieliśmy wrócić na Sycylię. To była jedyna możliwa decyzja po porwaniu chłopca i przelaniu praw do udziałów.

Junior był w ogrodzie, pod ich tarasem i rozmawiał z ożywieniem z Salem i Nancy.

- Jeśli ty mi powiesz, że pewnego dnia wrócimy do domu, to nic więcej nie chcę wiedzieć.

- Obiecuję ci to - zobowiązał się.

Usłyszeli Nancy śmiejącą się z dowcipu Juniora.

- Ta dwójka to błogosławieństwo dla naszego wnuka - skomentowała kobieta. - Ostatnie wydarzenia były dla niego wielkim przeżyciem. Doris i nasz syn zadreńczają go swoją neurotyczną nadopiekuńczością. To rodzeństwo pomaga mu zapomnieć.

- Jest młody. Zapomni. A dzięki temu doświadczeniu zrozumie, że wrogowie mogą być bezlitośni.

Z ogrodu dobiegł ich głos Sala.

- Jutro przedstawimy ci wszystkich naszych przyjaciół - powiedział do Juniora.

- Ale fajnie! - ucieszył się chłopiec.

- Masz okazję poznać język.

- Moim językiem jest amerykański - zaprotestował.

- Nie zapominaj, że nazywasz się Latella - upomniała go Nancy.

- Ale nie jestem małym, brudnym *wop* - zażartował.

Zdarzyło się to po raz pierwszy od momentu, kiedy Nancy przejęła go z rąk porywaczy.

Dzieci oddaliły się i coraz słabiej było słyhać ich głosy. Wiatr rozproszył chmury i teraz ucichł, a na niebie rozbłysły gwiazdy. Dwoje starych ludzi słyszało już tylko echo młodzieńczych wybuchów śmiechu. Wewnątrz willi rozległ się natarczywie dźwięk telefonu. Potem don Antonino wyjrzał do ogrodu i zawołał Latellę.

- Do ciebie, Frank. Z Nowego Jorku - zawiadomił.

Joe La Manna, nadęty i pyszny jak pingwin w okresie godów, przejrzał się z zadowoleniem w lustrze. Jedwabny, szyty na miarę smoking nadawał pewnej elegancji jego sylwetce, ciężkiej od systematycznego obżarstwa i nadużywania wszelakich trunków. Przez szparki w opuchniętych powiekach jego oczy rzucały błyski zadowolenia. Nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze. Mimo zwałów tłuszczu i wystającego brzucha był w formie. Nie przeszkadzał mu wysoki poziom cholesterolu i cukru we krwi, co wykazały ostatnie badania.

Teść umierając pozostawił mu królestwo, które on zmienił w imperium. Córki Alberta Chinnici, siostry nieszczęsnej Cissy i ich mężowie, a nawet siostrzeńcy, ponownie mu zaufali. Dywidendy były więcej niż zadowalające.

Joe przybliżył twarz do lustra próbując wygładzić podwójny podbródek wylewający się na kołnierzyk koszuli, i przez to przeszkadzający w perfekcyjnym ułożeniu muchy. Westchnął z rezygnacją i udał się do łazienki.

Od pewnego czasu miał problem z pęcherzem, który zmuszał go do częstego oddawania moczu. Prędzej czy później będzie musiał zdecydować się na wizytę u urologa. Ale w tym dniu nie chciał myśleć o niczym innym, jak tylko o ukoronowaniu całego swego życia.

Przez otwarte okno wychodzące na park dochodził do niego szmer rozpoczynającego się właśnie przyjęcia.

Potknął się o coś i gdyby nie oparł się o umywalkę, z pewnością upadłby. Przyjrzał się uważniej podłodze i odkrył leżący na niej przewód, czarny, mocny, wyglądający na przewód elektryczny.

- Chryste! Co to jest? - zaklął. - Charly! - krzyknął, przywołując swojego zaufanego człowieka i badając jednocześnie przewód elektryczny przechodzący przez otwarte okno i zakończony czarnym, błyszczącym pudełkiem stojącym na zielonych kafelkach z Faenzy,

obok sedesu. Od tego pudełka rozchodziły się druty, które biegnąc po ścianie łazienki dochodziły do sypialni.

Charly Imperante wszedł do łazienki w chwili, gdy Joe opróżniał pęcherz puszczając wiązaną przekleństwo.

- Wołałeś mnie, Joe? - zapytał z typowym dla siebie spokojem.

Taki był stary Charly. Nic nie mogło go wytrącić z równowagi. Spojrzał na La Mannę załatwiającego swoją potrzebę, jakby patrzył na muchę spacerującą po szybie.

- Co to jest, do cholery? - powtórzył gniewnie, wskazując na przewód. - Mało brakowało, a bym się zabił! - ryknął.

Był przesądny, potknięcie zapowiadało nieszczęście. W rzeczywistości nic się nie stało, ale to „nic” zepsuło mu najpiękniejszy dzień w jego życiu. Charly schylił się, aby przyjrzeć się lepiej przewodowi.

- Co za idioci - powiedział spokojnie. - A przecież kazałem im zrobić porządek. Z drugiej strony - usprawiedliwił ich - musieli ją jakoś podłączyć.

- Co? - zapytał podejrzliwie Joe zapinając spodnie.

- Iluminację, którą kazałeś zainstalować w parku - wyjaśnił dając do zrozumienia, że sam sobie był winien, jeśli potknął się o sznur.

Z prawej strony umywalki, na półce z kwarcu, stały w równym szeregu liczne wody kolońskie najlepszych firm. La Manna nie patrząc wziął jedną z nich, zwilżył dłoń i przejechał nią po twarzy.

- Musiałeś je puszczać właśnie z mojej łazienki? - zaprotestował spokojnym tonem, starając się odzyskać równowagę. Za parę minut będzie musiał witać gości.

- Zwróć się do tego geniusza, twojego architekta - odrzekł Charly. - To on przyprowadził tutaj techników i elektryków, przygotowując ten burdel.

Joe La Mannie nigdy nie udało się pokonać Charliego Imperante. Ten człowieczek z wielkim nosem i wąskimi ustami, nieodgadnionym, obojętnym spojrzeniem zza grubych szkielek krótkowidza, budził w nim zawsze poczucie winy.

Tak samo postępował z jego teściem. Ale Albert Chinnici, tak jak zresztą i on, uważał go za niezwykle cenny element rodziny. Jego zmysł organizacyjny, odwaga, niewzruszony spokój, umiejętność godzenia różnych interesów, nawet najbardziej skomplikowanych, powodowały, że nie dopuszczali myśli o zrezygnowaniu z jego usług.

Joe wychylił się z okna łazienki. George Segal, architekt, stworzył prawdziwe dzieło. Park Willi w High Point przypominał olśniewające bogactwem renesansowe obrazy. Zadowolony błędził wzrokiem po tych cudach stanowiących apoteozę jego kariery.

Na rozległy plac jego luksusowej rezydencji wciąż zajeżdżały eleganckie, imponujące limuzyny, z których wysiadały znane osobistości ze świata polityki, finansów, ekonomii, sztuki.

Albert na wózku i olśniewająca Brenda obok niego czynili honory domu. Był naczelny prokurator hrabstwa, dwóch wiceprokuratorów, trzech sędziów, dwóch deputowanych, szef policji i sześciu detektywów. Był Victor Partana z chmarą aktorów. Niektórzy z nich byli bardzo popularni. Był Władimir Wronosky, król Wall Street, był Joséph Mortens, jeden z właścicieli Las Vegas, było dwóch bankierów i prezes znanej linii lotniczej. Wszystkim towarzyszyły miłe panie. Wielu gości obnosiło cenną biżuterię, prezent od niego lub starego Chinnici z okazji jakiegoś innego przyjęcia. Hojność - pomyślał to główna cecha, znak rozpoznawczy rodziny Chinnici. Frank Latella nie wiedział nawet, co to znaczy. Dlatego źle skończył. Rozpierzchli się niczym stado wróbli, stary Frank i jego rodzina. Znaleźli schronienie na wyspie, z której wiele lat temu wyruszyli bez grosza przy duszy. Nawet jego ludzie go opuścili. Niektórzy przeszli na stronę Joego. Dla innych była to spalona ziemia. Żałował tylko, że do tej pory nie udało mu się osiągnąć Seana McLeary. Nigdy nie zapomniał masakry sprzed *Vicky's* ani poniżającego doprowadzenia do lokalu w Harlemie, w którym produkowała się Cissy. Ten przeklęty Irlandczyk miał siedem wcieleń, niczym kot, i wydawało się, że rozpląnął się we mgle.

Poza rozległym trawnikiem i szerokimi, ukwieconymi grządkami, z lewej strony parku, Segal stworzył jezioro. Robotnicy pracowali dzień i noc, aby zrealizować projekt w rekordowym czasie. Efekt był nadzwyczajny. Z Wenecji ściągnięto dziesięciu gondolierów, a z Neapolu całą orkiestrę. Kolacja, przygotowana przez restaurację *Vesuvio*, została wyładowana z ciężarówki parę godzin wcześniej i teraz oddział kelnerów dokonywał ostatnich poprawek w specjalnie przygotowanym w tym celu pawilonie z tyłu willi. Kolacja miała być podana gościom na olbrzymich gondolach przy dźwiękach najpiękniejszych włoskich piosenek. Joe La Manna zauważył liczną, choć dyskretną obecność swoich ludzi. Wszystko było pod kontrolą.

Kiedy uznał to za właściwe, wyszedł do gości. Albert go uściskał. Brenda, kiedy ją objął, obdarzyła go uśmiechem przepelnionym wdzięcznością. Joe poza tym, że był jej zobowiązany, podziwiał urodę i słodycz tej kobiety, która uczyniła znośną samotność Alberta. Niezwykłe było nie to, że jego syn ją kochał, ale to, że ona go kochała czule.

- Jesteś wspaniałą panią domu - pochwalił. - Naprawdę niezrównaną.

- Jestem niesłychanie szczęśliwa, tato - wyszeptała uściskawszy go. Miała na sobie wspaniałą suknię od Diora, z oszalamiającym dekoltem, który podkreślał uroczo jej



idealne kształty. Życie w kategorii żon było naprawdę upajające. Cokolwiek by nie uczyniła, oceniane było jako czarujące!

Albert podjechał do nich cicho, za nim szedł kelner z tacą z szampanem.

- Chciałem wypić z tobą toast przed wyjazdem - powiedział chłopak.

Joe wziął kieliszek.

- Wyjazdem dokąd? - zapytał zdziwiony.

- Już zapomniałeś? - odrzekł Albert: - Brenda i ja lecimy do Europy. Do Lozanny.

Nie, nie zapomniał. Dla jego syna było to ważne spotkanie zbyt ważne. Odrzucił nerwowo tę myśl od siebie, oznaczała bowiem nowe, prawdopodobnie definitywnie rozczarowanie. W Lozannie znajdował się słynny chirurg, który po przeanalizowaniu karty choroby Alberta zgodził się, ze wszystkimi należnymi zastrzeżeniami, przyjmując chłopca do swojej kliniki, aby ocenić szansę na wyzdrowienie. Specjalista nie wykluczał operacji.

- Nie sądziłem, że mnie opuścisz w dniu mojego święta - zażartował. - Nie zrobiliby ci dużej różnicy, gdybyś wyjechał jutro - nalegał.

- Teraz już nas nie potrzebujesz - odrzekł chłopak. - Jesteś teraz najpotężniejszym biznesmenem na wschodnim wybrzeżu.

- Wasza współpraca miała decydujące znaczenie - podziękował unosząc kieliszek i spoglądając na Brendę - Dużo szczęścia, chłopcze.

Wokół nich rozbrzmiewały rozmowy.

- Dziękuję, tato - powiedziała wzruszona Brenda.

- Wspieraj go na duchu - wyszeptał jej do ucha, całując w policzek.

Joe przyglądał im się, gdy odchodzili, i poczuł litość dla swojego nieszczęsnego syna, który ciągle jeszcze miał nadzieję.

Przyjęcie trwało dalej; były rozmowy, muzyka, oklaski, a na koniec radosny, kolorowy pokaz ogni sztucznych. Służba porządkowa miała za zadanie trzymać z daleka dziennikarzy i fotografów czyhających na jakies niedyskrecje lub zdjęcie z uroczystości.

La Manna przyjmował gratulacje, uściski dłoni, uśmiechy. Świtało, kiedy ostatnia limuzyna opuściła park willi. Potem odjechali kelnerzy, gondolierzy, muzycy.

- Ty też odchodzisz? - zapytał Joe Charliego, który wrócił do High Point po wsadzeniu Alberta i Brendy do samolotu.

- Przyjęcie się skończyło - odpowiedział.

- Udane przyjęcie, prawda? - odrzekł Joe, który lubił komplementy.

- Wspaniale - zadowolił go Charly. - Doskonale - podwoił dawkę.

- O tym przyjęciu długo się będzie mówiło. Naprawdę wyśmienita zabawa - podkreślił ściskając dłoń Charliego.

- Joe, jesteś wielki - pożegnał go.

- W twoich ustach brzmi to jak komplement.

La Manna powłókł się zmęczonym krokiem do domu i wszedł na pierwsze piętro. Za dużo zjadł, za dużo wypił, za dużo mówił i za bardzo cieszył się uzyskanymi rezultatami. Głowa mu ciążyła, czuł niesmak w ustach, zawaładnęło nim uczucie zmęczenia. To nie był stan euforii, w którym powinien znajdować się zwycięzca. Parę godzin snu wystarczy, aby odzyskać zwykłą energię. Dokładnie o dwunastej musi być całkowicie trzeźwy. Była to godzina, o której według klauzuli kontraktu przygotowanego z prawnikami Franka, cały majątek Latelli przechodził w jego ręce. Zdobyta władza, nieograniczona i nie dająca się oszacować, nie wzbudzała w nim takiego entuzjazmu, jak sobie wyobrażał. Być może musi się do tego stopniowo przyzwyczaić.

Wszedł do pokoju i zaczął się rozbierać. Był sam w tym dużym domu. Po wrzawie zabawy park i rezydencja tonęły w ciemnościach i ciszy. Zagwizdał melodię starego walca, który przypominał mu trudne dzieciństwo i niespokojną młodość.

Omiął wzrokiem lustra, ponieważ nie chciał patrzeć na spustoszenia, jakich życie dokonało w jego wyglądzie. Nigdy nie był tak potężny i nigdy też nie czuł się tak bezbronny.

Całkiem nagi szedł do łazienki, podniósł pokrywę sedesu i z trudem, ale i nieopisaną ulgę, opróżnił pęcherz.

Potem zbliżył się do okna, aby po raz ostatni spojrzeć na park pogrążony w niepokojącej ciszy, która była odzwierciedleniem jego stanu ducha.

Oderwał się od okna, aby wrócić do sypialni. I wtedy po raz drugi potknął się o elektryczny przewód. Upadł, uderzając ramieniem o wystającą część bidetu. Poczul, że łamie kość, nie odczuł jednak żadnego bólu, jakby znajdował się pod narkozą. Może zresztą nie złamał żadnej kości. Spróbował się podnieść, ale mu się nie udało i uśmiechnął się myśląc, że potknięcie przynosi nieszczęście. Błysnęło się na niebie i w oddali przetoczył się grzmot. Lekka, świeża bryza przyniosła zapach morza. Przyszło mu na myśl, że w tej chwili jego syn Albert leci nad oceanem po swą ostatnią nadzieję. Potem spostrzegł niebieską iskrę wydobywającą się z czarnego pudełka, które łączyło odpowiedzialny za jego upadek przewód z gniazdkiem. Było to w ułamku sekundy, gdyż zaraz potem niebo i ziemia rozpadły się w strasznym wybuchu. Wspaniała rezydencja w High Point wyleciała w powietrze, zamieniając się w tysiące małych rozżarzonych

kawałków. Wybuch był słyszalny na wiele kilometrów. Joe La Manna i jego dom zniknęli.

Charly Imperante obserwował ze szczytu wzgórza oszalamiającą eksplozję i następujący później krótki, gwałtowny pożar. Zdjął okulary, przetarł je starannie chusteczką, ponownie założył, spojrział na olbrzymi płonący stos, zapalił silnik i odjechał w stronę Nowego Jorku. Wyprzedziło go hałaśliwie ferrari. Siedzący za kierownicą Sean McLeary pomachał mu ręką i gwałtownie przyśpieszając zniknął za pierwszym zakrętem.

Minęli winnice i wyszli na ścieżkę biegnącą przez kamienistą spaloną równinę w kierunku góry Inici. Błady świt obejmował niedostępny szczyt barwiąc go na różowo. Stopy grzęzły w odłamkach skalnych. Powietrze zachowało jeszcze świeżość minionej nocy. Upłynie jeszcze kilka godzin, zanim słoneczny żar rozpali na nowo górę, dolinę i ścieżkę.

Od czasu do czasu Nearco rzucał ojcu badawcze spojrzenie, ale jego twarz nie zdradzała żadnych myśli ani emocji. W tych dniach wiele razy telefonowano ze Stanów Zjednoczonych. Frank długo rozmawiał ze swoimi amerykańskimi rozmówcami, zamknięty w gabinecie don Antonina Persico, lecz treść rozmów pozostała nieznana.

Poprzedniego wieczoru powiedział do syna:

- Jutro idziemy na polowanie. Obudź mnie o czwartej.

Sal i Frank Junior chcieli się do nich przyłączyć, ale stary nie zgodził się. I teraz ojciec i syn w sztruksowych marynarkach, z dubeltówkami przewieszonymi przez ramię, posuwali się w ciszy w kierunku góry. Wschód słońca był bliski.

Z łopotem skrzydeł trzy dzikie gołębie poderwały się do lotu.

- Za parę dni my również odlecimy - ogłosił stary Latella patrząc na gołębie. - Wraca się do domu.

- To o tym chciałeś porozmawiać? - odetchnął z ulgą Nearco, który od porwania syna siedział jak na szpilkach.

- Właśnie o tym - odpowiedział kładąc dłoń na czole.

- To dobra wiadomość - ucieszył się.

- Jest tylko mały szczegół - ostudził jego radość. - Ty zostajesz na Sycylii. Z Doris.

Serce mężczyzny na ułamek sekundy przestało bić, aby później podjąć szalony rytm. Wiedział, że ojciec ukarze go, ale nie spodziewał się tak surowej kary.

- Na jak długo? - zapytał.

- Na zawsze.

- Więc to dożywocie.

- We własnej obronie. Każdy twój ruch przynosi szkody. Ostatni wyskok o mały włos nie kosztowałby mnie całego majątku. I życia twojego syna. Przykro mi, Nearco. Ale jestem zmuszony do wyłączenia cię ze spraw rodziny.

Był zimny, stanowczy, bezlitosny. Nearco zbyt dobrze wiedział, że decyzje ojca są nieodwołalne. Stary umiał być głuchy nawet na zew krwi. Szacunek i miłość stanowiły dla niego nierozdzielalną całość.

- Ale twój majątek - zareagował Nearco - dzięki sztuczkom twoich prawników i opatrnościowej śmierci Joe La Manny pozostał nietknięty.

- Dobrze powiedziałaś, chłopcze: opatrnościowej. Ale nie możesz mieć wciąż opatrności po twojej stronie.

Nearco poczuł, że go nienawidzi ze wszystkich swoich sił. Nienawidził tego zwycięskiego ojca nawet wtedy, gdy wydawało się, że cały świat zawalił mu się. Nienawidził go, ponieważ nie potrafił mu dorównać, ponieważ przy nim, czuł się nikim, ponieważ ojciec preferował obcych, takich jak José Vicente czy Sean. Nawet Nancy darzył większym szacunkiem niż jego. Niejeden raz zaskoczył go, gdy analizował z nią problemy, cierpliwie odpowiadał na pytania. Serdeczna więź, która z nim, jego synem, nigdy nie została zadzierzgnięta.

- Wydaje ci się możliwe - wycharczał - że zostanę tu i będę wegetować, nie mając nic do roboty?

- Don Antonino posunął się już w latach - próbował osłodzić pigułkę. - Nie ma dzieci. Zaproponowałem mu przejęcie jego interesów. To będzie twój biznes.

Stary szedł naprzód ścieżką pnącą się teraz zboczem góry. Jego energia i zwinność były zdumiewające. Nearco z trudem dotrzymywał mu kroku.

- Mogłeś przynajmniej porozumieć się ze mną przed złożeniem mu takiej propozycji! - krzyknął z tyłu. A ponieważ ojciec, niewzruszony, kontynuował wspinaczkę, krzyknął gniewnie. - Zatrzymaj się, na Boga, kiedy do ciebie mówię. Nie jesteś Wszechmogącym. A ja nie jestem twoim podnóżkiem.

Stary nie przerywał wspinaczki, jakby nie słyszał. Nearco poczuł do ojca dławiącą nienawiść. Przyłożył strzelbę do ramienia, wycelował w starego i rozkazał mu.

- Zatrzymaj się! Zabiję cię, tato!

Ten rozpaczliwy krzyk odbił się echem od zboczy góry i drgającymi falami popłynął po równinie Castellammare.

Frank zatrzymał się, odwrócił powoli i zastygł naprzeciwko syna celującego do niego z dubeltówki.

- No, na co czekasz? - prowokował go kpiąc. - Pokaż mi, że jesteś mężczyzną, chociaż raz w życiu. A może chcesz, żebym to ja nacisnął na spust? Powiedz.

Nearco opuścił broń i oczy zaszyły mu łzami.

- Jestem człowiekiem, tato. Dlatego nie strzelę. Nie jestem mężczyzną, którego pragnąłbyś. Zawsze narzucałeś mi rolę, która była mi obca. Próbowałem zdobyć twoje względy, udając kogoś innego. Czegokolwiek bym nie zrobił, zawsze jest źle. Nie chcę już udawać. Od tej pory nie będę udawał. Wracaj sobie do Ameryki i walcz dalej o władzę. To twoja gra. Gra, w której ludzie tracą życie. Mnie to już nie bawi. Ale powiem ci coś - kontynuował z niebywałą godnością. - Mój syn nie pojedzie z tobą. Weź sobie rodzeństwo Pertinace. Oni są do ciebie podobni. Junior jest inny. Chcę, żeby był szczęśliwy. Dlatego musi być ze swoim ojcem i swoją matką.

Odwrócił się i zaczął zbiegać w stronę równiny. Stary patrzył, jak się oddalał, aż stał się czarnym punkcikiem. Wtedy uśmiechnął się.

- Po raz pierwszy podobasz mi się, mój synu - krzyknął w czyste powietrze wczesnego poranka. - Ale jeśli chodzi o Juniora, to jeszcze zobaczymy.

Ułożył wygodnie na prawym ramieniu dubeltówkę i wrócił po swoich śladach.

Zachód słońca napełnił pokój ciepłym i jasnym światłem, pieszcząc spokojną, nieruchomą postać śpiącej Nancy, uosobienie wdzięku pierwszej młodości.

Niebieskie prześcieradło modelowało ukryte kształty: okrągłą pierś, wygiętą linię bioder, harmonię długich, szczupłych nóg. Sean przyglądał się temu śpiącemu u jego boku stworzeniu i zalała go fala ogromnej czułości, pragnął ją kochać i strzec.

Usta Nancy, na wpół nadąsane, na wpół ironiczne, zapowiadały uśmiech. Delikatne, przezroczyste powieki były niedomknięte, a niewidoczna szczelina była przysłonięta jedwabną firanką rzęs. Sean pragnął dotykać jej, pieścić, żyć w niej. Jego egzystencja to następujące po sobie próby i sprawdziany, nieprzerwany łańcuch niedotrzymanych obietnic. Nancy zaś była jedyną pewną rzeczą w świecie, gdzie wszystko było tymczasowe. Ale z przeszłości dobiegł do niego ostrzegawczy sygnał. Jakby niespodziewanie znalazł się blisko momentu wyrównywania rachunków za popełnione błędy. Poczul do siebie obrzydzenie, jakby wisiał nad nim wyrok skazujący go na złośliwą samotność.

Nancy obudziła się z radosnym uśmiechem i objęła go.

- Na czym skończyliśmy? - zażartował Sean przytulając ją do siebie.

- Na tym, jak wysłałeś mnie do Włoch niczym paczkę - wyszeptala pieszcząc wargami jego ucho.

Nancy powróciła do Nowego Jorku z rodziną Latella kilka dni temu.

- Są rzeczy, których nie można uniknąć - usprawiedliwił się bawiąc się jej lokami. - Ale teraz znów jesteśmy razem. I to się liczy - dodał odrzucając ponure myśli.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - stwierdziła ironicznie.

- Jesteśmy gotowi, aby stawić czoła życiu pełnemu niespodzianek - odparował.

- Niespodzianek miłych czy niemiłych? - zapytała podciągając się na łóżku i przeciągając miękko jak kotka.

- Niespodzianki nigdy się nie zapowiadają! Gdyby tak nie było, to co to by były za niespodzianki? - w porę zmienił temat. Gdyby dał ujście swoim myślom, rozmowa zesłaby na niebezpieczne tory.

Nancy wyciągnęła rękę i wzięła leżącą przed łóżkiem jedwabną bluzeczkę ecru, założyła ją na siebie, zapinając w nagłym przypływie wstydu.

- Za kilka dni wracam do Yale - zakomunikowała. - Mam dwa miesiące opóźnienia w stosunku do programu. Muszę nadrobić stracony czas.

Myśl o ponownym podjęciu studiów napełniała ją dumą.

- A ja? - zaprotestował szukając jej dłoni.

- Nie chcę być już tak długo bez ciebie. Pragnę cię, Sean. Chcę cię dotykać - wyszeptala przechodząc od słów do czynów. - Chcę cię kochać. Oddychać tobą. Słyszeć twój głos. Chcę zasypiać i budzić się w twoich ramionach.

- Czy przypadkiem nie próbujesz mnie uwieść - zaśmiał się.

- Jak to zauważyłeś? - odpowiedziała rozbawiona.

- Dzięki pewnym przesłankom.

- Nie żartuj, Sean - upomniała go, nagle poważniejąc. - Na myśl że mam cię opuścić, czuję się jakbym umierała.

- No to nie wracaj na uczelnię i zostań ze mną.

- Nie mogę. Uniwersytet to moja przyszłość. To realizacja pewnych planów.

- A ja? Czym ja jestem?

- Moją miłością.

Odnaleźli się, objęli, kochali. Ich miłość była niczym biały żagiel wzdęty pożądaniem. Było już ciemno kiedy opadli szczęśliwi na miękkie poduszki wielkiego łóża.

- Muszę cię odwieźć do Greenwich - powiedział.

- Chcę spędzić z tobą noc - odrzekła naburmuszona. - Frank wie o nas wszystko - wyznała Nancy. - Wie, gdzie jesteśmy i co robimy.

- Może to ty mu o nas powiedziałaś.

- Nie. Nigdy. Sądzę jednak, że dla niego nasze życie nie ma żadnych tajemnic. Frank w gruncie rzeczy jest o wiele bardziej tolerancyjny, niż się to wydaje.

- Lepiej nie ryzykować.

- W jakim sensie?

- Lepiej opowiedzieć mu dokładnie, jak się mają sprawy.

- Moglibyśmy się pobrać i znaleźć dom w Yale - marzyła. - Ja bym dalej studiowała, a ty przyjeżdżałbyś, kiedy byś tylko chciał. Dobry pomysł?



- Oczywiście - potwierdził. - Teraz jednak jedziemy do domu.

Pozostawili za sobą Nowy Jork z tysiącami świateł, ferrari mknęło w kierunku Greenwich.

- Mam wrażenie, że czasami traktujesz mnie jak dziecko - pożałowała się Nancy.

- Co ci przychodzi do głowy - zaprzeczył bez przekonania.

Niespodziewanie rozdzieliła ich fala smutku i rozgoryczenia. Przeklęte wspomnienie zatruwało myśli Seana. Przed wyjazdem na Sycylię wszystko było takie jasne, precyzyjne, zrozumiałe. Szczęście wydawało się w zasięgu ręki, konkretne i oszłamiające.

- A gdybyśmy wszystko zostawili? - zaproponował mężczyzna.

- Wszystko, co? - zdziwiła się.

- To miasto. Mój dom. Moje sprawy.

Nancy pomyślała o mieszkanku na Manhattanie z widokiem na Central Park i ścisnęło jej się serce.

- Żeby pojechać dokąd? - zaniepokoiła się.

- Chciałbym zawieźć cię do Irlandii.

Nancy wiedziała o tym kraju tyle, ile widziała na filmie Johna Forda.

- Żartujesz? - zapytała nieufnie.

- Irlandia jest moją ojczyzną - podjął. - Gdy byłem dzieckiem, ojciec opowiadał mi o wspaniałym domu na zielonym wzgórzu. Irlandia to przepiękne miejsce na zamieszkanie z osobą, którą się kocha.

- Ziemie naszych przodków są piękne, ponieważ są daleko - rozumowała myśląc o Sycylii. - Wtedy wspomnienie zabarwia się tęsknotą, wzruszeniem. Ale kiedy musisz opuścić swoją prawdziwą ojczyznę, tę w której wyrosłeś, to wtedy, dokądkolwiek pójdziesz, czujesz się jak w ponurym więzieniu. Wszyscy potrzebują kraju, za którym mogliby tęsknić. To takie zapasowe koło. Marzenie. Iluzja. Czar, który pryska w zetknięciu z rzeczywistością.

- Dobrze - zmiękł. - Nigdzie nie pojedziemy.

Nancy odetchnęła głęboko z ulgą. Cóż to za pomysł, opuszczać ten wielki kraj, z którym związane były jej najprawdziwsze wspomnienia. Świat, z którym identyfikowała się na dobre i na złe; miejsce, gdzie może rozwinie się jej kariera. Tutaj obiecała ojcu, że zostanie wspaniałą kobietą. A Nancy dotrzymywała obietnic. Duży dom na zielonym wzgórzu Irlandii to był punkt docelowy. Ale ona, Nancy Pertinace, miała dopiero wyruszyć.

Kiedy Nancy weszła do czytelni biblioteki, Taylor siedział zasłonięty stosem książek, pochłonięty ich lekturą. Siedział w pobliżu oszklonych drzwi wychodzących na zielony zakątek. Słońce padało na jasną głowę chłopaka pochylonego nad książkami, rzucając złote refleksy na koszulę z białego lnu. Podwinięte rękawy ukazywały silne i opalone ręce, pokryte złotym meszkiem. Przez chwilę obserwowała go, przyciskając do piersi książki, później podeszła zdecydowanie do niego.

- Cześć - pozdrowiła go cicho, nie chcąc zakłócać panującej tu ciszy.

Taylor podniósł głowę otwierając szeroko niebieskie oczy, w których najpierw wyczytała zdumienie, później radość.

- Powinnaś się zaanonsować - wyszeptał.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Jesteś nazbyt piękna. Brakuje mi tchu - podniósł rękę do gardła, udając że się dusi.

Podniosło się kilka głów, zaintrygowanych ożywionym szeptaniem. Nauczyciel uciszył ich.

- Czuję się urażony - udawał, że się obraził, przyjmując poważny wyraz twarzy i zbierając szybko książki. - Kto nas nie chce, ten nas nie wart.

Wziął ją za rękę i wyprowadził z czytelni.

- Dokąd chcesz iść? - zapytała Nancy, rozbawiona porywczością chłopaka.

- Tam, gdzie można spokojnie posiedzieć i porozmawiać jak starzy przyjaciele - odpowiedział. - Trafna definicja czy mam ją rozszerzyć?

- Sądzę, że jest to poprawna definicja. Przynajmniej na razie - kokietowała go.

Zwrócili książki i wyszli na dwór. Parę minut później ciepłe lipcowe powietrze rozwiewało im włosy w odkrytym MG, które wiozło ich w kierunku oceanu.

- Postanowiłeś wygrać Grand Prix? - zapytała.

- Na tym odcinku sam Manuel Fangio miałby ze mną problem - pochwalił się.

Zwolnił w pobliżu starego portu. Minęli go i dojechali do dzielnicy willowej. Domy blisko plaży były przepiękne.

- Wydaje mi się, że to jest to spokojne miejsce - powiedział Taylor zatrzymując samochód w alejce wysypanej granitem i okolonej krzewami górskiego wawrzynu, która prowadziła do drzwi nowoczesnej willi tonącej w krzewach azalii i białego derenia.

- Chyba zbyt spokojne - zauważyła Nancy. - Czy to dom siedmiu krasnoludków? - zapytała, podczas gdy Taylor skierował się do drewnianych, pomalowanych na zielono drzwi. Nie bała się, ale nie chciała, żeby chłopak robił sobie jakieś nadzieje.

- Po prostu mój dom - powiedział, ceremonialnym gestem zapraszając ją do przekroczenia progu. - Mówią, że zaprojektował go Le Corbusier.

- Wchodzimy do historii sztuki - uśmiechnęła się. - Jesteś pewien, że to twój dom? - powątpiewała.

- Rodzice mi go podarowali, kiedy uzyskałem dyplom z ekonomii.

- Zobowiązujący prezent.

- Nareszcie ten dom ma sens.

- Wy tłumacz mi to.

- Może gościć w swych progach najbardziej fascynującą i najbardziej nieuchwytną dziewczynę jaką znam.

- Pochlebia mi to bardzo - dygnęła wdzięcznie.

Nancy weszła do holu, którego jedna ściana była kryształowym oknem ukazującym zachwycającą panoramę: kwitnące krzewy, tryskającą fontannę i wszędzie, dokąd wzrok sięga, ocean. Odwróciła się gwałtownie, a spódnica w biało - niebieską kratkę zawirowała ukazując piękne, opalone nogi. Torebka, którą miała przewieszoną przez ramię, zsunęła się na ziemię i otworzyła. Taylor pochylił się, aby ją podnieść i wtedy zobaczył ciemny, ciężki przedmiot, który z niej wypadł: mały rewolwer z rękojeścią z masy perłowej.

- Co to jest? - zapytał Taylor, jeszcze na kolanach ważąc broń w dłoni.

- Nie poznajesz rewolweru? - zażartowała Nancy.

Podeszła do niego, wzięła broń i włożyła do torebki. Włożył ją jej do ręki Sean po powrocie z Sycylii.

- Na wszelki wypadek - powiedział.

Wówczas kontakt z bronią przeraził ją, przypomniał w ciągu ułamka sekundy wstrząsającą scenę, której nie chciała wspominać.

- Sądzę, że nigdy nie będę umiała się nią posłużyć - powiedziała mu, wsuwając do torebki ten ostateczny środek obrony.

- Jestem bardzo ciekaw, dlaczego osiemnastoletnia dziewczyna, studentka Uniwersytetu w Yale, chodzi uzbrojona? - powiedział Taylor nagle rozgniewany.

- Czy chcesz usłyszeć odpowiedź ogólnikową? Czy ma to być historia mojego życia, czy też pogłębiony portret psychologiczny? - próbowała obrócić pytanie w żart.

- Uwielbiam osoby, które odpowiadają pytaniem - skrytykował ją. - Znikasz z Uniwersytetu na całe miesiące. Znika również twoja rodzina. Nagle pojawiaasz się z rewolwerem. Lubię tajemnice, ale ty przesadzasz.

- Zostałam porwana - zmyślała nie wysilając się zbyt. - Chcesz, żebym opowiedziała ci ze szczegółami? Chcesz znać wysokość okupu? I sposób uwolnienia?

- Nieważne - uciął krótko Taylor. Otworzył drzwi na jasno oświetlony korytarz, który prowadził do krytego basenu. Światło z zewnątrz przenikało przez przesuwany sufit i ściany z grubego kryształu.

- Pewnego dnia opowiem ci o mnie wszystko: moje życie, moje miłości, moje podłości - przyrzekła.

Chłopak otworzył szafę w ścianie, w której leżały ułożone w idealnym porządku szlafroki, ręczniki i kostiumy.

- Coraz bardziej się przekonuję, że jesteś dziewczyną o niebezpiecznych przyzwyczajeniach.

- Niebezpieczeństwo to mój zawód.

- Oczywiście - przyznał. Zmienił ton, wyraz twarzy i uśmiechnął się wyrozumiale. - Chcesz się wykąpać razem ze mną? - zapytał podając jej kostium.

Nancy poczuła się wytrącona z równowagi tą nagłą zmianą nastroju. Surowy moralista zmienił się w uważnego i czułego uwodziciela, uprzejmego pana domu. Taylor zniknął za jakimiś drzwiami, aby pojawić się już w kostiumie. Był proporcjonalnie zbudowany, silny, szczupły, dobrze umięśniony. Skoczył w doskonałym stylu i popłynął czałkiem, mocno uderzając rękami, później ociekając wodą usiadł na brzegu basenu. Nancy stała nieruchomo, z kostiumem w ręku, przyglądając mu się i nie wiedząc, co robić. Było w tym chłopaku coś zaskakującego, nieuchwytnego.

- Niewiele jest tu do rozumienia - zdumiał ją podejmując przerwana rozmowę.

- Strzelasz w ciemno? - odrzekła, udając obojętność.

- Nie, czytam w myślach.

- Jednak byłbyś gotowy zapłacić grosik za moje myśli.

- W każdej chwili - skapitulował. - Jesteś najpiękniejszą tajemnicą w moim życiu. Mam wiele wątpliwości i tylko jedną pewność.

- Jaką? - zaciekawiała się.

- Że pewnego dnia zostaniesz moją żoną. I tego dnia będę chciał dowiedzieć się wszystkiego o tobie.

Nancy chciała mu odpowiedzieć, ale on kontynuował:

- Odraczamy przesłuchanie świadków na termin późniejszy, po pocrzepiającym przepłynięciu basenu. Dlaczego nie przebierzesz się i nie dasz nurka ze mną do wody?

Pływali obok siebie do chwili, gdy wyczerpani poszukali jednocześnie oparcia na brzegu basenu.

Ciemnoskóra pokojówka, która wyłoniła się nagle znikąd, zbliżyła się podając im białe szlafroki z aksamitnego frotte.

- Czy można podać obiad za pół godziny, proszę pana? - zapytała rozkosznym nowojorskim akcentem. Naprawdę ładna dziewczyna. Te dwa szczegóły nie umknęły uwadze Nancy.

Stół nakryto na osłoniętym od wiatru tarasie. Delikatna pergola z dzikich białych róż chroniła ich przed słońcem. Służąca, cicha i dyskretna, podała im kurczaka w sosie grzybowym z jarzynami gotowanymi na parze i wspaniałe chianti z Badia Coltibuono.

- Co to za pomysł z tym małżeństwem? Żartowałeś? - zapytała.

- Nigdy bym nie żartował z tak poważnej sprawy - odpowiedział.

- Muszę cię więc poinformować, że jestem zakochana w innym - wyznała.

- Doceniam twoją lojalność - powiedział kosztując wina i przyglądając się pod światło kieliszкови z cienkiego kryształu. - Fakt, że kochasz innego, nie ma żadnego znaczenia - zignorował. - Widziałem was razem, stanowicie ładną parę. Ale on jest tylko chwilą. Ja ci mówię o naszym życiu.

- Taylor, ja z tym mężczyzną się kochałam.

- Wiem.

- Wiesz?

- I jest mi przykro. Ponieważ pewnego dnia niechybnie dokonasz porównań i zrozumiesz, co utraciłaś.

- Kocham go i chcę za niego wyjść, Taylor - powtórzyła, aby pozbawić go złudzeń.

- Poczekam, aż się rozwiedziesz. Ponieważ na pewno się rozwiedziesz, jeśli za niego wyjdiesz.

Nancy była zirytowana zachowaniem Taylora.

- Skąd ta pewność? - zapytała.

- Z siły twojego charakteru. I mojej miłości do ciebie.

- Porozmawiajmy o czymś innym - sposepniała.

- Gdzie byłaś przez te kilka miesięcy? - zadowolili ją.

- Na Sycylii.

- Sama?

- Z rodziną Latella - w gruncie rzeczy nie było to dla nikogo tajemnicą i mogła o tym rozmawiać z kim chciała.

- Wyglądało to raczej na ucieczkę niż na podróż. Zniknęliście z dnia na dzień. Wy, mafiosi, dziwnie się zachowujecie - odrzekł twardo.

Nancy spojrzała mu prosto w oczy, próbując wdrzeć mu się do duszy. Przez chwilę myślała, że żartuje, potem zdała sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie był tak poważny.

- Nie spodziewałam się po osobie tak inteligentnej, jak ty, oklepanych frazesów. Mafia, bardziej niż ogólnikowym oskarżeniem, jest oszczerczym wymysłem, który ma zdyskredytować pewną grupę osób robiących karierę w tym kraju. Mafia to etykieta.

- Mafia to rzeczywistość. I byłoby dobrze, gdybyś nauczyła się ją rozpoznawać i nazywać po imieniu. - wyjaśnił próbując ją przekonać.

- Ja mam swoje zdanie, Taylor - stwierdziła stanowczo.

- Zdanie to jedno, a rzeczywistość to drugie. Możesz myśleć co chcesz, ale najpierw musisz sobie uświadomić, że żyjesz w rodzinie bossa mafii. Setki artykułów w prasie wskazują na niego jako głównego sprawcę wszystkich kryminalnych działań. Jego nazwisko powtarza się we wszystkich procesach Cosa Nostra. O Franku Latelli można by napisać powieść.

- Ale nie było żadnego wyroku skazującego.

- To tylko oznacza, że jest bardzo sprytny.

- Ty też jesteś bardzo sprytny, Taylorze Carr. A może tylko na takiego wyglądasz - rzuciła mu wyzwanie. - Gdyby nie Frank Latella, nie byłoby mnie tutaj, w tym wspaniałym domu, na obiedzie z tobą. Nie studiowałabym w Yale. Nie miałabym konta w banku. Ani mansardy w Greenwich. Gdyby nie Frank Latella, nie zaszczyliłbyś mnie spojrzeniem - powiedziała podnosząc się nagle i rzucając serwetkę na stół.

Taylor przypieczętował oburzenie Nancy dyskretnymi brawami i ujmującym uśmiechem.

- Jesteś inteligentna, naturalna, lojalna, fascynująca i masz wszelkie dane, żeby być kimś. Teraz rozumiesz, dlaczego cię kocham i chcę poślubić?

- Nie bawisz mnie już, Taylorze Carr. Bardzo cię proszę, odwieź mnie na campus - oczy błyszczały jej ze złości.

- Możemy dokończyć obiad?

- Nie zamierzam poddawać się twoim policyjnym przesłuchaniom. Są pewne sprawy w moim życiu, o których nic nie wiesz. I tak jest lepiej, wierz mi. Należymy do dwóch różnych światów. Ty jesteś bogatym arystokratą ze znakomitymi angielskimi przodkami, ja pochodzę z rodu ciemnych i biednych chłopów. Moja babka jest analfabatką. Powiedziałeś jedną słuszną rzecz: ja będę kimś. Ponieważ chcę tego. Ponieważ jestem to winna moim bliskim. Ponieważ jestem to winna przede wszystkim mojemu ojcu. I powiedziałeś jedną rzecz nieprawdziwą. Nigdy za ciebie nie wyjdę, Taylorze Carr. Ponieważ kocham innego i spodziewam się jego dziecka.

Nancy była pogodna i szczęśliwa. Była promienna tą radością, która niczym słońce grzała ją od wewnątrz. Wydawało jej się, że znalazła wreszcie swe miejsce przy ogniu, marzenie, które należało hołubić, miłość, którą należało pielęgnować. W nocy przeszła gwałtowna burza z błyskawicami, grzmotami i ulewnym deszczem. O świcie wiatr rozwiął gęste chmury i niebo znów było czyste i niebieskie. Była niedziela, koniec sierpnia. Zapowiadał się jasny, pogodny dzień.

Frank Latella z żoną mieli zarezerwowane dwa miejsca na popołudniowym przedstawieniu na Broadwayu. Na Manhattan przyjechali w południe, akurat na mszę w kościele Saint Patrick. Byli z nimi Nancy, Sal i Junior.

Po skończonym nabożeństwie szli pieszo Fifth Avenue w kierunku Plaza, gdzie byli umówieni na wczesny obiad z Seanem i José Vicente, którzy jechali z San Francisco. Obiad byłby więc okazją do miłego spotkania i do rozmowy o interesach.

Nancy miała na sobie biały, dopasowany kostium z lnu, który podkreślał jej smukłą sylwetkę i zaokrąglające się z powodu ciąży biodra.

- Jak się czujesz? - zatroszczyła się serdecznie Sandra. Mówiła konfidencjonalnym tonem, tak aby trzech mężczyzn idący przed nimi nie mogli wtrącić się w ich babskie rozmowy.

- Cudownie - uśmiechnęła się Nancy.

- Ja w drugim miesiącu miałam nudności - wspomniała myśląc z tęsknotą o marzeniach i nadziejach utraconej młodości.

Ciąża Nancy została zaakceptowana przez całą rodzinę. Poinformowała o niej najpierw Sandrę, a Frank dał swoją zgodę na małżeństwo. Młodzi mieli się pobrać w pierwszych dniach września. Frank i José Vicente mieli być świadkami.

W Plaza czekała na nich wiadomość od Seana i José, że są w drodze. Nancy zdecydowała się oczekiwać ich przed hotelem. Sal wyszedł za nią. Na placyku przed



hotelem podmuch wiatru rozwiał im włosy. Od strony Central Park przejechał konny patrol policji.

Sal pomyślał o babce, która żyła jeszcze w Castellammare del Golfo, zamknięta w surowej twierdzy swojego samotnego życia. Nancy natomiast zapatrzyła się na portiera, przystojnego mężczyznę o imponującej sylwetce. Przypomnił jej się ojciec, taki jakim go widziała po raz ostatni, wiele lat temu, w słoneczną niedzielę, gdy wiatr znad oceanu pędził ulicami miasta. Znow go ujrzała w okazałym uniformie ze srebrnymi galonami. Tyle, że teraz lata i zdobyte doświadczenie zadziały niczym szkło powiększające. W uprzejmym, sprawnym zachowaniu portiera widziała uniżoność podkreśloną jeszcze przez jaskrawą liberię. Zrobiło jej się żal tego ojca, w którym nie było nic mitycznego, który był tylko gorliwym służącym, zwykłym lokajem, tak jak ten mężczyzna, który pośpiesznie otwierał drzwiczki limuzyny zdejmując z szacunkiem czapkę.

Nancy poszukała ręki brata i ścisnęła ją mocno w swojej. Wspomnienie zabójstwa Calogero Pertinace było w niej wciąż żywe. Białe lniany kostium zmienił się w tiulową sukienkę do pierwszej komunii, którą miała na sobie w tę odległą wiosenną niedzielę. Usłyszała znowu szybkie strzały z okna taksówki. I w tej samej chwili zobaczyła ojca leżącego na ziemi i powiększającą się ciemną plamę krwi na mundurze ze srebrnymi ozdobami i guzikami. „Tato, drogi tato” - wyszeptała jednym tchem. Przez chwilę była znów dzieckiem, ból w niej nagle ożył. Nancy ścisnęła konwulsyjnie rękę Sala. Ona nie widziała spokojnego, różnobarwnego, niedzielnego tłumu na Fifth Avenue, widziała twarz Calogero i swoją okryte poplamionym krwią welonem. „Pomszczę cię, tato.” Ta straszna obietnica ciągle ją prześladowała.

- Nancy, tyle lat już upłynęło - próbował uspokoić ją Sal, który odgadł jej myśli.

- Oczywiście... Oczywiście - uśmiechnęła się, próbując odepchnąć w przeszłość tę tragiczną przysięgę.

- Myślę, że to oni - ucieszył się Sal wskazując na taksówkę, która zbliżała się do Plaza.

W samochodzie siedzieli Sean i José, którzy jechali tu bezpośrednio z lotniska.

Oni też zauważyli rodzeństwo, ponieważ Nancy dostrzegła rękę pozdrawiającą ich zza szyby. I w tej samej chwili, w tylnym oknie zwalniającego auta Nancy zobaczyła jak w zatrzymanym kadrze twarz młodego mężczyzny, intensywnie niebieskie oczy, piękne, bezlitosne niczym ogień. Mężczyzna spoglądał na nią i uśmiechał się. Obraz ten zatrzymał się w jej pamięci i zmroził jej serce. Nancy zadrżała. Podniosła ręce do ust, aby stłumić krzyk. Po tylu latach, po wielkiej miłości i namiętności, w momencie gdy czuła, że dokonała najważniejszego wyboru w swym życiu, rozpoznała w Seanie McLeary,

jedynym mężczyźnie, którego kochała, zabójcę ojca. Ulica, domy, ludzie, cały świat zaczął wirować wokół niej w przerażającym rytmie. U jej stóp leżał ojciec podziurawiony kulami. A zabójca stał obok niej, mówił do niej. Nancy widziała jego poruszające się usta, ale nie słyszała słów. Zastanawiała się, dlaczego nie rozpoznała go wcześniej. Pomyślała, że gdyby nie ten zbieg okoliczności, gdyby to spotkanie sprzed lat nie powtórzyło się w identycznych warunkach, wzbudzając wspomnienia, poślubiłaby zabójcę własnego ojca. Poślubiłaby go, gdyż go kochała, ponieważ był jedynym mężczyzną w jej życiu, ponieważ był ojcem jej nienarodzonego dziecka.

Sean mówi, próbuje wyjaśniać, chciałby ją przekonać, chwyta ją za ramiona i potrząsa. Ale ona słyszy tylko głos dziecka, który szepcze. „Pomszczę cię, tato.” Na głos dziewczynki nakłada się jej głos.

- Zostaw mnie! - krzyczy Nancy szlochając.

Sean próbuje zatrzymać ją, ale ona wyrywa się, ucieka i biegnie w stronę parku. Ma tylko jedno pragnienie: oddalić się z tego miejsca i zniknąć. On biegnie za nią, gdyż wspomnienie odżywa z całą gwałtownością i czuje w sobie udrękę Nancy. Kiedy dobiega do niej i zatrzymuje, jej oczy błyszczące nienawiścią spoglądają czulej, uspokaja się oddech i na czarującą twarz powraca uśmiech.

- Teraz rozumiesz, dlaczego cię nie chciałem, Nancy? Rozumiesz, dlaczego próbowałem trzymać się od ciebie z daleka?

- Kocham cię, Sean - szepcze mu do ucha i czuje, że nigdy w życiu nie będzie kochała tak żarliwie.

- Będziesz umiała mi wybaczyć?

- Już ci wybaczyłam, mój kochany.

Gorący pocałunek przypieczętowuje pojednanie, ale mały pistolet, który podarował jej, aby mogła się bronić, błyszczy w jej ręku. Sean przytula ją zapominając się w tej błogosławionej ekstazie, gdy tymczasem Nancy naciska na spust. Kula przebija serce Irlandczyka, który umiera w jej ramionach.

José Vicente i Sal zabrali ciało Seana, a Sandra i Frank Latella zajęli się Nancy.

- Musiałam to zrobić, Frank. Musiałam pomścić śmierć mojego ojca.

Ból był kamienną maską na jej pięknej twarzy.

***Dzisiaj***

# 1

Blady księżyc wędrujący po granatowym, rozbłyszczonym niebie zajrzał przez prostokątne okno rozmównicy, rzucając delikatne światło na wysoki sufit. Głos Nancy słabł jak ogień na kominku. Ostatnie słowa były szeptem, którego magnetofon prawdopodobnie nie zdołał zarejestrować. Mówiła już od wielu godzin, opowiadając słuchającemu jej z zapartym tchem dziennikarzowi zadziwiającą historię. Jaki sens miało to dramatyczne wyznanie dotyczące znanych i nieznanym osób z mafii i życia Nancy? Dlaczego właśnie jemu, w tym miejscu i w tym momencie? Długie cienie ich postaci, które rzucał zamierający ogień, tańczyły na białej ścianie rozmównicy.

Mark zadrżał z zimna i na skutek nowego, niepokojącego uczucia, które nim zawładnęło. Informacje, które zebrał, mogły wybuchnąć z siłą ładunku atomowego. I to go niepokoiło. A przecież rozmowa nie była jeszcze skończona. Siostra Anna miała w zanadrzu jeszcze inne dowody, które mogły zwiększyć moc tej broni. I to go już przerażało.

- Pan jest zmęczony - stwierdziła siostra.

Fawcett był wyczerpany, ale był gotów wysłuchać opowiadania aż do samego końca. Wydawało mu się, że podjął się zadania ponad ludzkie siły. A przecież uważał się za starego dziennikarskiego wygę. Udało mu się powrócić z wielu wojen, rewolucji, frontów, ale to napięcie powaliło go.

Siostra podniosła się i podeszła do stojącej lampy przy oknie. Zapaliła ją, a jej miękkie światło rozproszyło księżycową poświatę.

Otworzyły się drzwi rozmównicy i ukazała w nich okrągłutka i pulchna siostrzyczka, która była mu przewodniczką podczas kolejnych wizyt w klasztorze. Trzymała w rękach tacę, którą postawiła na stoliku. Była tam butelka jego ulubionego bourbona, kryształowe wiaderko z lodem, pękaty, pusty kieliszek i wysoka, smukła szklaneczka z gorącym mlekiem.

- Mleko jest dla mnie - uśmiechnęła się Nancy, wracając na swoje miejsce.

Okragłutka i pulchna siostrzyczka odeszła niepostrzeżenie.

- Proszę się poczęstować - zaprosiła Nancy.

Mark nalał sobie.

- Trafiła pani w mój gust - powiedział dorzucając lód.

- Czysty przypadek. Żadne nadprzyrodzone zdolności.

Mark czuł, że nie jest to prawdą. Był pewien, że zakonnica wiedziała o nim wszystko.

- Poprzednio to pani była zmęczona - powiedział.

- A skąd pan wie, czy teraz nie jestem? - przyglądała mu się pobłaźliwie, ale było jasne, że to ona prowadziła tę grę.

Wiatr przyniósł im uderzenia dzwonu.

- Północ - stwierdziła nie dając mu czasu na odpowiedź. - Musi pan już iść, panie Fawcett.

Mark się podniósł.

- Czy będzie ciąg dalszy? - wątpił nawet we własne słowa.

- Może.

- Jutro?

- Jutro - wyszeptwała. - Jutro. Podoba mi się to słowo. Całe życie spędziłam na mówieniu: „jutro”. O ile terażniejszość jest ponura i smutna, to jutro zawsze jest radosne, pełne obietnic, nadziei. Potem jutro przemienia się w dzisiaj i staje się smutne. Kiedy odchodzi w przeszłość, wypełnia się tęsknotą i znów je kochamy. Dobranoc, panie Fawcett.

Nie odpowiedziała mu. Speszony stał nieruchomo w progu. Potem położył rękę na kłamec, nacisnął, otworzył drzwi i zrobił krok opuszczając pokój, pogodzony z tym, że musi się pożegnać.

- Fawcett - zawołała go energicznie.

Zatrzymał się i odwrócił, aby na nią spojrzeć. Zauważył, że patrzyła na niego pochłonięta jakąś myślą. Chciała mu coś powiedzieć, ale nigdy nie poznał znaczenia tej informacji, bo w chwilę później zakonnica rozmyśliła się.

- Już nic, panie Fawcett. Dobranoc - pożegnała się.

Była druga nad ranem i nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok w tym obcym łóżku przeżywając raz jeszcze dramatyczne opowiadanie Nancy. Wiedział, że był pierwszym i jedynym świadkiem, który wysłuchał zwierzeń madame Carr. I teraz

spowiedź wieku była tam, nagrana na magnetycznej taśmie maleńkich kaset jego „Aiwy”. Przywilej wyłączności i ciężar zeznań, duma zawodowa i odpowiedzialność za ten parzący materiał powodowały, że czuł się nieswojo. Uczucie to w pewien sposób było zbliżone do strachu.

Dlaczego Nancy Carr narzuciła mu rolę spowiednika? W gruncie rzeczy przyjechał na Sycylię, żeby wyjaśnić tajemnicę jej nagłego zniknięcia z życia publicznego. Nie była to byle jaka wiadomość - odnaleźć w klasztorze związaną z mafią kobietę, która miała zostać syndykiem Nowego Jorku. Ona natomiast zaczęła mu dyktować swoją biografię, odkrywając przed nim część z tajemnic Cosa Nostra. Dlaczego? Co spowodowało, że kobieta honoru, która schroniła się w klasztorze, opowiadała mu o zdarzeniach i zbrodniach ze swojego życia? Były poza tym pytania, na które nie udzieliła odpowiedzi. Powiedziała mu, że Nathalie Goodman dobrze trafiła oskarżając ją o zabójstwo, lecz nie wyjawiała mu, kto był odpowiedzialny za śmierć dziennikarki. Ani kto dostarczył Goodman informacji dotyczących życia Nancy. I dlaczego później nikt nie znalazł śladu po tym wywiadzie w papierach wysłanniczki „New York Magazine”. Nie wyjaśniła mu jeszcze, dlaczego schroniła się w klasztorze i czy przekroczyła progi tego miejsca z własnej woli.

Znane zapiski kronikarskie dotyczące wojny między rodzinami Latella i La Manna należały już do historii zorganizowanej przestępczości, ale nikt nigdy nie domyśliłby się roli Nancy w tym konflikcie.

Nancy powiedziała mu:

- Będę mówić. Pozna pan moją prawdę. Będzie pan mógł ją opublikować, jeśli pan zechce. Nawet jeśli nikt panu nie zechce uwierzyć.

Mark zapalił światło. Jego rolex wskazywał drugą rano. Skierował się w stronę barku, gdy zatrzymał go przeraźliwy dzwonek telefonu.

Podniósł słuchawkę i usłyszał mocny i wyraźny głos swojego naczelnego redaktora, Burta Ritmana. W Nowym Jorku o tej porze ludzie byli jeszcze w pracy.

- Szukam cię przez cały dzień - naskoczył na niego. Wydawał się zaniepokojony.

- Nie spędzam czasu w łóżku - odrzekł sucho.

- Wychodzi na to, że nocy też nie - zarzucił mu.

- Miałem robotę. Dobrze wiesz, czym się zajmuję - powiedział podkreślając wagę i dyskretny charakter swojej pracy. - Co jest tak pilnego? - zapytał.

- Tyle, że tracisz za dużo czasu na tę sprawę, której końca nie widać - Burt próbował mówić spokojnie, ale nie umiał ukryć napięcia.

- Czy dobrze zrozumiałem? - osłupiał Mark. Pamiętał entuzjazm szefa, kiedy mu wyjawiał, że zna miejsce pobytu Nancy Carr i jego natychmiastową decyzję wysłania dziennikarza tropem nieuchwytniej osobistości. A teraz?

- Wydaje mi się, że wyraziłem się jasno - powiedział Burt, który czepiał się słów i pauz, aby uczynić bardziej wiarygodną zmianę kursu.

- Spróbuj być taki do końca - nalegał Mark, który chciał usłyszeć z ust szefa decyzję, którą przeczuwał.

- Musisz wrócić do domu, Mark - rozkazał ponurym głosem i tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Fawcettowi wydawało się, że śni.

- Posłuchaj mnie, Burt. Właśnie przygotowuję ci sensacyjny materiał. Nie masz pojęcia, co znalazłem!

- Nie sądzę, żeby warto było tracić na to czas - powtórzył.

- Ale jak możesz decydować, siedząc na swym tłustym tyłku w wygodnym fotelu, dziesięć tysięcy kilometrów stąd?

- Radzę ci, wsiadaj do pierwszego samolotu i wracaj do domu!

- Burt, co ty do cholery gadasz? - ścisnął telefon jakby to była szyja Burta. Ciśnienie podskoczyło mu gwałtownie.

- Posłuchaj, Mark - uciął krótko. - Tę gazetę robię ja. Ja decyduję, czy warto iść tropem, czy nie. - Wydawał się być przestraszony, próbował niezwykłym dla siebie despotyzmem zastąpić dyskusję, do której byli przyzwyczajeni jego współpracownicy. - I ja ci mówię, że masz to wszystko rzucić. Natychmiast.

Nastąpiła pełna napięcia i wyczekiwania cisza, wypełniona lekkim szumem na linii.

- Wypchaj się, Burt! - skończył nieuprzejmie. - Ty i twój gówniany dziennik!

- Wróć do domu i powiedz mi osobiście, co o mnie myślisz - odrzekł naczelny redaktor.

Co oznaczało to zaproszenie? Próbował przekazać mu wiadomość, której nie mógł powierzyć telefonowi? Burt wrzeszczał, aby podkreślić swoje racje, ale nie był przekonujący.

- Miałbym zostawić moją największą sensację dziennikarską? Wyjaśnij mi chociaż dlaczego.

- Ponieważ gazeta nie jest już nią zainteresowana - za agresją krył się proszący ton. - I skoro jestem przy tym, chciałbym udzielić ci przyjacielskiej rady: zostaw wszystko i wsiadaj w pierwszy samolot - powtórzył jeszcze raz.

Mark odebrał całym sobą ostrzegawczy sygnał. Pomyślał o Nathalie Goodman, o jej śmierci. I przypomniał sobie wyraz twarzy Nancy, kiedy zatrzymała go w rozmównicy chcąc mu coś powiedzieć - przypadek bez znaczenia czy może ostrzeżenie?

- Słyszałeś mnie, Mark? - zapytał zaniepokojony Burt.

Dziennikarz wpatrywał się w starą reprodukcję wiszącą na ścianie, ale myślami był gdzie indziej. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć, odłożył powoli słuchawkę, na tyle powoli, że miał czas, aby usłyszeć charakterystyczne pyknięcie. Ktoś podsłuchiwał ich rozmowę. Mark przetarł czoło ręką, była mokra od zimnego potu. Zapuścił się w zdradliwą puszcę, z której nie widział wyjścia. Poczul się smutny i bezbronny jak bezpański pies.

Telefon Gianniego Ricci powtarzał w nieskończoność wolny sygnał, nikt nie odpowiadał. W redakcji znudzony telefonista rzucił mu: „Doktor Ricci jest na urlopie”.

Mark postanowił pojechać do Palermo. Być może nie spotka przyjaciela, ale przynajmniej coś będzie robić, będzie próbował skontaktować się z nim. Odczuwał natychmiastową potrzebę zwierzenia się komuś, komu ufał. Była piąta rano, gdy zaparkował pandę od Hertza przed kamienicą na ulicy Ruggero Settimo, w której mieszkał sycylijski kolega.

Brama była zamknięta i Mark musiał długo dzwonić, zanim korpulentna kobieta koło sześćdziesiątki, zmęczona, zaspana i wściekła uchyliła drzwi pytając, o co chodzi w malowniczym i niezrozumiałym języku, tonem nie pozostawiającym wątpliwości co do jej opinii na temat nieoczekiwanej pobudki o tak absurdalnej godzinie.

Mark przywołał na pomoc całą swoją nędzną znajomość włoskiego, ale udało mu się uciszyć wrzaski i uspokoić agresywnie zachowującą się kobietę dopiero za pomocą różowego banknotu, wartości pięćdziesięciu tysięcy lirów. Ostrożny uśmiech pojawił się w kącikach zmęczonych, bezbarwnych ust, podczas gdy banknot zniknął za dekoltem wełnianego szlafroka w kratkę.

- Dottore wyjechał z panią i dziećmi - zaczęła chętnie i rozwlekle opowiadać. - Pojechał na wakacje. Pan jest tym amerykańskim przyjacielem, prawda? - zapytała. - Zostawił u mnie list dla pana - otworzyła bramę, wpuściła go i poszła do dyżurki. Wyjęła kopertę z szuflady stołu i podała mu ją.

Na oczach zaciekawionej kobiety, ułagodzonej napiwkami, Mark rozerwał kopertę, rozłożył starannie kartkę i przeczytał krótką wiadomość od przyjaciela. „Wyjeżdżam z rodziną na kilka dni. Radzę ci, zrób to samo. Natychmiast.”



Jeszcze jedno ostrzeżenie. Jeszcze jedna prośba, aby zrezygnował.

- No co, zadowolony? - zapytała kobieta widząc, że Mark patrzy na te dwie linijki, jakby były napisane starożytnym etruskim pismem.

- Wie pani, dokąd pojechał? - zapytał.

- Kto? Doktor Ricci? Któż to wie. Bardzo się śpieszył. Jeśli nie napisał panu... Ja nie wiem.

Każdy element należał do jednej i tej samej układanki. Postanowił wrócić do Villarosa. Zatrzymał się na stacji obsługi, aby zatankować do pełna i napić się kawy, ale przede wszystkim, aby sprawdzić podejrzenie, które bał się nawet sformułować. Od kiedy opuścił o północy klasztor Santa Caterina, miał wrażenie, że jest śledzony, pilnowany. Z pewnością była to obsesja, gdyż za każdym razem, gdy szukał wokół siebie osoby, której badawczy wzrok czuł na sobie, nie widział nikogo. Również teraz, w barze stacji obsługi, nie zauważył niczego podejrzanego.

Minął Pergusę i swój hotel. Jechał prosto do klasztoru. Długo przyciskał dzwonek, zanim w judaszu pojawiła się surowa, oliwkowa, błyszcząca twarz nieznanego mu zakonnicy.

- Siostra Anna nie może pana przyjąć - sprzeciwiła się zakonnica, gdy poprosił o rozmowę.

Mark prawie błagał.

- Chodzi o ważną i pilną sprawę.

Niewzruszona twarz zakonnicy nie zmieniła się ani na jotę.

- Przykro mi, proszę pana. Nie mogę pana wpuścić.

Zamknięcie judasza przerwało tę krótką wymianę zdań.

Wszystkie drzwi, jakby poruszane tą samą ręką, zamykały mu się przed nosem jedno po drugim. A więc to była mafia? Od kogo pochodził rozkaz? Od Nancy Carr czy też kogoś stojącego jeszcze wyżej? Pomyślał, że w świetle nowych faktów było to prawdopodobne. A jeśli istniał ktoś silniejszy od Nancy, ktoś, kto miał wystarczająco długie ręce, żeby zmusić ją do milczenia?

Mark wrócił do hotelu. Portier wręczył mu klucz, poranne gazety i kopertę z Alitalii. Mark otworzył ją. W środku był bilet lotniczy Palermo - Nowy Jork w business class, odlot o trzynastej z Punta Raisi jeszcze tego samego dnia. Jeszcze jeden niedwuznacznym rozkaz opuszczenia Sycylii.

- Kto to przyniósł? - zapytał znając zresztą odpowiedź.

Portier wzruszył ramionami.

- Goniec z Alitalii - wyjaśnił. - Albo na takiego wyglądał.

Mark poczuł, jak strach ściska mu żołądek. Przypomniała mu się historia kozła alpejskiego opowiadana przez myśliwych. Ścigane zwierzę, osaczone na krawędzi przepaści, ginie skacząc w otchłań. On też był tropionym zwierzęciem. Przypomniał sobie ścieżkę wśród pól na peryferiach Manchesteru w Vermont, na której będąc nastolatkiem stawiał czoła chłopakom, którzy nie chcieli go widzieć na swoim terytorium. Za pierwszym razem uciekł. Potem zdał sobie sprawę, że nie może chować się do końca życia i stanął do walki, z której wyszedł poturbowany, lecz zwycięski. Niebezpieczeństwo, które tym razem mu zagrażało, nie mogło być porównywane z tym, co do tej pory przeżywał. Nie widział wyjścia z labiryntu, w który się zapuścił.

Wszedł do pokoju. Wyglądał jak pole bitwy. Wszystko zostało zniszczone z precyzyjną dokładnością: jego ubrania, materace, wycinki z gazet, fotografie. Notatki i kasety z nagraniem zwierzeń zakonniczy zniknęły. Mały, wierny „Aiwa” został rozbity.

Przez sekundę pomyślał o złożeniu skargi u dyrektora hotelu i poczuł się śmieszny. Nie miało sensu zwracanie się do policji. Zebrał kilka ocalałych rzeczy oraz paszport, który nietknięty leżał na stole jako kolejne ostrzeżenie.

Zszedł do holu, zapłacił rachunek i wyjechał. W południe był w Castellammare del Golfo naprzeciw willi José Vicente Dominici. Postanowił kontynuować. Gdyby dał się zastraszyć, straciłby szacunek do siebie i do swojej pracy.

W holu przyjęła go dama o wyglądzie królowej. Miała na sobie rozpinaną suknię od Valentino szaroperłowej barwy, jak jej oczy mieniące się złotem i jedwabną bluzeczkę. Czarne lakierki na wysokim obcasie dodawały lekkości jej smukłej sylwetce. Wokół niej unosił się zapach perfum Chanel.

- Czekałam na pana, panie Fawcett.

- Ja natomiast nie spodziewałem się zastać pani tutaj, pani Carr - odrzekł Mark, po czym ucałował podaną mu dłoń.

Przyglądał się jej zafascynowany, zastanawiając się jednocześnie kim jest ta kobieta, którą miał przed sobą. Zakonnicą w sukni od znanego krawca? Adwokatem Carr? Kobietą honoru klanu Latella?

- Niech pana to nie dziwi, panie Fawcett - upomniała go. - Pan jest twórcą, utalentowanym dziennikarzem. Powinien pan wziąć pod uwagę wszystkie możliwości.

- Przykro mi, że panią zawiodłem. Przyjechałem tu tylko po to, aby spotkać się z José Vicente Dominicim. Nie byłem przygotowany na to efektowne powitanie.

Był zmęczony, zniechęcony, rozczarowany. Kiedy wydawało mu się, że już poznał

działanie poszczególnych mechanizmów, jedno wydarzenie wywracało wszystko do góry nogami.

Nancy wzięła go poufale pod rękę i dziennikarz poczuł, tym razem bez cienia wątpliwości, ulotny, nieodparty urok jej perfum. Zauważył, choć nie mógłby przysiąc, umiejętny makijaż, który leciutko podkreślał jej dojrzałą urodę.

- Chodźmy na werandę. To najspokojniejsze miejsce w tym starym domu. Nikt nam nie będzie przeszkadzał - powiedziała Nancy prowadząc go do pomieszczenia osłoniętego wielkimi taflami szkła. Mogli z niego podziwiać piękny ogród.

Były tu bambusowe kanapki i bujane fotele. Szklarniowe rośliny zostały rozstawione w celowym nieładzie. Słońce zaglądało przez szyby dając przyjemne ciepło.

- Proszę się rozgościć - zaprosiła go Nancy wskazując mu fotel.

Mark zajął miejsce i zaczął się łagodnie kołysać.

- Czy mogę zadać pierwsze pytanie, jakie mi przychodzi do głowy? - zapytał dziennikarz.

- Ma pan wolną rękę, jak zwykle - odpowiedziała siadając z elegancją na kanapce.

- Dlaczego nosi pani tę suknię?

- Jest pan zmęczony - uniknęła odpowiedzi. - Powinien pan odpocząć.

Na twarzy Marka widać było ślady nieprzespanej nocy. Był zarośnięty, miał podkrążone oczy.

- Zanim udzielię sobie zasłużonego odpoczynku, czy zechciałaby pani powiedzieć mi co tu się dzieje? - spoglądał zdeorientowany wokół siebie.

- Czy to właśnie ja muszę to panu powiedzieć, panie Fawcett? - Nancy traktowała go niczym roztrzepanego uczniaka, który nie jest w stanie patrzeć dalej niż czubek własnego nosa.

- Stworzyli pustkę wokół mnie - wyznał. - Z Nowego Jorku zawiadamiają mnie, że wywiad ich już nie interesuje. I nakazują mi powrót kładąc zapomnieć o artykule. Gianni Ricci daje nogę z całą rodziną i zostawia mi wiadomość. Radzi mi, żebym zrezygnował ze sprawy. W hotelu zastaję ten bilet lotniczy - powiedział wyciągając go i kładąc na stoliku - który jest kolejnym zaproszeniem do opuszczenia wyspy.

Nancy wzięła bilet i obejrzała go.

- Pan nie skorzystał z tego zaproszenia. Samolot do Nowego Jorku odleciał bez pana.

- Przez mój pokój przeszła banda niszczycieli - kontynuował nie słuchając jej. - Czego nie zniszczyli, zabrali ze sobą. Również taśmy nagrane w klasztorze.

- A pan jest zbulwersowany tą serią wydarzeń.

- Nic już nie rozumiem - spokój Nancy irytował go.

- A może nie chce pan zrozumieć.

Dziennikarska ciekawość i ludzki strach były jednakowo silne, czuł się przez to nieswojo, nie będąc w stanie podjąć jakiejkolwiek decyzji. Nancy obserwowała go niewzruszona i uśmiechnięta niczym doskonała pani domu, ale nie wyglądała na skłoną do pomocy, do wyjaśnienia jego wątpliwości.

- Wszystko zostało wymazane - podkreślił dziennikarz. - Jakbyśmy nigdy ze sobą nie rozmawiali. Rozumie pani? Ależ oczywiście - podjął po krótkiej przerwie - pani to doskonale rozumie. To ja nie potrafię odnaleźć się w tym labiryncie. Czy pani wie, o czym marzę? Chciałbym zasnąć, a po przebudzeniu stwierdzić, że był to tylko zły sen.

- Powinien pan odpocząć.

Fawcett nie słyszał jej i kontynuował.

- Ponieważ widzi pani, pani Carr - mówił dalej - prześladowuje mnie, niczym złowroga przepowiednia, wspomnienie śmierci Nathalie Goodman. A w nocy przypomniało mi się stwierdzenie jednego z ojców chrzestnych Cosa Nostra: „Kto wsadza nos w sprawy mafii, nie żyje wystarczająco długo, by móc poznać do końca jej tajemnice.”

Nancy przyjęła uprzejmą, nieco ironiczną pozę kobiety światowej.

- Kto wysłuchał śpiewu syren, nie powróci cały i zdrow do Itaki - powiedziała.

- Więc potwierdza pani?

- To tylko szkolne wspomnienie. Nic więcej.

- Jestem więc aż tak daleki od prawdy? Czy ścigam upiory, czy też potykam się o rzeczywistość, która mnie zniszczy? Jaka jest moja sytuacja, pani Carr?

- Niech mnie pan nie nazywa panią Carr - odrzekła zdecydowanie. - Rozwiodłam się z profesorem Taylorem Carr cztery lata temu. Potem złożyłam śluby. A teraz jestem siostrą pod każdym względem. Nawet w tym stroju. Wie pan, możemy je nosić, kiedy okoliczności tego wymagają.

- A więc, siostró Anno, czy mogę wiedzieć, co się dzieje? Może Nearco Latella przeszedł do ataku? - wydawało mu się to prawdopodobne. - Syn Franka, usunięty z organizacji, zesłany na Sycylię, mógłby próbować odzyskać utraconą pozycję? - nie był o tym zbyt przekonany.

- Nearco jest nieszkodliwym, znudzonym starszym panem. - zaprzeczyła Nancy. - Od śmierci żony przestał nawet nastawać na cnotę pokojówek. Junior po śmierci starego Franka nieraz namawiał go do powrotu do Ameryki. On jednak urządził się w Agrigento i nie chce się stamtąd ruszyć.

- Więc może młody Albert La Manna ruszył do boju? - próbował zgadywać, gdyż czuł potrzebę ustalenia, kto jest odpowiedzialny za ostatnie ataki. - Mam rację?

- No comments.

- Wnuk Alberta Chinnici, syn Joe La Manny, postanowił wydać pani bitwę. Chciała pani zostać syndykiem, a on pani w tym przeszkodził. A teraz wie, że pani rozmawiała ze mną i chce nas obydwójce usunąć. Mam rację? Czy mam mówić dalej?

- Nie mogę panu zabronić.

- W takim razie to prawda. Pani poczuła się zagrożona i schowała się pod skrzydła José Vicente.

Nancy uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Jakież jest pan daleki od prawdy, panie Fawcett - wytrąciła go z równowagi. - Młody La Manna, jak go pan nazywa, jest teraz dojrzałym mężczyzną. Prowadzi ośrodek dla niepełnosprawnych. Pomaga mu w tym żona Brenda i starszy syn Ron. Nie, panie Fawcett, pan naprawdę idzie złym tropem. Nie ma już rywalizacji między klanami. Bo nie ma już rodzin.

- W wywiadzie udzielonym Nathalie Goodman utrzymuje jednak pani, że mafia istnieje. Więc mafia jest, czy też wymyśliłem ją sobie? - chciał wyjaśnienia, które można by zweryfikować.

Nancy przyjęła postawę nauczycielki zmuszonej streścić nierozgarniętemu uczniowi całą myśl za pomocą przykładów.

- Mafia istnieje, panie Fawcett. Jest tak silna jak nigdy przedtem. Jest lepiej przygotowana do walk i jest bardziej niebezpieczna i podstępna, gdyż kryje się pod płaszczkiem legalnej działalności. Mafia jest w polityce, w magistracie, w policji. Mafia jest w pokoju z przyciskami. Wkroczyła do banków i międzynarodowych spółek. Jest odpowiedzialna za wstrząsy na giełdzie. Również w wojnach jest mafia - Nancy przerwała na chwilę, później podjęła. - Capone, Luciano, Chinnici, La Manna, Latella, słynni ojcowie chrzestni mieli o wiele mniejszą władzę, niż się im przypisywało.

- Należeli do kasy zapomogowej? - zareagował Mark. - Stowarzyszenia wzajemnej pomocy?

- Och, nie. Zabijali, obrażali, tyranizowali, ciągnęli zyski. Ale w końcu byli tylko narzędziem w rękach kogoś, kto był ponad nimi i prowadził tę grę. Jako adwokat i również jako deputowana pomogłam niektórym z nich. Ale nigdy nie znieważylam słabszego, nie wykorzystyłam biednego, nigdy nie zachęcałam do prostytucji, nigdy nie podałam dziecku narkotyku. Przeciwnie, zawsze walczyłam z tym zjawiskiem.

- To zwyczajowy kodeks honorowy mafii? - zareplikował ironicznie dziennikarz.

- Może pan to nazwać, jak pan chce - odpowiedziała spokojnie Nancy. - Potem zdarzyło się coś nieoczekiwanego - kontynuowała ciszej. - Zawsze jest jakiś przypadek, fatum lub los, jeśli pan woli. To był przerażający wybuch. Wyszłam z tego rozbita - wyszeptała. - Straciłam wiele, ale nie utraciłam chęci życia. Tyle, że nie mogłam udawać, że nic się nie stało. Musiałam zamknąć jeden rozdział i zacząć drugi. I tak najpierw się rozwiodłam, później wstąpiłam do klasztoru.

- To nieprzewidziane wydarzenie, o którym pani mówiła, skłoniło panią do rozwodu?

- Właśnie tak.

- Żeby pani mąż, osoba bez skazy, nie został zamieszany w ewentualny skandal?

- W pewnym sensie.

- I wciąż to samo, nieprzewidziane wydarzenie lub przyczyny od niego zależne sprowadziły dzisiaj panią do Willi José Vicente?

- W tej chwili nie mogę udzielić precyzyjnych odpowiedzi.

- A jednak jestem przekonany coraz bardziej, że to samo nieprzewidziane wydarzenie, które zmieniło pani życie, zagraża mojemu. Sądzę, że ktoś już otrzymał rozkaz zabicia mnie.

- Nikt pana nie zabije, panie Fawcett - stwierdziła z dumnym uśmiechem. - Pan jest pod moją opieką. Dlatego jestem dzisiaj tutaj.

Spojrzała na mały, metalowy zegarek.

- Zresztą powinien tu być lada moment - dodała.

- O kim pani mówi? - zapytał Mark, który postanowił oddać się w ręce tej coraz bardziej tajemniczej kobiety.

- Przylatuje tutaj z Nowego Jorku profesor Taylor Carr, mój były mąż. Odbędzie się zebranie rodzinne. Pan jest tutaj bezpieczny.

- Co ja mam wspólnego z tym zebraniem?

- Wszystko. Pamięta pan, co obiecałam panu podczas naszego pierwszego spotkania? Obiecałam panu, że pozna pan prawdę.

- Zauważyłem jedną rzecz. Nigdy mi pani nie opowiada o swoim synu, synu Seana McLeary. Czy zna tajemnice, które mi pani wyjawiała?

- Nie, wielu rzeczy nie wie. Mój syn jest poza tym wszystkim. Mojego syna nie rusza się. Będę go dalej chronić, tak jak robiłam to do tej pory. On jest najcenniejszą, najczystsą częścią mnie samej.

# ***Przeszłość***

# 1

Śniąc Nancy nie wierzyła, że śni. Bała się. Spojrzała na dziecko, które się w niej rozwijało i poczuła się sprawczynią cudu. Znajdowała się w środku pełnej pułapek puszczy i niczym drżąca z niepokoju jaskółka, fruwała zataczając wielkie koła nad uśmiechającym się do niej z gniazda dzieckiem. Dziecko było piękne, jasne, z oczami wypełnionymi słońcem. Nancy była jaskółką, którą pociągało złociste ciepło gniazda. Nad nią krążył majestatycznie okrutny krogulec. Pod nią, kołysał się na wiotkiej gałęzce biały gołąb, strażnik gniazda. Jaskółka zaczęła swoją pieśń, gdy spojrzenie dziecka stało się surowe i przesywające. Krogulec runął na gołębia chwytając go swymi pazurami, po czym zniknął w oddali. W oczach dziecka zaszło słońce i pojawiły się łzy bólu. W oddali, przez gałęzie sączyło się światło.

- Musimy do niego dotrzeć - powiedziała Nancy do dziecka. - Razem. Jak świat światem jaskółka zawsze towarzyszyła dziecku w drodze do odległego światła. - Potem zapadła ciemność, nie było ani dziecka ani jaskółki.

Nancy obudziła się z bólem głowy i uczuciem mdłości. Położyła ręce na napiętym brzuchu. Dziecko było spokojne, ale ona wiedziała, że jest rozbudzone i czujne. Może obudziło się razem z nią? A jeśli przyśnił mu się ten sam sen? A jeśli naprawdę obraz dziecka, puszczy, gołębia, krogulca i jaskółki coś oznaczał? Żywotność tej istoty, która miała się narodzić, dodawała jej sił, lecz nie wymazywała jej ponurych myśli. Głos, który rozkazał jej dokonać tej okrutnej zemsty ginął w przeszłości niczym przekleństwo. Na własnej skórze doświadczyła, że ktoś, kto przeżył tragedię może o niej zapomnieć, ale ten, kto się do niej przyczynił, nigdy o niej nie zapomni. Teraz wiedziała, że nie można dokonać zemsty za zbrodnię dokonując nowej.

Dziecko poruszyło się i Nancy odczytała ten ruch jako dobry znak. Przyłożyła rękę do brzucha i powiedziała cicho:

- Cześć, mały. Musimy teraz zakasać rękawy, i ty i ja, żeby zbudować sobie przyszłość.



Zgadzasz się?

Dziecko nie poruszyło się i Nancy uśmiechnęła się. Pewnego dnia, ono też będzie musiało dokonać wyboru między dobrem i złem. Była jednak pewna, że nie popełni błędu i nie będzie uważało się za pępek świata, tak jak to jej się przytrafiło, i że pozna radość przebaczenia.

Wstała z łóżka, podeszła do starej komody, otworzyła ostatnią szufladę i wyciągnęła poźółkłe z upływem czasu pudełko. Położyła je na łóżku i otworzyła. W środku, starannie złożony, leżał welon od pierwszej komunii. Ciemna plama zeschniętej krwi wyraźnie odbijała się od białego tła. Nancy wzięła go, wyszła z pokoju, zeszła na parter i weszła do salonu, gdzie już napalono w kominku. Klękła przed ogniem, pocałowała welon i wrzuciła go w płomienie.

- Żegnaj, tato - powiedziała.

Pozbyła się relikwii, ale nie dręczącego ją niepokoju. Silny płomień w jednej chwili spalił welon, a lekki popiół wciągnął okap kominka.

Ujrzała twarz Seana, którego zabiła, posłuszna bezmyślnemu prawu. Perwersyjna tradycja nacisnęła spust, a ona zamordowała go kochając i wiedząc, że ta śmierć nie przyniesie żadnych korzyści. Zabiła swoje marzenia, swoją miłość, swoje nadzieje.

Jakaś ręka dotknęła jej ramienia, łagodnie i opiekuńczo.

- Potrzebujesz całej swojej odwagi, żeby wrócić do życia - powiedział Frank Latella.

Nancy położyła dłoń na ręce starego.

- I pana pomocy - podziękowała z wdzięcznością.

Frank machnął ręką i zrobił dziecinny grymas siadając w fotelu i wskazując jej miejsce na kanapce stojącej naprzeciw niego.

- Myśl o wyzdrowieniu - upomniął jakby była rekonwalescentką po ciężkiej chorobie.

Służąca podała kawę. Teraz, kiedy Doris mieszkała na Sycylii, a Sandra zaczęła odczuwać ciężar upływających lat, w domu Latelli nastała Angelina, która spała w pokoju nad garażem. Była to ładna, zdrowa dziewczyna, dyskretna, robotna i uśmiechnięta. Angelina wiedziała, kiedy należy zniknąć. I zostawiła ich samych.

- Jeszcze raz dziękuję za wszystko - powiedziała Nancy podając mu filiżankę gorzkiej kawy z odrobiną śmietanki.

- Dlaczego nie wybierzesz się w podróż? - zapytał stary. - mogłaby ci pomóc.

- Musiałabym wyjechać zostawiając moje myśli - odrzekła.

- Nikt nie jest w stanie ci pomóc, Nancy - powiedział. - Nie ma powrotów. Nie istnieje lekarstwo, które leczy takie rany. Możesz liczyć tylko na siebie, na obronne siły twojego

organizmu.

To była prawda. Dzięki potędze swojej organizacji mógł zatrzeć ślady tej zbrodni, tak jak to już uczynił z Tony Croce, ale nie mógł ukoić cierpienia duszy, nie mógł zmyć wyrzutów sumienia Nancy. Mógł kontrolować policję i sądownictwo, usuwając dokumenty, które mogły stanowić podstawę do ewentualnego oskarżenia, ale nie mógł powstrzymać, rosnącego w niej i całkowicie paralizującego ją, poczucia winy.

Popijali powoli kawę. Frank odstawił na stół prawie pustą filiżankę i uśmiechnął się. Z własnego doświadczenia wiedział, że zazwyczaj skrucha, a nie żal za popełnionym złem sprawia, że boimy się konsekwencji swego czynu. Nie był to jednak przypadek Nancy, która nie miała się czego obawiać, może jedynie własnego sumienia.

- Pewnego dnia będziemy musieli porozmawiać o tobie, o twojej przyszłości - powiedział stary spokojnym głosem patrząc na jej zaokrąglony brzuch.

Twarz Nancy złagodniała, gdy pomyślała o dziecku.

- Czy to jest właściwy moment, aby przyszedł na świat? - spytała.

- Dlaczego? - zdziwił się Frank.

- Gwałt. Zło. Zemsta - zauważyła.

- Gdyby ludzie mieli czekać z narodzinami na właściwy moment, to ludzkie plemię już by wyginęło. Wierz mi, moje dziecko, dla narodzin zawsze jest odpowiedni moment.

Spokojny optymizm starego był dla niej wielką pociechą. Był jedyną osobą, oprócz José Vicente, która nie pozwalała jej czuć się winną. Poczuli się lepiej.

- Możemy więc mówić o mnie, moim dziecku, o mojej przyszłości - uśmiechnęła się rozpogodzona.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Frank.

- Wrócić do Yale i nadrobić stracony czas. Będę studiować do chwili jego narodzin. A jak się urodzi, to znów będę studiować. Chcę zostać adwokatem. Chcę odnieść sukces - próbowała gorączkowo dodać sobie odwagi.

- Twój pierwszy klient siedzi naprzeciw ciebie - zapewnił. - Prawnik w rodzinie jest cenny. Chciałem, żeby to był Nearco - dodał gorzko. - Ale to było niemożliwe. W gruncie rzeczy - ucieszył się - jesteś jakby moją córką.

- Dziękuję panu - Nancy zaczerwieniła się.

- Ja mówię córka, a ty wciąż nazywasz mnie panem.

- Muszę się przyzwyczaić, Frank.

- Tak jest już lepiej. A jakie masz projekty odnośnie dziecka?

- Chcę mu dać ojca - odpowiedziała zdecydowanie. - Sądzę, że dziecko potrzebuje

obydwojga rodziców. Seana nie ma, ale ono o tym nie wie.

- Nancy, ty nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. Czy ty przypadkiem nie oświadczasz mi, że wychodzisz za mąż?

- Nie od razu, Frank. Jak się małe urodzi.

- Czy masz już kogoś na myśli?

- Najlepszego człowieka na świecie, Frank.

- Znam go?

- José Vicente Dominici.

- A on się zgadza?

- On jeszcze o tym nie wie.

Rozmawiała z Latellą jakby prosząc go o zgodę.

- José jest silny i wierny - powiedział Frank - i lubi cię.

Nancy pochyliła się nad dłonią starego i pocałowała ją. Uzyskała przyzwolenie, o które zabiegała. Krogulec, majestatycznie krążący nad puszcza pełną pułapek, już jej nie przerażał.

Złociste ciepło gniazda, w którym było jej małe, było dobrze strzeżone. I to była jedyna pewna rzecz w tym morzu niepewności.

- Może masz rację, Frank. Zawsze jest dobry moment dla narodzin.

## 2

Charly Imperante zgasił czubkiem buta papierosa, który palił i pośpieszył na spotkanie Alberta. Parę metrów przed nim znieruchomiał. Był wzruszony do łez. Chłopak, przy którego narodzinach był obecny i którego trzymał na kolanach; dziecko, które pocieszał, gdy czuło się osamotnione; kaleki młodzieniec, którego podtrzymywał na duchu po strasznym wypadku samochodowym, teraz chodził.

- To jest ta niespodzianka! - wykrzyknął obejmując go i pociągając nosem jak chłopiec. - Cholera, ale niespodzianka!

Brenda obserwowała ich promieniejąc radością. Wypiękniała w ciągu tych miesięcy spędzonych w Szwajcarii, u boku męża, którego doglądała z miłością, i o którego zdrowie walczyła jak lwica. Profesor Ferdy Brenner, który sukcesem zakończył ten delikatny zabieg twierdził, że znaczny udział w tym sukcesie miała ta niestrudzona, zakochana kobieta. Charly uścisnął ją.

- To naprawdę cud - pogratulował.

- Będzie o wiele lepiej po drugiej, a może po trzeciej operacji - wyjaśnił Albert. - Nie jest wykluczone, że pewnego dnia wyrzucę te kule.

Cała trójka śmiała się idąc w stronę wyjścia. W aucie unoszącym ich na Manhattan, radość prysnęła.

- Opowiedz mi o ojcu - rozkazał Albert.

Charly, za kierownicą, patrzył przed siebie, na drogę.

- Wszystko odbyło się tak, jak ci opowiedziałem przez telefon - powiedział obojętnym głosem. - A poza tym czytałeś gazety.

- Chcę, żebyś mi to powtórzył - nalegał młodzieniec.

Brenda zaszyła się w swoim kącie, nie chcąc uczestniczyć w rozmowie.

- To proste, Albercie - powiedział Charly. - Wszystko wydarzyło się tuż po hucznym przyjęciu. Ty i Brenda byliście w drodze do Europy. Pomieszczenie wypełnione gazem.

Krótkie spięcie. Prawdopodobnie zwykłe przekręcenie wyłącznika spowodowało wybuch. Bomba, mówię ci.

Delikatne rysy Alberta stężały. Oczy rozbłysły mu nienawiścią i Charliemu wydawało się, że widzi tę samą okrutną determinację jaka wielokrotnie pojawiała się na twarzy dziadka, Alberta Chinnici.

- Naprawdę tak było? - zapytał.

- Na pewno. To jedyne rozsądne wyjaśnienie.

Albert potrząsał głową. Nie był przekonany.

- Nie uważasz, że to dziwne, że wypadek miał miejsce, gdy nikogo już właściwie nie było?

- Uważam to za cud.

- Zginęlibyśmy i my, Brenda i ja, gdybyśmy wtedy nie wyjechali - powiedział szukając jej dłoni.

Przejechali Queensboro Bridge i wjechali w serce Manhattanu.

- Albert, policja przeprowadziła dokładne śledztwo. Ci, od ubezpieczeń dzielili włos na czworo. Z tym samym rezultatem - nieszczęśliwy wypadek.

- Nieszczęśliwy wypadek, opatrnościowy dla interesów Latelli. Teraz New Jersey jest w jego rękach - skomentował z ironią.

- Chcesz wojny? - zapytał Charly.

Agresja zgasła w oczach młodzieńca.

- Wykluczone - powiedział, żeby uspokoić Brendę, która przez chwilę drżała z niepokoju. - Kiedy prawnik, którego mi przysłałeś opisał mi stan majątkowy naszej rodziny, postanowiłem wycofać się z interesów.

Brenda obdarzyła męża uśmiechem pełnym wdzięczności.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Chciałem, aby ta niespodzianka była uwieńczeniem naszej podróży.

Brenda objęła go i pocałowała, a potem niespodziewanie spoważniała.

- Skoro już jesteśmy przy niespodziankach, muszę wam powiedzieć, że ja także mam mój mały sekret - obwieściła z tajemniczą miną, kiedy samochód zatrzymał się przy chodniku przed pięknym domem na Park Avenue. - Myślę, że spodziewam się dziecka.

### 3

Lekcja profesora Worly trwała dłużej niż było to w planie. Po wykładzie rozgorzała gorąca dyskusja, która spowodowała, że wszyscy stracili poczucie czasu. Dopiero wychodząc z auli Nancy zdała sobie sprawę, że to już pierwsza i zaczęła biec w kierunku wyjścia. Potrąciła dwie osoby i o mało nie przewróciła trzeciej. Książki Nancy i ofiary poleciały na ziemię.

- Taylor! - zdziwiła się rozpoznając go.

- Jesteś niebezpieczna - powiedział, pogodzony z tym jej ciągłym, przypadkowym wpadaniem na niego, usiłując pozbierać rozrzucone książki.

Nancy starała się mu pomóc w naprawieniu szkody.

- To nie zrobiłeś dyplomu w zeszłym roku? - prawie mu wypomniała. - Masz super magisterium i jeszcze jesteś tutaj? Co tu robisz?

- Doktorat - odpowiedział lakonicznie.

- Mam cię nazywać profesorem?

- Możesz mnie nazywać, jak chcesz. Ale powinnaś chodzić na moje zajęcia. Myślałem, że znajdę twoje nazwisko na liście słuchaczy.

Nancy przestała już myśleć o Taylorze, który należał właściwie do przeszłości, o której starała się zapomnieć, aby móc przeżywać intensywnie terażniejszość. Przeszłość kończyła się na śmierci Seana, od tego momentu zaczynała się terażniejszość. Taylor Carr pojawił się niespodziewanie, wślizgując się w terażniejszość niczym garść konfetti odnalezionych w kieszeni starego płaszcza.

Taylor, natomiast, nie wydawał się zdziwiony widokiem Nancy. Podniósł z podłogi ostatnią książkę i podał ją jej z tym swoim rozbrajającym uśmiechem.

- Więc, zobaczę cię na moich zajęciach? - nalegał.

- Może. Nie wykluczone - zacięła się, nie potrafiąc pozbyć się uczucia zakłopotania. - Przepraszam cię, Taylor. Ale strasznie się śpieszę - dodała.

- Poczekać chwilę - odrzekł zatrzymując ją. - Pali się?

- W pewnym sensie.

- Kłamiesz jak najęta.

- Myśl sobie co chcesz - powiedziała kierując się do wyjścia. - Jestem strasznie spóźniona.

Znów był maj, w powietrzu czuć było zbliżające się lato. Nancy miała krótkie włosy. To co od razu rzucało się w oczy, to było to szczególne połączenie materii i ducha, świetna sylwetka i uduchowiona twarz. Miała na sobie szare, flanelowe spodnie i błękitny sweter z angory. Mokasyny w kolorze skóry dodawały zwinności jej krokom.

Taylor wyprzedził ją i zastąpił jej drogę nie zwracając uwagi na śmiechy obserwujących ich studentów.

- Muszę się z tobą zobaczyć, Nancy. I nie puszcę cię zanim nie umówisz się ze mną.

- Zgoda - skapitulowała. - Zwróć się do mojego męża. To on ustala moje spotkania.

Taylor przepuścił ją.

- Zrobię dokładnie tak, jak powiedziałaś - krzyknął, gdy biegła do José Vicente czekającego na nią przy końcu alejki. Olbrzym trzymał dziecko wyciągające do niej rączki.

Nancy dobiegła do nich i schroniła się w objęciach mężczyzny i dziecka, jak ktoś, kto dobija wreszcie do wyspy szczęścia.

- Przepraszam za spóźnienie, José. Fascynujący wykład spowodował, że straciliśmy poczucie czasu. - Usprawiedliwiła się. - A ty, mój mały, jak się czujesz? - dodała.

- Jest we wspaniałej formie - odpowiedział José udając, że tłumaczy nieartykułowane okrzyki i gruchanie małego.

Mężczyzna, kobieta i dziecko oddalali się z campusa obserwowani przez Taylora z zagadkowym wyrazem twarzy. José oglądał się za siebie kilkakrotnie, przypominając sobie identyczną sytuację, sprzed paru lat. On nie był jeszcze mężem Nancy, a małego Seana nie było jeszcze na świecie.

- Wciąż cię kocha? - zapytał José czyniąc aluzję do Taylora.

- Sądzę, że jest po prostu rozpieszczonym chłopcem - zażartowała Nancy. - Typowy przykład bogatego, inteligentnego i szczęśliwego faceta, który nigdy nie pogodzi się z przegraną.

- Mimo to, myślę, że byłoby wam dobrze razem - zauważył José lekko prowokującym tonem.

- O kim ty mówisz? - uśmiechnęła się ironicznie Nancy.

Doszli do parkingu. José usiadł za kierownicą, a Nancy posadziła małego w dzieciennym foteliku na tylnym siedzeniu. Samochód ruszył w kierunku New Haven.

- *Basil's?* - zapytał José.

- *Basil's* - potwierdziła Nancy.

- Baa - wtrącił się mały Sean.

Dojechali do Greenwich o zachodzie słońca. Na głęboko uspiętego małego czekała jego niania. Kobieta o miłym i dającym poczucie bezpieczeństwa wyglądzie, wdowa, która odchowalała trójkę własnych dzieci, a teraz zajmowała się z troską i czułością Seanem. Nazywała się Annie, a znalazła ją Sandra Latella. Dzięki niej Nancy mogła poświęcić się swoim studiom.

Sal i Junior bardzo się ucieszyli z jej przybycia. Frank i Sandra coraz starsi, coraz bardziej zmęczeni, grzali się niczym przy ogniu, przy otaczającej ich młodości.

W stosunkach między Nancy i José wszystko było jak dawniej. Była panią Dominici tylko na papierze. W rzeczywistości jej życie nie uległo zmianie. Była studentką wychowującą dziecko i mającą za sobą tragiczną przeszłość. José pomagał jej we wszystkim, ale spali w oddzielnych pokojach.

Niespodziewany przyjazd bagażówki w samym środku nocy, zakłócił odpoczynek rodziny Latella i wzbudził pewne zaniepokojenie. Kierowca szybko wyjaśnił tajemnicę, wyładowując dziesięć wielkich koszów z kwiatami dla pani Nancy Dominici i zostawiając zainteresowanej małej bilecik: „Jak długo jeszcze mam czekać? Moja cierpliwość ma swoje granice. Taylor”.



## 4

Nancy była bardziej wściekła niż zadowolona z tego wzbudzającego sensację kwiatowego prezentu.

- Odeślij mu je natychmiast! - rozkazała José rankiem następnego dnia.

Mężczyzna roześmiał się.

- Zawsze mi mówiono, że nie odmawia się przyjęcia kwiatów - pomyślał o przystojnym chłopcu, który je przysłał, o jego bogactwie, pozycji społecznej, kulturze i porównanie nasuwało się samo. Wyszedł z niego w oplakany stan, zmartwiony, smutny, ale nie dał tego po sobie poznać. - W sumie to piękny gest. Jeśli chciał nas zadziwić, to mu się udało.

Nancy zaczerwieniła się ze złości.

- Nigdy się nie złościsz? - zapytała.

- To zależy.

- Nie złości cię, że twoja żona jest tak po grubiańsku uwodziona?

- Nie, o ile moja żona nie prosi mnie o interwencję - sposepniał. - Wiesz tak samo dobrze jak ja, jakie są nasze stosunki. I na jakich zasadach funkcjonują.

- Ale dlaczego je akceptujesz? - prowokowała go.

- Ponieważ poprosiłaś mnie o to, nie pamiętasz? Ja dotrzymuję umowy.

- A gdybym zmieniła zdanie?

- Powinnaś mi o tym powiedzieć.

- A ty przede wszystkim powinieneś to zauważyć - podsumowała Nancy.

José chwycił ją w ramiona i spojrzał w oczy.

- Kocham cię i zgodziłem się opiekować się tobą. Ale nie jestem twoją wycieraczką, o którą możesz spokojnie wytrzeć nogi ile razy przyjdzie ci na to ochota. Ożeniłem się z tobą, ponieważ poprosiłaś mnie o to. A poprosiłaś mnie o to, ponieważ kobieta honoru nie może mieć pozamałżeńskiego dziecka. Nigdy mnie nie pragnęłaś. Kochałaś Seana i

prawdopodobnie nigdy więcej żadnego innego mężczyzny nie pokochasz.

- A ty naturalnie wszystko to wiesz.

- Zwykła intuicja - powiedział José zwalniając uścisk i przyglądając się swoim potężnym dłoniom.

- Nigdy nie widziałam cię tak rozgniewanego - zauważyła z leciutką kokieterią.

José usiadł w foteliku koło łóżka, podczas gdy Nancy nadal stała.

- Jesteś piękną i pociągającą kobietą - kontynuował José. - Ale nigdy bym ci nie narzucił... nigdy bym cię nie zmusił... Nigdy bym tego nie zrobił, nawet jeśli...

- Nawet jeśli tego pragniesz?

- To, czego ja pragnę nie ma żadnego znaczenia - bronił się. - Zapomniałaś o pożądaniu, które pchało cię w ramiona Seana? Nie pamiętasz już, co czułaś gdy go szukałaś? Kiedy go pragnęłaś? Czy chociaż raz poczułaś dla mnie... Szukałaś mnie lub pragnęłaś w ten sposób? - wzruszenie zmieniło głos mężczyzny.

- To prawda, to co czułam do niego być może nie powtórzy się nigdy więcej. Zrozumiałam jednak, że jest wiele rodzajów miłości. A gdybym ci powiedziała, że polubiłam cię od pierwszej chwili, w dniu w którym cię poznałam?

- Ale nigdy mnie nie pragnęłaś.

- Ale zawsze cię kochałam.

- Z wdzięczności.

- Jeśli koniecznie chcesz nazwać uczucie, które do ciebie żywię, możesz je nazwać nawet wdzięcznością. W każdym razie jest to uczucie prawdziwe i głębokie.

- W grze słów jesteś mistrzynią. Ja natomiast nie studiowałam w Yale. Moim uniwersytetem była ulica. Moją filozofią zdrowy rozsądek. Czy choć raz zapagnęłaś tego zwalistego ciała, spłaszczzonego nosa, odstających uszu i krzaczastych brwi?

- Jesteś piękny - wyszeptała Nancy ze łzami w oczach zbliżając się do niego i głaszcząc go po twarzy.

- Nie mów głupstw, dziecko - upomniał ją.

Słuchała go, gdy tak sam siebie oczerniał, a w jej sercu rosła gwałtowna czułość dla tego mężczyzny. Wydawało jej się, że widzi go po raz pierwszy. Zawsze widziała w nim ojca, a teraz ujrzała w nim mężczyznę, imponującego i wspaniałego mężczyznę, którego można kochać. Nancy zbliżyła się do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała. José nie uczynił nic, aby ją odsunąć od siebie, i oddał pocałunek.

- Wiem, że nie ruszyłbyś nawet małym palcem, aby mnie dotknąć - wyszeptała mu prosto w usta. - Ale to ja cię pragnę w tej chwili. Ponieważ mnie kochasz. Ponieważ

zawsze mnie kochałeś. Postanowiłam zaistnieć nie tylko jako matka, ale również jako kobieta. Nazywaj to wdzięcznością jeśli chcesz, ale to i tak pozostaje miłością.

Wtedy olbrzym wziął ją na ręce, położył na łóżku, rozebrał drżącymi rękoma i posiadał z niesłychaną delikatnością. A kiedy rozkosz osiągnęła szczyty, Nancy odkryła radość z przynależności do mężczyzny, który był dla niej ojcem i bratem, mężem i kochankiem, wreszcie towarzyszem życia. José wiedział o niej wszystko. W jego ramionach Nancy znalazła potwierdzenie, że zawsze ją będzie kochał i chronił, że zawsze będzie mogła na niego liczyć, nawet jeśli pewnego dnia ich drogi się rozejdą.

## 5

Duży salon był całkowicie wyłożony boazerią, jak góralski dom. W kominku trząsał wesoły ogień, na podłodze leżały wspaniałe perskie dywany. Wysoka choinka lśniła od złotych i srebrnych ozdób. Na dworze szalała śnieżycą. Oślepiająca śnieżna biel otuliła Champlain Valley, zakątek niespotykanej urody, jedno z niewielu nieskalanych miejsc na ziemi. Było Boże Narodzenie. Nancy jako dziecko właśnie w ten sposób wyobrażała sobie święta Bożego Narodzenia. Teraz, kiedy sen się ziścił, ze zdziwieniem stwierdziła, że brakuje jej napięcia towarzyszącego oczekiwaniu, mimo że w podarowanym jej przez José *chalet* znajdowała wszelkie symptomy spokojnego, wygodnego życia. Czas złagodził ból i Nancy nauczyła się żyć ze swoimi złymi wspomnieniami.

- Tato, tato! Pociąg wyleciał z szyn! - ostry, radosny głosik Seana przerwał nieskazitelną ciszę.

José wstał z fotela przy kominku i stanął po środku salonu, gdzie wybudował prawdziwą sieć dróg kolejowych w miniaturze ze stacjami, tunelami i przejazdami. Elektryczny pociąg był najpiękniejszym prezentem, jaki Sean znalazł pod choinką.

- Sądzę, że w ten sposób unikniemy następnego wykolejenia - powiedział naprawiając cierpliwie szkodę i zmieniając ułożenie szyn.

- Dziękuję, tato - uśmiechnął się z wdzięcznością. - Teraz spróbuję puścić go z większą szybkością. Zobaczymy, czy nie wypadnie.

Rola wszechmocnego manewrowego upajała go i kiedy pociąg pokonując ten sam zakręt nie wypadł z torów, Sean wzniósł radosny okrzyk.

- Jesteśmy wspaniali, tato! - cieszył się. Zatrzymał skład i rzucił się w ramiona José.

Nancy czytała i obserwowała tę scenę czułości między swoim synem i dobrotliwym olbrzymem, jej mężem, i zastanawiała się, dlaczego nie czuje się całkowicie szczęśliwa. Tliło się w niej uczucie lekkiego niezaspokojenia, prawie niezadowolenia. Była otoczona miłością, szacunkiem. Siedmioletni Sean był zdrowym, inteligentnym, pogodnym

dzieckiem. José był cudownym mężem. Udało jej się zdobyć pozycję w kancelarii adwokackiej Printfull, Kaflich & Losey. Odgrywała w nim ważną rolę, choć nie aż taką, aby pewnego dnia jej nazwisko zostało dołączone do nazwisk jej słynnych kolegów. Jej niekompletny sukces zawodowy był jednak tylko jedną z przyczyn jej niezadowolenia, braku satysfakcji. Mężczyzna podszedł do niej blisko.

- Spodziewałem się oklasków - powiedział podsycając ogień pogrzebaczem. Tysiące iskier wzleciało w górę.

- Nie chciałabym, aby przewróciło ci się w głowie - uśmiechnęła się zamykając książkę i odkładając ją na dywan.

José przysiadł koło niej.

- Sądzę, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie - wyznał muskając jej dłoń pocałunkiem. - A zawsze stałem twardo na ziemi.

- Jesteś fantastyczny, José. Naprawdę - pogratulowała. - Jesteś najczulszym ojcem i cudownym mężem.

- Ale to nie czyni cię szczęśliwą - zaskoczył ją. Zupełnie jakby czytał w jej myślach.

Nancy za bardzo go szanowała, aby ratować sytuację posługując się kłamstwem.

- Ty też nie jesteś szczęśliwy - broniła się.

- Z innych powodów. A poza tym, kiedy jestem z tobą... - przerwał zmieszany.

- Kiedy jesteś ze mną? - zachęcała go.

- Czuję się jak w raju - powiedział szybko, wstydząc się trochę tego cikliwego frazesu.

- Patrzę na ciebie i jestem wzruszona, słucham cię, gdy szukasz słów mogących opisać twoją miłość do mnie i zalewa mnie fala czułości.

- Jednak często jesteś spięta, niezadowolona, czasami nieszczęśliwa. Jakbyś żyła w poczekalni dworcowej. Albo na lotnisku z walizkami przy nodze.

- To mój niespokojny charakter - próbowała zbagatelizować. - Nie powinieneś czuć się urażony.

Rozmawiali szeptem.

- Nie czuję się urażony, Nancy. Jestem natomiast przekonany, że zasługujesz na coś więcej, na coś lepszego w życiu.

- Lepszego od czego? - zapytała podejrzliwie.

Dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych oznajmił czyjeś przybycie. Nancy podniosła oczy na José. Sean tak był pochłonięty swoją zabawką, że nie zauważyłby nawet trzęsienia ziemi.

- Któż to może być? - zaniepokoiła się. Nikt się nie zapowiadał z wizytą, więc któż to

przywędrował w tę śnieżycę?

W drzwiach salonu pojawiła się Annie.

- Paczuska dla pani - powiedziała podając jej pudełeczko elegancko opakowane w złoty papier.

- Kto to przyniósł? - wtrącił się José?

- To niezwykła historia - wyjaśniła kobieta. - Podobno przyleciała z Nowego Jorku helikopterem do Ripton, a z Ripton przyniósł ją narciarz.

- W taką pogodę? - zdziwiła się Nancy.

- W taką pogodę - potwierdziła podniecona Annie.

- A narciarz?

- Odjechał. Jak w bajce - odpowiedziała Annie z błyszczącymi z emocji oczami.

- Może to był Święty Mikołaj? - wtrącił się Sean.

- To jest odpowiedni dzień na jego wizytę - mruknął José.

- To ty jesteś tym Mikołajem? - dopytywała się Nancy rozbawiona tą niezwykłą zabawą.

- Nie, moja droga. Nie jestem typem, który wysyłałby helikoptery w burzę śnieżną. A poza tym byłabyś rozczarowana, gdybym to ja krył się za tą niespodzianką.

Nancy z niecierpliwością małej dziewczynki rozerwała opakowanie. Pod złotym papierem było stare etui z wytłaczanej skóry z lekko wytartymi brzegami. Otworzyła je i to, co ujrzała, zaparło jej dech w piersiach. Na aksamicie pudełka lśniła kolia z najprawdziwszych, czystych brylantów, które tworzyły girlandę z róż.

- Co to jest? - zapytał rozczarowany Sean i zaraz wrócił do zabawy z pociągami.

Nancy, oszołomiona, wpatrywała się zdumionym wzrokiem w to cudo. José, który nie znał się zbytnio na klejnotach, był zafascynowany jego blaskiem i przepychem.

- Zobaczmy, kim jest ten tajemniczy bogaty wielbiciel - powiedział olbrzym.

Nancy była oczarowana klejnotem.

Z leżącego na podłodze złotego papieru wystawał mały kartonik. José podniósł go i podał żonie.

„Ten klejnot należał do mojej matki, a jeszcze wcześniej do mojej babki. Jeszcze wcześniej należał do wielkiej carycy Katarzyny. W Ermitażu jest jej portret w tym naszyjniku. Pragnę, aby teraz należał do ciebie, ponieważ pewnego dnia będziesz należała do mojej rodziny. Wesołych Świąt. Taylor.”

- Wygląda na to, że wie czego chce - zauważył dowcipnie José.

- Stwierdzasz to tak po prostu? - zaczerwieniła się Nancy.

- A co powinienem zrobić? Wyzwać go na pojedynek i jutro o świcie czekać na niego z tyłu klasztoru Karmelitanek Bosych?

- Tym razem przeholował - oburzyła się patrząc na brylantowe róże ogromnej wartości. Przypomniała sobie wszystkie prezenty, które Taylor przysłał jej w ciągu ostatnich czterech lat, a które ona z niezwykłą punktualnością odsyłała. - Oszalał.

- W tym szaleństwie jest metoda - roześmiał się José obejmując ją czule ramieniem.

- Kiedy wreszcie zareagujesz jak na prawowitego męża przystało? - zaatakowała go. José uśmiechnął się ojcowską mądrością.

- Prawo męża - odrzekł. - Istnieje również prawo ojca. Jest tyle praw. Można je zastosować albo i nie. Ale ich zastosowanie najczęściej nie zmienia postaci rzeczy. Albo pogarsza sytuację.

Nancy czuła, że mężczyzna mówi prawdę.

- Co mi radzisz, José? - poprosiła.

- Tym razem nie powinnaś zwracać prezentu - mówił poważnie, zdając sobie sprawę z ryzyka, na jakie się narażał.

- Wiesz, co to by znaczyło?

Olbrzym skinął głową.

- Sądzę, że Taylor ma rację wierząc, że w końcu wyjdiesz za niego.

Nancy podniosła się gwałtownie. Stała przy oknie, za którym wciąż padał śnieg. Oparła dłonie o szybę. Wyglądała jak więźniarka za kratkami.

- Musiałabym rozwieść się z tobą, żeby wyjść za niego - powiedziała nie oglądając się.

- A nie zrobię tego nigdy - dodała tonem, który zaprzeczał jej stwierdzeniu. - Jesteś...

- Najlepszym mężczyzną, jakiego może pragnąć kobieta - dokończył zdanie.

- Jesteś stworzony dla mnie i dla Seana. Dla niego jesteś niezastąpionym ojcem. Jak mogłeś pomyśleć, że zrezygnuję z ciebie? - rozpałała się podnosząc głos w miarę mówienia, jakby zdawała sobie sprawę, że pomysł wcale nie był aż tak niedorzeczny. Może dlatego opierała się ze wszystkich sił, które zresztą nie były tak mocne, jakby chciała to pokazać.

- Spokojnie, pani mecenas - zażartował José podchodząc i przytulając ją do siebie. - Zastanów się, zanim odrzucisz tę nienawistną możliwość nie do przyjęcia. Racje serca i uczucia nie zawsze są na miejscu. I ty to wiesz, choć nie chcesz tego przyznać.

José podniósł jej twarz i ujrzał zapłakane oczy.

- Czego ja chcę, José? - zapytała z dziecinną rozpaczą. - Która droga jest właściwa?

- Jesteśmy na rozdrożu, Nancy - wyjaśnił. - Z jednej strony masz przeciętną rodzinę,

która tylko pozornie jest solidna z drugiej sukces przez duże S. Innymi słowy - cel, do którego zawsze dążyłaś. Gdybyś była szczęśliwa, nie pragnąłbym niczego innego, tylko tego, aby tak było dalej. Ale twój niepokój i twoje niezadowolenie są tak widoczne, że wkrótce nawet twoje dziecko to zauważy.

- Popeliłam tyle błędów w życiu. Boję się popełniać nowe.

- Wszyscy się boimy, Nancy. Ale strach nie może powstrzymać naturalnego biegu rzeczy. Woda płynie, gdyż ma płynąć. Grzmot musi uderzyć, błyskawica musi przeciąć niebo. Dla ciebie nadeszła pora, aby oddalić się ode mnie i od mojego świata.

Nancy poczuła ciężar słów José, który ją przygniótł, nie pozostawiając miejsca na hipokryzję.

- Co mam zrobić? - zapytała niespokojnie.

- Zastanowić się spokojnie. Dopóki będziesz panią Dominici, wiele drzwi pozostanie zamkniętych dla ciebie. Nancy Dominici nigdy nie ujrzy swego nazwiska obok nazwisk słynnych prawników, dla których pracuje.

- Żaden z nich nie jest ciebie wart - zaprotestowała zdając sobie doskonale sprawę, że José miał rację. Dobrze wiedziała, że będąc u władzy należy trzymać się żelaznych zasad, które wykluczają pariasów, nawet jeśli dawno zrehabilitowali się za swoje pochodzenie, jak José Vicente Dominici. - Jesteś lepszy od nich wszystkich razem wziętych.

- Nie szukamy kandydata do nagrody za dobry charakter w tę noc Bożego Narodzenia. Mówimy o społecznych uwarunkowaniach. Mam na myśli cele, o które od dawna walczysz.

- Mam już wszystko, czego pragnę - odrzekła bez przekonania.

- Ty chcesz być numerem jeden - poprawił ją. - Ale dopóki będzie trwało nasze przymierze, będzie to niemożliwe.

- Co mam zrobić? - powtórzyła raz jeszcze.

- Musisz poślubić Taylora Carr. On otworzy ci drzwi swojego świata. Przy nim nie będzie ograniczeń dla twoich ambicji. I będziesz mogła wreszcie pokazać, ile jesteś warta.

Nancy przyglądała mu się zdumiona i zafascynowana, jej zamyślane oczy błyszczały radością.

- Od jak dawna przeżuwasz te myśli?

- Od chwili, kiedy cię poznałem. Kiedy byłaś dzieckiem i przyszedłem zaproponować wam pomoc Franka, a ty stanęłaś w drzwiach zapraszając mnie do środka. Pamiętasz?

Tak, pamiętała każdy szczegół z tego odległego dnia. Gdy pierwszy raz ujrzała José,



przyrównała go do góry. Przypomniała sobie to wrażenie siły, spokoju, bezpieczeństwa, które emanowało z jego postaci.

- Wzięłam cię za przyjaciela taty. A ty nie mogłeś się zdecydować na wejście. Patrzyłeś na mnie tymi twoimi małymi, ciemnymi oczami - dodała głaszcząc go lekko po twarzy. - Poglaskałeś mnie po głowie.

Tak, właśnie tak było w ten odległy dzień, kiedy José wyczytał w spojrzeniu Nancy powagę i determinację wzbudzające szacunek.

- Od tamtej chwili wiedziałem, że chcesz zostać kimś. I miałeś wszelkie dane, aby tak się stało. Byłaś ofiarą, ale miałeś niezłomny charakter i rozpaczliwą potrzebę odegrania się za wyrządzoną ci krzywdę. To wtedy odczułem potrzebę przebywania blisko ciebie, pomagania ci, w miarę moich możliwości, w znalezieniu twojej własnej drogi.

- Dlatego zgodziłeś się poślubić mnie?

- Dlatego i z innych jeszcze powodów. Za długo byłoby o tym mówić.

- A teraz dlaczego oddalasz mnie od siebie?

- Ponieważ w tym ostatnim podejściu, które doprowadzi cię na szczyt, jest ci potrzebny ktoś inny. Nie jestem odpowiednią osobą. Będę czynnym widzem. Będę interweniował tylko w razie konieczności. Ale nie sądzę, abym ci był potrzebny.

Nancy położyła mu głowę na ramieniu i cicho zapłakała. Tej nocy, na pożegnanie, kochali się namiętnie i czule. Potem José trzymał ją w swoich ramionach i patrzyli razem na śnieg za oknem, który wciąż padał, nieubłagany, cichy, uroczysty jak ich los.

Dzień później José Vicente Dominici wyjechał do Kalifornii, gdzie miał się osobiście zająć winnicami kupionymi kilka lat wcześniej. Nancy wróciła do Nowego Jorku i złożyła pozew o rozwód.

Sześć miesięcy później ogłoszono zaręczyny Nancy Pertinace, znanego adwokata, z Taylorem Carr, doktorem z Uniwersytetu w Yale, pochodzącym z arystokratycznej bostońskiej rodziny.

Trochę później na tabliczce i firmowym papierze kancelarii Printfull, Kaflich & Losey pojawiło się nazwisko Nancy. Od tamtej pory pięła się niepowstrzymanie w górę, a wszystkie drzwi, łącznie z ekskluzywnymi klubami i środowiskiem wyższych sfer, stały otworem przed tą wspaniałą, inteligentną, przedsiębiorczą, wykształconą kobietą, Nancy Carr.

***Dzisiaj***

## 1

- Było to szczęśliwe małżeństwo? - zapytał Mark, który nie mógł zrozumieć, dlaczego taki mężczyzna jak Taylor Carr pożądał mężatki z dzieckiem, z wyjątkowo burzliwą przeszłością i korzeniami tak odległymi od jego własnych.

W willi José Vicente panowała cisza, rozmawiali prawie szeptem.

- Był to udany związek. Spółka z pozytywnym bilansem. Miłość z fajerwerkami skończyła się z Seanem - wyjaśniła z uprzejmą cierpliwością. - Było to w każdym razie pozytywne doświadczenie. Taylorowi odpowiadała rola Pigmaliona. Ja byłam pilną uczennicą. Uczyłam się dobrze i szybko. Przede mną otworzyły się najbardziej ekskluzywne salony, najbardziej liczące się kluby. Moi teściowie, początkowo bardzo chłodni, z czasem stali się dla mnie i mego syna bardzo mili. U boku Taylora przeżyłam przyjemne lata. Byliśmy w Monte Carlo gośćmi Grace Kelly, na „Christinie” gośćmi Onassisa. Wakacje spędzaliśmy w Acapulco i w Saint Moritz. Mieliśmy mieszkanie w Kensington, Londynie i przy avenue Foch w Paryżu. Jako prawnik byłam rozchwytywana. I kiedy uznałam, że mam wystarczająco dużo znaczących klientów, otworzyłam własną kancelarię razem z bratem Salem. Zajął się czynnie polityką, kandydowała do Kongresu z okręgu Queens i zostałam wybrana. Taylor był zawsze przy mnie. Był wspaniałym mężem i miałam w nim oparcie.

Nancy wstała. Mark uczynił to samo, rzucając jej pytające pytanie.

- Chodźmy na górę - zaprosiła. - Nie chcę, aby Taylor zastał pana tutaj.

Dziennikarz nie rozumiał różnicy między jednym pokojem a drugim w tym samym przecież domu. W każdym razie nie miał obiekcji. Był zbyt zmęczony. Przechodząc za nią przez różne pomieszczenia czuł narastającą wokół siebie dziwną i tajemniczą atmosferę. Nie było śladu służby, a przecież wszystko było czyste i uporządkowane. Również umeblowanie było niezwykajne. Były zachwycające meble w stylu liberty i pospolite sprzęty, na których widok wzdrygał się.

Weszli po szerokich schodach oświetlonych z góry słońcem wpadającym przez szklany dach. Podziwiał ozdobne rośliny i uśmiechnął się do patetycznej, obwieszanej klejnotami Świętej Rozalii stojącej we wgłębieniu ściany.

- Co się wydarzyło później? - zapytał Mark obawiając się kolejnej przerwy.

- Zdarzyło się, że postanowiłam zrealizować mój najambitniejszy plan - odpowiedziała prowadząc go swobodnie przez tonący w półmroku korytarz. - Chciałam zdobyć fotel syndyka w City Hall. Partia poparłaby mnie. Rodzina Latella dałaby mi elektorat. Resztę pan zna, panie Fawcett. Wywiad z Nathalie Goodman miał być wstępem do właściwej kampanii wyborczej. Z Goodman zaprogramowaną przeciwko mnie. Miała mi wszystko wyperswadować, grożąc ujawnieniem pewnych sensacyjnych faktów. Z Goodman, która została zmieciona z powierzchni ziemi.

- Przez kogo? - dopytywał się Mark, gdy Nancy otwierała drzwi do sypialni.

- Już się pan o to pytał, pamięta pan?

- A pani mi nie odpowiedziała - odrzekł wchodząc za nią do małego pokoju.

- Potrzebny jest panu wypoczynek, panie Fawcett. Krótki sen dobrze panu zrobi - powiedziała uchylając się od odpowiedzi.

- Kto to był? - nalegał dziennikarz.

Nancy wskazała mu łóżko przykryte białą bawełnianą narzutą. Podeszła do okna, odsunęła muślinową zasłonkę i spojrzała na ogród.

- Dobrze, panie Fawcett. Powiem panu, kto zabił Nathalie Goodman. Powiem panu, chociaż dużo mnie to kosztuje. Ale całe moje opowiadanie było męczące. A poza tym obiecałam panu prawdę - zakończyła wzdychając głęboko.

***Wczoraj***

# 1

Nancy była w garderobie w towarzystwie Seana, swojego wspaniałego syna, kiedy Junior Latella zawiadomił ją telefonicznie o śmierci Nathalie Goodman. Dziennikarka została zlikwidowana, aby nie mogła wyjawiać nazwiska swojego informatora, dzięki któremu przyparła ją do muru. Odłożyła słuchawkę powoli jak automat. Sean ujrzał w lustrze odbicie zamysłonej twarzy matki. Nie zrozumiał znaczenia telefonu, ale z wyrazu twarzy domyślał się kłopotów. Doświadczenie i wrażliwość doradziły mu wycofanie się, zanim matka będzie zmuszona poprosić go o to sama. Uderzył się ręką w czoło niczym stary aktorski wyga.

- Popęłniłbym niewybaczalny błąd! - wykrzyknął. - Zupełnie zapomniałem. Obiecałem przyjaciółce, że zabiorę ją na kolację.

Pochylił się nad matką, pocałował we włosy, aby nie zniszczyć starannego makijażu.

- Och, mój drogi - wyszeptała biorąc jego dłoń i przyciskając ją do swojego policzka. W tym pełnym oddania geście była cała jej miłość do niego, potrzeba chronienia go i trzymania z dala od burzliwych wydarzeń w jej życiu. Syn był żywym odbiciem, nietkniętym wspomnieniem jedyne go mężczyzny, którego kochała całą sobą. Zaplanowała mu życie pogodne, bez wstrząsów, przyjemną egzystencję, którą zawdzięczał wiedzy i sukcesom zawodowym. Dokładnie tak, jak to było z Taylorem, jej mężem, jednym z niewielu ludzi, którzy mogli spoglądać na ludzkie słabości okiem mędrca zdolnego zrozumieć i wybaczyć.

- Kochanie - powtórzyła - zobaczę cię jutro?

- Zadzwoń do ciebie rano, mamó. Nie martw się - powiedział zanim wyszedł.

W gabinecie Nancy na parterze czekał Sal z Laureen, swoją pierwszą narzeczoną, którą w końcu poślubił. Laureen dobijała pogodnie do czterdziestki, ale była wciąż tą samą naiwną, pulchną, świeżą dziewczyną, koleżanką ze szkolnej ławy. Obdarowała go

czwórka wspaniałych dzieci i teraz, kiedy dorosły, zajęła się organizowaniem obiadów i przyjęć dla nich i ich przyjaciół.

Nancy weszła do pokoju i Laureen od razu spostrzegła, że szwagierka nie była w najlepszej formie. Rzeczywiście, pominęła konwenanse i przeszła natychmiast do sedna sprawy.

- Sal, wkrótce będzie tu Junior - zaczęła. - Przykro mi z powodu kolacji, ale jest kilka ważnych i pilnych spraw, które musimy omówić.

- Zrozumiałam - odrzekła Laureen. - Kiedy atmosfera się zagęszcza, kiedy dorośli rozmawiają, mała Laureen musi iść pobawić się do ogrodu - na jej twarzy odbiło się niezadowolenie i rozgoryczenie.

- Przykro mi - przeprosiła Nancy ze słabym uśmiechem. Rozumiała ją i nie mogła jej winić. - To moja wina. Wybacz. Ważne sprawy mają pierwszeństwo.

- Nie wiem, jak to się dzieje, ale twoje sprawy są zawsze ważne i zawsze mają pierwszeństwo przed innymi - Laureen wyglądała na łagodną istotę, ale umiała być szczerą aż do bólu.

Sal już chciał interweniować, gdy Nancy go uprzedziła.

- Zdaję sobie sprawę, że nie jestem idealną szwagierką - przyznała pochylając się i muskając jej policzek pocałunkiem. - Obiecuję poprawę.

Laureen na znak pokoju odwzajemniła się Nancy serdecznym gestem. I wyszła akurat w momencie, gdy przybył Junior.

- To jest wywiad z Goodman zarejestrowany na moim magnetofonie - powiedziała Nancy do Juniora i Sala, kiedy przesłuchali przyniesioną przez nią taśmę.

- Identyczne nagranie było w jej posiadaniu. Pytania są następujące: gdzie jest teraz taśma? i kto uciszył raz na zawsze dziennikarkę, dając przesłanki do wywołania skandalu? Jestem ostatnią osobą, z którą Goodman przeprowadziła wywiad. W trakcie dochodzenia mogę zostać wmieszana w tę sprawę.

- Aby rozwikłać tę sprawę, od czego zaczniemy? - zapytał Sal Juniora.

- Już poczyniłem niezbędne kroki przy pomocy pewnych przyjaciół - odpowiedział Junior. - Otworzyłem parasol. Ale wszystko zależy od gwałtowności burzy.

- Więc nie wyklucasz ewentualności, że Nancy może być przesłuchiwana? - zaniepokoił się brat.

- Nie mogę wykluczyć.

- A w tym przypadku? - nalegał Sal zwracając się do Nancy.

- W tym przypadku powiem prawdę. Powiem, że Nathalie Goodman chciała mnie sprowokować i wyrzuciła ją za drzwi.

- A jeśli policja położy łapę na jej nagraniu?

- To niemożliwe, zwłaszcza że jej taśma zniknęła - powiedziała Nancy.

- Jej zabójstwo i to zniknięcie są okryte tajemnicą, zresztą nie znamy też osoby, która poinformowała ją o faktach z twojego życia - wtrącił Junior. - Nathalie Goodman była inteligentną kobietą i profesjonalistką - dodał. - Nie zaatakowałyby cię tymi pytaniami nie mając dowodów. A dowody miała na pewno od swojego informatora. Co o tym myślisz? - zwrócił się do Nancy, która potrząsnęła głową.

To oni, po tym wywiadzie, powinni ją uciszyć. Ani ona, ani Junior nie przewidzieli, że ktoś inny może ją wyeliminować, może ci, którzy mogli wywołać skandal.

- Nie jestem pewna, czy Nathalie miała dowody, ale mam powody, żeby tak przypuszczać - powiedziała Nancy. - To nie był blef, ona miała w ręku asy.

- Z tym mieczem Damoklesa nad głową zamierzasz w dalszym ciągu kandydować na syndyka? - zapytał Junior.

- Nie wiem - zwątpiła zamyślona. - Wszystko można o mnie powiedzieć, ale niczego nie można dowieść. Aby zniszczyć wizerunek osoby publicznej, wystarczy parę insynuacji, o ile są wiarygodne. Musimy wyjaśnić kulisy tej sprawy, a potem będziemy mogli zdecydować, co robić dalej.

Kiedy Frank Latella, posunięty w latach i znudzony życiem zmarł we własnym łóżku na wylew krwi do mózgu, który położył kres jego burzliwej egzystencji, Junior wziął mocno w swoje ręce sprawy organizacji. Gdy słuchało się Juniora, odnosiło się wrażenie, że czas się cofnął i ma się przed sobą starego Franka. Ten sam spokój, ten sam rozsądek, to samo zdecydowanie i władza chyba jeszcze przewyższająca władzę dziadka.

- Poruszyłem najbardziej wpływowe osoby - zawiadomił. - Na razie możemy tylko czekać. Będę was informował na bieżąco.

- Gdybyś miał ważne wiadomości - uprzedziła go Nancy - możesz mnie zastać u Taylora w Bostonie.

Postanowiła wyjechać. Obecność męża pomogłaby jej rozładować napięcie.

- Witamy panią, pani Carr - przywitał ją stary służący biorąc z jej rąk podróżną torbę.

- Mój drogi Griffinie, jak się pan czuje? - zapytała serdecznie.

W tym domu z piętnastoma pokojami, w samym sercu starego Bostonu, Nancy czuła się wciąż gościem. Wciąż uznawała go za siedzibę rodu Carr, chociaż ojciec Taylora nie



żył już, a matka mieszkała na Lazurowym Wybrzeżu.

- Gdy pomyślę, ile mam lat, to naprawdę nie mogę się uskarżać - uśmiechnął się. Miał łysą, błyszczącą czaszkę i łagodny, żywy wyraz twarzy.

- Mój mąż? - zapytała.

- Pan właśnie wyszedł, proszę pani - odpowiedział. - Obiad zje w klubie, wróci po południu. Nie wiedział o pani przyjeździe.

Mówiąc to prowadził ją korytarzem do bardziej prywatnej części domu. Służący otworzył drzwi pokoju, który stał się pokojem Nancy. Był urządzone z wyszukaną elegancją meblami w stylu empire, wybity jedwabiem słonecznej barwy, z fryzami ze złoczonego brązu. Kwitnąca forsycja stała w drzwiach balkonowych.

- Czy pani sobie coś życzył.

- Kawę, Griffin - powiedziała odprawiając go. Otworzyła drzwi garderoby, sprawdziła stroje, przyjrzała się sobie w lustrze i postanowiła, że nie będzie czekać na powrót Taylora. Potrzebowała go, pojedzie do niego do Harvardu.

Zdecydowała się wypić kawę na dole, w kuchni, aby zyskać na czasie. Sally, meksykańskiej kucharki, nie zdziwiło wtargnięcie Nancy do jej królestwa. Znała jej niespokojny charakter.

- Witam panią, pani Carr - powiedziała kucharka.

- Jesteś piękna, Sally - pochwaliła ją Nancy.

Sally właściwie nie była ładna, choć miała przyjemną, uśmiechniętą twarz. Była natomiast miękka, okrągła, szczęśliwa niczym niegdysiejsze zamożne gospodynie domowe.

Nancy zaczęła popijać swoją kawę. Zadzwoił dzwonek przy drzwiach kuchennych.

- Kto to był? - zapytała Griffina, kiedy wrócił do kuchni.

- Jakiś mężczyzna przyniósł kopertę dla profesora Carr - odpowiedział służący.

- Daj mi ją - rozkazała.

Była to zwykła koperta zawierająca prostokątny, płaski przedmiot. Można było wyczuć go palcami.

- Zaniósę ją do gabinetu profesora - dodała.

Gabinet Taylora był pogrążony w przyjemnym, spokojnym półmroku. Nancy lubiła jego atmosferę. Fotele z czerwonej skóry, stare meble, olbrzymia biblioteka, która zakrywała wszystkie ściany świadczyły o solidności, kulturze i tradycji tego domu. Między książkami stały odpowiednio wyeksponowane portrety rodzinne w cennych ramkach ze srebra, złota, szylkretu i kamieni półszlachetnych.

Nancy podeszła do biurka i usiadła na wyściełanym krześle z wygodnym oparciem. Położyła na stole kopertę bez nazwiska, bez adresu; przyglądała się jej z rosnącą ciekawością. Ponownie wzięła ją, ważąc w dłoni i z powrotem odłożyła na blat biurka. Długo zastanawiała się nad tym tajemniczym przedmiotem, potem usłuchała wewnętrznego głosu nakazującego jej sprawdzić zawartość koperty. Postanowiła więc otworzyć ją. Zwłaszcza że koperta była tylko częściowo zaklejona. Zawsze mogła ją ponownie zakleić i nikt niczego by nie zauważył. Jakaś nieznana zaciekleść popychała ją do naruszenia pewnych niepisanych reguł, do popełnienia czynu, który zawsze potępiała. Ten gest przekreślał całe lata wzajemnego zaufania, jakie istniało między nią i Taylorem. Te rozważania o charakterze moralnym nie przeszkodziły w ujawnieniu zawartości koperty: taśmy magnetofonowej. Śmiała się z własnej niepowstrzymanej ciekawości sięgając do pierwszej szuflady biurka po prawej stronie po kartkę, na której miała zostawić mężowi wiadomość na wypadek, gdyby się rozminęli. Tam, gdzie miała nadzieję znaleźć papier listowy, znajdował się mały magnetofon. Po raz kolejny przypadek zmusił ją do obrania niezwyklej drogi. Nancy przypomniała sobie że to, co uważamy za ślepy przypadek losu, najczęściej pochodzi z głębszych źródeł.

Wzięła magnetofon, włożyła kasetę, nacisnęła przycisk startu i zamieniła się w słuch. Z kasy popłynął znany głos, który wstrząsnął nią. Serce zaczęło bić w szalonym tempie. Ogarnięta paniką Nancy z trudem łapała powietrze. Słuchała wywiadu z Nathalie Goodman.

Potrzebowała kilku minut, aby dojść do siebie w pełni. Dopiero gdy się uspokoiła, zadzwoniła do Sala.

- Pamiętasz nagranie, którego razem słuchaliśmy? - zapytała.
- Oczywiście, że pamiętam - zdziwił się.
- Masz je ciągle u siebie?
- Jest bezpieczne w kasie pancерnej.
- Mógłbyś sprawdzić?

To było absurdalne żądanie, ale ton Nancy wskazywał, że było to bardzo pilne.

- Moment - powiedział. Wrócił za chwilę. - Jest dokładnie tam, gdzie je zostawiłem. Czy coś się stało? - zaniepokoił się.

- Stało się, że identyczna kasetka jak nasza została doręczona Taylorowi do jego domu w Bostonie.

- A on, co na to powiedział? - zaniepokoił się.
- Nic. Ponieważ jej nie słyszał. Ja ją przejęłam.

- Co zamierzasz zrobić?
- Muszę się zastanowić. Przekaż wiadomość Juniorowi.
- Potrzebna ci pomoc?
- Nie teraz. Będę z tobą w kontakcie.

Nancy odłożyła słuchawkę, schowała starannie magnetofon, włożyła z powrotem kasetę do koperty i położyła ją na biurku w widocznym miejscu. Czekwała na powrót męża.

Kiedy Taylor wrócił, wybiegła mu naprzeciw radosna i czuła jak zwykle.

- To najpiękniejsza niespodzianka, jaką mogłaś mi zrobić - ucieszył się mężczyzna patrząc na nią z podziwem. - Powiedz, że nie możesz beze mnie żyć, a będę najszcześniejszym mężczyzną na ziemi.

- Taylorze Carr, jesteś skurwysynem - zmroziła go. W jej delikatnej ręce błysnął rewolwer. - Teraz opowiesz mi wszystko od początku - rozkazała.

Mężczyzna już się nie uśmiechał. Jego rysy nabrały okrucieństwa. To nie był już ten sam życzliwy mężczyzna o arystokratycznych manierach. Przyglądał jej się z góry na dół, jakby nie grożono mu bronią, jakby to on prowadził tę grę.

- A jeśli nie? - zapytał stanowczym głosem.
- Jeśli nie, to zabiję cię. A ty wiesz, że jestem do tego zdolna.

***Dzisiaj***

# 1

Mark Fawcett przesunął ręką po czole, jakby chciał odegnać zmęczenie, przestach, niedowierzanie. Wyznanie Nancy wstrząsnęło nim. Profesor Taylor Carr, pozostający poza podejrzeniem, arystokratyczny mąż tej kobiety honoru ukazywał się nagle w bulwersującym świetle.

- Teraz, panie Fawcett, wie pan wszystko - Nancy skierowała się do drzwi. - Niech pan troszkę odpocznie. Zawołam pana, kiedy przyjdzie czas.

Mark podniósł się, wyciągnął do niej rękę, aby ją zatrzymać.

- Proszę, niech pani poczeka. Niech pani nie odchodzi - poprosił. - Jeszcze nie.

Ciekawość zwyciężyła zmęczenie i strach.

Odwróciła się do niego z pytającą miną. Miała postawę królowej, ale na twarzy widać było oznaki przegranej. Może dobijając do końca swojej wielkiej przygody zdała sobie sprawę, że gra nie była warta świeczki, że zbrodnia i cierpienia nie zawsze popłacają.

- Co jeszcze? - zapytała twardo.

- Więc profesor Carr kochał panią aż do tego stopnia? Kazał zabić dziennikarkę polującą na sensację, aby przejąć nagranie, które mogłoby panią skompromitować?

Spojrzała na niego najpierw ze złością, potem ze współczuciem.

- Ależ co pan zrozumiał? Profesor Carr posłużył się Nathalie Goodman, żeby podciąć mi skrzydła, żeby przeszkodzić mi w wyścigu do City Hall. Ponieważ postawił na innego konia.

- Czy próbuje mnie pani przekonać, że ten oddany towarzysz, zasłużony profesor, przystojny, poza wszelkimi podejrzeniami mąż, mężczyzna, który czekał lata całe, żeby panią zdobyć, potomek arystokratycznej rodziny jest mafioso? I ja mam w to uwierzyć? - był głęboko wstrząśnięty.

- Jeśli pan w to nie wierzy, to jak mają w to uwierzyć pańscy czytelnicy, jeśli nawet uda się panu opublikować tę historię? A przecież to jest ta obiecana prawda. Taylor Carr

jest głową ośmiornicy. Jest menedżerem, kieruje akcjami i obmyśla strategię mafii. To on jest capo dei capi, od Nowego Jorku po Palermo.

Nancy zbliżyła się do Marka, ściszyła głos i kontynuowała:

- Tak zwani capifamiglia, szefowie rodzin, ci o których wy, dziennikarze, tak chętnie opowiadacie, to pionki na szachownicy. Osobistości, które się już przeżyły. Ręka, która porusza sznurkami interesów nowej mafii, która weszła do banków, na giełdy, należy do międzynarodowych spółek i jest obecna na wysokich szczeblach polityki - to arystokratyczna ręka Taylora Carra. On wie wszystko i o wszystkich. Znał każdy szczegół mojego życia. Pragnął mnie, stracił dla mnie głowę od pierwszego spotkania w Yale. A może chciał mnie, ponieważ mężczyznę takiego jak on mogła pociągać tylko taka kobieta jak ja - roześmiała się smutno. - Przypadek, tylko przypadek, który nigdy nie jest banalny i ma swoją żelazną logikę, pozwolił mi odkryć tę grę - Nancy miała dziwne spojrzenie. Dziennikarzowi wydawało się, że w jej oczach błysnęło szaleństwo. A może to on zwariował?

- Taylor bez problemów mógł dostarczyć Goodman szczegółów, które miały mnie skłonić do rezygnacji - podjęła Nancy. - Ona zresztą nie chciała niczego więcej. Użył jej i wyrzucił jak niepotrzebną chusteczkę do nosa.

- Do tego stopnia mąż panią nienawidził?

- Osobiste uczucia się nie liczą. Taylor mnie kochał. Po prostu nie chciał, żebym została syndykiem. Znał mnie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nigdy nie zaakceptowałabym jego gier.

Mark niczemu się już nie dziwił, od kiedy został wciągnięty w tę historię.

- Pokonała pani tysiące przeszkód - argumentował - a kiedy odkryła pani rolę męża w tej historii, zeszła pani ze sceny. Czy tak?

- Wskoczyłam z jadącego pociągu, bo chciałam przeżyć. Zabrakło mi powietrza. W końcu, panie Fawcett, tutaj, na tej wyspie są moje korzenie. I tutaj chciałam wrócić. Jak moja matka i moja babka.

- To mogę zrozumieć - przyznał Mark. - Ale klasztor... dlaczego?

Nancy miała znów triumfujący wyraz twarzy.

- Ponieważ sądzę, że wiara jest potrzebna - jej twarz rozświetliła się. - Wierzę, że człowiek potrzebuje religii, która jest jedyną siłą zdolną obronić nas przed strachem, wynikającym z niezrozumienia przerastającej nas tajemnicy nieskończoności. A poza tym pięćdziesiąt lat to początek i koniec. Pół wieku to szalona chęć działania i poczucie niepokojącej niemożności. To nowy wymiar czasu.

- Co chciała mi pani powiedzieć zeszłej nocy, kiedy opuszczałem klasztor?

- Że właśnie odkryłam mikrofon ukryty w lampie w rozmównicy, w której odbywały się nasze spotkania. Macki ośmiornicy docierają wszędzie - powiedziała z gorzkim uśmiechem. - Bałam się o pana. Dlatego postanowiłam wezwać Taylora.

- Wybitny płatny morderca do ofiary godnej szacunku - powiedział obojętnie, jakby mówił o kimś innym.

- Pan jest pod moją opieką, panie Fawcett - zapewniła go. - Daję panu moje słowo honoru, że nic się panu nie stanie. Nikt nie odważy się skrzywdzić pana - zagwarantowała zamykając powoli drzwi.

Wyłaniając się z trudem z męczącego snu, Mark Fawcett usłyszał wzywający go głos. Później poczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu. Udało mu się wreszcie wyrwać z niezrozumiałych koszmarów sennych i otworzyć oczy.

- Spał pan cały dzień, panie Fawcett - przywitał go serdecznie. - Idę na kolację. Zechce mi pan towarzyszyć?

Mark przetarł oczy, usiadł i rozpoznał osobę. Widział go już kilka dni temu, kiedy razem z Giannim Ricci podjechali prawie pod samą willę. Przypomniał sobie opowiadanie Nancy i odniósł wrażenie, że zna go od zawsze. Był to José Vicente Dominici.

- Gdzie ona jest? - zapytał mając na myśli Nancy. Spuścił nogi z łóżka i przecesał włosy palcami.

- Odjechała - odpowiedział olbrzym. - Zostaliśmy sami.

Wskazał na ubranie i bieliznę leżące na krześle.

- Może się pan przebrać, jeśli pan chce. Łazienka jest tam... - dodał pokazując na drzwi. - Czekam w kuchni. Zazwyczaj tam jadam.

Mark spał przez osiem godzin z rzędu, ale nie pozbył się uczucia zmęczenia i zamętu. Co się wydarzyło w tym czasie? O czym rozmawiali Nancy i jej dwóch mężów? Co będzie z nim? Gorączkowo szukał myśli, której mógłby się ucześcić i uzyskać jakąś pewność. Znajdował się jednak w labiryncie i kiedy już wydawało się, że znalazł wyjście, napotykał swój strach. Zdumiał się na widok łazienki, bardziej w stylu Hollywoodu niż małego sycylijskiego miasteczka. Golenie sprawiło mu przyjemność. Po prysznicu poczuł się lepiej. Włożył spodnie i sportową marynarkę stwierdzając z satysfakcją, że pasują jak ulał, tak samo jak bielizna i koszula.

Kiedy stanął w drzwiach kuchni, José kroił chleb. Służąca w obłokach pary odcedzała

makaron. Olbrzym dał znak kobiecie, która pozostawiła ich samych. Potem zaprosił go do stołu nakrytego na dwie osoby.

- Mówią, że jestem dobrym kucharzem - wyjaśnił polewając spaghetti, wyłożone na duży półmisek, sosem z czosnku, oliwy i papryczki.

- Pachnie zachęcająco. Pana wielbiciele mają chyba rację - odrzekł Mark próbując gorączkowo znaleźć pretekst, aby powrócić do jedyne go interesującego go w tym momencie tematu.

José nałożył mu sporą porcję.

- Proszę spróbować i powiedzieć mi, czy to nie jest dzieło sztuki - rzucił mu wyznanie, przekonany o doskonałości potrawy.

Wydawało się, że dymiący, apetycznie pachnący makaron jest najważniejszą dla niego rzeczą.

- A jak ja zostanę przyprawiony, panie Dominici? - zapytał dziennikarz rozkładając wykrochmaloną serwetkę i za przykładem pana domu wsadzając ją za kołnierzyk koszuli.

- Właśnie tak należy to robić - ucieszył się José. - Spaghetti należy jeść odpowiednio się zabezpieczając. Niech pan spróbuje - nalegał.

Mark z trudem nawinął spaghetti na widelec i podniósł do ust. Żuł powoli, smakując, ale nie odczuł żadnej przyjemności. Makaron był niedogotowany, pikantny i ostry. Wypił spory łyk czerwonego wina, ale nie poprawiło to sytuacji.

- No i? - nalegał José - Jakie jest?

- Boskie - skłamał Mark kaszląc i czerwieniejąc. Ostry zapach papryczki szczypał w oczy.

- Nie umie pan kłamać - zaśmiał się głośno pan domu.

- Pan natomiast zręcznie unika odpowiedzi.

- To prawda - przyznał José. - Ale mogę panu teraz odpowiedzieć. Pan nie będzie przyprawiony w żaden sposób. Czuje się pan zagrożony, ponieważ naczytał się pan fantastycznych artykułów na temat mafii. Wróci pan spokojnie do Nowego Jorku. I napisze swój artykuł - dodał obojętnie, poświęcając całą swoją uwagę dużej porcji spaghetti, którą wziął do ust, żując z satysfakcją. - Szkoda, że nie jest pan w stanie docenić tego dania.

- Pan bardzo dobrze wie, że zabrano mi taśmy - zwrócił mu uwagę Mark ignorując spaghetti. - A poza tym gazeta nie jest już zainteresowana wywiadem.

- Powiedziałem: artykuł, a nie wywiad - sprecyzował olbrzym. - Zawsze to jednak sensacja: mecenas Nancy Pertinace w klasztorze. I będzie pan mógł w ogólnych zarysach



opowiedzieć jej historię. Tę, którą znają wszyscy, także pan. Nancy jest całkowicie pewna, że będzie pan umiał odróżnić rzeczy, które można opowiedzieć od tych, które należy zapomnieć.

Nalał sobie czerwonego wina i z widoczną przyjemnością wypił kilka łyków.

- Będę miał w każdym razie mój *scoop*. To chciał pan powiedzieć? - zapytał z lekką ironią.

José nie zwrócił uwagi na tę replikę.

- W gruncie rzeczy po to przyjechał pan na Sycylię, czyż nie?

- To dlaczego Nancy opowiedziała mi swoje życie, jeśli od początku wiedziała, że nie będę mógł tego wykorzystać?

José podniósł się, wyjął z piecyka talerz z kulkami ryżowymi i postawił na stole.

- Niech pan spróbuje. Te nie są pikantne. I niech pan przestanie zastanawiać się nad zachowaniem Nancy. Nancy jest posłuszna gwiazdom, które nie chcą nas znać. Jej logika wyklucza nas.

- To znaczy że historia, którą mi opowiedziała, jest prawdziwa?

- Jeśli pan ją za taką uważa - odrzekł szybko. - Musi się pan jednak pospieszyć z kolacją, jeśli mamy wyruszyć.

Mark zauważył, że mężczyzna nie miał tego ojcowskiego, łagodnego tonu, o którym Nancy mu mówiła. Dobry olbrzym z opowiadań zakonniczy zmienił się w despotycznego i niecierpliwego osobnika.

- Wyruszyć dokąd?

- Pan wraca do Nowego Jorku, panie Fawcett. A ja z panem. Nancy chce, żebym panu towarzyszył. Jest przekonana, że ze mną będzie się pan czuł pewniej.

- Gdzie jest Nancy i Taylor?

- Omawiają wspólne interesy - odpowiedział wycierając talerz kawałkiem chleba.

- Im więcej wiem, tym mniej rozumiem - stwierdził Mark zrezygnowany.

- Nie ma tak wiele do rozumienia - zbagatelizował José.

- Taylor Carr naprawdę tu przyjechał?

- Proszę za mną - powiedział olbrzym wychodząc z willi.

José usiadł za kierownicą mercedesa, Mark zajął miejsce obok niego. Jechali w kierunku Palermo. Do Trapani podróżowali w milczeniu. Minawszy miasto zatrzymali się przed niewykończonym budynkiem, w którym był bar ze sklepikiem.

- Przepraszam - powiedział José. - Muszę skorzystać z toalety. A jak już tu jesteśmy, zapraszam na kawę. Idziemy?

- Nie. Poczekam tutaj.

Czuł potrzebę pozostania sam na sam ze swoimi myślami. Pomyślał o Carolyn i dzieciach. Zaniedbał je dla historii, która coraz bardziej się gmatwała. Przypomnił sobie Nancy i jej nieprawdopodobne opowieści. Poczł zawrót głowy. Przypomnił sobie słowa siostry Anny: „Kto słyszał śpiew syren, nie wróci do Itaki.” W tej samej chwili zapaliło się i zgasło światło. Ogarnęła go martwa cisza i błogi spokój. Śmierć musnęła go swymi skrzydłami unosząc ze sobą w powiewie wieczornego wiatru. Mercedes wybuchł niczym petarda w sylwestrową noc.

Nancy była w drodze do Nowego Jorku. Wracała do życia publicznego. Będzie próbowała dostać się do City Hall. Taka była umowa z Taylorem - jej milczenie w zamian za fotel syndyka.